

*Jak Poślubić
Wampira
Milionera*

Kerrelyn Sparks

Rozdział 1

Roman Draganesti wiedział, że ktoś wszedł do jego gabinetu. Wróg czy przyjaciel? Przyjaciel, zdecydował. Wróg nie przedarłby się przez kordon ochroniarzy, strzegących wejścia do jego kamienicy na Upper East Side na Manhattanie, i nie uszedłby uwagi strażników stale obecnych na pięciu piętrach budynku.

Przypuszczał, że w ciemności widzi lepiej niż tajemniczy gość, a utwierdził się w tym przekonaniu, gdy intruz wpadł na sekretarzyk w stylu Ludwika XVI i zaklął cicho.

Gregori Holstein. Przyjaciel, który działa mu na nerwy. Wiceprzewodniczący Romatech Industries odpowiedzialny za marketing podchodził do wszystkiego z niesłabnącym entuzjazmem. W jego towarzystwie Roman czuł się stary. Bardzo stary.

- O co chodzi, Gregori?

Przybysz odwrócił się gwałtownie, wyteżył wzrok, wpatrzony w stronę, z której dochodził głos.

- Dlaczego siedzisz po ciemku?

- Hm... trudne pytanie. Pewnie dlatego, że chciałem być sam. Po ciemku. Powinieneś czasami spróbować. Nie widzisz tak dobrze w ciemności, jak powinieneś.

- Niby dlaczego miałbym ćwiczyć widzenie w ciemności, skoro miasto zalewają w nocy potoki światła? - Gregori po omacku szukał kontaktu. Pokój rozjaśnił się złotym blaskiem - No, teraz lepiej.

Roman rozparł się wygodnie w wielkim skórzanym fotelu. Upił łyk z kieliszka.

Zapiekło go w gardle. Paskudztwo.

- Zjawileś się tu w konkretnym celu?

- Oczywiście. Wyszedłeś z pracy wcześniej, a chcieliśmy ci pokazać coś ważnego. Będziesz zachwycony.

Roman odstawił kieliszek na mahoniowy blat biurka.

- Doświadczenie nauczyło mnie, że mamy mnóstwo czasu.

- Więcej entuzjazmu, proszę - zachnął się Gregori. - Wymyśliliśmy coś rewelacyjnego. - Zauważył napełniony do połowy kieliszek Romana. - Uważam, że jest powód do świętowania. Co pijesz?

- Nie będzie ci smakować. Gregori podszedł bliżej.

- Niby dlaczego? Mam niezbyt wyrafinowany gust? - Sięgnął po karafkę i nalał sobie trochę czerwonego płynu. - Piękny kolor.

- Posłuchaj mojej rady: weź sobie nową butelkę z lodówki.

- Ha! Skoro ty możesz to pić, ja też mogę! - Pociągnął spory łyk, odstawił kieliszek i triumfalnie spojrzął na Romana. Ale po chwili wydawało się, że oczy wyjdą mu z orbit.

Zazwyczaj blade, nagle poczerwieniał, zacharczał, a potem zaczął się krztusić. Kaszłał, prychał, kłął pod nosem. Oparł się ciężko o bufet i chciwie chwycił powietrze.

Paskudztwo, w rzeczy samej, pomyślał Roman.

- Już dobrze?

- Co to było? - wzdrygnął się Gregori.

- Dziesięcioprocentowy sok z czosnku.

- Co? - Wyprostował się gwałtownie. - Czyś ty oszalał?

- Chciałem się przekonać, ile jest prawdy w starych legendach. - Roman się uśmiechnął. -

Jak widać, niektórzy z nas są na to szczególnie wrażliwi.

- A niektórzy za bardzo gustują w niebezpiecznym stylu życia!

Z twarzy Romana zniknął uśmiech.

- Twoja uwaga byłaby bardziej na miejscu, gdybyśmy jeszcze żyli.

Gregori podszedł bliżej.

- O rany, chyba nie zaczniesz znowu jęczeć, że jesteśmy przeklęci i skazani na potępienie?

- Spójrzmy prawdzie w oczy: żyjemy, bo odbieraliśmy życie przez stulecia. Jesteśmy zakałą Ziemi.

- Nie będziesz tego pić. - Gregori zabrał mu szklanekę i odstawił na bufet. - Posłuchaj, żaden wampir nie zrobił tyle dla ochrony ludzkości, ile ty.

- Jasne, i teraz jesteśmy najniewinniejszymi demonami na Ziemi. Super. Dzwon do papieża, czekam na beatyfikację.

Zniecierpliwienie Gregoria przerodziło się w ciekawość.

- A więc to prawda, co mówią? Że byłeś mnichem?

- Wolałbym nie żyć przeszłością.

- Nie jestem tego taki pewien.

Roman zacisnął pięści. Przeszłość to osobista sprawa, z nikim nie będzie o tym rozmawiać.

- Mówiłeś coś o nowym wynalazku?

- Ach, tak. Ojej, Laszlo czeka w holu. Chciałem, że się tak wyrażę, przygotować grunt.

Roman odetchnął głęboko, powoli się odprężył.

- Więc zaczynaj. Noc nie trwa wiecznie.

- No właśnie, a później wychodzę. Simone właśnie przyleciała z Paryża i...

- Skrzydełka się jej zmęczyły. Ten tekst był stary już sto lat temu. - Roman znów zacisnął pięści. - Nie zmieniaj tematu, bo za karę zamknę cię w trumnie.

Gregori spojrział na niego z rozbawieniem.

- Pomyślałam, że może zechcesz do nas dołączyć. To lepsza rozrywka niż siedzenie w samotności i popijanie trucizny. - Poprawił czarny jedwabny krawat. - Wiesz, że Simone od dawna na ciebie leci... Ba, nie tylko ona, inne damy też chętnie dotrzymałyby ci towarzystwa.

- Nie wydają mi się zbyt zabawne. O ile pamiętam, wszystkie są martwe.

- No cóż, skoro to ci przeszkadza, spróbuj z żywą.

- Nie. - Roman zerwał się na równe nogi, wziął kieliszek z bufetu i z wampiryczną szybkością podszedł do barku.

- Nigdy więcej żywej. Nigdy.

- Oj, chyba trafiłem w czuły punkt.

- Koniec dyskusji. - Wylał do zlewu resztkę mikstury krwi i wyciągu z czosnku, opróżnił karafkę. Już dawno przekonał się, że związek z kobietą śmiertelną kończy się tragedią i

złamanym sercem, dosłownie. A nie miał ochoty skończyć z kołkiem w sercu. Niezły wybór - martwa wampirzyca albo żywa kobieta, która będzie życzyć mu jak najgorzej. I to się nie zmieni. Taka egzystencja czeka go jeszcze przez wiele stuleci. Nic dziwnego, że jest w depresji. Był naukowcem i zazwyczaj potrafił się czymś zająć. Ale zdarzało się, jak chciałby dziś, że to mu nie wystarczało. Co z tego, że jest o krok od wynalezienia specyfiku, dzięki któremu wampiry będą mogły funkcjonować w dzień? Co zrobi z dodatkowym czasem? Będzie więcej pracować? I tak ma przed sobą setki lat w laboratorium.

Tego wieczoru dotarła do niego gorzka prawda. Jeśli nie będzie spał w ciągu dnia, nie będzie miał nawet z kim pogadać. Tylko przedłuży samotność tak zwanego życia. Wtedy dał sobie spokój i pojechał do domu. Chciał być sam, w ciemności, wsłuchany w monotonne bicie zimnego, samotnego serca. Ukojenie nadejdzie wraz ze świtem, gdy słońce zatrzyma jego serce i znów będzie martwy. Niestety, ostatnio wciąż czuł się martwy.

- Wszystko w porządku, Roman? - Gregori obserwował go czujnie. - Słyszałem, że takie stare wampiry jak ty czasami łapią doły.

- Dzięki, że mi przypomniałeś. A skoro nie młodnieję, zawołaj Laszlo.

- Ach, zapomniałem. - Gregori poprawił mankiety eleganckiej białej koszuli. - No dobra, chciałem cię wprowadzić w odpowiedni nastrój. Pamiętasz założenie Romatech Industries? Niech świat stanie się bezpieczny i dla śmiertelników, i dla wampirów.

- O ile mnie pamięć nie myli, sam to napisałem.

- Masz rację. Największym zagrożeniem dla pokoju są biedni i Malkontenci.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

Nie wszystkie nowoczesne wampiry były tak nieprzyzwoicie bogate jak Roman, i choć jego firma produkowała sztuczną krew i sprzedawała ją po przystępnych cenach, uboższe wampiry wolały jednak darmowy posiłek z szyi śmiertelnika. Roman usiłował je przekonać, że nie ma nic za darmo. Śmiertelnik zazwyczaj przeżywał szok, wynajmował domorosłych naśladowców Buffy, a ci mordowali każdego napotkanego wampira, nawet spokojnego, wzorowego krwiopijcę, który nawet pchły nie ukąsił. Smutna prawda jest taka, że póki wampiry atakują ludzi, żaden z nich nie jest bezpieczny.

Draganesti wrócił do biurka.

- Miałeś zająć się sprawą biednych, tak ustaliliśmy.

- Pracuję nad tym. Za kilka dni zaprezentuję efekty. A tymczasem Laszlo wpadł na genialny pomysł, jak zaspokoić Malkontentów.

Roman opadł na krzesło. Malkontenci stanowili najbardziej niebezpieczną grupę wampirów. To sekretne stowarzyszenie o nazwie Prawdziwi odrzucało zdroworozsądkowe podejście współczesnego wampira. Malkontentów było stać na najlepszą, najsmaczniejszą krew produkowaną przez Romatech. Mieli dość pieniędzy, by kupować najbardziej egzotyczne, wyszukane koktajle z linii fusion. Gdyby chcieli, mogli pić z najpiękniejszych, najdroższych kryształów. Tylko że nie chcieli. Ich zdaniem najcudowniejsze w picciu krwi jest nie sama krew, ale ukąszenie. Nie wierzyli, że istnieje większa rozkosz niż zanurzenie kłów w ciepłej, miękkiej skórze śmiertelnika. W minionym roku komunikacja między współczesnymi wampirami a Malkontentami zanikała, aż w powietrzu zawisła niewypowiedziana wojna. Wojna, która oznaczałaby utratę wielu

istnień zarówno ludzkich, jak i wampirycznych.

- Niech Laszlo wejdzie. Gregori podszedł do drzwi i je uchylił.

- Jesteśmy gotowi.

- Najwyższy czas! - Laszlo wydawał się zdenerwowany. - Strażnik już się szykował do rewizji osobistej naszego specjalnego gościa.

- Och, ładniutka dzierlatka! - mruknął strażnik ze szkockim akcentem.

- Zostaw ją! - Laszlo wmaszerował do gabinetu Romana z kobietą w ramionach. Wyglądali, jakby tańczyli tango. Nieznajoma była wyższa niż niski chemik. Co więcej, była całkiem naga.

Roman zerwał się na równe nogi.

- Sprowadziłeś tu kobietę? Śmiertelniczkę? Nagą?

- Spokojnie, Roman, ona nie jest prawdziwa. - Gregori podszedł do Laszla. - Szef nerwowo reaguje na kobiety śmiertelne.

- Nie reaguję nerwowo, Gregori. Moje nerwy umarły przed wiekami. - Roman widział tylko plecy lalki, ale długie jasne włosy i krągłe pośladki wyglądały bardzo naturalnie.

Laszlo posadził lalkę w fotelu. Jej nogi sterczały, więc pochylił się, by je zgiąć. Uległy z cichym trzaskiem. Gregori ukucnął obok.

- Wygląda jak żywa, co?

- Owszem. - Roman patrzył na wąskie pasmo loków między jej nogami. - Farbowana blondynka.

- Spójrz tylko. - Gregori rozsunął jej uda. - Ma wszystko co trzeba. Fajna, nie?

Roman przełknął ślinę.

- Czy to... - Odchrząknął i zaczął jeszcze raz. - Czy to zabawka z sex-shopu?

- Tak jest, sir. - Laszlo otworzył lalce usta. - Proszę zobaczyć, ma nawet język. W dotyku bardzo przypomina ludzki. - Wsunął w jej usta krotki, pulchny palec. - A próżnia powoduje bardzo realistyczne ssanie.

Roman zerknął na Gregoria, który klęczał między nogami lalki i podziwiał widok z bliska, i na Laszla, manipulującego palcem w jej ustach. Na miłość boską, gdyby jeszcze miewał bóle głowy, dopadłaby go migrena.

- Czy mam was zostawić?

- Nie, sir. - Mały chemik wyciągnął palec z łakomych ust lalki. Rozległ się cichy trzask, a potem jej usta zamarły w sztucznym uśmiechu, jakby świetnie się bawiła.

- Niewiarygodna. - Gregori musnął dłonią jej udo. - Laszlo zamówił ją pocztą.

- Z twojego katalogu. - Laszlo się speszył. - Zazwyczaj nie uprawiam zwykłego seksu. Za dużo bałaganu.

I zbyt wiele niebezpieczeństw. Roman oderwał wzrok od pięknych piersi lalki. Może Gregori ma rację, może powinien się rozerwać w towarzystwie jakiejś wampirzycy. Skoro ludzie wmawiają sobie, że lalka jest prawdziwa, on może zrobić to samo z wampirzycą. Ale jakim cudem martwa kobieta może rozpalić jego duszę?

Gregori uniósł nogę lalki, żeby obejrzyć ją dokładniej.

- Kuszące maleństwo.

Roman westchnął. Niby jakim cudem ludzka seks zabawka ma rozwiązać problem Malkontentów? Marnują jego czas, że już nie wspomni o tym, że udało im się rozbudzić w

nim pożądanie i poczucie samotności.

- Wszystkie znane mi wampiry preferują seks mentalny. O ile mi wiadomo, tak samo ma się sprawa z Malkontentami.

- Z tą to się nie uda, niestety. - Laszlo postukał lalkę w głowę i odpowiedziało mu głuche echo, jak z dojrzałego arbuza.

Roman zauważył, że lalka nadal się uśmiecha, choć niebieskie oczy tępo patrzą przed siebie.

- Więc ma taki sam iloraz inteligencji jak Simone.

- Ej! - Gregori się skrzywił. Tulił do siebie stopę lalki. - To nie fair.

- Podobnie jak marnowanie mojego czasu. - Roman spojrzał groźnie. - Niby jak ta zabawka pomoże rozwiązać problem Malkontentów?

- To coś więcej niż zwykła zabawka, sir. - Laszlo bawił się guzikiem przy kitlu. - Lalka przeszła transformację.

- I teraz jest to Yaraną. - Gregori pieszczotliwie pociągnął ją za nogę. - Kochane maleństwo. Chodź do tatusia.

Roman zazgrzytał zębami, upewniwszy się, że schował kły zanim to zrobił. W innym wypadku mógłby sobie rozciąć dolną wargę.

- Oświećcie mnie proszę, zanim stracę cierpliwość. Gregori roześmiał się, groźba szefa nie zrobiła na nim wrażenia.

- Oto Vanna - Vampire Artificial Nutritional Needs Appliance.

Laszlo nerwowo bawił się guzikiem fartucha. W przeciwieństwie do Gregoria nie lekcewał gniewu zwierzchnika.

- Idealne rozwiązanie dla wampira, który wciąż ma ochotę kąsać. Lalka będzie dostępna w różnych wariantach rasowo-płciowych.

- Wypuście też męskie wersje? - domyślił się Roman.

- Z czasem na pewno. - Urwany guzik potoczył się po podłodze. Laszlo podniósł go i schował do kieszeni. - Gregori uważa, że możemy reklamować lalki na DVN, Digital Vampire Network. Do wyboru: Vanna czekoladowa, Vanna hebanowa i Vanna....

- I Vanna biała? - Roman się skrzywił. - Dział prawny dostanie szału.

- Zrobimy jej zdjęcia promocyjne w sukni wieczorowej, na wysokich obcasach. - Gregori gładził plastikową stopę.

Roman obrzucił szefa marketingu ponurym spojrzeniem.

- Chcesz powiedzieć, że ta lalka jest substytutem śmiertelniczki? - zwrócił się do Laszla.

- Tak! - Chemik entuzjastycznie kiwał głową. - Działa wielofunkcyjnie, jak prawdziwa kobieta, zaspokaja nie tylko potrzeby seksualne, ale i żywieniowe. Proszę bardzo, zaraz zademonstruję.

- Przechylił lalkę do przodu i odgarnął jej włosy na bok. - Umieściłem wszystko z tyłu, żeby nie było za bardzo widoczne.

Roman przyglądał się niewielkiemu nacięciu w kształcie litery U, gdzie u nasady znajdowała

się rurka z zatyczką.

- Wsadziłeś w nią rurki?

- Tak. Specjalnie zaprojektowany układ przypomina prawdziwy krwiobieg. - Laszlo

przesuwał palcem po plastikowym ciele, pokazując, gdzie znajdują się sztuczne arterie. - Klatka piersiowa, szyja po obu stronach i powrót do klatki.

- Nalewa się do niej krew?

- Tak, sir. Lejek w zestawie. Krew i baterie, nie.

- Normalka - mruknął Roman.

- Jest bardzo prosta w obsłudze. - Laszlo wskazał szyję lalki. - Wyjmujemy zatyczkę, wsuwamy lejek, wlewamy litr ulubionej sztucznej krwi firmy Romatech Industries i gotowe.

- Rozumiem. Czy kiedy kończy się krew albo baterie, lalka się świeci?

Chemik zmarszczył brwi.

- Mogę zainstalować diodę... Roman westchnął.

- Żartowałem. Mów dalej, proszę.

- Tak jest, sir. - Laszlo odchrząknął. - Tym przyciskiem, wskazał na guziczek, uruchamiamy silnik zainstalowany w klatce piersiowej. Takie sztuczne serce. Krew popłynie w rytm naturalnego pulsu.

Roman skinął głową.

- Do tego baterie,

- Owszem - odezwał się Gregori zduszonym głosem. - Vanna może zawsze i wszędzie.

Roman zerknął na swojego zastępcę i zobaczył go ze stopą Vanny w ustach. Czerwony blask w jego oczach był wskaźnikiem innego rodzaju.

- Przestań!

Gregori z gardłowym pomrukiem upuścił stopę lalki.

- Nie znasz się na żartach.

Roman odetchnął głęboko i zapragnął pomodlić się o cierpliwość, ale żaden Bóg z odrobiną szacunku do samego siebie nie wysłucha błagań demona z seks zabawką.

- Testowaliście ją już?

- Nie, sir. - Laszlo włączył Vannę. - Uznaliśmy, że panu powinien przyspaść zaszczyt bycia pierwszym użytkownikiem

Zaszczyt. Roman omiół wzrokiem idealne plastikowe ciało pełne życiodajnej krwi.

- Czyli możemy kąsać bezkarnie.

Gregori z uśmiechem wygładził poły eleganckiej marynarki.

- Smacznego.

Roman uniósł brew. Pomysł, żeby on przetestował nowy wynalazek wyszedł niewątpliwie od młodego wampira. Zapewne uważał, że szefowi przyda się jakaś rozrywka, *trochę* emocji. Niestety, miał rację.

Wyciągnął rękę, żeby dotknąć policzka Vanny. Skóra lalki była chłodniejsza niż u człowieka, ale i tak bardzo miękka. Arteria pulsowała mu pod palcami, równomiernie, silnie. Początkowo wyczuwał bicie sztucznego serca tylko opuszkami palców, po chwili jednak poczuł je nawet w barku. Przełknął ślinę. Ile czasu już minęło? Osiemnaście lat?

Bicie sztucznego serca wypełniało go całego, przenikało zmysły. Zadrżały mu nozdrza. Wyczuł zapach krwi. A Rh dodatnie, jego ulubiona. Dygotał na całym ciele w rytm bicia lalczego serca. Nie myślał już, pochłonięty doznaniem, którego nie zaznał od lat. Żądza krwi. W jego gardle narastał charkot. Nabrzmiał. Zacisnął palce na szyi lalki i pociągnął ją

do siebie.

- Biorę ją. - Błyskawicznie rzucił Vanne na aksamitny szezlong. Leżała bez ruchu, ze zgiętymi kolanami. Zmysłowy widok zapierał dech w piersiach. Odrobina krwi w jego żyłach domagała się więcej. Więcej krwi, kobiety.

Pochylił się, odgarnął jej jasne włosy z karku. Głupkowaty uśmiech lalki trochę zbijał go z tropu, ale szybko przestał zwracać na niego uwagę. Pochylił się i zobaczył swoje odbicie w jej martwych oczach. To znaczy nie całą postać, bo wampiry nie mają odbicia w lustrze, dostrzegł tylko blask czerwonych oczu. Vanna go podnieciła. Odwrócił jej głowę, odsłonił szyję. Pulsująca arteria zdawała się mówić: weź mnie.

Z gardłowym pomrukiem opadł na lalkę. Wysunął kły, czemu towarzyszył dreszcz rozkoszy na całym ciele. Zapach krwi upajał, pozbawiał resztek samokontroli. Uwolnił w sobie bestię. Ukąsił. Za późno do oszołomionego mózgu dotarty nietypowe doznania. Choć jej skóra wydawała się miękka i delikatna jak ludzka, pod nią krył się plastik, gruby, gumowy. Nie wiedział, czy to ważne, zaraz o tym zapomniał, zapach krwi pozbawił go rozumu. Instykt zwyciężył, wył w duszy jak wygłodniałe zwierzę. Wbijał kły coraz głębiej i głębiej, aż w końcu poczuł ten cudowny moment, gdy ustąpiły ścianki arterii. Niebo. Poczul krew. Pociągnął mocno i krew zalała mu kły, a potem usta. Przełykał chciwie i pił dalej, więcej.

Była cudowna, należała do niego.

Pogładził jej pierś, zacisnął dłoń. Ależ z niego idiota, jak mógł zadowolić się krwią ze szklanki? Jak mógł z własnej woli zrezygnować z tej rozkoszy, jaką jest gorąca krew prosto z żył? Na szatana, zapomniał już, jakie to cudowne uczucie. Doświadczał rozkoszy całym ciałem. Był twardy jak skała. Wszystkie zmysły oszalały. Już nigdy nie napije się ze szklanki. Pociągnął jeszcze raz i zdał sobie sprawę, że wypił wszystko, do ostatniej kropli. Wtedy pojawiły się pierwsze przebłyski rozsądku. Cholera, stracił panowanie nad sobą. Gdyby to była prawdziwa kobieta, już by nie żyła. A on miałby na sumieniu kolejne ludzkie życie.

I ta zabawka miałaby przyczynić się do poprawy stosunków między wampirami a ludźmi? Na pewno nie, przypomni tylko jego pobratymcom, jaką rozkoszą jest wbić zęby w ludzką szyję. Żaden wampir, nawet najbardziej nowoczesny i oświecony, nie wyjdzie z tego eksperymentu bez pragnienia, by zakosztować prawdziwego człowieka. Jedyne, o czym teraz myślał, to ukąsić pierwszą kobietę, która stanie mu na drodze. O nie, Vanna nie jest zbawieniem ludzkości.

Jest jej klątwą, wyrokiem śmierci.

Z jękiem oderwał się od lalki. Gdy na jasną skórę trysnęła krew, wydawało mu się, że Vanna przecieka. Ale nie, przecież wypił wszystko do ostatniej kropli. Czyli to on krwawił!

- Co jest, do cholery?

- O Boże - sapnął Laszlo.

- Co? - Roman spojrział na szyję lalki. W twardym plastiku tkwił jego kiel.

- A niech mnie! - Gregori podszedł bliżej, żeby lepiej widzieć. - Jak to możliwe?

- Plastik... - Krew ciekła Romanowi z ust. Cholera, traci lunch. - Plastik jest twardy, gumiasty, zupełnie inny niż ludzka skóra.

- O rany. - Laszlo zaatakował kolejny guzik na kitlu. - To okropne. Z wierzchu skóra jest taka naturalna, że nie pomyślałem... Bardzo mi przykro...

- To teraz nieważne. - Roman wyjął kieł z plastikowej szyi. Później im powie, do jakich wniosków doszedł. Najpierw jednak musi odzyskać kieł.

- Ciągle krwawisz. - Gregori podał mu białą chusteczkę.

- Bo otworzyła się żyła, która prowadzi od kła do żołądka. - Roman przyciskał chusteczkę do dziury po zębie. - Choleła.

- Może zdoła pan zamknąć ranę własnymi siłami - podsunął Laszlo.

- Ale wtedy zasklepi się na zawsze i zostanę wampirem z jednym kłem. - Roman wyjął zakrwawioną chusteczkę i wsunął kieł na miejsce.

Gregori zajrzał w otwarte usta.

- Teraz chyba dobrze.

Roman usiłował schować kły. Lewy zadziałał bez zarzutu, prawy natomiast wypadł mu z ust, na brzuch Vanny.

- Sir, radziłbym wizytę u dentysty. - Laszlo z szacunkiem podniósł kieł i podał Romanowi.

- Podobno potrafią wstawić ząb.

- Jasne. - Gregori się zachnął. - i co, wpadnie do gabinetu i powie: przepraszam bardzo, jestem wampirem i wypadł mi kieł, kiedy kąsałem lalkę z sex-shopu? Wątpię, czy to łykną.

- Potrzebny mi dentysta wampirów - wybełkotał Roman. - Wprafdźcie w Czarnych Ftronach.

- Czarnych Stronach? - Gregori podszedł do biurka Romana i po kolei otwierał szuflady. - Wiesz, że seplenisz?

- Przecież mam w uftach zakrwawioną szmatę! F dolnej fufladzie!

Gregori znalazł wampiryczną książkę telefoniczną w czarnej okładce i zaczął ją przeglądać.

- No dobra. A... Aaaaaby kryptę mieć nowoczesną... B... Boskie trumny... C... cmentarne kwatery... Dobra, mam: Darmowa dostawa, ultranowoczesne trumny. Brzmi ciekawie...- Glegoli! - wysapał Roman.

- Dobrze już, dobrze. Na d już nie ma, szukam na s, jak stomatolog. Studio tańca, tańcz jak latynoski kochanek, swojska ziemia, dostawy ziemi cmentarnej z wszystkich zakątków świata...

Roman jęknął.

- No to mam płoblem. - Przełknął ślinę i skrzywił się, czując smak starej krwi. Posiłek smakuje lepiej za pierwszym razem.

Gregori szukał dalej.

- Nic z tego. Nie ma ani dentysty, ani stomatologa.

- Więc muszę iść do człowieka. - Opadł na fotel.

Cholera. Będzie musiał posłużyć się hipnozą, a potem zatrzeć wszystkie wspomnienia lekarza, w innym wypadku nikomu nie udzieli pomocy.

- Nie wiem, czy znajdziemy gabinet czynny o tej porze. - Laszlo podbiegł do barku i wziął plik serwetek. Starł krew z Vanny i spojrzał na Romana. - Sir, może lepiej będzie, jeśli zatrzyma pan kieł w ustach.

Gregori przeglądał książkę telefoniczną.

- Jejku, mnóstwo dentystów. - Wyprostował się nagle i uśmiechnął. - Mam! Klinika dentystyczna „SoHo Promienny Uśmiech”! Przyjmuje pacjentów całą dobę w mieście, które nigdy nie śpi! Bingo!

Laszlo odetchnął z ulgą.

- Kamień spadł mi z serca. Co prawda nigdy nie słyszałem o podobnym wypadku, ale obawiam się, że jeśli zabieg nie odbędzie się dziś, jutro będzie już za późno.

Roman wyprostował się gwałtownie.

Chemik cisnął zakrwawione serwetki do kosza na śmieci przy biurku.

- Nasze rany zasklepiają się, gdy śpimy. Jeśli świt zastanie pana bez kła, rana zablizni się na dobre.

Roman wstał.

- A fatem trzeba to frobić dziś.

- Tak jest, sir. - Laszlo nerwowo bawił się guzikiem. - Przy odrobinie szczęścia będzie pan w pełni sił na corocznej konferencji.

A niech to! Roman przełknął ślinę. Jak to możliwe, że zapomniał o corocznym wiosennym zjeździe wampirów? Wielki bal powitalny odbędzie się za dwie noce. Zjawiają się wszyscy liczący się mistrzowie klanów z całego świata. On był głową największego klanu w Ameryce, był gospodarzem imprezy. Jeśli wystąpi bez kła, będzie obiektem żartów przez najbliższe sto lat.

Gregori nabazgrał adres na skrawku papieru.

- Masz. Chcesz, żebyśmy ci towarzyszyli?

Roman wyjął z ust i chusteczkę, i ząb, by mówić wyraźniej:

- Laszlo mnie zawiezie. Zabierzemy Vannę, żeby wszyscy myśleli, że odwozimy ją do laboratorium. Ty, Gregori, wyjdź z Simone, zgodnie z planem. Wszystko ma wyglądać normalnie, jakby nic się nie stało.

- Dobrze. - Gregori podał szefowi adres kliniki stomatologicznej.

- Powodzenia. W razie problemów dzwoń.

- Poradzę sobie. - Zmierzył podwładnych surowym wzrokiem. - Nikomu ani słowa o tym incydencie, jasne?

- Tak jest, sir. - Laszlo podniósł Vannę.

Roman patrzył na jego dłoń, obejmującą pełny pośladek. Na miłość boską, nawet po tym wszystkim, co się stało, był podniecony. Jego ciało pulsowało pożądaniem, pragnęło krwi kobiety. Oby dentysta okazał się mężczyzną. Niech Bóg ma w swej opiece kobietę, która teraz wejdzie mu w drogę. Miał już tylko jeden kiel, ale obawiał się, że mógłby go użyć.

Rozdział 2

Zanosilo się na kolejną śmiertelnie nudną noc w gabinecie dentystycznym. Shanna Whelan wyprostowała plecy na oparciu trzeszczącego fotela i wbiła wzrok w białe kafelki. Ciągle widziała ślad zacieku. Zadziwiające, że dopiero po trzech dniach obserwacji dostrzegła, że plama ma kształt jamnika. Co za życie!

Przy akompaniamencie zgrzytów fotela zerknęła na zegar na wyświetlaczu radia. Wpół do trzeciej nad ranem, jeszcze sześć godzin do końca nocnej zmiany. Włączyła radio. Gabinet wypełniała instrumentalna wersja *Strangers In the Night*, nudna i mdła jak muzyczka w windzie. Nieznajomi w nocy, akurat Na pewno spotka tajemniczego nieznajomego i zakocha się po uszy. Nie w tym życiu. Wczoraj punktem kulminacyjnym nocy była chwila, gdy udało jej się zsynchronizować zgrzyty fotela z muzyką.

Oparła się o biurko i położyła głowę na rękach. Jak to było? Uważaj, czego pragniesz, bo twoje życzenia mogą się spełnić. No i proszę. Chciała nudy i ją ma. Pracuje tu od sześciu tygodni; w tym czasie miała tylko jednego pacjenta: chłopca z aparatem ortodontycznym. W środku nocy druty się obluzowały, więc przerażeni rodzice przywieźli go, żeby umocowała uszkodzony aparat. W przeciwnym razie druciki mogłyby kaleczyć, a nawet rozedrzeć dziąsło i wtedy popłynęłaby... krew.

Shanna się wzdrygnęła. Na samą myśl o krwi robiło jej się niedobrze. Wspomnienia zajścia powracały z ciemnych zakamarków umysłu, upiorne krwawe obrazy, które ją prześladowały, czały się tuż na progu świadomości. O nie, nie pozwoli, żeby zepsuły jej humor. I nowe życie. Wspomnienia z innej epoki i innej kobiety. Wspomnienia dzielnej, odważnej dziewczyny, którą była przez pierwsze dwadzieścia siedem lat, póki nie rozpętało się piekło. Teraz, za sprawą programu ochrony świadków, jest nudną Jane Wilson, która prowadzi nudne życie, mieszka w nudnym mieszkaniu, w nudnej dzielnicy i co noc wykonuje nudną pracę.

Nuda jest dobra. Nuda to bezpieczeństwo. Jane Wilson musiała pozostać niewidzialna, musiała rozplątać się w oceanie niezliczonych twarzy na Manhattanie po to, żeby przeżyć. Niestety, jak się okazało, nawet nuda wywołuje stres. Za dużo czasu na myślenie. Na wspomnienia.

Zgasła radio, wstała, wyszła do pustej poczekalni. Osiemnaście krzeseł obitych, na przemian zielonym i niebieskim materiałem, jasnoniebieskie ściany. Reprodukacja *Lilii wodnych* Moneta miała zapewne wpływać kojąco na zdenerwowanych pacjentów. Shanna wątpiła, czy to działa. Ona w każdym razie była podminowana jak zawsze.

W ciągu dnia gabinet tętnił życiem, w nocy zamierał. I bardzo dobrze. Gdyby ktoś przyszedł z poważną sprawą, nie miała pewności, czy zdołałaby mu pomóc. Kiedyś była dobrą dentystką, ale to czasy przed... Zajściem. Nie myśl o tym. Wciąż jednak powracało pytanie, co zrobi, jeśli ktoś przyjdzie z nagłym problemem? W zeszłym tygodniu zacięła się przy goleniu nóg. Wystarczyła mała kropelka krwi, by kolana się pod nią ugięły. Musiała się położyć. Może powinna zmienić zawód. Co z tego, że lata nauki pójdą na marne? I tak straciła już wszystko inne, łącznie z rodziną. Departament Sprawiedliwości postawił sprawę jasno: w żadnym wypadku nie wolno jej kontaktować się z rodziną czy przyjaciółmi. Ryzykowałyby nie tylko swoje życie, ale i los najbliższych.

Nudna Jane Wilson nie miała krewnych ani przyjaciół. Miała tylko oficera służb specjalnych, z którym mogła się kontaktować. Nic dziwnego, że w ciągu minionych dwóch miesięcy przytyła pięć kilo. Jedzenie to jedyne, co jej zostało. Jedzenie i rozmowa z przystojnym roznosicielem pizzy. Przyśpieszyła kroku, krążąc po poczekalni. Jeśli co wieczór będzie jadła pizzę, upodobni się wielkością do wieloryba, a wtedy zabójcy jej nie rozpoznają. Do końca życia pozostanie gruba i bezpieczna. Jęknęła. Bezpieczna, gruba,

znudzona i samotna.

Pukanie do drzwi sprawiło, że zatrzymała się pół kroku. Pewnie chłopak z pizzą, ale i tak serce stanęło jej na chwilę w piersi. Głęboko odetchnęła, podeszła do okna i wyjrzała zza białych żaluzji, które zawsze opuszczała, żeby nikt nie zaglądał do środka.

- To ja, pani doktor! - zawołał Tommy. - Przyniosłem pizzę.

- W porządku. - Otworzyła drzwi. Klinika jest w nocy otwarta, ale Shanna i tak wolała zachować wszelkie środki ostrożności. Otwierała drzwi tylko pacjentom. I dostawcy pizzy.

- Witam. - Tommy wszedł do środka z szerokim uśmiechem. Od dwóch tygodni co wieczór przywoził jej pizzę i jego nieporadne zaloty sprawiały Shannie tyle samo przyjemności co smakołyk. Szczerze mówiąc, stanowiły punkt kulminacyjny jej dnia. Nieźle, robi się coraz bardziej żałosna.

- Cześć, Tommy, jak leci? - Podeszła do biurka, sięgając po portmonetkę.

- Mam dla pani kiełbasę. Wielką. - Tommy poprawił pasek w luźnych dżinsach, aż opadły lekko, odsłaniając bokserki w Scooby Doo.

- Zamawiałam małą.

- Nie o pizzy mowa, pani doktor! - Puścił do niej oko i postawił pudełko na biurku.

- No tak. Za ostro jak dla mnie. I nie pizzę mam na myśli.

- Sorry. - Zarumienił się i uśmiechnął przepraszająco - Ale wie pani, zawsze warto spróbować.

- Pewnie tak. - Zapłaciła za pizzę.

- Dzięki. - Tommy schował pieniądze do kieszeni. - Wie pani, że robimy sto tysięcy rodzajów pizzy? Może spróbuje paru czegoś nowego?

- Może. Jutro.

Przewrócił oczami.

- To samo mówiła pani w zeszłym tygodniu.

Zadzwonił telefon, ciszę przerwał przenikliwy dźwięk. Shanna podskoczyła.

- Ej, pani doktor, może czas się przetrzucić na kawę bezkofeinową.

- Nie przypominam sobie, by telefon kiedykolwiek dzwonił, odkąd zaczęłam tu pracować.

- Kolejny dzwonek. Coś takiego, chłopak od pizzy i telefon jednocześnie. Od kilku tygodni nie miała tylu wrażeń naraz.

- Nie zawracam głowy. Do jutra, pani doktor. - Tommy pomachał i podszedł do drzwi.

- Cześć. - Shanna z odległości podziwiała nisko opadające dżinsy. Koniecznie musi przejść na dietę. Po pizzy. Telefon nie dawał za wygraną. Podniosła słuchawkę.

- Klinika dentystyczna „SoHo Promienny Uśmiech”. W czym mogę pomóc?

- Zaraz się dowiesz. - Szorstki głos i ciężki, chrapliwy oddech. Kolejne sapnięcie.

Świetnie. Zboczeniec jako gwiazda wieczoru.

- To chyba pomyłka. - Już miała odłożyć słuchawkę, gdy głos odezwał się ponownie.

- Chyba jednak nie, Shanno.

Jęknęła. To na pewno pomyłka. Jasne, Shanna to takie popularne imię, ludzie często mylą się i proszą Shannę do telefonu. Rozłączyć się? Nie, i tak już wiedzą, że to ona. Kogo chce nabrać?

I wiedzą, gdzie jest Ogarnęło ją przerażenie. O Boże, zaraz po nią przyjdą.

Uspokój się. Nie panikuj.

- Niestety, to pomyłka. Tu doktor Jane Wilson z kliniki dentystycznej...
- Daruj sobie! Wiemy, gdzie jesteś, Shanna. Przyszedł czas zapłaty. - Trzask odkładanej słuchawki. Rozmowa się skończyła. Koszmar dopiero zaczynał.
- Nie, Boże, nie. - Odłożyła słuchawkę. Dotarło do niej, że mówi coraz głośniejsze, że jest na granicy hysterii. Weź się w garść! Upomniała się. Opanowała się. Wybrała numer policji.
- Mówi doktor Jane Wilson z kliniki dentystycznej „SoHo Promienny Uśmiech”. Ja... zostałam zaatakowana... - Podała adres, a dyspozytorka zapewniła, że wóz patrolowy już do niej jedzie.

Jasne, zjawi się dziesięć minut po tym, jak ją rozwałą.

Przypomniała sobie, że drzwi wejściowe są otwarte. Rzuciła się biegiem, zamknęła je, pobiegła do tylnego wyjścia. Pod drodze wyciągnęła komórkę z kieszeni kurtki i wybrała numer agenta.

Pierwszy dzwonek.

- Bob, odbierz. - Była już przy drzwiach. Wszystkie zasuwy na miejscu. Drugi dzwonek. No nie! Idiotyczne marnowanie czasu. Przecież cała klinika jest od frontu oszklona. Po prostu przestrzelały szyby, a potem ją załatwią. Musi coś wymyślić. Musi się stąd wydostać. Trzeci sygnał i kliknięcie.

- Bob, potrzebuję pomocy! Odezwał się znudzony głos: - W tej chwili nie mogę rozmawiać, ale proszę zostawić wiadomość, odezwę się najszybciej, jak to będzie możliwe.

Sygnał.

- Cholerny świat, Bob! - Wróciła do gabinetu po torebkę. - Mówiłeś, że zawsze mogę na ciebie liczyć. A oni wiedzą, gdzie jestem, i jadą po mnie! - Rozłączyła się, wsunęła telefon do kieszeni. Pieprzony Bob! Tyle, jeśli chodzi o słodkie zapewnienia, że gwarantują jej ochronę. Już ona mu pokaże. Ona... Przystanie płacić podatki. Oczywiście, po śmierci nie jest to specjalnie dziwne.

Skup się, powtarzała sobie. Zginiesz, jeśli będziesz się rozpraszać. Zatrzymała się przy biurku, wzięła torebkę. Wymknie się tylnymi drzwiami, wezwie taksówkę, a potem pojedzie... No właśnie, dokąd? Skoro wiedzieli, gdzie pracuje, zapewne wiedzą także, gdzie mieszka. O Jezu, jest w potrzasku.

- Dobry wieczór. - Ciszę przerwał niski męski głos.

Shanna drgnęła i pisnęła ze strachu. W drzwiach wejściowych stał zabójczo przystojny mężczyzna. Przystojny? Naprawdę z nią źle, jeśli w takiej chwili zwraca na to uwagę. Trzymał przy ustach coś białego, ale ledwie to zauważyła, bo zafascynowały ją jego oczy złotobrazowe, spragnione. Owionął ją lodowaty powiew, nagły i silny. Podniosła dłoń do czoła.

- Jak pan tu wszedł?

Nie spuszczał z niej wzroku, ale gestem dłoni wskazał drzwi.

- Niemożliwe - szepnęła. Drzwi i okna były pozamykane. Czyżby zakradł się wcześniej? Nie, zauważyłaby go. Każda komórka w jej ciele reagowała na jego obecność. Czy to tylko wyobraźnia, czy oczy mężczyzny naprawdę błyszcząły złotym blaskiem, a spojrzenie stało się jeszcze intensywniejsze?

Czarne włosy do ramion lekko się kręciły. Ciemny sweter podkreślał muskulaturę i szerokie ramiona, dzinsy opinały długie, silne nogi. Był wysoki, mroczny, przystojny...

Płatny zabójca. O Boże. Pewnie zabija kobiety palpitaacjami serca. To wcale nie żart. Nie miał żadnej broni.

Oczywiście, z takimi wielkimi dłońmi...

I znowu zimny ból w głowie. Przypomniało jej się, jak w dzieciństwie za szybko jadła lody.

- Nie chcę pani skrzywdzić. - Mówił niskim, hipnotyzującym głosem.

A więc to tak. Wprawia ofiarę w trans złotym spojrzeniem i miękkim głosem, a potem, zanim się obejrzy... Pokręciła głową. Nie podda się. Nie ulegnie mu.

Ściągnął ciemne brwi.

- Stawia pani opór.

- A jakże. - Poszperała w torebce i wyjęła berettę, kaliber 32. - Co, zdziwiony?

Na pięknej twarzy nie widziała ani strachu, ani zaskoczenia, jedynie lekką irytację.

- Szanowna pani, broń nie jest potrzebna.

Ojej, zapomniała odbezpieczyć. Drżącymi palcami przesunęła mechanizm, wycelowała w szeroką pierś. Oby nie zauważył jej braku doświadczenia. Stała w rozkroku, ujęła broń dwiema rękami jak policjanci na filmach.

- Mam pełny magazynek i nie zawaham się władować go w ciebie, rozumiemy się? Na kolana!

W jego oczach coś błysnęło, jakby rozbawienie. Zrobił krok do przodu.

- Proszę dać sobie spokój i z bronią, i z melodramatyzmem.

- Nie! - Łypnęła na niego najgroźniej, jak umiała. - Zastrzelę pana. Zabiję!

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. - Znow postąpił krok w jej stronę.

- Mówię poważnie. - Mam w nosie, jaki jesteś przystojny. Rozwałę ci łeb.

Uniósł brwi. Wydawał się naprawdę zaskoczony. Przyglądał się jej uważnie, oczy mu pociemniały, przybrały odcień płynnego złota.

- Nie patrz tak na mnie. - Jej dłonie zadrżały. Podszedł jeszcze bliżej.

- Nie zrobię pani krzywdy. Musi mi pani pomóc. - Odsunął chusteczkę od ust. Na białej tkaninie wykwitły czerwone krople. Krew.

Shanna opuściła pistolet, jej żołądek fiknął salto.

- Pan... krwawi.

- Proszę odłożyć broń, zanim pani przestrzeli sobie stopę.

- Nie. - Uniosła berettę. Całą siłą woli starała się nie myśleć o krwi. Przecież, jeśli do niego strzeli, będzie jej jeszcze więcej.

- Musi mi pani pomóc. Straciłem ząb.

- Pan... pan jest pacjentem?

- Tak. Pomoże mi pani?

- O rany. - Schowała broń do torebki. - Bardzo przepraszam.

- Zazwyczaj nie tak wita pani pacjentów? - W złotych oczach znow pojawiły się iskierki rozbawienia.

Boże, jest po prostu cudowny. Oczywiście, trzeba mieć jej pecha, żeby taki facet zapukał do drzwi na chwilę przed jej śmiercią.

- Proszę posłuchać, zaraz tu będą. Niech pan ucieka. I to szybko.

Zmrużył oczy.

- Ma pani kłopoty?
- Tak. I jeśli pana tu zastaną, zabiją pana. Szybko. - Sięgnęła po torebkę. - Wyjdziemy tylnymi drzwiami.
- Martwi się pani o mnie.
Odwróciła się. Cały czas stał przy biurku.
- Oczywiście. Nie chcę, żeby ginęli niewinni ludzie.
- Nie jestem, jak pani to ujęła, niewinny.
Zachnęła się.
- Chce mnie pan zabić?
- Nie.
- No to dla mnie jest pan niewinny. Idziemy! - Pobiegła do drzwi.
- Czy w jakiejś innej klinice chce mi pani udzielić pomocy? Wstrzymała oddech. Był tuż za nią choć nie widziała, żeby się ruszał.
- Jak pan...
Otworzył zaciśniętą dłoń.
- Chodzi o ten ząb.
Wzdrygnęła się. Na jego dłoni zostało kilka kropli krwi, ale zmusiła się, by spojrzeć na ząb.
- Co? jakiś kawał, tak? Przecież to nie jest ludzki ząb! Zagryzł usta.
- To mój ząb. Musi mi go pani wstawić.
- O nie, nie wstawię panu zwierzęcego kła. To chory pomysł! To przecież psi ząb. Albo wilczy kiel.
Napuszyl się i jakby jeszcze urósł. Zacisnął pięść na zębie.
- Jak pani śmie! Nie jestem wilkołakiem, szanowna pani! Zamrugęła szybko. Dziwny facet. Może trochę walnięty.
Chyba ze...
- Ach, już wiem. Tommy pana napuścił.
- Nie znam nikogo o tym imieniu.
- Więc kto... - Urwała, bo na zewnątrz rozległ się pisk opon. Policja? Boże, oby tak było. Dyskretnie zerknęła w okno. Nic, nie ma blasku świateł, nie słychać wycia syren, tylko ciężkie kroki dudniące po chodniku.
Oblata się lodowatym potem. Przycisnęła torbę do piersi. - Oni już tu są.
Wariat owinał wilczy kiel w chusteczkę i schował do kieszeni.
-Oni?
- Ci, którzy chcą mnie zabić. - Przebiegła gabinet, weszła do kolejnego pomieszczenia.
- Taka kiepska z pani dentystka?
- Nie. - Drżącymi palcami opuściła zasuwę.
- Zrobiła pani coś złego?
- Nie, widziałam coś, czego nie powinnam. Podobnie jak pan, jeśli zaraz pan nie wyjdzie. - Złapała go za ramię, chcąc wypchnąć za drzwi. Z kącika jego ust płynęła krew. Wytarł ją szybko, ale i tak na kształtnym podbródku została czerwona smuga.
Tyle krwi, tyle śmierci niewinnych ludzi. I Karen. Krew ją dławiła, głużyła ostatnie słowa.
- O Boże. - Pod Shanną ugięły się kolana. Oczy zaszły mgłą. Nie teraz, kiedy musi uciekać!

Psychopata ją podtrzymał.

- Dobrze się pani czuje?

Dotknął jej ramienia. Czerwona smuga na kitlu. Krew. Zamknęła oczy, opadła na niego, upuściła torebkę. Wziął ją na rękę.

- Nie. - Odpływała. Nie może na to pozwolić. Ostatkiem sił uniosła powieki.

Pochylił głowę bardzo nisko. Świat się rozmywał, a on się w nią wpatrywał. W jego oczach pojawiał się blask.

Były czerwone. Czerwone. Czerwone jak krew.

Umrze, zaraz umrze, nie ma szans.

- Niech pan się ratuje. Proszę - szepnęła. I odpłynęła w mrok.

Nie do wiary. Gdyby nie wiedział, że jest inaczej, nie uwierzyłby, że jest zwykłym człowiekiem. W ciągu ponad pięciuset lat nie spotkał nikogo tak odpornego na hipnozę. Ani kogoś, kto chciałby go ratować, nie zabić. Rany boskie, uważała, że jest niewinny. I zabójczo przystojny - sama tak powiedziała.

Ale to śmiertelniczka. Trzymając kobietę w ramionach, czuł ciepło jej ciała. Pochylił głowę jeszcze niżej i głęboko wciągał powietrze nosem. Nozdrza wypełnił zapach świeżej ludzkiej krwi. A Rh dodatnie, jego ulubiona. Zacisnął dłonie. Poczował, jak nabrzmiewa. Wydawała się taka bezbronna, jej głowa opadła do tyłu, odsłoniła białą dziewiczą szyję. Zresztą nie tylko szyja, ona cała była apetyczna. Choć bardzo pragnął jej ciała, bardziej intrygował go umysł tej kobiety. Jakim cudem zdołała odeprzeć ataki na jej umysł? Ilekroć usiłował ją zahipnotyzować, odpowiadała mu pięknym za nadobne. Jednak ta próba sił wcale go nie zdenerwowała. Przeciwnie. Udało mu się przechwycić kilka jej myśli. Bała się widoku krwi.

Zanim zemdlą, pomyślała o śmierci.

A przecież żyła. Emanowała ciepłem i żywotnością, pulsowała witalnością, i nawet teraz, nieprzytomna, przyprawiała go o potężną erekcję. Na miłość boską, co on ma robić?

Miał nieprzeciętny słuch i usłyszał rozmowę mężczyzn przed budynkiem:

- Shanna! Nie komplikuj sytuacji! Wpuść nas.

Shanna? Zwrócił uwagę na jej jasną karnację, różowe usta i kilka piegów na zadartym nosie. To imię do niej pasuje. Ciemne włosy wydawały się farbowane. Dlaczego ładna młoda kobieta ukrywa naturalny kolor włosów? Jedno jest pewne: Vanna nie umywa się do prawdziwej kobiety.

- Dostyc tego, suko! Wchodzimy! - Trzask w gabinecie, brzęk tłuczonego szkła. Żaluzje zadrzały. Na miłość boską, oni naprawdę chcą zrobić jej krzywdę. O co im chodzi? Nie wierzył, żeby maczała palce w przestępstwie. Nieudolnie posługiwała się rewolwerem. I za szybko mu zaufała. Ba, przecież bardziej ją niepokoiło jego bezpieczeństwo niż własne życie. Półprzytomna wyszeptwała, żeby ratował siebie, nie ją. Najrozsądniej byłoby ją zostawić i uciekać. W mieście jest wielu dentystów, a on rzadko angażował się w sprawy śmiertelników.

Spojrzał na nią. *Ratuj się. Proszę.*

Nie mógł tego zrobić. Nie mógł zostawić jej na pewną śmierć. Była... inna. Poczował, że coś głęboko w nim, jakiś instynkt uspijony od stuleci, budzi się do życia. I wtedy już wiedział.

Trzyma w ramionach bezcenny skarb.

Znowu brzęk tłuczonego szkła. Musi działać, i to szybko Przerzucił ją sobie przez ramię, porwał torebkę z fotografiami Marilyn Monroe. Uchylił tylne drzwi, wyrzwał na zewnątrz. Budynki po drugiej stronie ulicy łączyło rusztowanie schodów przeciwpożarowych pnących się po ścianach. Sklepy były pozamykane, tylko w restauracji na rogu paliło się światło. Gdzieś dalej jeździły samochody, jednak na tej uliczce panował spokój. Przy krawężnikach stały sznury aut. Jego wyostrzone zmysły wyczuwały życie. Dwóch mężczyzn za wozem po drugiej stronie ulicy. Nie widział ich, ale ich obecność niosła zapach krwi pulsującej w żyłach.

Błyskawicznie otworzył drzwi i skręcił za róg. Spojrzał na dwóch śmiertelników – dopiero teraz zareagowali. Rzucili się z pistoletami w dłoniach w stronę otwartych drzwi. Roman poruszał się tak szybko, że w ogóle go nie zauważyli. Jeszcze jeden zakręt i znalazł się na uliczce przed wejściem do kliniki. Ukrył się za wozem dostawczym i obserwował rozwój wydarzeń.

Przed budynkiem stały trzy czarne sedany. Trzech, nie, czterech mężczyzn - dwóch stało na straży, dwóch rozbijało szyby w oknach kliniki. Do cholery, kto chce zamordować Shannę?

Objął ją mocniej.

- Trzymaj się, słodka. Jedziemy na przejażdżkę. - Skupił wzrok na wieżowcu za plecami. Sekundę później byli na jego dachu i Roman obserwował napastników z bezpiecznej wysokości. Odłamki szkła spadały na chodnik, zgrzytały pod stopami niedoszłych zabójców Shanny, w oknach sterczały tylko kawałki szyb. Jeden z napastników wsunął rękę przez wybitą szybę w drzwiach i dłonią w rękawiczce otworzył drzwi. Kiedy dwaj pozostali wpadli do środka, drzwi zatrzasnęły się za nimi i pod wpływem wstrząsu resztki szkła spadły na chodnik. Żaluzje poruszały się lekko, szeleszcząc cicho. Po chwili usłyszał odgłos przesuwanych mebli.

- Kto to jest? - zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi. Shanna leżała na jego ramieniu.

Głupio się czuł z damską torebką w ręku.

Rozejrzał się i zobaczył na dachu meble ogrodowe: dwa zielone krzesła, mały stolik i leżak, na którym ułożył dentystkę. Przesunął dłonią po jej ciele i wyczuł coś twardego w kieszeni, chyba telefon komórkowy. Odłożył torebkę, wyjął telefon. Zadzwoń do Laszla, poprosi, żeby podjechał tu samochodem.

Wampiry mogą porozumiewać się telepatycznie, ale to nie gwarantuje dyskrecji. Lepiej, żeby nikt nie poznał jego rozterek. Jakkolwiek by było, stracił kiel i porwał kobietę, która znalazła się w gorszej sytuacji niż on.

Podszedł do krawędzi dachu i wyrzwał. Bandyci opuszczali klinikę - wyszło sześcioro, jak się okazało, czterech wtargnęło od frontu, a dwaj dostali się tylnym wejściem. Gniewnie wymachiwali rękami. Przekleństwa docierały do wrażliwych uszu Romana. Rosjanie. Zbudowani jak zapaśnicy wagi ciężkiej. Zerknął na Shannę. Niełatwo jej będzie przed nimi uciec.

Mężczyźni zatrzymali się gwałtownie. Ściszyli głosy. Z cienia wynurzyła się postać. Coś takiego, siedmiu drani! Jakim cudem jeden uszedł jego uwagi? Zawsze wyczuwał bijące serce i krew śmiertelnika, a jednak ten mu umknął.

Szóstka bandziorów trzymała się razem, jakby w grupie czuli się bezpieczniej. Sześciu do jednego. Dlaczego paru osiłków boi się jednego faceta? Wąskie smugi światła z kliniki oświetliły jego twarz.

A niech to! Roman odruchowo cofnął się o krok. Nic dziwnego, że go nie wyczuł. To Ivan Petrovsky, mistrz klanu rosyjskiego. Jeden z najstarszych wrogów Romana.

Od ponad pół wieku Petrovsky dzielił swój czas między Rosję i Nowy Jork, twardą ręką trzymał rosyjskie wampiry na całym świecie. Roman i jego towarzysze nie spuszczali go z oka. Według ostatnich doniesień Petrovsky zarabiał krocie jako płatny zabójca. Ta profesja od wieków cieszyła się powodzeniem wśród szczególnie agresywnych wampirów. Mordowanie śmiertelników przychodziło im łatwo, ba, sprawiało przyjemność, czemu więc nie zarabiać, łącząc przyjemne z pożytecznym? Petrovsky jak widać kierował się tą logiką i zarabiał w sposób, który odpowiadał mu najbardziej. I bez wątpienia był w tym dobry. Do Romana dotarły słuchy, że najchętniej pracował na zlecenie rosyjskiej mafii. To tłumaczy rosyjski akcent uzbrojonych morderców w jego otoczeniu. A więc na życie Shanny czyha ruska mafia.

Czy wiedzą, że Petrovsky to wampir? Może uważają, że to tylko wynajęty cyngiel ze starego kraju, który po prostu woli pracować pod osłoną nocy? Nieważne, było widać, że się go boją. I nic dziwnego. W starciu z nim żaden śmiertelnik nie miał szans. Nawet odważna kobieta z berettą w torebce ze zdjęciami Marilyn Monroe.

Cichy jęk kazał mu spojrzeć na tę właśnie kobietę. Odzyskiwała przytomność. Na miłość boską, jeśli Rosjanie wynajęli Petrovskiego, żeby zabił Shannę, dziewczyna nie przeżyje do świtu. Chyba że... znajdzie się pod opieką innego wampira. Takiego, który jest potężny, ma dość środków, by zadrzeć z całym rosyjskim klanem, i wie, jak zadbać o bezpieczeństwo. Takiego wampira, który już kiedyś walczył z Petrovskim i przeżył. Wampira, który natychmiast potrzebuje dentysty.

Roman podszedł bezszelestnie. Shanna z jękiem uniosła dłoń do czoła. Pewnie rozboleła ją głowa po próbach odparcia jego ataków hipnotycznych. Zadziwiające, że zdołała stawiać mu opór. A ponieważ nad nią nie panował, nie mógł przewidzieć jej reakcji. Dlatego była niebezpieczna. I fascynująca.

Rozchyliły się poły lekarskiego kitla i zobaczył różową koszulkę opinającą pełne piersi. Unosiły się przy każdym oddechu. Poczuł, jak jego dzinsy stają się coraz ciaśniejsze. Gorąca krew pulsowała w jej żyłach, kazała mu podchodzić coraz bliżej. Omiótł wzrokiem jej biodra w obcisłych czarnych spodniach Taka piękna i taka smakowita, w każdym tego słowa znaczeniu.

Na miłość boską. Chciał ją zatrzymać. Uważała, że powinien ratować się, że jest niewinny. Uważała, że warto go ocalić, że jest tego godzien. A jeśli pozna prawdę? Jeśli się dowie, że jest demonem? Będzie chciała go zabić. Przekonał się o tym aż za dobrze za sprawą Elizy. Wyprostował się. Drugi raz nie powtórzy tego samego błędu. Czy i ona go zdradzi? Nie wiadomo, dlaczego wydawała się inna. Błagała, żeby się ratował. Miała czyste serce.

Znów jęknęła. Na miłość boską, to ona jest bezbronna. Jak mógłby zostawić ją na pastwę tego potwora, Petrovskiego? W całym Nowym Jorku tylko Roman zdoła ją ochronić. Błądził wzrokiem po jej ciele, wrócił do twarzy. Mógłby ją ochronić, to jasne. Problem w tym, że póki jej pragnie i skręca go głód, nie zdoła zapewnić jej bezpieczeństwa.

Nie ochroni jej przed sobą.

Rozdział 3

Shanna masowała czoło. Gdzieś w oddali odzywały się ktaksomy i wyły syreny. W życiu pozagrobowym chyba ich nie ma? Więc nadal żyje. Ale gdzie jest? Otworzyła oczy i zobaczyła nocne niebo. Gwiazdy nikły za mgłą. Wiatr rozwiewał włosy. Spojrzała w prawo. Dach? Leżała na leżaku. Jak tu się znalazła? Spojrzała w lewo. On. Walnięty pacjent. Pewnie ją tu przyniósł; teraz się zbliża. Chciała wstać z leżaka, i jęknęła, gdy fotel się rozsunął.

- Ostrożnie. - Od razu był przy niej, drgnęła, gdy chwycił ją za ramię. Jakim cudem reaguje tak szybko?

Ból w głowie się nasilał. Mocno trzymał ją za ramię. Zaborczo.

- Puść mnie.

- Proszę bardzo. - Wyprostował się.

Shanna głośno przełknęła ślinę. Nie zdawała sobie sprawy, że jest taki wysoki. I potężny.

- Później mi podziękujesz za uratowanie życia.

I znów ten głos. Niski, zmysłowy, kuszący. Ale ona już nikomu nie zaufa.

- Wyślę kartkę z podziękowaniami.

- Nie ufasz mi.

Bystrzak z niego.

- Niby dlaczego miałabym ci zaufać? Z mojego punktu widzenia zostałam porwana. Nie wyraziłam na to zgody.

Uśmiechnął się.

- A zazwyczaj wyrażasz? Łypnęła gniewnie.

- Gdzie my właściwie jesteśmy?

- Naprzeciwko kliniki. - Podeszedł do krawędzi dachu. - Ponieważ mi nie ufasz, możesz sama się przekonać.

Jasne, stanie nad przepaścią u boku świra. O nie. Była na tyle głupia, że zemdleła w klinice, zamiast uciekać. Nie może więcej popełniać błędów. Zabójczo przystojny świr zapewne ją stamtąd wyniósł. Uratował jej życie. Wysoki, mroczny, przystojny i bohaterski. Idealny, nie licząc drobnego szczegółu - chciał, żeby mu wstawiła wilczy kiel. Czyżby miał zaburzenia psychiczne i wydawało mu się, że jest wilkołakiem? Czy dlatego nie przestraszył się jej broni? Może myśli, że tylko srebrne kole mogą go zranić. Ciekawe, czy wyje do księżycy.

Weź się w garść. Masowała obolałe skronie. Zamiast myśleć o bzdurach, powinna zastanowić się, co dalej.

Dostrzegła torebkę na ziemi. Alleluja! Zajrzała do niej. Jest! Dotknęła beretty. Poczula się pewnie. Jeśli będzie trzeba, obroni się nawet przed boskim wilkołakiem.

- Nadal tam są, jeśli chcesz ich zobaczyć - powiedział. Zamknęła torebkę i zmierzyła go wzrokiem Bambi.

- Kto?

Krążył spojrzeniem między jej twarzą a torebką.

- Ci, którzy chcą cię zabić.

- Chyba na dziś mam dosyć. Pójdę już. - Wstała.

- Złapią cię, jeśli wyjdiesz na ulicę.

Pewnie tak. Ale czy na dachu, w towarzystwie przystojnego zbiega z psychiatrika, jest bezpieczniejsza? Przycisnęła torebkę do piersi.

- No dobrze, na razie zostanę.

- Słusznie. - Ton głosu urzekł łagodnością. - Będę ci towarzyszyć.

Cofnęła się, chciała, żeby dzieliły ich plastikowe mebelki.

- Dlaczego mnie uratowałaś? Uśmiechnął się.

- Potrzebuję dentystki.

Co za uśmiech. Taki uśmiech sprawia, że kobieta rozpływa się w morzu hormonów.

- Jak ja... Jak ja... Jak się tu dostałam?

W jego oczach pojawił się błysk.

- Wniosłem cię.

Przeknęła ślinę. Jak widać dodatkowe kilogramy, które zawdzięczała uzależnieniu od pizzy, nie sprawiły mu kłopotu.

- Wniosłeś mnie? Na dach?

- Ja... Wjechaliśmy windą. - Wyjął komórkę z kieszeni. - Zaraz ktoś po nas przyjedzie.

Po nas? Czy on oszalał? Nie ufała mu za grosz. Ale przecież uratował jej życie. I zachowuje się jak dżentelmen. Odważyła się podejść do brzegu dachu, ale na wszelki wypadek zachowała bezpieczną odległość od tajemniczego zbawcy.

Zerknęła w dół. O rany. Mówił prawdę. Byli przed kliniką. Trzy czarne sedany na ulicy i grupka mężczyzn zajętych rozmową. Pewnie planują następny krok, chcą ją zabić. Jest w pułapce. Może rzeczywiście przyda jej się pomoc. Może powinna zaufać Wilkołakowi, pięknemu i szurniętemu.

- Radinka? - Podniósł telefon do ucha. - Masz telefon do Laszla?

Radinka? Laszlo? Czy to nie rosyjskie imiona? Przeszył ją dreszcz. O Boże. Facet pewnie udaje jej sprzymierzeńca, chce ją zwabić za miasto i...

- Dzieło. - Wybrał kolejny numer.

Shanna rozejrzała się i zobaczyła drzwi na klatkę schodową. Rzecz w tym, żeby mogła do nich dotrzeć niezauważona.

- Laszlo. - W jego głosie pojawił się władczy ton. - Sprowadź samochód. Mamy problem.

Shanna poruszała się cicho. Wolno.

- Nie, nie ma czasu, żebyś jechał do laboratorium. Zawracaj. - Chwila ciszy. - Nie, nie wstawiła mi zęba. Ale mam ją. - Zerknął na nią.

Znieruchomiała, usiłowała przybrać znudzoną minę. Może powinna coś zaśpiewać? Jedyna melodia, która przychodziła jej na myśl, to piosenka, którą wcześniej słyszała - *Strangers in the Night*. Odpowiednia, nie ma co.

- Zawróciłeś już? - Wilkołak wydawał się zirytowany. - Dobra. Słuchaj uważnie. Nie podjeżdżaj pod klinikę, słyszysz? Powtarzam, nie podjeżdżaj pod klinikę. Jedź przecnicę dalej, tam się spotkamy, rozumiesz?

Znów milczenie. Spojrzał w dół, na ulicę. Shanna skradała się do drzwi.

- Później ci to wyjaśnię. Rób, co ci każe, a wszystko będzie dobrze.

Minęła komplet mebli ogrodowych.

- Tak, wiem, że jesteś chemikiem, ale wierzę w ciebie. Pamiętaj, nie możemy pozwolić, żeby ktokolwiek dowiedział się o sprawie. No właśnie, skoro o tym mowa, czy nasza... pasażerka jest w samochodzie? - Wilkołak stał w rogu dachu, tyłem do niej i mówił cicho. Dba o dyskrecję, nie bez powodu.

- Słyszysz mnie?

To zdanie ją drażniło. Nie, nie słyszy, do cholery. Szła na paluszkach. Instruktorba baletu byłaby dumna z jej tempa.

- Słuchaj, Laszlo, mam ze sobą dentystkę i nie chcę jej denerwować bardziej niż to konieczne.

Zapakuj Vanne do bagażnika.

Shanna zamarła. Otworzyła usta z wrażenia. Nie mogła oddychać.

- Nie obchodzi mnie, co jeszcze masz w bagażniku. - Podniósł głos. - Ale nie będziemy jeździć z gołą babą na tylnym siedzeniu.

O nie! Sapnęła głośno. To zabójca!

Odwrócił się gwałtownie. Przerażona odskoczyła w tył.

- Shanna? - Skończył rozmowę, podał jej telefon.

- Trzymaj się ode mnie z daleka. - Cofnęła się, sięgając do torebki.

Zmarszczył brwi.

- Nie chcesz telefonu?

To jej aparat? Morderca i złodziej. Wyjęła berettę i wycelowała w niego.

- Ani kroku dalej.

- Znów do tego wracamy? Nie pomogę ci, jeśli wciąż będziesz ze mną walczyć.

- Jasne, bo ty oczywiście chcesz mi pomóc. - Szła w stronę schodów. - Słyszałam, jak rozmawiałeś ze współnikiem: Laszlo, mamy towarzystwo. Wpakuj trupa do bagażnika.

- To nie tak, jak myślisz.

- Nie jestem głupia, wilku. - Ciągle zmierzała do schodów. Dobrze chociaż, że on stoi w miejscu. - Powinam była od razu cię zastrzelić.

- Nie strzelaj. Faceci na ulicy usłyszą i tu przyjdą. Nie wiem, czy zdołam pokonać wszystkich.

- Wszystkich? Ho, ho, jakie wysokie mniemanie o sobie. Jego oczy pociemniały.

- Mam ukryte talenty.

- Nie wątpię. Ta biedna dziewczyna z bagażnika na pewno miałaby na ten temat sporo do powiedzenia.

- Nie jest w stanie.

- Co za pech! Ale rzeczywiście, po śmierci ludzie stają się jakoś mało rozmowni.

Uśmiechnął się pod nosem.

Podeszła do drzwi, - Jeśli będziesz mnie gonić, zabiję cię.

Gdy otworzyła drzwi, błyskawicznie znalazł się przy niej. Zamknął drzwi, wyrwał jej pistolet i odrzucił. Z głośnym brzękiem upadł na dach, potoczył się w mrok. Shanna wierciła się i szarpała, kopała go w łydki. Złapał ją za nadgarstki i przycisnął do drzwi.

- Do cholery, kobieto, niełatwo cię opanować.

- Dobrze, że to zauważyłeś. - Mimo że walczyła zajadle, nie zdołała się uwolnić.

Pochylił się. Jego oddech burzył włosy, muskał czoło.

- Shanna - szepnął. Głos był jak chłodny powiew. Zadrzała. Hipnotyzował ją, niósł spokój i poczucie bezpieczeństwa. Fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

- Nie zabijesz mnie.

- Nie mam takiego zamiaru.

- Więc mnie puść.

Pochylił głowę. Jego oddech owionął jej szyję, był jak balsam.

- Chcę, żebyś pozostała taka sama, żywa i ciepła. Przeszył ją dreszcz. O Boże, zaraz ją dotknie. Może nawet pocałuje. Czekwała, czuła, jak serce tłucze się w piersi. Szeptął jej do ucha:

- Potrzebuję ciebie.

Rozchyliła usta i zaraz je zamknęła - dotarło do niej, jak mało brakowało, a powiedziałyby: tak. Cofnął się, ale jej nie puszczał.

- Shanna, musisz mi zaufać. Ochronię cię.

Ból głowy powrócił z nową siłą, lodowate ostrza wbijały się w skronie. Resztkami sił zebrała

się w sobie i walnęła go kolanem w podbrzusze.

Wypuścił powietrze z głośnym sykiem, nie wrzasnął z bólu; krzyk zaalarmowałby złoczyńców. Zgiął się wpół, osunął na kolana. Wcześniej był blady, teraz poczerwieniał. Nieźle mu dawała. Dostrzegła swój pistolet pod stolikiem i rzuciła się w tamtą stronę.

- Na miłość boską! - wyjęczał. - Boli jak cholera.

- I dobrze. - Wsunęła beretkę do torebki i pobiegła do schodów.

- Ja nigdy... Nikt mi tego nigdy nie zrobił. - Podniósł na nią wzrok. Na jego pięknej twarzy ból ustępował zdumieniu. - Dlaczego?

- To jeden z moich ukrytych talentów. - Dopadła do drzwi na klatkę schodową, chwyciła za klamkę. - Nie idź za mną. Następnym razem strzelę ci... między nogi. - Drzwi otworzyły się ze zgrzytem.

Była już na schodach, gdy drzwi, skrzypiąc przeraźliwie, zatrasnęły się i zapanowała ciemność. Świetnie. Zwolniła. Ostatnie, na co miała ochotę, to skończyć jak idiotki w filmach; przewracają się, skręcają nogę i leżą bezbronnie, przerażone, gdy zjawia się morderca. Poręcz się skończyła. Była na najwyższym piętrze. Po omacku szukała drzwi. Natrafiła na nie, szarpnęła i klatkę schodową zalało światło. Hol wydawał się pusty. Super. Podbiegła do windy. Na metalowych drzwiach wisiała tabliczka z napisem „Awaria”. Cholera! Zerknęła przez ramię. Sukinsyn ją oszukał. Nie wjechali tu windą. Rozejrzała się, szukając windy dla personelu, lecz takiej nie było. Ciekawiło ją, w jaki sposób dostał się na dach, ale teraz nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać. Znalazła główną klatkę schodową. Dobrze, że jest oświetlona. Zbiegała po schodach. Była już na samym dole. Cisza. Dzięki Bogu. Wygląda na to, że wilk dał sobie spokój z pościgiem. Uchyliła drzwi, wyjrzała na zewnątrz. W słabo oświetlonym holu nie zauważyła nic podejrzanego. Dostrzegła wyjście z budynku - podwójne przeszklone drzwi. A za nimi - czarne samochody i płatnych zabójców. Zakradła się do holu i przyciśnięta do ściany, skradała się w stronę tylnego wyjścia. Czerwony napis nad drzwiami kusił, obiecywał

bezpieczeństwo. Złapie taksówkę, zadekuję się w obskurnym hoteliku i stamtąd zadzwoni do Boba Mendozy, agenta, jeśli nie będzie odbierać, ona rano podejmie wszystkie pieniądze z banku i wsiądzie do pociągu. Byle dalej stąd. Wyjrzała na zewnątrz; pewna, że nikogo nie ma, wymknęła się z budynku. I natychmiast znalazła się w ramionach twardych jak skała. Czyjaś dłoń zatkała jej usta. Szarpnęła się, kopła i waliła na oślep rękami, próbując się wyrwać.

- Przestań, Shanna. To ja. - Znajomy szept w uchu. Wilkołak? Jakim cudem wyprzedził ją na schodach? Wściekła jęknęła cicho.

- Uspokój się. - Ciągnął ją za sobą wymarłą uliczką. Minęli pustą kafejkę i rząd stolików pod parasolami. Markiza na drzwiach zdradzała nazwę lokalu. Kolejny sklep i wystawa za grubymi kratami. Markizy chroniły ich przed światłem latarni.

- Laszlo zaraz tu będzie. Poczekaj spokojnie.

Pokręciła głową. Chciała się uwolnić.

- Możesz oddychać? - Wydawał się zaniepokojony. Znow pokręciła głową.

- Nie będziesz krzyczeć, jeśli cię puszcze? Nie mogę pozwolić, żebyś się darła, przecież oni są blisko. - Poluzował uścisk.

- Nie jestem aż tak głupia - mruknęła.

- O nie, sądzę, że jesteś bardzo inteligentna, ale wdepnęłaś w bagno. W takim stresie trudno kontrolować swoje reakcje.

Odwróciła się, żeby na niego zerknąć. Miał wyraziste, regularne rysy. Wpatrywał się czujnie w uliczkę.

- Kim jesteś? - szepnęła.

Spojrzał na nią i na szerokich ustach przemknął cień uśmiechu.

- Kimś, kto potrzebuje dentysty.

- Nie żartuj. W tym mieście są miliony dentystów.

- Nie żartuję.

- Ale kłamiesz. Mówiąc o windzie, też blefowałeś. Jest zepsuta. Szedłeś schodami.

Zacisnął usta i dalej wpatrywał się w mrok. Nie raczył odpowiedzieć.

- Jakim cudem znalazłeś się tu tak szybko?

- Czy to ważne? Chcę cię chronić.

- Ale dlaczego? Dlaczego cię obchodzę? Zawahał się.

- To nie takie proste. - Ból w oczach wilkołaka zaparł jej dech w piersiach. Nieważne, kim jest; wie, czym jest cierpienie.

- Nie skrzywdzisz mnie?

- Nie, kochanie. W życiu skrzywdziłem już dość ludzi. - Uśmiechnął się smutno. - Zresztą, gdybym naprawdę chciał cię zabić, mogłem to już zrobić wcześniej.

- Dodajesz mi otuchy - burknęła. Obejmował ją mocniej.

Po drugiej stronie ulicy jaśniał neon salonu wróżb. Shanna rozważała, czy nie zaryzykować sprintu przez jezdnię i zadzwonić na policję. A może lepiej zapytać o przyszłość? Czy ją w ogóle ma, czy może linia jej życia dobiegła końca? Dziwne, ale nie czuła, że coś jej grozi. Wilk jest masywnej postury, ma silne ramiona i szeroką pierś. Mówi, że chce ją chronić. Ostatnio była bardzo samotna. Pragnęła mu zaufać. Odetchnęła głęboko i rozejrzała się dokoła.

- Jezu, co tak śmierdzi.

- Sklep z cygarami. Domyślam się, że nie palisz?

- Nie, a ty?

- Palę w słońcu. Się - dodał z rozbawieniem.

Nie zdążyła nic powiedzieć, bo minął ich ciemnozielony samochód i wilkołak pociągnął ją za sobą.

- To Laszlo. - Pomachał, żeby przyjaciel go zauważył. Honda Accord podjechała do krawężnika. Szli w tamtą stronę.

Czy może mu zaufać? Jak zdoła uciec, kiedy już wsiądzie do samochodu?

- Kim jest ten Laszlo? To Rosjanin?

- Nie.

- Ale to obce imię.

Uniósł brew, jakby rozdrażniła go ta uwaga.

- Jest z pochodzenia Węgrem. -A ty?

- Jestem Amerykaninem.

- Urodziłeś się tu? - Miał obcy akcent, wołała się jednak upewnić. Uniósł obie brwi. Widać było, że jest zirytowany. Mężczyzna w hondzie wiercił się niespokojnie. Bagażnik się uchylił. Shanna drgnęła, uświadomiwszy sobie, że w środku mogą być zwłoki.

- Uspokój się. - Wilkołak objął ją mocniej.

- Chyba żartujesz! - Usiłowała wyrwać się z uścisku. Na darmo. - Macie tam zwłoki, tak? Westchnął ciężko.

- Boże, dopomóż, ale chyba na to zasłużyłem.

Niski mężczyzna w białym kitlu wygramolił się z samochodu.

- Witam pana, sir. Przyjechałem najszybciej, jak mogłem. - Zobaczył Shannę i dopiął guziki kitla. - Dobry wieczór pani. Jest pani dentystką?

- Owszem. - Wilk obejrzał się przez ramię. - Laszlo, nie mamy czasu.

- Tak jest, sir. - Otworzył tylne drzwiczki i zajął do środka. - Już zabieram Vannę. - Wyprostował się i wyciągnął z wozu nagą kobietę. Shanna nie zdążyła krzyknąć. Wilk zakrył jej usta dłonią, przyciągnął ją do siebie i trzymał mocno.

- Ona nie jest prawdziwa. Spójrz na nią, to zabawka, lalka naturalnej wielkości.

Laszlo zauważył jej zdenerwowanie.

- Ależ tak, proszę pani. Nie jest prawdziwa. - Ściągnął jej perukę z głowy i założył z powrotem.

O Boże. No dobrze, wilkołak nie jest mordercą, ale to zboczeniec!

Znienacka walnęła go łokciem w brzuch, wyswobodziła się z jego objęć i odskoczyła.

- Shanna. - Wyciągnął ręce.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, zboczeńcu.

- Co?

Wskazała lalkę, którą Laszlo upychał do bagażnika.

- Tylko zboczeńcy mają takie zabawki. Wilkołak zamrugął.

- To nie mój samochód.

- A zabawka?

- Też nie. - Odwrócił się. - Cholera! - Pchnął ją w stronę samochodu. - Wsiadaj!

- Dlaczego? - Chwyciła się drzwiczek i rozstawiła szeroko łokcie. W kreskówkach ten manewr zawsze działał, gdy kot nie chciał wylądować w wannie.

Wilk stanął z boku, zasłonił jej widok.

- Na rogu jest czarny samochód. Nie mogą cię zobaczyć Czarny samochód? Ma wybór - czarny sedan albo zielona honda. Oby podjęła właściwą decyzję. Wsiadła do hondy, położyła torebkę na podłodze. Odwróciła się, chcąc wyrzeć przez tylną szybę, ale nic nie widziała, bo Laszlo jeszcze nie zamknął bagażnika.

- Szybciej, Laszlo! Jedźmy już. - Wilk usiadł obok niej, zamknął drzwi. Zerknął do tyłu. Laszlo zatrzasnął bagażnik.

- Cholera! - Wilkołak złapał Shannę za ramiona i pchnął na podłogę.

- Au! - Wszystko działo się bardzo szybko. Pęd powietrza, a potem, nie wiadomo kiedy, zaryła nosem w czarny dżins. Otaczał ją zapach mydła i mężczyzny. A może to tylko płyn zmiękczający tkaniny? No nie, leży twarzą na jego kolanach. Chciała się wyprostować, ale nie pozwolił.

- Przykro mi, okna nie są zaciemnione, a nie chcę, żeby cię zobaczyli.

Laszlo odpalił silnik i ruszyli. Czują wibracje samochodu i szorstki materiał dżinsów na twarzy.

Wierciła się, aż znalazła szczelinę z powietrzem. Oddychała głęboko, póki sobie nie uświadomiła, że szczelina to przerwa między jego nogami. Świetnie, sapie mu w rozporek.

- Czarny samochód jedzie za nami. - Laszlo się denerwował.

- Wiem. - Wilk nie ukrywał irytacji. - Na następnym skrzyżowaniu skręć w lewo.

Shanna usiłowała przewrócić się na bok, ale samochód skręcił i straciła równowagę. Upadła na Wilka, walnęła głową w jego rozporek Ojej. Może nie zauważył. Poruszyła się, odsunęła głowę od jego krocza,

- Czy wykonujesz te wszystkie ruchy w konkretnym celu? O rany. Jednak zauważył.

- Ja... nie mogłam oddychać. - Poprawiała się, aż leżała na boku, z podkulonymi nogami i głową na jego udach.

Samochód zatrzymał się gwałtownie. Przesunęła się do przodu i znów uderzyła twarzą w jego rozporek. Skrzywił się.

- Przepraszam. - Jezu, najpierw walnęła go kolanem, a teraz zaatakowała bykiem. Ile jeszcze wytrzyma? Przekręciła głowę, próbując się odsunąć.

- Bardzo mi przykro, sir, światło nieoczekiwanie zmieniło się na czerwone – wymamrotał Laszlo.

- Zdarza się. - Wilkołak położył jej rękę na głowie. - Czy mogłabyś przestać się wiercić?

- Sir, podjeżdżają do nas!

- Nie szkodzi. Niech się dobrze przyjrzą. Zobaczą tylko dwóch facetów.

- I co teraz? Prosto czy skręcać?

- Na następnym skrzyżowaniu skręć w lewo. Zobaczymy, czy za nami pojadą.

- Tak jest, sir. - Laszlo denerwował się coraz bardziej. -Wie pan, że nie nadaję się do takich rzeczy. Może powinniśmy wezwać Connora albo Iana.

- Świetnie ci idzie. - Wilk uniósł biodra.

Shanna sapnęła głośno i przytrzymała się jego kolan, żeby nie spaść. Mięśnie jego ud

napięły się pod jej policzkiem. O rany, ależ emocjonująca przejażdżka.

- Proszę. - Opadł na siedzenie. - Miałem twoją komórkę w kieszeni.

- Och. - Przewróciła się na plecy, żeby coś widzieć. Samochód szarpnął, przetoczyła się i zaryła nosem w jego rozporek.

- Przepraszam - mruknęła i się odsunęła.

- Nie ma... sprawy. - Rzucił telefon na siedzenie. - Nie powinnaś go używać. Jeśli znają twój numer, wszędzie cię namierzą.

Położył jej rękę na ramieniu, pewnie chciał w ten sposób zapobiec dalszym ruchom jej głowy. Skręcili w lewo. Na szczęście tym razem poruszyła się tylko odrobinę.

- Jadą za nami? - zapytała.

- Nie widzę nikogo. - Laszlo cieszył się jak dziecko.

- Za wcześnie na radość. - Wilk rozglądał się na boki. - Jedziemy dalej, żeby się upewnić.

- Tak jest, sir. Do domu czy do laboratorium?

- Do laboratorium? - Shanna usiłowała wstać. Wilk nie pozwolił.

- Leż spokojnie. To jeszcze nie koniec. Świetnie. Zaczynała podejrzewać, że ta sytuacja mu się podoba.

- Dobrze. Co za laboratorium? Zerknął na nią z góry.

- Romatech Industries.

- Słyszałam o tej firmie.

- Naprawdę? - Uniósł brew.

- Pewnie. Dzięki sztucznej krwi uratowali miliony ludzkich istnień. Pracujesz tam?

- Tak, Laszlo też. Odetchnęła z ulgą.

- To cudownie. Zajmujecie się ratowaniem życia, a nie... niszczeniem go.

- Taki jest nasz cel.

- Nawet się nie przedstawiłeś. Nie mogę ciągle zwracać się do ciebie per: wilk czy wilkołak.

Uniósł brwi.

- Mówiłem ci już, nie jestem wilkołakiem.

- Ale masz w kieszeni wilczy kieł.

- To część eksperymentu, podobnie jak lalka w bagażniku.

- Och. - Spojrzała na przednie siedzenie. - Pracujesz nad tym, Laszlo?

- Tak, proszę pani. Lalka jest częścią mojego nowego projektu. Nie ma się czego obawiać.

- Co za ulga. - Shanna się uśmiechnęła. - Nie podobała mi się myśl, że jeżdżę po mieście z dwoma zboczeńcami. - Odwróciła się w stronę wilka i znów musnęła nosem jego rozporek. Ojej. Poprzednio było tu więcej miejsca. Odsunęła się trochę. - Może już usiądę.

- Jeszcze za wcześnie.

Jasne, jakby była bezpieczna centymetr od jego pęczniejącego rozporka. Poprzedni atak na jego podbrzusze nie spowodował trwałych szkód. Wilk szybko dochodził do siebie. Bardzo szybko.

- Więc jak się nazywasz?

- Roman, Roman Draganesti. Laszlo skręcił zbyt gwałtownie.

Znów wpadła na Romana. Nabrzmiąłego i twardego jak skała.

- Przepraszam. - Odchyliła głowę. Był coraz większy.

- Dokąd jedziemy? - dopytywał się Laszlo. - Do laboratorium czy do domu?

Roman błędził dłonią po jej karku. Kreślił delikatne kółka na skórze. Zadrżała. Serce biło jej coraz szybciej.

- Do domu - szepnął.

Wstrzymała oddech. W głębi duszy wiedziała, że to przełomowa noc, że od tej chwili jej życie już nie będzie takie samo.

Samochód zatrzymał się gwałtownie. Znów potarła głową o potężną erekcję wilka. Jęknął. Shannę przeszedł dreszcz, gdy na nią spojrział. Roman miał czerwone oczy. Ale to przecież niemożliwe. To na pewno odbicie światła na skrzyżowaniu.

- U pana będzie bezpieczna? - zagadnął Laszlo.

- Póki nie otworzę ust... - Uśmiechnął się. - i rozporka.

Shanna z trudem przełknęła ślinę i odwróciła głowę. Powinna była bardziej doceniać nudę, na którą kiedyś narzekała. Nadmiar emocji może zabić.

Rozdział 4

Tyle, jeśli chodzi o utrzymanie pożądania w tajemnicy. O ile Roman był w stanie zorientować się, uroczą dentystką z głową na jego podbrzuszu zdała sobie wreszcie sprawę, że przed jego erekcją nie ma ucieczki. Ilekroć zdołała trochę odsunąć się od niego, Roman podejmował wyzwanie i wypełniał wolną przestrzeń. Sam był tym zaskoczony. Od ponad stu lat nie odczuwał takiego pożądania. Shanna przestała się wiercić, leżała spokojnie oparta o jego rozporek. Niebieskie oczy wpatrywały się w sufit, jak gdyby nigdy nic, ale rumieniec na policzkach i mimowolny dreszcz, którzy przenikał jej ciało, mówiły coś innego. Odpowiadała na jego bliskość. I wiedziała, że jej pragnie. Żeby przekonać się o tym, nie musiał czytać w jej myślach. Interpretował reakcje. Było to dla niego nowe doświadczenie i ta świeżość rozpałała pożądanie.

- Roman? - Spojrzała na niego i zarumieniła się jeszcze bardziej. - Wiem, że marudzę jak kapryśny bachor, ale daleko jeszcze?

Wyjrzał przez okno.

- Jesteśmy przy Central Parku. Już blisko.

- Och. Mieszkasz sam?

- Nie. Mieszka ze mną... kilka osób. I mam ochronę, przez całą dobę. Będziesz bezpieczna.

- Po co ci ochrona?

Uparcie patrzył w okno.

- Dla poczucia bezpieczeństwa.

- Przed czym?

- Nie chcesz wiedzieć.

- No, świetnie - mruknęła.

Nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Wampirzyce z jego klanu robiły wszystko, żeby go uwieść, nigdy by sobie nie pozwoliły na marudzenie; dąsy i ataki złości Shanny stanowiły przyjemną odmianę. Miał nadzieję, że nie dostanie kolejnego ciosu w podbrzusze. Jakimś cudem udało mu się przetrwać pięćset czterdzieści cztery lata, nie doświadczając akurat

tego bólu. Zabójcy wampirów celują w serce.

Chociaż, szczerze mówiąc, Shanna także to robiła. Wysznięty witalizm jego pieni bił starym, prymitywnym rytmem. Posiąć i chronić. Pragnął jej. I nie pozwoli, by jego wróg zdobył albo skrzywdził tę dziewczynę.

Ale chodziło też o coś więcej. Intrygowało go, dlaczego nie może nad nią zapanować. Stanowiła wyzwanie, któremu nie mógł się oprzeć. Zarówno psychicznie, jak i fizycznie, czego dowodził jego obecny stan.

- Jesteśmy na miejscu. - Laszlo zahamował przy jednym z samochodów szefa. Roman otworzył drzwiczki, uniósł głowę Shanny, wysunął się spod niej. Chciała się podnieść.

- Leż, póki się nie upewnię, że droga wolna - oświadczył twardo.

Westchnęła ciężko.

- Dobrze.

Roman wysiadł i zamknął za sobą drzwi. Laszlo zrobił to samo i na znak szefa wraz z nim odszedł od samochodu.

- Świetnie się spisałeś, Laszlo. Dziękuję.

- Nie ma sprawy, sir. Mogę już wracać do laboratorium?

- Jeszcze nie. Przede wszystkim wejdź do środka i uprzedź wszystkich, że dziś gościmy śmiertelniczkę. Musimy zapewnić jej bezpieczeństwo i zarazem dopilnować, żeby nie wiedziała, kim jesteśmy.

- Czy mogę zapytać, czemu to robimy, sir? Roman przeczesywał ulice wzrokiem, szukał Rosjan.

- Słyszałeś o rosyjskim klanie pod wodzą Ivana Petrovskiego?

- O Boże. - Chemik zacisnął dłoń na jednym z dwóch ostatnich guzików na swoim kitlu. - Podobno jest okrutny i brutalny.

- Owszem. Z jakiegoś powodu chce zabić tę lekarkę. A ona jest mi potrzebna. Włos nie może spaść jej z głowy, a Petrovsky nie może dowiedzieć się, że to my krzyżujemy mu plany.

- O kurczę. - Laszlo nerwowo kręcił guzikiem. - Byłby wściekły. Mógłby... wypowiedzieć nam wojnę.

- No właśnie. Ale Shanna nie musi tego wiedzieć. Zadbamy, żeby nic nie wiedziała.

- Skoro będzie pod pańskim dachem, to może okazać się bardzo trudne.

- Wiem, ale musimy spróbować. Jeśli dowie się zbyt wiele, wymażę jej pamięć. - Roman, przewodniczący wielkiej firmy, robił wszystko, by pozostać niezauważalny wśród śmiertelników. Kontrola umysłów i wymazywanie pamięci ułatwiały sprawę. Problem w tym, że nie był pewien, czy zapanowałby nad umysłem Shanny.

Pokonał stopnie prowadzące do drzwi kamienicy i wystukał szyfr na klawiaturze przy drzwiach.

- Przedstaw sytuację szybko i zwięźle.

- Tak jest, sir. - Laszlo otworzył drzwi i pierwsze, co poczuł, to ostrze sztyletu na szyi. - Au!

-

Cofnął się i wpadł na Romana. Dzięki temu nie runął ze schodów.

- Przepraszam, sir. - Connor wsunął sztylet do pochwy u pasa. - Nie spodziewałem się jaśnie pana w drzwiach.

- Dobrze, że jesteś czujny. - Roman wepchnął Laszlo do środka. - Mamy gościa. Laszlo ci wszystko wytłumaczy.

Chemik skinął głową i odruchowo poszukał palcami guzika u kitla. Connor zamknął drzwi.

Roman wrócił do Hondy. Otworzył tylne drzwi i zobaczył wycelowaną w siebie lufę beretty.

- Och, to ty. - Shanna odetchnęła z ulgą i schowała broń do torebki. - Długo cię nie było. Już się obawiałam, że mnie zostawiliście.

- Jesteś pod moją opieką. Nie pozwolę cię skrzywdzić. - Uśmiechnął się. - Nie chcesz już mnie zastrzelić, to pewien postęp.

- Jasne, to zawsze dobry znak w związku.

Roman roześmiał się, z trudem, ale naprawdę roześmiał. Rany boskie, kiedy ostatnio się śmiał? Nawet nie pamiętał. A tu proszę, piękna Shanna odwzajemnia jego uśmiech. Uroczą dentystką wniosła w jego ponurą, przeklętą egzystencję odrobinę życia. Ale to nieistotne. Musi zwalczyć odruch, by z nią być. Jest demonem, a ona śmiertelniczką. Prawdę mówiąc, powinien widzieć w niej lunch i dawcę krwi, a nie towarzyszkę. On jednak pragnął jej towarzystwa. Miał wrażenie, że jego umysł czeka na kolejne słowa z jej ust tylko po to, by móc na nie zareagować. A ciało na kolejne przypadkowe zetknięcie. Cholera, przypadkowe zetknięcie to za mało.

- Pewnie nie powinnam ci ufać, ale ci ufam, choć sama nie wiem dlaczego. - Wysiadła z samochodu i jego ciało natychmiast obudziło się do życia.

- Masz rację - szepnęła i podniosła dłoń do jej policzka. - Nie powinnaś mi ufać.

Otworzyła szeroko oczy.

- Ale... Przecież mówiłeś, że nic mi nie grozi.

- Są różne rodzaje niebezpieczeństwa. - Musnął palcami jej podbródek.

Cofnęła się, lecz Roman i tak poczuł, że przeszył ją dreszcz. Odwróciła się w stronę kamienicy, przewiesiła torebkę przez ramię.

- Tu mieszkasz? Ładnie. Ślicznie. Dobra okolica.

- Dziękuję.

- Na którym piętrze? - Mówiła szybko, chciała udawać, że nic się nie stało, że między nimi nie iskrzyło się od napięcia erotycznego. Może ona wcale tego nie poczuła. Może to tylko jego wrażenie.

- A na którym byś chciała?

Spojrzała na niego, utonęła w jego oczach. Uniosła podbródek, rozchyliła usta. O tak, ona też to czuje. Mówiła, jakby nagle zabrakło jej tchu.

- Jak to?

Podszedł bliżej.

- Cały budynek należy do mnie.

Cofnęła się o krok.

- Cały?

- Tak. I kupię ci nowe ciuchy.

- Co? Chwileczkę. - Spuściła oczy, prześlizgnęła się między dwoma samochodami, weszła na chodnik - Nie będę twoją. .. utrzymanką. Mam własne ciuchy i chętnie zapłacę za pokój

i wyżywienie.

- Twoje ciuchy są u ciebie w domu, a nie sądzę, żebyś mogła tam teraz wrócić. Dostarczę ci odzież, chyba że... - Dołączył do niej na chodniku. - Chyba że wolisz obejść się bez ubrania.

Przełknęła ślinę.

- No dobrze, niech będzie kilka ciuchów. Zwrócę ci za nie.

- Nie chcę pieniędzy.

- No cóż, nie liczy, że dostaniesz coś innego!

- A odrobina wdzięczności za uratowanie ci życia?

- Jestem ci wdzięczna. - Łypnęła groźnie. - Ale uprzedzam, że będę ci wyrażać wdzięczność jedynie w pozycji pionowej.

- W takim razie pozwól, że ci przypomnę, że teraz jesteśmy w pionie. - Podeszedł bliżej.

- No... chyba tak. - W jej oczach pojawiła się czujność. Podeszedł na tyle blisko, że dzieliły ich centymetry. Położył dłoń na nasadzie jej pleców, na wypadek, gdyby chciała się cofnąć. Nie chciała.

Dotknął policzka. Taki miękki i ciepły. Przesuwał palcami w dół policzka, na szyję. Wyczuwał jej puls, coraz szybszy. Uniosła powieki i zobaczył w jej oczach ufność. I pożądanie. Przyciągnął ją do siebie, musnął ustami skroń i miękkie włosy. Wcześniej widział jej przerażenie, gdy oczy mu poczerwieniały, więc na wszelki wypadek wolał unikać kontaktu wzrokowego, póki Shanna nie zamknie oczu i nie rozchyli ust w oczekiwaniu na pierwszy pocałunek. Odgarnął jej włosy z karku, odsłonił szyję, przesunął ustami wzdłuż ucha, na pulsującą żyłkę. Z westchnieniem odrzuciła głowę do tyłu. Wdychał jej zapach, a Rh dodatkowo, jego ulubiona grupa krwi. Musnął językiem arterię i poczuł, jak zadrżała. Odważył się zerknąć na jej twarz. Zamknęła oczy. Była gotowa, już miał ją pocałować, gdy spowił ich strumień światła.

- A niech mnie - sapnął szkocki akcent. Connor otworzył drzwi do domu.

Shanna drgnęła i spojrzała w stronę światła.

- Co jest? - zapytał Laszlo. - Oj, może powinniśmy zamknąć drzwi.

- O nie! - Gregori włączył się do rozmowy. - Chcę popatrzeć!

Shanna cofnęła się, czerwona jak burak.

Roman gniewnie łypnął na trzech mężczyzn w progu.

- Nie ma co, Connor, świetne wycucie czasu.

- Aye, sir. - Ochroniarz stropił się, jego twarz była niewiele jaśniejsza od płomienia rudej szopy włosów. - Jesteśmy gotowi na przyjęcie gościa.

A jednak dobrze zrobili. Gdy Roman pomyślał o tym na spokojnie, doszedł do wniosku, że pewnie smakowałyby krwią, a zważywszy, jak Shanna na nią reaguje, mogłoby się źle skończyć.

Na przyszłość musi być bardziej ostrożny.

Przyszłość? Jaka przyszłość? Przysiągł sobie, że nigdy więcej nie zwiąże się ze śmiertelniczką. Kiedy zorientuje się, z kim ma do czynienia, będzie chciała go zabić. I trudno się dziwić. Przecież naprawdę jest potworem.

- Chodź. - Wziął ją pod rękę.

Nie drgnęła. Cały czas wpatrywała się w drzwi.

- Shanna?

Gapiła się na Connora.

- Roman, w progu twojego domu stoi facet w kilcie.

- Jest tu jeszcze z tuzin szkockich górali, Highlanderów. To moi ochroniarze.

- Naprawdę? Zadziwiające. - Weszła sama na schody. Nawet na niego nie spojrzała. Cholera. Czyżby już zapomniała, jak się czuła w jego ramionach?

- Witaj, jaśnie pani. - Connor odsunął się, żeby mogła wejść. Laszlo i Gregori cofnęli się, choć Shanna zdawała się ich nie zauważać. Z uśmiechem na twarzy patrzyła na Szkota.

- Jaśnie pani? Jeszcze nikt nigdy tak się do mnie nie zwracał. To brzmi niemal... średniowiecznie.

Rzeczywiście. Staroświecki czar Connora był naprawdę wiekowy. Roman pokonał kilka stopni.

- Jest trochę staromodny.

- Podoba mi się to. - Rozglądała się po holu, chłonęła wzrokiem posadzki z marmuru i kręte schody. - A dom jest cudowny. Po prostu cudowny.

- Dziękuję. - Roman zamknął drzwi i dokonał prezentacji.

Shanna skupiła się na Connorze.

- Cudowny kilt. Jaki klan symbolizuje?

- Ia tartan klanu Buchanan. - Skłonił się lekko.

- A te dzyndzelki przy skarpetkach... pasują do kiltu. Urocze.

- Och, pani, dziękuję.

- A to nóż? - Pochyliła się, by uważniej przyjrzeć się skarpetom Connora.

Roman stłumił jęk. Lada chwila powie Connorowi, że owłosione kolana też ma słodkie.

- Connor, zaprowadź naszego gościa do kuchni. Może Shanna jest głodna.

- *Aye, sir.*

- A twoi ludzie niech robią pełny obchód co pół godziny.

- *Aye, sir.* - Connor wskazał korytarz. - Tędy, jaśnie pani.

- Idź z nim, Shanno. Zaraz do was dołączę.

- *Aye, sir.* - Spojrzała na niego gniewnie i poszła z Connorem, mruczając pod nosem - Powinna być go zastrzelić.

Gregori gwizdnął cicho, gdy drzwi do kuchni się zamknęły.

- Urocze. Twoja dentystka to ostry kociak.

- Gregori... - Roman posłał mu surowe spojrzenie, które jednak zostało zlekceważone. Młody wampir poprawił jedwabny krawat.

- Tak, myślę, że kontrola dentystyczna mi nie zaszkodzi. Mam dziurę do zaplombowania.

- Dosyć tego! - warknął Roman. - Zostaw ją w spokoju, jasne?

- Jasne. Widzieliśmy, jak się do niej ślinisz. - Podszedł do Romana. - Więc kręci cię śmiertelniczka, co? - zagadnął z błyskiem w oku. A co się stało z zasadą: nigdy więcej?

Roman uniósł brew.

Gregori się uśmiechnął.

- Wiesz, od razu widać, że podobają jej się te męskie spódnice. Może Connor ci pożyczy.

- Kilty - podsunął usłużnie Laszlo, który wciąż bawił się guzikami.

- Nieważne. - Gregori zmierzył Romana wzrokiem. - Więc jak, masz seksowne nogi?

Przyjaciół spojrzał na niego ostrzegawczo.

- Co ty tu właściwie robisz, chłopie? Wydawało mi się, że wybierasz się gdzieś z Simone.

- Bo tak było. Poszliśmy do tego nowego klubu przy Tunes Square, ale wkurzyła się, bo nikt jej nie poznał.

- A dlaczego ktoś miałby ją poznać?

- Stary, przecież to znana modelka! Jest na okładce ostatniego „Cosmo”! Nie wiesz? W każdym razie tak się wściekła, że cisnęła stolikiem na parkiet.

Roman jęknął. Transformacja w wampira potęgowała siłę fizyczną i wyostrzała wszystkie zmysły, niestety, jednak nie podnosiła ilorazu inteligencji.

- Pomyślałem, iż wyda się podejrzanym, że osoba tak chuda ma tyle siły - ciągnął Gregori - więc się tym zająłem. Usunąłem wszystkie wspomnienia i przyprowadziłem ją z powrotem. Jest teraz z twoim harem, który poprawia jej humor słowami i pedikiurem.

- Wolałbym, żebyś ich tak nie nazywał. - Roman zerknął na zamknięte drzwi do salonu. - Są tam?

- Tak. - Gregori był rozbawiony - Kazałem im siedzieć cicho, ale kto wie, co robią?

Roman westchnął.

- Nie mam dla nich czasu. Zadzwoń do matki, może ona je okiełzna.

- Będzie zachwycona. - Gregori pokiwa! głową. - Wyjął komórkę z kieszeni i wystukał numer.

- Laszlo?

Naukowiec aż podskoczył.

- Tak, sir?

- Idź do kuchni i zapytaj Shannę, co jej będzie potrzebne do zabiegu.

W pierwszej chwili Laszlo wydawał się zagubiony, zaraz jednak się rozpromienił.

- Ach tak, zabieg!

- I zawołaj tu Connora.

- Dobrze, sir. - Podreptał do kuchni.

- Mama już jedzie. - Gregori schował telefon do kieszeni. - Więc jeszcze ci nie wstawiła zęba?

- Nie. Mieliśmy kłopoty. Właściwie kłopot - Ivan Petrovsky. Wygląda na to, że pani doktor jest jego celem numer jeden.

- Chyba żartujesz! Co takiego zrobiła?

- Nie wiem dokładnie. - Spojrzał na drzwi do kuchni. - Ale się dowiem.

Drzwi się otworzyły i Connor wyszedł do holu. Zatrzymał się u stóp schodów.

- Możecie mi powiedzieć, czemu właściwie przed chwilą zrobiłem pani doktor kanapkę z indykiem?

Roman westchnął. Szef jego ochrony musi znać prawdę.

- Kilka godzin temu, podczas pewnego eksperymentu, straciłem kiel. - Wyjął z kieszeni zakrwawioną chusteczkę i pokazał jej zawartość.

- Kiel? Rany boskie! Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Ja też nie, a żyję już ponad pięćset lat.

- Może się starzejesz - podsunął Gregori i skrzywił się, gdy i Roman, i Connor łypnęli na niego gniewnie.

- Znajduję tylko takie wytłumaczenie: nasz nowy sposób odżywiania. - Roman owinał ząb w chusteczkę i wsunął do tylnej kieszeni dżinsów. - To jedyne, co się zmieniło, odkąd przeszliśmy transformację.

Connor zmarszczył brwi.

- Ale przecież nadal pijemy krew. Nie widzę różnicy.

- Chodzi o sposób picia - powiedział Roman. - Nie kåsamy. Kiedy ostatni raz użyłeś kłów?

- Nawet nie pamiętam. - Gregori rozwiązał jedwabny krawat. - Po co ci kły, kiedy pijesz ze szklanki?

- Prawda - zgodził się Connor. - W szklance będą tylko przeszkadzać.

- No właśnie. - Wyjaśnienie nie przypadło Romanowi do gustu, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy. - To ilustracja powiedzenia, że organ nieużywany zanika.

- A niech mnie - sapnął Connor. - Musimy mieć kły. Gregori zrobił wielkie oczy.

- O nie, nie zaczę kåsac śmiertelników, nie ma mowy! Tyle pracy poszłoby na marne.

- Rzeczywiście. - Roman skinął głową. Gregori Holstein bywał czasem denerwujący, ale bardzo zaangażował się w misję uczynienia świata bezpiecznym zarówno dla śmiertelników, jak i dla wampirów. - Może popracujemy nad programem ćwiczeń.

- Super! - W oczach Gregoria pojawił się błysk. - Zaraz się do tego zabiorę!

Roman się uśmiechnął. Gregori podchodził do wszystkiego z niesłabnącym entuzjazmem. W takich chwilach upewniał się, że dobrze zrobił, awansując chłopaka.

Drzwi do kuchni się otworzyły i Laszlo wybiegł do holu.

- Sir, mamy problem. Lekarka powtarza, że zabieg powinien się odbyć w gabinecie dentystycznym, a do swojego nie chce wracać.

- I ma rację - mruknął Roman. - Na pewno jest tam już pełno policji.

Connor zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu.

- Laszlo twierdzi, że ktoś chce zabić tę dziecinkę. Piekielne dranie.

- Tak. - Roman westchnął. Liczył, że Shanna wstawi mu ząb w domowym zaciszu. - Gregori, znajdź inny gabinet, niedaleko, z którego będziemy mogli skorzystać.

- Nie ma sprawy, brachu.

- Wracam do dziewczyny - burknął Connor. - Nie chcemy przecież, żeby zajrzała nam do lodówki. - Szkot poszedł do kuchni.

Laszlo bawił się guzikiem przy kitlu.

- Sir, wymieniła pewien produkt, który znacznie zwiększa szanse skuteczności zabiegu. Jest przekonana, że można go znaleźć w każdym gabinecie dentystycznym.

- Świetnie. - Roman wyjął z kieszeni ząb w chusteczce i podał chemikowi. - Idź z Gregorim i dopóki nie przybędę, pilnuj mojego kła.

Laszlo z trudem przełknął ślinę i wsunął kieł do kieszeni fartucha.

- To... To będzie włamanie, prawda, sir?

- Nie przejmuj się tym. - Gregori poklepał chemika po plecach i pchnął w stronę drzwi. - Śmierelnicy nigdy nie odkrywają, co się tam działo.

- No, dobrze. - Laszlo zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił. - Muszę pana uprzedzić, sir. Chociaż młoda dama nie szczędziła nam informacji, obstaje przy swoim i twierdzi, że w żadnym wypadku nie wstawi panu wilczego kła.

Gregori się roześmiał.

- Myśli, że to wilczy kiel? Roman wzruszył ramionami.
- Z jej punktu widzenia to logiczne.
- No, tak. - Gregori spojrział na niego z rozbawieniem. -Ale dlaczego nie zasugerowałeś jej czegoś innego?

Roman milczał. Laszlo i Gregori patrzyli wyczekująco. Na miłość boską, czy jednej nocy nie dość już upokorzeń?

- Ja... Nie udało mi się przejąć kontroli nad jej umysłem. Laszlo otworzył usta ze zdumienia.

Gregori cofnął się o krok.

- Niemożliwe! Nie mogłeś zahipnotyzować zwyczajnej śmiertelniczki?

Roman zacisnął pięści.

- Nie.

- A niech mnie! - Gregori uderzył się w czoło.

- Czemu się walisz? Komar cię gryzie czy co? - W takich chwilach Roman utwierdzał się w przekonaniu, że dobrze robi, wywalając chłopaka z pracy.

- To wyraz mojego zdumienia. Nie masz pojęcia o najnowszych powiedzonkach czy gestach, co?

Laszlo ściągnął brwi. Machinalnie bawił się guzikiem.

- Bardzo przepraszam, sir, czy kiedykolwiek wcześniej do tego doszło?

- Nie.

- Może naprawdę się starzejesz - podsunął Gregori.

- Pieprz się - warknął Roman.

- Nie, nie, bracie, to za łagodnie. Ne bój się, użyj mocniejszych słów. - Gregori urwał i poczerwieniał. - To było do mnie?

Roman uniósł brew.

- Młodzi nieznośnie wolno myślą.

Laszlo przechadzał się po holu - To nie moja dziedzina, ale wygląda na to, że podchodzimy do sprawy od złej strony.

Roman i Gregori wbili wzrok w chemika. Oblizwał wargi, pociągnął za guzik.

- Skoro pan Draganesti do tej pory nie mierzył się z takim... problemem, rzecz niekoniecznie musi dotyczyć jego umiejętności, tudzież ich braku. - Guzik upadł na ziemię. Schylił się, żeby go podnieść.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Gregori. Laszlo schował guzik do kieszeni.

- Że niewykluczone, iż problem leży po stronie kobiety.

- Ma bardzo silną wolę - przyznał Roman. - Nigdy dotąd nie spotkałem śmiertelnika, który zdołałby się nam oprzeć.

- No właśnie. - Laszlo zaatakował ostatni guzik przy kitlu, - Ale jakimś cudem jej się to udało, jest w niej coś dziwnego.

Zapadła cisza. Roman już wcześniej domyślał się, że jest inna, ale te słowa padły z ust jego najzdolniejszego naukowca.

- Fatalnie - mruknął Gregori. - Skoro nie możemy nad nią zapanować, jest bardzo...

- Fascynująca - szepnął Roman. Gregori się skrzywił.

- Chciałem raczej powiedzieć: niebezpieczna.

To też. Ale tego wieczoru nawet niebezpieczeństwo wydawało się Romanowi fascynujące. Zwłaszcza jeśli wiązało się z Shanną.

- Może poszukamy innego dentysty - zasugerował Laszlo.

- Nie. - Roman pokręcił głową. - Zostało tylko kilka godzin, a sam mówiłeś, że ząb trzeba wstawić jeszcze dziś. Gregori, zabierz Laszla do najbliższego gabinetu dentystycznego i zabezpieczcie teren. Pojedźcie jego wozem, stoi przed domem. Laszlo, pilnuj mojego kła. Dajcie mi pół godziny i zadzwońcie.

Chemik wytrzeszczył oczy.

- Będzie się pan teleportować za moim głosem?

- Tak. - To najszybszy środek transportu. Jednak nie zrobi tego, póki nie zyska całkowitej kontroli nad umysłem Shanny, musi mieć pewność, że po zabiegu zatarł jej wspomnienia.

- Gregori, wracaj jak najszybciej. Ty i Connor pomożecie mi przy dentystce. Musimy przejąć kontrolę nad jej umysłem.

- Nie ma sprawy. - Gregori wzruszył ramionami. - W klubie wymazałem wspomnienia stu osób naraz. To pikuś.

Sądząc po wyrazie twarzy, Laszlo nie podzielał optymizmu Gregoria.

- Powinno się udać - mruknął Roman. - Nawet jeśli zdołała się oprzeć jednemu wampirowi, trzem nie da rady.

Gregori i Laszlo wyszli, ale słowa chemika ciągle brzmiały w uszach Romana. W Shannie jest coś innego. A jeśli nie uda mu się zapanować nad jej umysłem? Nie wstawi mu kła, póki będzie uważać, że to zwierzęcy ząb. Przez resztę wieczności będzie pośmiewiskiem wszystkich wampirów. Jednozębne dziwadło.

Nie śmiał jej powiedzieć, czym jest. Wtedy już na pewno nie wstawi mu kła. Zareaguje jak Eliza i zapraśnie wbić mu kołek w serce.

Rozdział 5

Cchyba wreszcie usłyszę, że znaleźliście Shannę Whelan. - Ivan Petrovsky gromił wściekłym wzrokiem czterech zbirów, najgroźniejszych, jakich mogła zaoferować rosyjska mafia. Unikali jego spojrzenia. Tchórze, co do jednego. Ivan uparł się, że zostanie w pobliżu kliniki - a nuż Shanna Whelan ukryła się tu w okolicy. Jego ludzie przeszukali okoliczne alejki i wrócili z niczym. Trzy przecznice dalej policyjny wóz zatrzymał się z piskiem opon przed zdemolowaną kliniką. Pulsujące światła kogutów buszowały po oknach okolicznych domów, budziły mieszkańców. Śmiertelnicy wychodzili na ulicę, liczyli, że zobaczą coś ekscytującego... na przykład zwłoki.

Zazwyczaj Ivan chętnie dostarczał im tej atrakcji, dziś jednak ludzie Steshy schránili sprawę. Banda nieudaczników.

Szedł w stronę dwóch czarnych sedanów. Odjechali z miejsca przestępstwa na długo przed zjawieniem się policji.

- Nie mogła rozpląnąć się w powietrzu. To zwyczajna kobieta.

Czterech zbirów szło za nim. Jasnowłosy olbrzym o kwadratowej szczęce przerwał ciszę.

- Nie widzieliśmy, żeby wychodziła, ani przednimi drzwiami, ani tylnymi.
Ivan wciągnął nosem jego zapach. Zero Rh dodatnie. Za mdła krew, za głupi facet.

- Więc co, chcesz powiedzieć, że jednak się rozplynęła? - Milczenie. Szli za nim ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Widzieliśmy, jak drzwi się otwierają - wyznał inny zbój, o twarzy upstrzonej bliznami po trądziku.

- No i...? - Ivan naciskał.

- Wydawało mi się, że widziałem dwie osoby. - Trądzik zmarszczył brwi. - Ale kiedy podeszliśmy do drzwi, nikogo tam nie było.

- Słyszałem jakby świst - mruknął trzeci zbir.

- Świst? - Ivan zacisnął pięści. - Tylko tyle macie mi do powiedzenia? - Przeszyło go napięcie, skoncentrowało się w czubkach pleców. Gwałtownie poruszył głową, aż rozległ się głośny trzask, i poczuł ulgę.

Czterech śmiertelników się wzdrygnęło. Stesha Bratsk, lokalny szef rosyjskiej mafii, uparł się, że w akcji przeciwko Shannie Whelan wezmą udział jego ludzie. I to był duży błąd. Ivana świerbiła ręka, żeby chwycić ich grube karki i wydusić z nich życie. Gdyby zabrał swoje wampiry, akcja przebiegłaby inaczej. Ta cała Whelan byłaby już martwa, a on zagarnąłby nagrodę - dwieście pięćdziesiąt kawałków. I tak dostanie tę kasę. Przypomniawsobie wnętrze kliniki. Ani śladu dziewczyny. Tylko jedna rzecz zwróciła jego uwagę - nietknięta pizza w pudełku z nazwą pizzerii wypisaną czerwonozielonymi literami.

- Gdzie jest Pizzeria Carlo's?

- W Małej Italii - odparł blond neandertalczyk. - Pyszna pizza.

- A lasagne jeszcze lepsza - dodał Trądzik.

- Kretyni! - Ivan łypnął groźnie. - Jak wytłumaczycie Steshowi dzisiejszą klęskę? Jego kuzyn w Bostonie dostał dożywocie dlatego, że ta suka zeznawała przeciwko niemu! Niespokojnie przestępowali z nogi na nogę. Odetchnął głęboko. Nie obchodziło go, co się dzieje ze Steshą czy jego krewnymi. W końcu to tylko śmiertelnicy. Ale ci goście pracują dla rodziny, powinni wykazać się większą lojalnością. I mniejszą głupotą.

- Od tej chwili nocą pracuję tylko z moimi ludźmi. Za dnia obserwujecie pizzerię i mieszkanie tej całej Whelan. Jeśli ją znajdziecie, macie ją śledzić. Jasne?

- Tak, proszę pana - odmruknęli chórem.

Ivan wątpił, by ich misja zakończyła się sukcesem. Jego wampiry szybciej znajdą Shannę Whelan. Problem w tym, że wampiry mogą działać tylko pod osłoną nocy. Cholerni śmiertelnicy są mu niezbędni, żeby szukać dentystki za dnia.

Zatrzymał się trzeci czarny sedan i z auta wysiadło dwóch kolejnych pracowników Steshy.

- No i co? Znaleźliście ją? - zapytał Ivan. Brodac z ogoloną głową podszedł bliżej.

- Przecnicę dalej widzieliśmy samochód. Zielona honda. Dwaj faceci. Pavel twierdzi, że widział też kobietę.

- Naprawdę tak było - potwierdził Pavel. - Wsadzili ją do bagażnika.

Ivan uniósł brwi. Czyżby ktoś inny zgarnął tę Whelan przed nim? O nie. Ktoś jeszcze ostrzy sobie zęby na nagrodę. Na jego kasę.

- I dokąd pojechali?

Pavel zaklął i kopnął w oponę.

- Zgubili nas.

Ivan znów poruszył kilka razy głową, żeby złagodzić napięcie w karku.

- Do cholery, czy was nikt nie szkolił? Stesha zatrudnia was w ciemno?

Łysol poczerwieniał, policzki nabiegły mu krwią. Ivan pociągnął nosem. AB Rh ujemne. Rany, ależ jest głodny. Chciał się posilić tą Whelan, ale teraz musi poszukać kogoś innego.

- Zapisaliśmy numery rejestracyjne - pochwalił się Pavel. - Dowiemy się, czyj to samochód.

- Dobrze. Za dwie godziny chcę to wiedzieć. Będę u siebie, na Brooklynie.

Pavel pobladł.

- Tak jest, sir.

Na pewno dotarły do niego plotki. Nie wszyscy, którzy nocą wchodzili do siedziby klanu, wychodzili z powrotem. Ivan podszedł bliżej i po kolei zajrzał sześciu mężczyznom w oczy.

- Jeśli ją znajdziecie, nie zabijajcie jej. To moje zadanie. Nawet nie ważcie się myśleć o zgarnięciu mojej kasy. Nie zdążycie się nią nacieszyć. Jasne?

Seria stęknąć i skinięć.

- A teraz idźcie. Stesha czeka na wieści.

Sześciu drabów wsiadło do czarnych sedanów i odjechali. Ivan zbliżył się do miejsca przestępstwa. Sąsiedzi zbici w gromadki, obserwowali policjantów. Jego uwagę przykuła ładna blondynka w różowym szlafroku. Spojrzał nią. „Chodź do mnie”.

Odwróciła się, obrzuciła go wzrokiem, uśmiechnęła się powoli. Idiotka, wydaje się jej, że go uwodzi. Gestem wskazał ciemny zaułek. Szła w jego stronę rozkołysanym krokiem, gładząc puszysty szlafrok długimi różowymi paznokciami. Wszedł w mrok i czekał.

Szła na śmierć, głupia, jak różowy pudel, który radośnie wpada do salonu piękności, przekonany, że będą go głaskać i chwalić.

- Jesteś tu nowy? Nie przypominam sobie, że bym cię już widziała.

Chodź bliżej.

- Masz coś pod tym szlafrokiem?

Zachichotała.

- Wstydz się! Nie wiesz, że policja jest tuż-tuż?

- Tym lepiej, może nie?

Roześmiała się, tym razem bardziej gardłowo, ochryple.

- Niegrzeczny z ciebie chłopiec, co? Złapał ją za ramiona.

- Nawet nie masz pojęcia. - Błyskawicznie wysunął kły. Jęknęła, ale na tym się skończyło, już po chwili wbił kły w jej szyję. Popłynęła krew - gęsta, gorąca, doprawiona ryzykiem - przecież tuż za rogiem stali policjanci.

Przynajmniej wieczór nie był całkowicie stracony... Nie dość, że zaliczył pyszny posiłek, to martwe ciało dziewczyny zmyli policję, odwróci ich uwagę od zaginionej dentystki. Ivan uwielbiał łączyć pracę i życie prywatne.

Shanna nerwowo przechadzała się po kuchni. Nie zrobi tego. Nie wstawi człowiekowi wilczego kła, co to, to nie. Laszlo wyszedł z informacjami, których niechętnie mu udzieliła, i teraz była sama w kuchni w domu Romana Draganestiego. Owszem, uratował jej życie, zaoferował wielkodusznie schronienie. Nie mogła jednak zrozumieć motywów jego

postępowania. Czy tak bardzo zależało mu na wstawieniu zwierzęcego kła, że chciał, by ona poczuła się dłużniczką?

Zatrzymała się przy stole, napiła dietetycznej coli. Nie tknęła kanapki z indykiem, którą zaproponował jej Connor, zbyt zdenerwowana, żeby jeść. Otarta się o śmierć. Dopiero teraz to sobie uświadomiła. Jest dłużniczką Romana. Ale mimo wszystko nie wstawi mu wilczego kła.

Zagadkowa postać ten cały Roman Draganesti. Najprzystojniejszy facet, jakiego kiedykolwiek spotkała, co jednak wcale nie znaczy, że jest zdrowy na umyśle. Wydawało się, że naprawdę mu zależy na jej bezpieczeństwie. Dlaczego? I po co mu górale w kiltach? Skąd zwykły człowiek bierze taką armię? Dał ogłoszenie do gazety: Szkotów w kiltach zatrudnię? Jeśli konieczne są aż takie środki ostrożności, musi mieć potężnych wrogów. Czy może komuś takiemu zaufać? Trudno wyczuć. Ale ona przecież też ma wrogów, i to nie ze swojej winy.

Wstała z westchnieniem i sięgnęła po colę. Im bardziej starała się zrozumieć Romana, tym bardziej się gubiła. Sytuację pogarszało jeszcze to, że niewiele brakowało, a pocałowałaby go.

Co ona sobie myślała?

Prawdę mówiąc, wcale nie myślała. Przejazdźka samochodem ją rozpałała. Ucieczka przed Rosjanami i bliskość Romana przyprawiły ją o ogromną dawkę adrenaliny. Niepokój mieszał się z pożądaniem. I tyle.

Drzwi się tworzyły, do kuchni wszedł Connor. Rozejrzył się dokoła.

- Wszystko w porządku, dziewczyno?

- Tak. Powiedziałeś Romanowi, że odmawiam wstawienia mu zwierzęcego kła?

Connor się uśmiechnął.

- Nie martw się tym. Laszlo na pewno powie panu Draganestiemu, co cię gryzie.

- Nie wiadomo, co z tego wyniknie - Usiadła przy stole i przysunęła do siebie talerz z kanapką, jeśli wierzyć chemikowi, pan Draganesti nalegał, żeby to właśnie ona wstawiła mu ząb, a pan Draganesti zawsze dopnie celu. Co za arogancja! Facet przywykł, że wszyscy go słuchają.

Romatech. Mówił, że tam pracuje. Romatech. Roman.

- O Boże. - Opadła na krzesło. Connor uniósł brwi.

- Roman jest właścicielem Romatechu, tak?

Connor przestępował z nogi na nogę. Obserwował ją czujnie,

- *Aye*, panienko. Tak, jest właścicielem.

- A więc to on wynalazł sztuczną krew.

- *Aye*.

- Niewiarygodne! - Wstała. - To chyba najzdolniejszy żyjący naukowiec!

Connor się skrzywił.

- No, niedokładnie tak bym to ujął, ale rzeczywiście, jest bardzo mądry.

- To geniusz! - Podniosła rękę. Boże drogi, uratował ją geniusz. Człowiek, który ocalił miliony ludzi na całym świecie. I ona też znalazła się wśród nich. Usiadła oszołomiona. Roman Draganesti. Przystojny, silny, seksowny, tajemniczy, jeden z najbardziej błyskotliwych umysłów tych czasów. Rany. To facet idealny.

Aż za idealny.

- Pewnie ma żonę.

- Ee, nie. - W niebieskich oczach Connora pojawił się błysk. - A co, podoba się panience?

Wzruszyła ramionami.

- Może. - Nagle kanapka z indykiem wydała się szczególnie apetyczna. Podniosła ją do ust.

W jej życiu dziś pojawił się fantastyczny, niesamowity kawaler. Choć to ekscytujące, musi pamiętać, co go sprowadziło do jej gabinetu. Przełknęła ślinę.

- I tak nie wstawię mu kła. Connor się uśmiechnął.

- Roman zazwyczaj potrafi dopiąć swego.

- Coś o tym wiem. Mój ojciec jest taki sam. - Kolejny punkt przeciwko Romanowi. Dopięła resztkę coli. - Mogę jeszcze? Sama sobie wezmę. - Wstała.

- Nie, nie, już podaję. - Connor podszedł do lodówki i zdjął z dolnej półki dwulitrową butelkę. Postawił ją na stole.

- Pyszna kanapka. A ty? Nic nie jesz? Nalał jej coli.

- Już jadłem, ale dziękuję za troskę.

- Właściwie dlaczego Roman zatrudnił Szkotów jako ochroniarzy? Nie pogniewasz się chyba, jeśli powiem, że to dość nietypowe?

- No, fakt. - Zakręcił butelkę coli. - Wszyscy robimy to, co nam najlepiej wychodzi. A ze mnie stary wojownik, można rzec. I dlatego praca w MacKay bardzo mi odpowiada.

- MacKay? - Shanna wbiła zęby w kanapkę. Miała nadzieję, że ochroniarz powie coś więcej.

- MacKay, Usługi Ochroniarskie i Detektywistyczne. - Usiadł naprzeciwko niej za stołem. - To duża firma z Edynburga. Prowadzi ją Angus MacKay we własnej osobie. Nie słyszała pani o nim?

Zaprzeczyła ruchem głowy, bo w ustach miała kanapkę.

- Najlepsza firma tego rodzaju na świecie - mówił z dumą. - No, a Angus i Roman to starzy przyjaciele. Angus dba o bezpieczeństwo domu i firmy.

Przy tylnych drzwiach rozległ się brzęczyk. Connor zerwał się na równe nogi. Shanna dostrzegła nieduży panel przy drzwiach, a w nim dwie diody, czerwoną i zieloną. Zapaliła się czerwona. Ochroniarz wyjął sztylet z pochwy u pasa i bezgłośnie podszedł do drzwi.

Przeszedł ją dreszcz.

- Co jest?

- Nie ma powodów do niepokoju, dziewczyno, jeśli to ktoś z naszych, wyjmie identyfikator i zapali się zielone światełko.

- W tej samej chwili czerwona dioda zgasła, a rozbłysła zielona. Connor stanął przy drzwiach, spięty do skoku jak tygrys, ciągle z nożem w dłoni.

- Więc dlaczego...

- Napastnik mógł zabić strażnika i odebrać mu kartę. - Podniósł palec do ust na znak, że ma milczeć.

Milczeć? Dobry Boże, może lepiej byłoby uciec, gdzie pieprz rośnie.

Drzwi uchylły się powoli.

- Connor? To ja, Ian.

- Wchodź. - Schował sztylet.

Ian okazał się kolejnym Szkotem w kilcie. Shanna pomyślała, że jest za młody na pracę w ochronie. Wyglądał najwyżej na szesnaście lat. Schował identyfikator do skórzanego woreczka u pasa i uśmiechnął się do niej nieśmiało.

- Witaj, pani.

- Miło mi, Ianie. - Biedak powinien chodzić do szkoły, a nie chronić nocą obcych przed rosyjską mafią.

- Wszystko sprawdziliśmy. Wszystko w porządku, panie - zameldował.

Connor skinął głową.

- Dobrze. Wracaj na stanowisko.

- *Aye*. Ale, panie, jeśli można, tyleśmy się z chłopakami nałazili, że zachciało nam się pić. Bardzo. Liczyliśmy, że dostaniemy... kapkę.

- Kapkę? - Connor zerknął na Shannę; minę miał nietęgą.

- Ale musicie wypić na zewnątrz.

Odniosła wrażenie, że nie wiadomo dlaczego, nagle poczuli się przy niej skrepowani. Usiłowała więc okazać życzliwość i zainteresowanie. Z uśmiechem wzięła colę ze stołu.

- Może coli, Ianie? Ja już dziękuję. Skrzywił się z obrzydzeniem. Odstawiła butelkę.

- No dobra, wiem, dietetyczna, ale nie taka zła.

Spojrzał przepaszająco.

- Ja... Na pewno jest pyszna, ale chłopaki i ja, my... Mieliśmy na myśli inny napój.

- Koktajl proteinowy - rzucił Connor.

- *Aye*. - Ian skinął głową. - Proteinowy, a jakże. Connor podszedł do lodówki i dał Ianowi znak, by do niego dołączył. Szepotali coś z przejęciem, zasłaniając się lodówką, wyjmowali coś, odsunęli się, żeby drzwi się zamknęły, a potem bokiem, jak bracia syjamscy zrośnięci barkami, podeszli do mikrofalówki na kontuarze.

Nie wiedziała, co robią, ale jedno było jasne - nie chcieli, żeby to widziała. Dziwne, co? No cóż, to taka dziwna noc. Shanna zjadła kanapkę i obserwowała Szkotów. Sądząc po odgłosach, otwierali butelki. Szczęk. Pewnie zamknęły się drzwiczki mikrofalówki. Kilka pisków i rzeczywiście usłyszała monotony szum. Odwrócili się do niej, oparci plecami o blat, tak że zasłaniając się mikrofalówką. Uśmiechali się do niej. Odpowiedziała tym samym.

- My... Nie ma to jak koktajl proteinowy na ciepło - odezwał się Connor, jakby drażniła go cisza.

Skinęła głową.

- Rozumiem.

- Więc to na ciebie polują Rosjanie? - zapytał Ian.

- Niestety, tak. - Odsunęła od siebie pusty talerz. - Przykro mi, że was w to wciągnęłam. Mój agent zajmie się sprawą i wtedy się mnie pozbędziecie.

- O nie, pani - sprzeciwił się Connor. - Zostaniesz pani tutaj.

- *Aye*. Rozkaz Romana - dodał Ian.

No ładnie. Roman jest wszechmocny i wszyscy go słuchają. Cóż, jeśli wciąż liczy, że wstawi mu wilczy kiel, to się myli. Ojcu zawdzięczała odporność na zapędy autorytarnych mężczyzn.

Mikrofalówka brzęknęła. Mężczyźni odwrócili się i otworzyli drzwiczki. Chyba zakręcili butelki, potrząsając nimi energicznie. Po chwili przestali, wymienili spojrzenia. Connor zerknął na Shannę, podszedł do szafki i wyjął papierową torbę, Ian zaśłaniał sobą butelki. Krzątali się tak szybko, że słyszała jedynie szelest papieru.

A potem Ian odwrócił się - trzymał papierowy worek, w którym niewątpliwie znajdowały się tajemnicze koktajle proteinowe. Ruszył do drzwi. Butelki pobrzękiwały przy każdym kroku.

- To ja już pójde. Connor otworzył mu drzwi.

- Zamelduj się za pół godziny.

- *Aye*. - Zerknął na Shannę. - Dobranoc pani.

- Cześć, Ian. Uważaj na siebie - zawołała za nim. Connor zamknął drzwi. Uśmiechnęła się do niego. - Connor, ty draniu. Myślisz, że nie wiem, co robiliście? Koktajl proteinowy, akurat

Otworzył szeroko oczy.

- Jak to... Niemożliwie, żebyś pani...

- Powinieneś się wstydzić. Czy on nie jest na to za młody?

- Ian? - Wydawał się zbity z tropu. - Za młody na co?

- Na picie alkoholu. Właśnie to mu dałeś, prawda? Chociaż po co komu ciepłe piwo, nie mieści mi się w głowie.

- Piwo? - Connor był naprawdę zszokowany. - Nie, pani, nie mamy tu piwa. A strażnicy nie piją na służbie, o nie.

Wydawał się bardzo dotknięty posądzeniem, uznała więc, że wyciągnęła błędne wnioski.

- No dobra, przepraszam. Nie chciałam powiedzieć, że źle wykonujecie swoją pracę.

Skinął głową, chyba trochę udobruchany.

- Naprawdę jestem wam bardzo wdzięczna za ochronę. - A jednak tamta sprawa nie dawała jej spokoju. - Ale nie zgadzam się, żeby strzegli mnie strażnicy tacy młodzi jak Ian. Dzieciak powinien spać i rano iść do szkoły.

Zmarszczył brwi.

- Jest trochę starszy, niż na to wygląda.

- Ile ma lat? Siedemnaście? Skrzyżował ręce na piersi.

- Więcej.

- To ile, dziewięćdziesiąt dwa? - Wcale go to nie rozbawiło. Rozglądał się po kuchni, jakby szukał odpowiedzi.

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła ciemna postać.

- Bogu dzięki - mruknął Connor. Wrócił Roman Draganesti.

Rozdział 6

Shanna nie wątpiła, że Roman rządzi i domem, i korporacją, ze swobodą i zarazem zdecydowaniem. Jego ciemny strój powinien wydawać się brzydki i ponury na tle barwnych szkockich kiltów ochroniarzy, tymczasem sprawiał, że Roman wyglądał w nim

jeszcze bardziej tajemniczo. Skryty. Seksowny Skinął głową Connorowi, a potem utkwiał w niej spojrzenie złotobrazowych oczu. I znów poczuła siłę jego spojrzenia; jakby chciał ją uwięzić, odseparować od świata. Przerwała magiczny kontakt, poruszyła się na krześle, zerknęła na pusty talerz. Nie pozwoli sobą manipulować. Kłamczucha. Serce biło jej jak szalone. Działał na nią, czy jej się to podoba, czy nie. Przeszył ją dreszcz,

- Najadłaś się? - zapytał niskim głosem. Skinęła głową. Nie chciała na niego patrzeć.

- Connor, zostaw informację dla dziennej zmiany. W kuchni musi być dość jedzenia dla doktor...

- Whelan.

Znali już jej prawdziwe imię. I wiedzieli, że rosyjska mafia chce ją zabić. Nie było sensu upierać się przy nazwisku Wilson.

- Doktor Shanna Whelan - powtórzył, jakby wymówienie jej nazwiska dawało mu nad nią władzę. - Connor, poczekaj w gabinecie. Wkrótce wróci Gregori, wszystko ci wytłumaczy

- *Aye*, sir. - Szkot ukłonił się Shannie i wyszedł. Odprowadziła go wzrokiem do kuchennych drzwi

- Wydaje się miły.

- I taki jest. - Roman oparł się o kuchenny blat i splótł ręce na piersi.

Zapadła krępująca cisza. Shanna bawiła się chusteczką, cały czas czując na sobie jego spojrzenie. Niewątpliwie jest jednym z najzdolniejszych naukowców. Ciekawe, jak wygląda jego laboratorium. Nie, chwileczkę! Roman zajmuje się krwią. Wzdrygnęła się.

- Zimno ci?

- Nie. Chciałam... Chciałam ci podziękować za uratowanie mi życia.

- Na pewno? Nie jesteś w pozycji pionowej, nie do końca.

Była zaskoczona. Uśmiechnął się, w oczach migotały radosne iskierki. Drań sobie z niej żartuje, wypomina jej wcześniejsze zachowanie. Przy nim jednak nawet pozycja pionowa okazała się niebezpieczna. Zarumieniła się na wspomnienie niedosłego pocałunku.

- Jesteś głodny? Może zrobię ci kanapkę. Iskierki w oczach rozblęły.

- Poczekam.

- Dobrze. - Wstała, zaniósła pusty talerz i szklanę do zlewu. I to chyba był błąd. Teraz dzieliło ją od niego zaledwie kilka centymetrów. Co jest w nim takiego, że ma ochotę rzucić mu się w ramiona? Oplukala szklanę. - Wiem, kim jesteś.

Cofnął się o krok.

- Co takiego wiesz?

- Wiem, że jesteś właścicielem Romatech Industries. Wiem, że wynalazłeś krew syntetyczną. Uratowałeś życie milionom ludzi na całym świecie. - Zakręciła wodę, zacisnęła dłonie na kontuarze. - Uważam, że jesteś genialny.

Nie zareagował. Przyglądał się jej ze zdumieniem. Na miłość boską, nie zdaje sobie sprawy, że jest genialny? Zmarszczył brwi i się odwrócił.

- Nie jestem taki, jak ci się wydaje.

Uśmiechnęła się.

- Jak to? Nie jesteś inteligentny? Owszem, przyznaję, pomyśl, żeby sobie wstawić wilczy kiel, to nie przebłysk geniuszu, ale...

- To nie jest wilczy kiel.

- To nie jest ludzki ząb. - Przechyliła głowę, przyglądała mu się spod oka. - Naprawdę wypadł ci ząb? A może po prostu wpadłeś tam jak księżę z bajki, żeby mnie ocalić i porwać na rączym rumaku?

Kąciki jego ust drgnęły.

- Od lat nie dosiadałem rączego rumaka.

- A zbroja pewnie ci zardzewiała?

- Owszem.

Pochyliła się w jego stronę.

- Ale i tak jesteś bohaterem.

Błady uśmiech zniknął zupełnie.

- Nie jestem. I naprawdę straciłem ząb, widzisz? - Palcem uniósł kącik ust.

Rzeczywiście, w równych zębach była dziura po prawej dwójce.

- Kiedy to się stało?

- Kilka godzin temu.

- Więc może jeszcze nie jest za późno. Oczywiście o ile masz prawdziwy ząb.

- Mam. To znaczy ma go Laszlo.

- Och. - Podeszła bliżej, wspięła się na palce. - Mogę?

- Tak. - Pochylił głowę.

Przesunęła wzrok z jego oczu na usta. Czowała coraz mocniejsze bicie serca. Dotknęła policzka i spojrzała na swoją dłoń.

- Nie mam rękawiczek.

- Mnie to nie przeszkadza.

Jej też nie. Boże drogi, w życiu badała wiele jam ustnych, ale nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego. Delikatnie dotknęła ust. Szerokich, zmysłowych.

- Otwórz.

Usłuchał. Wsunęła palec do środka, zbadała lukę po zębie.

- Jak do tego doszło?

- Argh.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się. - Mam okropny zwyczaj zadawania pytań, choć pacjent nie może odpowiedzieć. - Chciała wyjąć palec, ale Roman zamknął usta. Spojrzała mu w oczy i natychmiast utonęła w złotym spojrzeniu. Powoli wyjęła palec. Jezu, kolana się pod nią uginały. Oczyma wyobraźni już widziała, jak nieprzytomna osuwa się na podłogę, patrzy na niego błagalnie i szepcze: weź mnie.

Dotknął jej twarzy.

- Teraz moja kolej?

- Co? - Ledwo go słyszała, tak głośno waliło serce.

Musnął kciukiem jej dolną wargę.

Drzwi do kuchni otworzyły się gwałtownie.

- Wróciłem! - oznajmił Gregori z szerokim uśmiechem. - W czymś przeszkodziłem?

- Owszem. Jak zawsze. - Roman osadził go wzrokiem. - Idź do gabinetu, Connor tam czeka.

- Jasne. - Gregori szedł do drzwi. - Przybyła już moja mama. A Laszlo jest gotowy.

- Świetnie. - Roman wyprostował się, spojrzał na Shannę nieprzeniknionym wzrokiem. - Chodź.

- Słucham? - Patrzyła, jak podchodzi do drzwi. Co za bezczelność. Więc wracamy do rzeczywistości, tak? Otworzył się przed nią odrobinę, ale teraz znów był wielkim szefem. No cóż, myli się, jeśli sądzi, że będzie wydawać jej rozkazy. Zapięła kitel, nie spieszyła się. Wzięła torebkę ze stołu i poszła zanim.

Stanął u stóp schodów, witając się ze starszą panią. Miała na sobie elegancki szary kostium, a na przedramieniu torebkę, przekraczającą wartością niejedną miesięczną pensję. W czarnych włosach Shanna dostrzegła siwe pasmo, niknące w koku na karku. Na widok Shanny uniosła pięknie sklezione brwi.

Roman się odwrócił.

- Shanna, pozwól, że ci przedstawię matkę Gregoria i moją osobistą asystentkę, Radinkę Holstein.

- Dzień dobry. - Shanna wyciągnęła rękę.

Radinka przyglądała się jej, nie podając ręki, ale po chwili rozpromieniła się i mocno uścisnęła jej dłoń.

- Wreszcie się zjawiłaś.

Shanna zamrużyła nerwowo, zbita z tropu. Radinka uśmiechała się od ucha do ucha. Błądziła wzrokiem między nimi - Roman, Shanna, znów Roman.

- Tak się cieszę, że względu na was oboje.

Roman skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na nią groźnie. Dotknęła barku Shanny.

- Moja droga, gdybyś czegoś potrzebowała, mów od razu. Co wieczór jestem albo tu, albo w Romatechu.

- Pracuje pani w nocy?

- Firma jest otwarta przez całą dobę, a ja wolę nocną zmianę. - Zatoczyła krąg dłonią o ciemnoczerwonych, lśniących paznokciach. - Za dnia jest za głośno, tyle samochodów dostawczych, taki ruch, że z trudem słyszę własne myśli.

- Och.

Radinka poprawiła torebkę w zgięciu łokcia i spojrzała na Romana.

- Coś jeszcze?

- Nie, do zobaczenia jutro. - Podeszedł do schodów. - Chodź, Shanno.

Siad. Głos. Aport. Waruj. Łypnęła gniewnie na jego plecy. Radinka zachichotała i nawet jej śmiech brzmiał jakoś obco, egzotycznie.

- Nie martw się, moja droga. Wszystko będzie dobrze. Niedługo się spotkamy.

- Dziękuję... Bardzo mi miło. - Weszła na schody. Dokąd Roman ją prowadzi? Oby się okazało, że tylko do pokoju gościnnego. Ale jeśli Laszlo ma jego ząb, powinna wstawić go jak najszybciej.

- Roman? - Wyprzedził ją, straciła go z oczu.

Na półpiętrze zatrzymała się i podziwiała hol. Radinka szła w stronę zamkniętych drzwi po prawej stronie. Pantofelki z szarej skóry stuknęły na marmurowej posadzce. Wydawała się dziwna, ale w tym domu nic nie było normalne. Radinka otworzyła drzwi i hol zalały odgłosy z telewizora.

- Rhadinka? - zapiszczał kobiecy głos. - Gdzie jest pan? Miślałam, że psibędzie z tobą. - Im więcej mówiła nieznajoma, tym wyraźniejszy stawał się francuski akcent. Kolejny obcy akcent? Jezu, trafiła do międzynarodowego domu świrów.

- Niech tu psijdzie - ciągnęła kobieta z francuskim akcentem. - Chcemy się zabawić. Kolejny kobiecy głos włączył się do rozmowy i błagał Radinkę, żeby zaraz sprowadziła pana.

Shanna się zachnęła. Pan. Kto to niby jest? Męska wersja dziewczyny „Playboya”?

- Cicho, Simone - rzuciła Radinka, nie kryjąc irytacji. - Jest zajęty.

- Ale ja psijechałam specjalnie z Parhyża.... - Dalsze jęki urwały się nagle, gdy zamknęła drzwi.

Ciekawe. O którego faceta im chodziło? O jednego ze Szkotów? Hm. Shanna sama chętnie zajrzałaby im pod kilt.

- Idziesz? - Roman stał piętro wyżej i przyglądał się jej, marszcząc brwi.

- Tak. - Powoli pokonywała kolejne stopnie. - Wiesz, że jestem ci bardzo wdzięczna za wszystko, co zrobiłeś, żeby mi zapewnić bezpieczeństwo.

Rozpromienił się.

- Nie ma sprawy.

- Myślę więc, że nie będziesz zły, jeśli ci powiem o swoich obawach co do skuteczności twoich ochroniarzy.

Uniósł brwi. Obejrzał się za siebie, wrócił do niej wzrokiem i oświadczył spokojnie:

- To najlepsi ochroniarze na świecie.

- No, może, ale... - Dotarła do drugiego piętra, a tam stał kolejny Szkot w kilcie. Mężczyzna zaplótł żylaste ramiona na piersi i przypatrywał się Shannie bacznie. Za jego plecami ze ściany zerkali elegancko ubrani ludzie z olejnych portretów. Wszyscy zdawali się patrzeć na nią gniewnie.

- Mogę prosić o więcej szczegółów? - W złotobrazowych oczach Romana pojawił się błysk rozbawienia.

A niech go szlag.

- No cóż. - Odchrząknęła. - Są bardzo przystojni. Zgodziłaby się ze mną każda kobieta. - Zauważyła, że Szkot odrobinę się rozchmurzył. - Świetnie ubrani, mają boskie nogi i strasznie mi się podoba ich chód.

Na twarzy Szkota pojawił się uśmiech.

- Dzięki, panienko.

- Nie ma za co. - Odpowiedziała uśmiechem. Roman zmarszczył czoło.

- Skoro uważasz moich ochroniarzy za mężczyzn idealnych, w czym problem?

Shanna pochyliła się w jego stronę.

- Chodzi o ich broń. Mają tylko mały mieczyk u pasa....

- Szkocki sztylet - poprawił Roman.

- No i ten nożyk w skarpecie.

- *Sgian dubh* - pouczył.

- Nieważne. - Łypnęła groźnie. - No, popatrz tylko na ten nożyk. Jest z drewna, na miłość boską! To epoka prawie kamienia łupanego, a Rosjanie mają karabiny maszynowe, do cholery! Mam mówić dalej?

Szkot zachichotał.

- Mądralka, sir. Mam jej co nieco pokazać? Roman westchnął.

- Dobrze.

Szkot odwrócił się, odchylił portret, za którym znajdowała się skrytka, i po chwili znów patrzył na Shannę. Działo się to tak szybko, że ledwie się zorientowała, na co się zanosi, a już celował do niej z pistoletu maszynowego.

- Rany - sapnęła.

Szkot odłożył broń do schowka i zamknął ukryte drzwiczki.

- Teraz dobrze, panienko?

- O tak. Byłeś wspaniały. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Zawsze do usług.

- W całym domu jest broń - powiedział twardo Roman. - Nie przesadzałem, zapewniając, że będziesz tu bezpieczna. Mam mówić dalej?

Wydeła usta.

- Nie.

- No to idziemy. - Poszedł pierwszy na górę.

Shanna czuła się głupio. Niepotrzebnie zachowała się niegrzecznie. Jeszcze raz spojrzała na Szkota.

- Piękny kilt, widzę, że różni się wzorem od innych.

- Shanna! - Roman już czekał piętro wyżej.

- Idę! - Pobiegła po schodach, a jej krokom towarzyszył chichot Szkota. Jezu, co nagle ugryzło Romana? - A skoro już mowa o ochronie, jest jeszcze jeden problem, który chciałabym poruszyć.

Przymknął oczy i odetchnął głęboko.

- Mianowicie? - Pokonał kilka stopni.

- Chodzi o Iana. Jest za młody, żeby wykonywać tak niebezpieczną pracę.

- Jest starszy, niż wygląda.

- Nie uwierzę, że ma więcej niż szesnaście lat. Powinien chodzić do szkoły.

- Zapewniam cię, że Ian otrzymał odpowiednie wykształcenie. - Roman był już na trzecim piętrze, minął strażnika. W kilcie.

Shanna pomachała mu. Ciekawe, czy za obrazem kryje się broń nuklearna. Z drugiej strony, czy dom nafaszerowany bronią naprawdę jest bezpieczny?

- Nie chcę, żeby strzegło mnie dziecko. Protestuję.

- Przyjąłem twój sprzeciw do wiadomości - rzucił, cały czas idąc.

I tyle? Przyjąłem i zapomnę?

- Mówię poważnie. Jesteś tu szefem i najwięcej zależy od ciebie...

Zatrzymał się wpół kroku.

- Skąd wiesz, że jestem szefem?

- Domyśliłam się, a Connor potwierdził moje przypuszczenia.

Westchnął i ruszył dalej.

- Widzę, że muszę poważnie porozmawiać z Connorem. Shanna dreptała za nim.

- Jeśli ty nie załatwisz sprawy Iana, zwrócę się do jego szefa, Angusa MacKaya.

- Co? - Zatrzymał się. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. - Skąd o nim wiesz?

- Connor mi powiedział, że to właściciel agencji MacKay - Usługi Ochroniarskie i Detektywistyczne.

- Na miłość boską. - Roman pokręcił głową. - Muszę bardzo poważnie porozmawiać z Connorem. - Doszedł do czwartego piętra.

- Na które idziemy?

- Na piąte.

- A co tam jest?

- Moje apartamenty.

Jej serce na moment przestało bić. Zatrzymała się na czwartym, żeby wyrównać oddech. W półmroku krył się strażnik w kilcie.

- A pokoje gościnne?

- Będiesz na czwartym, później cię tam zaprowadzę. - Ruszył dalej. - Chodź.

- Dlaczego idziemy do ciebie?

- Musimy omówić coś ważnego.

- A tu nie możemy?

- Nie.

Uparciuch. Szukała tematu do rozmowy.

- Nie brałeś pod uwagę zainstalowania tu windy?

- Nie.

Nie dawała za wygraną.

- Skąd pochodzi Radinka?

- Dziś to jest Republika Czeska.

- Co miała na myśli, mówiąc, że wreszcie się zjawiłam?- Shanna pokonywała ostatnie stopnie.

Wzruszył ramionami.

- Radinka jest przekonana, że ma dar jasnowidzenia.

- Tak? Myślisz, że naprawdę ma? Zatrzymał się u szczytu schodów.

- Nie obchodzi mnie, w co wierzy, póki dobrze wykonuje swoją pracę.

- No właśnie. - Chyba nigdy nie słyszał o empatii. - Jeśli chodzi o sprawy zawodowe, ufasz jej, ale kiedy mówi, że ma zdolność jasnowidzenia, nie wierzysz.

Zmarszczył brwi.

- Jej przepowiednie są błędne.

- Skąd wiesz? - Pokonała ostatni stopień. Mars na jego czole się pogłębił.

- Powiedziała, że czeka mnie w życiu wielka radość.

- I co w tym złego?

- A wyglądam na radosnego typu?

- Nie. - Denerwujący facet! - Więc pogrążasz się w nieszczęściu, byle tylko jej udowodnić, że się myli?

W jego oczach pojawił się błysk.

- Nie. Byłem nieszczęśliwy już na wiele lat przed jej poznanie. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- No to brawa dla tego pana. Sam się skazujesz na życie w cierpieniu.

- Nieprawda.

- Właśnie że tak.
- To dziecinne. - Skrzyżował ręce na piersiach.
- A właśnie że nie. - Zagryzła usta, żeby się nie roześmiać. Za dobrze bawiła się, prowokując go.
Przyglądał się Shannie uważnie i kąciki jego ust drgnęły.
- Chcesz mi dokuczyć?
- A ty lubisz cierpieć?
Roześmiał się.
- Jak ty to robisz?
- Co? Jak ciebie rozbawiam? - Uśmiechnęła się. - To dla ciebie nowe doświadczenie?
- Nie, ale dawno tak się nie czułem. - Przyglądał się jej ze zdumieniem. - Zdajesz sobie sprawę, że dziś cudem uniknęłaś śmierci?
- Owszem. Życie bywa okropne, i wtedy można tylko śmiać się albo płakać. I czasami wybieram śmiech. - Już dość się napłakała. - Zresztą miałam dziś szczęście. Mój anioł stróż zjawił się w odpowiedniej chwili.
Zesztywniał.
- Nie myśl tak o mnie. Nie jestem... Jestem beznadziejny.
W jego oczach wyrzuty sumienia wrzały jak płynne złoto.
- Roman. - Dotknęła jego policzka. - Zawsze jest nadzieja.
Cofnął się o krok.
- Nie dla mnie.
Czekała, liczyła, że coś powie, że się jej zwierzy, on jednak milczał. Odwróciła się na pięcie. W mroku czekał kolejny strażnik. Dostrzegła dwoje drzwi i wielki obraz między nimi. Przyjrzała mu się uważnie. Był to pejzaż, zachód słońca nad górzystą zieloną krainą. W dolinie zasnutą mgłą przycupnęły ruiny kamiennej budowli w stylu romańskim.
- Piękny - szepnęła.
- To... to był klasztor, w Rumunii. Tylko tyle z niego zostało.
I zostały wspomnienia, domyśliła się, patrząc na ściągniętą twarz Romana. Nie najlepsze. Czemu trzyma tu malowidło, skoro ten widok sprawia mu ból? No tak. Lubi cierpieć. Wpatrywała się w obraz. Rumunia? To tłumaczyłoby ledwie słyszalny akcent. Budynek mógł być zniszczony podczas wojny albo w czasach komunizmu, wydawało się jednak, że doszło do tego w zamierzchłej przeszłości. Dziwne. Co ruiny starego klasztoru mają wspólnego z Romanem?
Otworzył drzwi po prawej stronie. - To mój gabinet. - Zaprosił ją do środka. Nagle miała ochotę odwrócić się i uciec. Dlaczego? Uratował jej życie, a teraz miałby ją skrzywdzić? Zdjęta torebkę z ramienia, przycisnęła do piersi, ma przy sobie pistolet. Cholera, po tym, co przeszła w ciągu ostatnich miesięcy, nie potrafiła nikomu zaufać.
I to właśnie było najgorsze. Zawsze będzie sama. A tak bardzo pragnęła normalnego życia - męża, dzieci, pracy, ładnego domku w ładnej dzielnicy, najlepiej z białym płotem. Zwykłego życia, do cholery. Ale nigdy go nie dostanie. Rosjanie nie zabili jej tak jak Karen, ale i tak odebrali jej życie.
Wyprostowała się i weszła do obszernego pomieszczenia. Rozejrzała się, ciekawa, jakie meble wybrał Roman, ale jej uwagę zwrócił ruch po przeciwnej stronie gabinetu. Z

półmroku wynurzyły się dwie postacie: Connor i Gregori. Powinna odetchnąć z ulgą, ale ich miny budziły niepokój. W pokoju nagle zrobiło się zimno. Bardzo zimno. Lodowaty podmuch omiół jej głowę.

- Roman?

Zamknął drzwi na klucz i wsunął go do kieszeni. Przełknęła ślinę.

- Co się dzieje? Patrzył na nią z ogniem w złotych oczach. Podszedł bliżej i szepnął:

- Już czas.

Rozdział 7

Wampiry od stuleci posługują się kontrolą umysłu. W ten sposób najłatwiej przekonać śmiertelnika, by z własnej woli zaofiarował się jako źródło pożywienia. I tylko tak mogą pozbyć go wspomnień o tym zajściu, kiedy jest już po wszystkim. W czasach przed wynalezieniem sztucznej krwi Roman co noc uciekał się do hipnozy i kontroli myśli. Nigdy nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Była to kwestia życia lub śmierci. Normalne.

Powtarzał to sobie, prowadząc Shannę na górę, do gabinetu. Nie ma powodów, by czuł się winny. Wspólnie z Gregoriem i Connorem przejmą kontrolę nad jej umysłem; zmusi ją, by mu wstawiła kieł, a potem usunie to z jej pamięci. Prosta sprawa. Zwyczajna. Sam nie wiedział, czemu denerwuje się coraz bardziej. Gdy stanął na progu gabinetu, dręczyły go wątpliwości co do sensowności całego planu. Trzech wampirów na jedną śmiertelniczkę? Owszem, to prawdopodobnie jedyny sposób, by pokonać jej upór. Jedyny sposób, by odzyskał cholerny kieł. Ale nabierał coraz silniejszego przekonania, że będzie to, ni mniej, ni więcej, brutalny atak.

Shanna stała pośrodku gabinetu zdana na ich łaskę i niełaskę, a jego dopadły wyrzuty sumienia. Nie ma innego wyjścia, powtarzał sobie. Nie może przecież być z nią szczerą. Jeśli dowie się, że ma do czynienia z demonem, nie zechce mu pomóc. Czuł, jak mentalna moc trzech wampirów krąży po pokoju, by skoncentrować się na Shannie. Upuściła torebkę na podłogę. Z jękiem przycisnęła dłonie do skroni.

Roman zbliżył się do niej mentalnie, chciał się upewnić, czy wszystko w porządku. Tak. Shanna błyskawicznie wzniosła potężną zaporę mentalną. Nie sądził, że ludzie są do tego zdolni.

Zadziwiające.

Gregori ponowił atak, bombardował ją lodowatą determinacją. *Przejmę twoje myśli.*

Ja też. Connor wytrwale osłabiał jej system ochronny.

Nie! Roman posłał im ostrzegawcze spojrzenie. Wzdrygnęli się, wycofali, spojrzeli na niego zaskoczeni. Oczekiwali oporu Shanny, nie jego. A prawda jest taka, że chciał jej myśli dla siebie. I zależało mu, żeby była bezpieczna. Owszem, potrzeba wielkiej siły umysłu, by przedrzeć się przez jej zaporę, ale kiedy mury runą, tak potężna dawka energii mentalnej mogłaby zniszczyć jej umysł.

Podszedł do niej, przyciągnął do siebie.

- Dobrze się czujesz? Wtuliła się w niego.

- Nie za bardzo. Głowa... Strasznie mi zimno.

- Nic ci nie będzie. Objął ją ramieniem, wściekły na siebie, że jego wiekowe ciało nie wytwarza ciepła. - Przy mnie nie ci nie grozi. - Położył dłoń na jej głowie, jakby w ten sposób chciał ją uchronić przed kolejnymi atakami.

Przyjaciele wymienili zatroskane spojrzenia. Connor odchrząknął.

- Mogę na stówko?

- Za chwilę. - Będą oczekiwać wyjaśnień, a Roman nie miał pojęcia, co powiedzieć. Jak wytłumaczyć dziwne uczucia, które go przepełniały tego wieczoru? Pożądanie, strach, rozbawienie, wyrzuty sumienia, poczucie winy. Miał wrażenie, że Shanna obudziła jego serce z drugiego, głębokiego snu. Póki jej nie poznał, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był martwy. I jak bardzo teraz poczuł się pełny życia.

Wstrząsnął nią dreszcz.

- Usiądź, odpocznij. - Zaprowadził ją do sofy obitej aksamitem, tej samej, z której wcześniej tego wieczoru pił z Vanny.

Skuliła się, otuliła ramionami.

- Bardzo mi zimno.

Zastanawiał się już, czy nie przynieść kołdry z sypialni, gdy zauważył bordowy koc, niedbale przerzucony przez oparcie fotela. Nigdy go nie używał; Radinka przyniosła pled – upierała się, że w gabinecie jest za zimno. Otulił nim Shannę.

- Dziękuję. - Podciągnęła koc pod szyję. - Nie wiem, co jest, ale strasznie mi zimno.

- Zaraz się rozgrzejesz. - Odgarnął jej włosy z czoła. Szkoda, że w ten sam sposób nie może usunąć jej lęków. Connor przechadzał się nerwowo koło barku, Gregori, oparty o ścianę, rzucał Romanowi wściekłe spojrzenia. - Gregori, dopilnuj, żeby doktor Whelan było wygodnie. Może ma ochotę na coś z kuchni. Gorącą herbatę na przykład?

- Jasne. - Gregori podszedł bliżej. - Jak się masz, kotku?

Kotku? Roman skrzywił się i odszedł na bok, żeby porozmawiać z Connorem. Szkot odwrócił się tyłem do Shanny i mówił bardzo cicho, tak że tylko wyczulony wampiryczny słuch wychwytywał jego słowa.

- Laszlo mówił, że jest inna. Nie wierzyłem mu, ale teraz sam widzę. Nigdy nie spotkałem śmiertelnika o takiej odporności.

- To prawda. - Roman spojrział na nią przelotnie. Gregori wykorzystał maksymalnie cały swój wdzięk, bo wydawała się rozbawiona.

- Laszlo mówi, że jeśli dziś ona nie wstawi ci zęba, będzie za późno.

- Wiem.

- Nie ma czasu, żeby szukać innej dentystki. - Connor zerknął na stary zegar na kominku. - Laszlo zadzwoni za osiemnaście minut.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Więc czemu nas powstrzymałeś? Byliśmy już bardzo blisko.

- Umysł dziewczyny mógłby tego nie wytrzymać, obawiałem się, że nasze siły rozwalą jej mózg.

- No tak. - Connor w zadumie pocierał podbródek. - jej umysł musi pracować, w przeciwnym razie nie zdoła wstawić ci zęba. Rozumiem.

Roman zmarszczył brwi. Wcale nie myślał o cholernym zębie. Martwił się o Shannę. Co się z nim dzieje? Popęłnił zbyt wiele grzechów, by teraz budziło się w nim sumienie. Odwrócił się.

Gregori przysiadł na skraju sofy. Położył sobie na kolanach stopy Shanny.

- Więc co robimy? - Głos Connora oderwał jego uwagę od Shanny.

- Musi mi zaufać. Musi mnie wpuścić z własnej woli.

- Hm. A niby od kiedy kobiety robią coś z własnej woli? Mógłbyś się męczyć ze sto lat, a masz tylko osiemnaście minut. - Connor zerknął na zegarek. - A nawet siedemnaście.

- Po prostu muszę być wyjątkowo czarujący. - Jakby to potrafił. Znow się odwrócił i spojrzał na Shannę. Gregori zsuwał jej buty z nóg.

- Musisz. - Connor pokiwał głową. - Kobiety lubią czarusiów.

Roman zmrużył oczy. Gregori masował Shannie stopy. Powróciły wspomnienia. Gregori bawiący się stopami Vanny, z jej palcem w ustach, z czerwonym płomieniem w oczach.

A niech to.

- Zostaw ją, do cholery! - Krzyknął tak głośno, że wszyscy w pokoju drgnęli niespokojnie.

Gregori zsunął z kolan stopy dziewczyny i wstał.

- Kazałeś mi się nią zająć.

Shanna przeciągnęła się i ziewnęła.

- Świetnie ci szło, Gregori. Zasypiałam już, gdy Roman zaryczał jak rozjuszony byk.

- Rozjuszony byk? - Gregori zachichotał, ale umilkł, gdy zobaczył minę szefa. Odchrząknął i odsunął się od Shanny.

- Connor, w barku jest whisky. - Roman wyciągnął rękę. Szkot otworzył drzwiczki.

- Talisker z Isle of Skye. Po co ci whisky?

- Angus mi przysłał. Ma nadzieję, że skomponuję dla niego nowy drink z linii fusion.

- Och, byłoby wspaniale. - Connor tęsknie zerknął na butelkę. - Bardzo mi tego brakuje.

- Nalej odrobinę pani Whelan. - Roman podszedł do sofy. - Lepiej?

- Tak. - Uniosła rękę do czoła. - Ból migrenowy, ale już przechodzi. To było bardzo dziwne.

Mogłabym przysiąc, że słyszałam głosy w głowie. - Gadam jak wariatka, co?

- Nieprawda. - Wręcz przeciwnie, to dobre wieści. Nie rozpoznała, czyje to były głosy. I nie łączyła migreny z ich wysiłkami, by wedrzeć się do jej umysłu.

Masowała czoło.

- Może to wirus. Albo schizofrenia. Rany. Lada chwila oznajmię, że wewnętrzny głos mówi mi, co mam robić.

- Na twoim miejscu nie zawracałbym sobie tym głowy. -Przysiadł na oparciu sofy. - To wszystko da się łatwo wyjaśnić - doświadczasz stresu posttraumatycznego.

- Pewnie tak. - Przesunęła się odrobinę, zrobiła mu miejsce. - Mówiła mi o tym psychiatra z FBI. Uprzedzała, że do końca życia mogą mi się zdarzać napady paniki. Fajnie, co?

- Z FBI? - Connor podał jej szklaneczkę whisky. Shanna się skrzywiła.

- Właściwie nie powinnam o tym mówić, ale byliście tak fajni, że chyba zasługujecie, by wiedzieć, co się dzieje.

- Powiedz tyle, ile chcesz. - Roman wyjął szklaneczkę z rąk Connora i podał Shannie. - Wypij to, rozgrzejesz się. - I język ci się rozwiąże. A zapora opadnie.

Wsparła się na łokciu.

- Zazwyczaj nie piję nic mocniejszego niż piwo.

- Ale dziś sporo przeszłaś. - Piekło z zastępem demonów. Roman wcisnął jej szklanekę. Upiła łyk i zanosła się kaszlem.

- Jezu! - Miała łzy w oczach. - Cholera! To sam alkohol, tak? Roman wzruszył ramionami i odstawił szklanekę na podłogę.

- A czego się spodziewałaś? Przecież nalewał ci rodowity Szkot.

Opadła na sofę, zmrużyła oczy.

- A niech mnie, Roman, czyżbyś żartował?

- Może. Udało mi się? - Czarowanie kobiety to dla niego coś nowego. Wcześniej po prostu brał, co chciał.

Jej twarz powoli rozjaśniła się w uśmiechu.

- Chyba jednak nie miałaś racji. Jest dla ciebie nadzieja.

Na miłość boską, ależ z niej optymistka. Czy pewnego dnia będzie musiał zdławić tę naiwność brutalną rzeczywistością? Dla krwiożerczego demona nie ma nadziei. Ale niech się ludzi, że nie jest jeszcze stracony. Zwłaszcza jeśli to ma mu ułatwić drogę do jej umysłu.

- Mówiłaś coś o FBI?

- Ach, tak. Obejmuje mnie Program Ochrony Świadców. Mam łącznika, z którym powinnam się kontaktować w razie niebezpieczeństwa, ale kiedy dzwoniłam, nie odbierał.

- Naprawdę masz na imię Shanna? Westchnęła.

- Teoretycznie nazywam się Jane Wilson. Shanna Whelan nie żyje.

Położył jej dłoń na ramieniu. - Jestem innego zdania.

Zamknęła oczy.

- Straciłam rodzinę. Nigdy więcej ich nie zobaczę.

- Opowiedz mi o nich. - Zerknął na zegarek, jeszcze dwanaście minut.

Uniosła powieki i niewidzącym wzrokiem zapatrzyła się w dal.

- Mam brata i siostrę, są ode mnie młodszy. W dzieciństwie byliśmy bardzo zżyci, bo mieliśmy tylko siebie. Ojciec pracuje w Departamencie Stanu, więc dorastaliśmy za granicą.

- Gdzie?

- W Polsce, na Ukrainie, Litwie, Białorusi.

Roman i Connor wymienili spojrzenia.

- Czym zajmuje się twój ojciec?

- Jest urzędnikiem, nigdy nie mówił, co robi. Dużo podróżował.

Roman bez słowa wskazał głową biurko. Connor skinął i podszedł do komputera.

- Jak nazywa się twój ojciec?

- Sean Dermot Whelan. Moja mama jest z wykształcenia nauczycielką, więc sama nas uczyła, w domu. Póki... - Zmarszczyła brwi i ciałniej otuliła się kocem.

- Póki? - Roman usłyszał stukot klawiszy komputera. Zaczęło się sprawdzanie Seana Dermota Whelana.

Shanna westchnęła.

- Kiedy miałam piętnaście lat, rodzice wysłali mnie do szkoły z internatem w Connecticut. Powiedzieli, że lepiej będzie, jeśli ukończę normalną szkołę, że dzięki temu dostanę się na

dobry uniwersytet.

- Brzmi rozsądnie.

- Wtedy też tak myślałam, ale...

- Co?

Przewróciła się na bok, twarzą do niego.

- Nie wysłali ani mojej siostry, ani brata. Tylko mnie.

- Rozumiem. - Wybrali ją. Rozumiał to lepiej, niż był w stanie przyznać.

Nerwowo skręcała w palcach frędzel pledu.

- Uznałam, że robiłam coś nie tak.

- To niemożliwe. Byłaś dzieckiem. - Do Romana wróciły wspomnienia, które, jak sądził, już dawno umarły. - Tęskniłaś za rodziną.

- Na początku bardzo, ale potem poznałam Karen. Bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Ona pierwsza zapragnęła zostać dentystką. Nabijałam się z niej, że chce zarabiać na życie grzebaniem w ludzkich ustach. Ale kiedy trzeba było wybierać, też zdecydowałam się na stomatologię.

- Rozumiem.

- Chciałam pomagać ludziom i stać się częścią społeczności, no wiesz, dentystką z naszej ulicy, która wspiera finansowo dziecięcy klub sportowy. Chciałam zapuścić korzenie i żyć normalnie. Żadnej włóczugi po świecie. I chciałam leczyć dzieci. Zawsze je lubiłam. - W jej oczach zalśniły łzy. - A teraz nie odważę się ich mieć. Cholerni Rosjanie. - Pochyliła się, podniosła szklankę z whisky i wychyliła jednym haustem. - Wynajmowałyśmy z Karen mieszkanie w Bostonie. Co piątek szłyśmy do pizzerii. Zamawiałyśmy pizzę, ciasto czekoladowe i wieszalyśmy psy na facetach, bo żadna z nas nie miała chłopaka. Aż pewnego wieczoru... - Wzdrygnęła się. - To było jak w starych gangsterskich filmach. Romana zaintrygowało, czemu nie miała chłopaka. Śmiertelnicy są chyba ślepi. Wziął ją za rękę.

- Mów dalej, już teraz cię nie skrzywdzą.

Jej oczy znów wypełniły się łzami.

- Krzywdzą mnie każdego dnia. Codziennie przed snem widzę, jak Karen umiera. Na moich oczach. I nie sprawdzam się jako dentystka! - Wyciągnęła rękę po whisky. - Rany, nie znoszę alkoholu!

- Spokojnie. - Odebrał jej szklaneczkę. - Jak to: nie sprawdzasz się jako dentystka?

- Powiedzmy sobie szczerze, straciłam zawód, jak mam pracować, skoro mdleję na widok krwi?

Ach, tak. Boisz się krwi. Zapomniał o tym.

- No właśnie, ten strach... Czy to zaczęło się tamtej nocy w pizzerii?

- Tak. - Wytarła oczy. - Byłam w łazience, kiedy rozległy się krzyki. I strzały, w całym lokalu. Słyszałam, jak kule roztrzaskują się o ściany. I wrzaski rannych ludzi.

- To Rosjanie?

- Tak. Ogień ustał, więc wymknęłam się z łazienki i zobaczyłam Karen. Leżała na podłodze. Ona... dostała w brzuch i w klatkę piersiową. Żyła jeszcze i kręciła głową, jakby chciała mnie ostrzec.

Shanna zakryła oczy dłonią.

- Wtedy ich usłyszałam. Stali za piecem do pizzy i krzyczeli coś po rosyjsku. - Opuściła rękę, spojrzała na Romana. - Nie znam rosyjskiego, ale rozumiem przekleństwa. Mieliliśmy z bratem taką zabawę - kto zna więcej przekleństw w jak największej liczbie języków.

- Rosjanie cię widzieli?

- Nie. Kiedy ich usłyszałam, schowałam się za wielką donicą. Potem padły strzały w kuchni. I wtedy wyszli. Zatrzymali się przy Karen, patrzyli na nią. Widziałam ich twarze, zanim odeszli.

- Czy przy innych ofiarach też się zatrzymywali? Shanna zmarszczyła brwi. Usiłowała sobie przypomnieć.

- Nie, na pewno nie. Oni...

- Tak?

- Otworzyli jej torebkę i sprawdzili prawo jazdy. Wkurzyli się, klęli na czym świat stoi, cisnęli jej torebkę na ziemię. To było dziwne. No bo przecież zabili tam dziesięć osób. Niby dlaczego zawracali sobie głowę sprawdzaniem tożsamości Karen?

No właśnie, dlaczego? Romanowi nie podobały się wnioski, które same się nasuwały, ale nie chciał niepokoić Shanny, póki nie nabierze pewności.

- Zeznawałaś przeciwko nim i dostałaś nową tożsamość?

- Tak, mniej więcej dwa miesiące temu stałam się Jane Wilson i zamieszkałam w Nowym Jorku. - Westchnęła. - Właściwie nikogo tu nie znam. Poza dostarczycielem pizzy. Fajnie jest mieć z kim pogadać. Umiesz słuchać.

Zerknął na zegarek na kominku. Jeszcze tylko cztery minuty. Może zaufała mu na tyle, że go wpuści do swego umysłu.

- Wiesz, Shanno, umiem nie tylko słuchać. Ja... jestem ekspertem od terapii hipnozą.

- Cofasz ludzi do poprzednich wcieleń? - Szeroko otworzyła oczy.

Uśmiechnął się.

- Pomyślałem, że moglibyśmy spróbować hipnozy, żeby pokonać twój strach przed widokiem krwi.

- Och. - Zamrugwała. Usiadła gwałtownie. - Mówisz poważnie? Myślisz, że można to wyleczyć?

- Tak. Musisz mi tylko zaufać...

- Jasne. - Łypnęła na niego podejrzliwie. - Ale nie kazałbyś mi robić coś głupiego? Na przykład, nie wiem, rozbierać się i piąć jak kogut, ilekroć ktoś zagwizdże na taksówkę?

- Nie mam ochoty słuchać, jak piejesz. A reszta... - Pochylił się i szepnął jej do ucha: - Brzmi ciekawie, ale wolałbym, żebyś rozebrała się z własnej woli.

Spuściła głowę czerwona jak burak.

- Aha.

- Zaufasz mi?

- Chcesz to zrobić teraz?

- Tak. - Siłą woli zmusił ją, by nie uciekała spojrzeniem. -To proste. Musisz się tylko odprężyć.

- Odprężyć? - Patrzyła mu w oczy. Wzrok jej nieco zmętniał.

- Połóż się. - Delikatnie ułożył ją na szezlongu. - Cały czas patrz mi w oczy.

- Tak - szepnęła. Zmarszczyła czoło. - Masz dziwne oczy.

- A ty piękne.

Uśmiechnęła się i zaraz skrzywiła z bólu.

- Zimno mi.

- Zaraz przejdzie, wszystko będzie dobrze. Shanno, czy chcesz pokonać swój strach?

- Tak, tak, bardzo chcę.

- To ci się uda. Będziesz silna i pewna siebie. Nic już nie stanie na przeszkodzie, żebyś była wspaniałą dentystką.

- Brzmi super.

- Jesteś odprężona i bardzo, bardzo śpiąca.

- Tak. - Jej powieki opadły.

Wszedł. Coś takiego, jakie to proste! Otworzyła mu drzwi na oścież. Wystarczyła odpowiednia motywacja. Musi to sobie zapamiętać, na wypadek gdyby w przyszłości miał do czynienia z innymi trudnymi śmiertelnikami. Kiedy jednak zagłębiał się w jej myśli, wiedział, że Shanna jest jedyna w swoim rodzaju.

Pozornie jej umysł był świetnie zorganizowany, lecz za uporządkowaną fasadą kryły się potężne emocje. Otaczały go, zasysały. Strach. Ból. Rozpacz. Wyrzuty sumienia. A jeszcze głębiej - uparta chęć przetrwania, mimo wszystko, za wszelką cenę. Znał je wszystkie, a jednak u Shanny wydawały się inne, były świeże, bolesne. Jego przyschły, obumierały przez ponad pięćset lat. Boże drogi, znowu czuć z taką siłą. Emocje uderzały do głowy, upajały. Kryła się w niej pasja, zdawała się czekać na odpowiedni moment, by się uwolnić. Na niego.

Mógłby otworzyć jej serce tak samo, jak otworzył umysł.

- Roman. - Gregori patrzył na zegarek. - Masz czterdzieści pięć sekund.

Otrząsnął się z zadumy.

- Shanna, słyszysz mnie?

- Tak - szepnęła, nie otwierając oczu.

- Będziesz miała cudowny sen. Znajdziesz się w gabinecie dentystycznym. Nowym, bezpiecznym gabinecie. Ja będę twoim pacjentem, poproszę, żebyś mi wstawiła ząb. Zwyczajny ludzki ząb. Zrozumiałaś?

Powoli skinęła głową.

- Nie przestraszysz się, nawet jeśli pojawi się krew. Nie zawahasz się. Będziesz pracować dalej, spokojnie, pewnie, do końca. A potem prześpisz dziesięć godzin i o wszystkim zapomnisz.

Obudzisz się wypoczęta i szczęśliwa. Zrozumiałaś?

- Tak.

Odgarnął jej włosy z czoła.

- A teraz śpij. Wkrótce zaczniesz się sen. - Roman wstał. Shanna spała smacznie z dłonią pod policzkiem, otulona bordowym kocem. Wydawała się taka niewinna, taka ufna.

Zadzwoił telefon. Connor odebrał.

- Chwileczkę, włączam głośnik.

- Halo? Słyszycie mnie? - Sądząc po głosie, Laszlo był zdenerwowany. - Przypuszczam, że jesteście gotowi. Nie mamy czasu, jest już za piętnaście piąta.

Romana zaciekało, czy chemikowi zostały jeszcze jakieś guziki na kitlu.

- Słyszymy cię, Laszlo. Zaraz tam będę. Z dentystką.

- Tak. - Roman spojrział na Gregoria. - Sprawdź, o której dokładnie wschodzi słońce i zadzwoń do nas do gabinetu na pięć minut przed wschodem, żebyśmy zdążyli teleportować się z powrotem.

Gregori się skrzywił.

- To ryzykowne. Nie zdążę wrócić do siebie.

- Możesz spać tu.

- Ja też? - dopytywał się Laszlo przez głośnik.

- Tak. Nie martwcie się, mam mnóstwo pokoi gościnnych. - Roman wziął śpiącą Shannę na rękę.

- Sir. - Connor wstał zza biurka. - Jeśli chodzi o jej ojca.... Wygląda na to, że ten człowiek nie istnieje. Może CIA coś wie. Wyślę Iana do Langley, niech poszpera.

- Dobrze. - Roman mocniej objął Shannę. - Laszlo, mów, póki do ciebie nie dotrzemy.

- Tak jest sir. Jak pan sobie życzy, sir. Ja... No cóż, wszystko już gotowe. Umieściłem pański ząb w specjalnym pojemniku, zgodnie z poleceniem dentystki. O, właśnie sobie przypominałem, był taki film o dentyście sadyście, jakże się nazywał ten aktor...

Głos chemika płynął, ale Roman nie rejestrował poszczególnych słów. Traktował głos jak kierunkowskaz, szukał go umysłem, aż znalazł. Utarte trasy, jak z domu do firmy, miał wyryte w pamięci, ale jeśli nie znał czy to punktu wyjścia, czy też celu podróży, wielką pomocą przy teleportacji okazywał się wskaźnik zmysłowy. Jeśli zobaczył miejsce, mógł tam dotrzeć. Jeśli słyszał głos, szedł jego śladem. Bez tych drogowskazów, mogłyby się zmaterializować w niewłaściwym miejscu, na przykład w środku muru albo w pełnym słońcu.

Gregori zostanie w gabinecie, a potem zadzwoni, żeby ich ściągnąć z powrotem. Pokój nikał mu przed oczami. Roman podążył za głosem Laszlo do gabinetu stomatologicznego.

Zmaterializował się i usłyszał, jak mały chemik wzdycha z ulgą. Gabinet był mdły, utrzymany w różnych odcieniach beżu. Powietrze przepętniał zapach środków dezynfekujących.

- Dzięki Bogu, sir. Proszę, tędy. - Laszlo podreptał do gabinetu.

Roman upewnił się, że Shannie nic się nie stało. Spała spokojnie w jego ramionach. Szedł za Laszlem, ciekaw, czego Ian dowie się o jej ojcu. Może zadarł z rosyjską mafią za granicą - to tłumaczyłoby, dlaczego chcą zemsty. A nie mogąc dopaść ojca, uderzają w córkę. To tłumaczyłoby także, dlaczego sprawdzili tożsamość Karen i wpadli w złość. Mocniej objął Shannę. Oby się mylił, ale instynkt podpowiadał, że ma rację.

Rosjanie nie polowali na Shannę tylko dlatego, że była świadkiem masakry w Bostonie. Już wtedy ona była ich celem. Nie spoczną, póki jej nie dopadną.

Rozdział 8

Ivan Petrovsky przeglądał pocztę przy biurku. Zaległe rachunki za elektryczność i gaz.

Wzruszył ramionami. Jakie znaczenie mają trzy tygodnie, gdy skończyło się sześćset lat? Nienawidził codziennego, zwykłego świata śmiertelnych. Rozerwał pierwszą z brzegu kopertę. Och, jest szczęściarzem. Proponują mu ubezpieczenie na życie. Kretyni. Cisnął ją do śmieci. Jego uwagę zwróciła koperta koloru kości słoniowej. Nadawca - Romatech. Warknął ze złości. Już darł ją na pół, ale w ostatniej chwili się opamiętał. Dlaczego przekłety Roman Draganesti do niego pisze? W ogóle nie utrzymują kontaktów. Wyjął arkusik z koperty i położył na biurku.

Zaproszenie dla niego i jego klanu na bal otwierający Wiosenną Konferencję w Romatechu, za dwie noce. A więc już czas. Draganesti wyprawiał ten bal co roku; zjeżdżały się wampiry z całego świata, a przywódcy klanów odbywali tajne spotkania i omawiali najważniejsze aspekty życia współczesnego wampira. Pieprzeni słabeusze. Nie zdają sobie sprawy, że wampir to wyższa forma istnienia? Problemy powodują śmiertelni i jest tylko jeden sposób, by sobie z nimi radzić: wykorzystać, zniszczyć. Nie ma o czym dyskutować. Na ziemi są miliardy ludzi, codziennie rodzą się nowi. Wampirom nie grozi głód.

Cisnął zaproszenie do śmieci. Od osiemnastu lat nie uczestniczył w tych idiotycznych zjazdach. Odkąd Draganesti, ten zdrajca, wprowadził na rynek swoją sztuczną krew. Ivan wyszedł wtedy pełny niesmaku i nie wrócił. Zadziwiające, że Draganesti uparcie co roku wysyła mu zaproszenie. Kretyn pewnie ciągle się ludzi, że Ivan i jego zwolennicy się zmieniają, zaakceptują tą nową „ucywilizowaną” wizję wampirycznej egzystencji. Faj. Frustracja i stres wywołały fizyczne dolegliwości, zeszytywniał mu kark. Rozmasował mięśnie poniżej uszu, zamknął oczy. Wyobraził sobie Romana i jego popleczników na balu, jak tańczą w eleganckich strojach wieczorowych, popijają z kryształowych kieliszków to syntetyczne paskudztwo, prawią sobie komplementy. To wystarczyło, by zrobiło mu się niedobrze.

Za żadne skarby nie wyrzeknie się świeżej ludzkiej krwi ani emocji, które towarzyszą polowaniu, ani rozkoszy ukąszenia. Draganesti i jemu podobni to zdrajcy idei wampiryzmu. Obraza dla tego słowa. Hańba.

Myślał, że gorzej już być nie może, ale Draganesti upadł jeszcze niżej. Dwa lata temu zdrada przerodziła się w absurd, gdy wprowadził na rynek najnowszy wynalazek, linię Vampire Fusion. Ivan jęknął. Kark pulsował bólem. Chcąc się rozluźnić, nastawił go sobie. Rozległ się głośny trzask, taki sam, jaki wydają wyginane palce śmiertelnika.

Fusion. Kpina w żywe oczy. Hańba. Bezczelne i kuszące. I bez przerwy reklamowane w stacji DVN, Digital Vampire Network. Ba, zdybał nawet dwie dziewczyny ze swojego haremu, jak ukradkiem popijały chocoood - najnowszą perwersję tego zdrajcy, krew z czekoladą. Ivan kazał je wychłostać, ale i tak podejrzewał, że jego harem raczy się tym specyfikiem pod jego nieobecność. I tak po raz pierwszy od stu lat jego śliczne, zwinne dziewczęta zaczęły tyć.

Pieprzony Draganesti! Niszczy tradycje wampirów, sprawia, że z mężczyzn robią się mięczaki, a z kobiet tłuste krowy. I jeszcze zbija na tym majątek, on i jego klan pławi się w luksusie, a Ivan i jego wampiry gnieżdżą się w brooklyńskiej ruderze.

Ale już niedługo. Wkrótce zaprezentuje zwłoki Shanny Whelan i zainkasuje ćwierć miliona dolarów. Jeszcze kilka takich lukratywnych zleceń i będzie bogaty jak Draganesti i

inni zarozumiali przywódcy klanów - Angus MacKay i Jean-Luc Echarpe. A wtedy niech sobie wsadzą swoją krew fusion tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Pukanie do drzwi oderwało jego myśli od Romana.

- Wejść.

Zajrzał Alek, zaufany przyjaciel.

- Przyszedł śmiertelnik, Pavel - powiedział.

Potężny jasnowłosa mężczyzna, wchodząc do niewielkiego pomieszczenia, nerwowo rozglądał się na boki. Stesha twierdził, że to najinteligentniejszy z jego ludzi, co pewnie sprowadza się do tego, że umie czytać.

Ivan wstał. Mógłby wzbic się w powietrze, ale takie sztuczki zachowywał na specjalne okazje.

- I jak Stesha przyjął nowinę o waszej klęsce? Pavel się skrzywił.

- Nie był zachwycony. Ale mamy solidny trop.

- Pizzerię? Była tam?

- Nie, nigdzie jej nie widzieliśmy.

Ivan przysiadł na biurku.

- Więc jaki to trop?

- Samochód, który widziałem. Zielona honda. Sprawdziłem numer rejestracyjny.

Ivan czekał.

- No i? - Boże, jak strasznie go wkurza, gdy śmiertelnicy usiłują budować napięcie z byle powodu.

- Właścicielem jest Laszlo Veszto.

- I co z tego? - Znów poczuł ból w szyi. To trwa już za długo. - Nigdy o nim nie słyszałem.

Alek zmrużył oczy.

- Ja też nie.

W uśmiechu Pavla było za dużo pewności siebie.

- Wcale się nie dziwię. My też nie wiedzieliśmy, kto to, ale aż za dobrze znamy nazwisko jego pracodawcy. Nie zgadniecie, kto to jest.

Ivan zbliżył się do Pavla tak szybko, że przerażony śmiertelnik pobladł i wybałuszył oczy. Złapał go za koszulę i przyciągnął do siebie.

- Nie wymądrzaj się, Pavel. Mów, co wiesz, i to już.

Pavel przełknął ślinę.

- Laszlo Veszto pracuje w Romatechu.

Ivan puścił go i się cofnął. Cholera. Mógł się tego domyślić. Za wszystkim kryje się Roman Draganesti. Sukinsyn od lat był mu cierniem w boku. Bardzo bolesnym cierniem. Przechylił głowę, poruszył karkiem, aż zachrząściły kręgi.

Pavel się wzdrygnął.

- Laszlo pracuje na zmianie dziennej czy nocnej?

- Chyba... na nocnej.

Wampir. Dlatego Shannie Whelan udało się zniknąć.

- Masz jego adres?

- Tak. - Wyjął z kieszeni karteczkę.

- Świetnie. - Ivan przeczytał. - W ciągu dnia macie obserwować dwie nowe lokalizacje -

mieszkanie Laszlo Veszty i kamienicę Romana Draganestiego. - Zazgrzytał zębami. - Na Upper East Side.

- Tak jest, sir. - Pavel się zawahał. - Czy mogę... odejść?

- Jeśli uda ci się, zanim moje dziewczyny uznają, że smakowity z ciebie kąsek.

Chłopak zaklął pod nosem i rzucił się do drzwi. Ivan podał karteczkę Alkowi.

- Jedź tam z paroma ludźmi. I przed świtem sprowadź mi tu pana Veszte w jednym kawałku.

- Tak jest, sir. - Schował arkusik do kieszeni. - Wygląda to, że Draganesti ma dziewczynę. Po co mu ona?

- Nie wiem. - Ivan odszedł do biurka. - Nie sędzę, chciał ją zabić dla pieniędzy. To mięczak.

- *Da*. I bez tego ma mnóstwo forsy.

Co do cholery planuje ten drań? Czyżby chciał pokrzyżować plany Ivana? Pieprzona swołocz. Spojrzał na przedarte zaproszenie w koszu na śmieci.

- Niech Vladimir obserwuje jego dom. Dziewczyna pewnie tam jest. No, już.

- Tak jest, sir. - Alek zamknął za sobą drzwi.

Ivan wyjął zaproszenie z kosza. To najprostszy sposób konfrontacji z Draganestim. Inaczej do niego nie dotrze, cały czas otaczają go szkockie wampiry.

Nic dziwnego, że Draganesti przywiązywał taką wagę do ochrony. Było już parę zamachów na jego życie. Ludzie Romana unieszkodliwili kilka bomb w siedzibie Romatechu – znalazły się tam za sprawą Prawdziwych, sekretnego stowarzyszenia wampirów. Niestety, bomby rozbrojono, zanim wybuchły.

Grzebał w szufladzie, aż znalazł taśmę klejącą. Starannie skleił połówki zaproszenia. Wstęp na konferencję mieli tylko zaproszeni goście i po raz pierwszy od lat Ivan i kilka zaufanych osób weźmie w niej udział. Najwyższy czas, żeby Roman Draganesti zrozumiał, że z Ivanem Petrovskim się nie zadziera.

Bo Ivan to nie tylko przywódca rosyjskiego klanu. Stoi także na czele Prawdziwych i zadba, by tegoroczny bal przeszedł do historii.

Rozdział 9

Fatalnie, że śmiertelnicy potrzebują aż tyle światła, żeby dobrze widzieć. Roman zmrużył oczy, podrażnione blaskiem lampy. Leżał na fotelu dentystycznym, pod brodą miał papierowy śliniak. Hipnoza działała. Shanna poruszała się jak robot. Jeśli uda mu się utrzymać ją w spokoju, wszystko się uda. Nie może tylko pozwolić, by ocknęła się z, jak jej się wydaje, snu.

- Proszę otworzyć usta. - Mówiła spokojnym, monotonnym głosem.

Poczuł ukłucie w dziąsło. Uniósł powieki. Wyjmowała mu strzykawkę z ust.

- Co to było?

- Znieczulenie miejscowe, żeby nie bolało.

Za późno. Sam zastrzyk okazał się bolesny. Ale musiał przyznać, że stomatologia przeszła

długą drogę, odkąd ostatni raz miał do czynienia z przedstawicielami tej profesji. Z dzieciństwa pamiętał cyrulika, który w jego wiosce wyrwał zepsute zęby zardzewiałymi kowalskimi szczypcami. Roman za wszelką cenę starał się zachować swoje w dobrym stanie, choć za szczoteczkę służyła mu mała gałazka. Jednak udało mu się dożyć trzydziestego roku życia z pełnym garniturem.

Bo właśnie wtedy zaczęło się jego nowe życie... czy raczej śmierć. Po transformacji ciało nie ulegało żadnym zmianom przez następne pięćset czternaście lat. Nie żeby prowadził spokojny tryb życia, wręcz przeciwnie. Były ciosy, rany, złamania, postrzały, ale nic na tyle poważnego, czego nie uleczyłby porządny całodniowy sen. Aż do teraz.

Teraz zdany na łaskę dentystki, nie miał pewności, do jakiego stopnia zdołał zawładnąć jej umysłem. Shanna włożyła lateksowe rękawiczki.

- Chwilę potrwa, zanim znieczulenie zacznie działać.

Laszlo odchrząknął, żeby zwrócić na siebie uwagę, i znacząco spojrzął na zegarek. Obawiał się, że zabraknie im czasu.

- Już działa. - Roman wskazał ząb. Nic dawnego, technicznie rzecz biorąc, jest przecież martwy. I tak się czuł od wielu, wielu lat. Ale dziś zabolalo jak diabli, kiedy kopnęła go w podbrzusze. W samochodzie mało brakowało, żeby stracił nad sobą panowanie. Odkąd poznał Shannę, wracał do życia. Zwłaszcza poniżej pasa. - Możemy zaczynać?

- Tak. - Przysiadła na wysokim stołku na kołkach i przysunęła się do fotela dentystycznego. Pochyliła się i przycisnęła piersi do ramienia Romana. Stłumił jęk.

- Proszę otworzyć. - Wsunęła mu palec w usta, obmacała górną szczękę. - Czuje pan coś?

Boże drogi, tak. Zdusił odruch, by zamknąć usta na jej palcu i ściągnąć z niego rękawiczkę. *Zdejmij to, najdroższa, a pokażę ci, co czuje.*

Zmarszczyła brwi, wyjęła palec z jego ust, spojrziała na swoją dłoń i zaczęła ściągać rękawiczkę.

- Nie! - Dotknął jej ramienia. Cholera. Łączy ich silniejsza więź, niż mu się wydawało. - Nic nie czuję. Proszę kontynuować.

- Dobrze. - Poprawiła rękawiczkę na dłoni. Boże drogi, nie do wiary. Kontrola umysłu śmiertelnika działa przecież w jedną stronę. Siłą woli narzuca obiektowi swoje pragnienia, dyktuje, co ma robić i tyle. Nikt nigdy nie zaglądał w jego myśli. Śmiertelny nie może czytać w głowie wampira. Roman obserwował ją bacznie. Ile wychwyliła?

Musi bardzo uważać na swoje myśli, skupić się na bezpiecznych tematach. Koniec rozważań o jego ustach i o tym, która część jej ciała w nich się znajdzie. Pomyśli o czymś innym, na przykład o jej ustach i o tym, która część jego ciała mogłaby się w nich znaleźć. Poczul, że nabrzmiewa. Nie! Tylko nie seks, nie teraz. Musi mu wstawić ząb.

- Co robimy? - Przechyliła głowę. Na jej czole pojawił się mars. - Wstawiamy ząb czy uprawiamy seks?

Gapił się na nią ze zdumieniem. Boże. Nie dość, że czyta w nim jak w książce, to jeszcze mogłaby uprawiać z nim seks. Nie do wiary.

Laszlo sapał głośno.

- Na Boga, skąd jej przychodzą do głowy takie... To przecież... - Zmrużył oczy, przesunął wzrok na Romana. - Panie Draganesti, jak pan może!

Jak mógłby powiedzieć nie, skoro Shanna jest chętna. Seks ze śmiertelną? Ciekawe.

Zwyczajny seks w fotelu dentystycznym. Bardzo ciekawe.

- Sir! - Laszlo podniósł głos o oktawę. Nerwowo bawił się guzikiem. - Nie ma czasu na dwie... procedury. Musi pan wybierać, ząb albo... - Skrzywił się, widząc wybrzuszony rozporek Romana.

Ząb czy... nieząb? Ten ostatni napierał na suwak, jakby mówił: wybierz mnie, mnie, mnie!

- Sir? - Laszlo miał w oczach panikę.

- Przecież myślę - warknął Roman. Cholera. Spojrzał na Shannę. Stała tuż obok, z nieruchomą twarzą i oczami martwymi jak u manekina. Cholera. Dla niej to się nie dzieje naprawdę. To tak, jakby uprawiał seks z Vanną. Co gorsza, Shanna zniecierpliwiliby go po wszystkim. Nie, nie zrobi tego. Bardzo jej pragnie, ale poczeka. Dopilnuje, żeby przyszła do niego z własnej woli.

Odetchnął głęboko.

- Wybieram ząb. Możesz się tym zająć, Shanno? Spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem.

- Mam wstawić ząb. Zwykły ząb - powtórzyła to, co jej wcześniej mówił.

- Tak jest.

- Właściwa decyzja, sir, pozwolę sobie zauważyć. - Laszlo nie podnosił wzroku, speszony zaskakującym obrotem sytuacji i potencjalną zmianą planów. Podszedł do Shanny, podał jej słoiczek z zębem. - Proszę.

Otworzyła pojemnik, wyjęła siatkową podkładkę, na której leżał kieł. Roman wstrzymał oddech, gdy go wyjmowała. Czy na widok kła odzyska jasność myślenia?

- Jest w świetnym stanie - mruknęła - Dobrze. W jej oczach to zwyczajny ząb. Laszlo zerknął na zegarek.

- Sir, jest kwadrans po piątej. - Szarpnął kolejny raz i guzik został mu w dłoni. - O rany. Nie zdążymy.

- Zadzwoń do Gregoria i dowiedz się, o której dokładnie wschodzi słońce.

- Dobrze. - Schował guzik do kieszeni i sięgnął po komórkę. Wybierając numer, przechadzał się nerwowo po gabinecie. Przynajmniej miał coś do roboty. Skończyły mu się guziki, co znaczyło, że zaatakuję koszulę albo spodnie. Roman wzdrygnął się na tę myśl.

Shanna pochylała się nad nim. Znowu poczuł na barku jej piersi. Dżinsy stały się za ciasne.

Nie myśl o tym.

- Otwieramy.

Szkoda, że nie ma na myśli jego rozporka. Otworzył usta. Piersi miała jędrne i miękkie zarazem. Ciekawe, jaki rozmiar stanika nosi. Nie za duży, ale i niezbyt mały.

- Trzydzieści sześć B - mruknęła, pochylona nad tacą z narzędziami.

Jezu Chryste, czyżby słyszała wszystko, co sobie pomyśli? Tyle samo, ile on od niej? Zobaczmy: *Jaki rozmiar ubrań mam ci kupić?*

- Dziesiątkę. Nie. - Skrzywiła się. - Dwunastkę. - Za dużo pizzy i sernika. Boże, nienawidzę tyć. Oddałabym wszystko za ciastko z czekoladą.

Roman uśmiechnąłby się, gdyby nie miał szeroko otwartych ust. Przynajmniej jest szczerą do bólu. *A co o mnie sądzisz?*

Przystojny... Tajemniczy... Dziwny... - Zajął się pracą. - Inteligentny... Arogancki... Pociągający... Jej myśli były odległe, niewyraźne, koncentrowała się na tym, co robią jej

ręce. *Napalony. .. Wielki jak ogier...*

Wystarczy, dziękuję. Jak ogier? Znaczy, że jej się to podoba czy nie? Cholera, niepotrzebnie o to pytał. Zresztą, co go obchodzi, co o nim myśli zwykła śmiertelniczka? Niech wstawi ten cholerny ząb. Ale dlaczego uważa, że jest dziwny.

Odsunęła się.

- To bardzo dziwne.

Owszem. Jak i on.

Uważnie przyglądała się tacce z instrumentami. Szczególnie interesowało ją małe lusterko na długim cienkim drążku.

O nie.

- Pewnie się zepsuło - podsunął.

- Ale siebie widzę. - Pokręciła głową, ściągnęła brwi. - Bez sensu. Dlaczego nie widzę twoich ust?

- Lusterko ma jakąś wadę. Kontynuuj bez niego. Wciąż wpatrywała się w lusterko.

- Nie jest zepsute. Widzę swoje odbicie. - Uniosła dłoń do czoła.

Cholera, zaraz oprzytomnieje. Laszlo wrócił z telefonem przy uchu.

- Ojej. Mamy problem?

- Odłóż lusterko, Shanno - polecił Roman spokojnie.

- Dlaczego nie widzę twoich ust? - Spojrzała na niego zaniepokojona. - W lusterku w ogóle cię nie widzę.

Laszlo się skrzywił.

- Ojejku - szepnął do telefonu. - Gregori, mamy problem. Delikatnie mówiąc.

Roman wiedział, że jeśli straci kontrolę nad Shanną, nie odzyska kła. Zobaczy, że to naprawdę kieł i nie będzie chciała go wstawić.

A jeśli domyśli się, dlaczego nie ma odbicia w lustrze?

Skoncentrował się na niej.

- Spójrz na mnie. Odwróciła się do niego. Przechwycił jej wzrok, wzmógł nacisk na umysł.

- Masz mi wstawić ząb, pamiętasz? Chciałaś to zrobić. Chciałaś pokonać strach przed krwią.

- Strach - mówiła cicho. - Tak, nie chcę się już dłużej bać. Chcę pracować. Chcę normalnie żyć. - Odłożyła lusterko, sięgnęła po ząb. - Wstawię ci go.

Roman odetchnął z ulgą.

- Dobrze.

- Boże, ależ było blisko - szeptał Laszlo do telefonu. - Aż za blisko.

Roman otworzył usta i Shanna zabrała się do pracy. Laszlo zasłaniał słuchawkę dłonią, ale i tak było go słychać:

- Później ci wyjaśnię, ale wygląda na to, że nasza dentystka była o krok od transformacji w Doktora No. - Podszedł bliżej, żeby lepiej widzieć. - Już wszystko jest w porządku. Aż za bardzo.

Ciągle niewystarczająco, pomyślał Roman.

- Odwrócić głowę. - Shanna dotknęła jego podbródka.

- Pociąg wjechał na właściwy tor - wysapał Laszlo. - Nabiera tempa.

Roman poczuł, że kieł jest na miejscu.

- Lekarka ma obiekt w dłoni. - Laszlo relacjonował tonem sprawozdawcy sportowego. - Ptaszek wraca do gniazda. Powtarzam, ptaszek wraca do gniazda. - Chwila ciszy. - Tak, Gregori. muszę tak mówić. Musimy trzymać... Kota w worku i zgasić światło. Przed kilkoma minutami mało brakowało, a zapaliłaby je.

- Arrgh. - Roman gotował się ze złości.

- Pan Draganesti chwilowo nie może mówić, i to chyba dobrze - ciągnął Laszlo. - Był niebezpiecznie blisko zmiany zdania, gdy dentystka złożyła mu szokującą propozycję.

- Ahrrrr! - Roman piorunował go wzrokiem.

- Och. - Laszlo się skrzywił. - Chyba nie powinienem o tym informować. - Umilkł. Słuchał. Przez głowę Romana przebiegła litania przekleństw. Gregori na pewno domaga się szczegółów.

- Później ci wytłumaczę - mruknął Laszlo, i już głośniejszym głosem dodał: - Przekażę tę informację panu Draganestiemu. Bardzo dziękuję. - Wsunął aparat do kieszeni. - Gregori mówi, że słońce wstaje dokładnie o szóstej sześć. Zadzwoń o szóstej, chyba że skończymy wcześniej, wtedy my się z nim skontaktujemy. - Zerknął na zegarek. - Za dwadzieścia szósta.

- Aargh. - Roman dał znać, że zrozumiał. Dobrze chociaż, że Laszlo skończył rozmowę. Shanna uniosła mu górną wargę, obejrzała wstawiony kieł.

- Ząb jest na miejscu, ale musimy założyć opatrunek, który go podtrzyma przez jakieś dwa tygodnie. - Cały czas pracowała. Zobaczyła krew. Jęknęła. Pobladła.

Boże, nie, nie mdlej teraz. Wpatrywał się w nią, przekazywał jej swoją siłę. *Nie krzyw się. Nie wahaj.* Przysunęła się do niego.

- Proszę otworzyć. - Wzięła wąską rurkę, psikała mu w usta wodą, wsunęła kolejny instrument. - I zamknąć.

Woda i krew zniknęły z jego ust.

Powtarzała ten zabieg i za każdym razem, gdy pojawiała się krew, reagowała mniej nerwowo.

Laszlo przechadzał się niespokojnie i co chwila spoglądał na zegarek.

- Za dziesięć szósta, sir.

- No i proszę - mruknęła Shanna. - Ząb jest na swoim miejscu. Za dwa tygodnie zdejmujemy opatrunek i otworzymy kanał.

Drut przytrzymujący kieł bardzo mu przeszkadzał, ale Roman wiedział, że już jutro wieczorem będzie mógł go usunąć. Rany zagoją się podczas snu.

- Więc skończone?

- Tak. - Wstała powoli.

- Yessss! - Laszlo triumfalnie uniósł pięść. - A do końca zostało nam jeszcze dziewięć minut!

Roman się wyprostował.

- Shanno, dałaś radę. I wcale się nie bałaś. Zdjęła rękawiczki.

- Proszę unikać twardych rzeczy do jedzenia.

- Jasne. - Wpatrywał się w jej twarz bez wyrazu, jaka szkoda, iż nie ma pojęcia, że to powód do radości i świętowania, wieczorem pokaże jej swój ząb, opowie, jaka była dzielna, jak pokonała strach przed krwią. Wtedy na pewno zechce to uczcić. Z nim, taką

przynajmniej miał nadzieję. Chociaż jest dziwny.

Cisnęła rękawiczki na tacę, zamknęła oczy, zachwiała się.

- Shanna? - Roman zdążył podtrzymać ją, zanim upadła.

- Co jest? - Laszlo szukał guzika, ale nie został mu ani jeden. - Wszystko szło tak dobrze...

- Nic się nie stało. Zasnęła. - Roman ułożył ją w fotelu. Czuł się winny, powiedział przecież, że po wykonaniu zadania będzie spała przez dziesięć godzin, jak dziecko.

- Zadzwońmy do Gregoria. - Laszlo wyjął telefon z kieszeni i przeszedł do poczekalni.

Roman pochylił się nad Shanną.

- Skarbie, jestem z ciebie bardzo dumny. - Odgarnął jej włosy z czoła. - Niepotrzebnie kazałem ci zasnąć, kiedy będzie po wszystkim. Żałuję, że zasugerowałem, żebyś mnie objęła i mocno pocałowała. To byłoby o wiele lepsze.

Przesuwał palcem po jej podbródku. Będzie spać przez dziesięć godzin. Obudzi się koło czwartej po południu. Nie ma szans obudzić jej pocałunkiem, słońce będzie jeszcze na niebie.

Przeciągnął się z westchnieniem. Miał za sobą długą noc, wydawało mu się, że to wszystko ciągnie się od tygodnia. Spojrzał na małe lusterko, które przyprawiło Shannę o taki niepokój.

Cholerne lustra. Nawet po pięciuset czterestu latach wkurzało go, gdy stawał przed zwierciadłem i widział w nim całe pomieszczenie, tylko nie siebie. Kazał usunąć wszystkie lustra z domu. Nie potrzebuje przypomnień, że od dawna nie żyje.

Obserwował ją, gdy spała. Piękna, dzielna Shanna. Gdyby w swojej przeklętej duszy miał jeszcze odrobinę honoru, zostawiłby biedaczkę samą. Umieścił w bezpiecznym miejscu i trzymał się od niej z daleka. Nadchodzi świt. Najlepsze, co może zrobić, zanim sam zaśnie jak kłoda wraz z pierwszymi promieniami słońca, to ułokować ją w zaciszu pokoju gościnnego.

Laszlo wszedł do gabinetu z komórką przy uchu.

- Tak, jesteśmy gotowi. - Spojrzał na Romana. - Pan pierwszy, sir?

- Nie, idź. - Roman wyciągnął rękę po telefon: - Ale to będzie mi potrzebne.

- Ach, tak, oczywiście. - Laszlo przechylił głowę w stronę aparatu w dłoni Romana. Zamknął oczy, skoncentrował się na głosie Gregoria, powoli rozplątał się w powietrzu.

- Chwileczkę, Gregori. - Roman odłożył telefon i wziął Shannę na ręce. Poprawił ją sobie w objęciach, sięgnął po aparat, uniósł do ucha. Była to niewygodna pozycja, osunął się, oparł twarzą o jej głowę.

Z telefonu dobiegał śmiech. Co do licha?

- Gregori, to ty?

- Seks? - Gregori zanosił się śmiechem.

Roman zazgrzytał dopiero co leczonymi zębami. Pieprzony Laszlo. Wystarczyła chwila, żeby wszystko wypaplał.

- Ja nie mogę! Co za laska! No, niech tylko chłopaki się dowiedzą! A jeszcze lepiej, twój harem! - Zasyczał jak rozzłoszczona kotka.

- Zamknij się. Muszę wrócić przed wschodem słońca.

- Co ci się nie uda, jeśli się zamknę. Potrzebny ci mój głos. - Znowu się roześmiał.

- Który stracisz, kiedy skręcę ci kark.

- Och, daj spokój. Wyluzuj, człowieku. Więc to prawda? Nie mogłeś się zdecydować, którą kurację wybrać? - Gregori się zachnął. - Podobno byłeś gotowy na obie.

- Najpierw cię uduszę, a potem wyrwę Laszlo język i rzucę psom na pożarcie.

- Nie masz nawet jednego psa. - Gregori chyba odsunął słuchawkę, bo głos dobiegał z daleka.

- Wyobrażasz to sobie? Grozi nam przemocą fizyczną.

Ostatnie słowa zapewne skierował do Laszla. Roman słyszał, jak naukowiec popiskuje.

- Tchórz! - krzyknął Gregori. - Laszlo uciekł do pokoi gościnnych. Chyba dotarli do niego plotki, że w przeszłości byłeś krwiożerczym potworem.

To nie tylko plotki. Gregori został wampirem zaledwie dwanaście lat temu; nie zdawał sobie sprawy z ogromu grzechów, jakie Roman popełnił przez wieki.

- Krążą też inne plotki. Że kiedyś byłeś księdzem czy mnichem. - Gregori parsknął śmiechem.

- Ale to już na pewno bujda. Litości. Facet, który utrzymuje harem złożony z dziesięciu napalonych wampirzyc, nie bardzo...

Roman nie wsłuchiwał się w słowa, koncentrował uwagę na głosie, skąd dobiegał. Gabinet dentystyczny zadrżał mu przed oczami, otoczyła go ciemność, a potem był u siebie.

- O, jesteś już. - Holstein odsunął słuchawkę od ucha. Rozparł się wygodnie w fotelu swojego szefa, mimo że ten łypnął gniewnie spod oka. - Więc pani doktor już śpi? - Położył nogi na biurku. Uśmiechał się od ucha do ucha. - Tak ją wymęczyłeś?

Roman cisnął telefon na biurko i podszedł do szeszlona. Ułożył Shannę na czerwonym aksamicie.

- Podobno świetnie się spisała przy zabiegu. - Gregori wciąż paplał. - Wiesz, myślałem o programie ćwiczeń, o którym mówiłeś, no wiesz, żeby kły były w formie, i mam świetny pomysł. Opracujemy program treningowy i będziemy go sprzedawać na Digital Vampire Network. Pytałem Simone, zgodziła się go firmować swoją twarzą. Co ty na to?

Draganesti powoli podszedł do biurka.

Holstein spoważniał.

- O co chodzi? .

Roman położył dłonie na biurku i pochylił się do przodu. Gregori opuścił nogi i spojrzał na niego czujnie.

- Coś nie tak, szefie?

- Ani słowa o tym, co się dziś działo. Ani o kle, ani o Shannie. Jasne?

- Tak. Nic się nie działo.

- Dobrze. A teraz idź. Gregori szedł do drzwi.

- Zgryźliwy dziad - mruknął pod nosem. Zatrzymał się z dłonią na klamce. Spojrzał na Shannę. - Co prawda to nie moja sprawa, ale uważam, że powinieneś ją zatrzymać. Będzie dla ciebie dobra.

Może i tak. Ale nie on dla niej. Ciężko usiadł za biurkiem. Słońce jest już chyba na horyzoncie, bo nagle opadł z sił. To brutalna prawda: wraz z ciemnością rozplywa się siła wampira. Wkrótce nie zdoła nawet utrzymać otwartych oczu.

To największa wada wampirów, czas bezbronności, chwile, które powracają dzień za dniem. W ciągu minionych wieków często zasypiał przerażony, że ktoś go znajdzie za

dnia. Śmiertelnik mógłby wbić mu kołek w serce, gdy tak leży niczego nieświadomy. Mało brakowało, a do tego właśnie doszłoby w 1862 roku, gdy po raz ostatni związał się ze śmiertelną kobietą. Z Elizą.

Nigdy nie zapomniał przerażenia, które go ogarnęło, gdy po zachodzie słońca ocknął się i zobaczył, że trumna jest otwarta, a w jego piersi tkwi drewniany kołek. To się musi skończyć.

Pracował nad tym - liczył, że uda mu się wynaleźć środek, dzięki któremu wampir może funkcjonować także w ciągu dnia. Oczywiście nadal musiałby unikać palących promieni słońca, ale i tak należałoby to uznać za nie lada osiągnięcie. Był o krok od przełomu. Jeśli mu się uda, na zawsze zmieni świat wampirów. Będzie mógł udawać, że żyje.

Spojrzał na Shannę pogrążoną w słodkiej nieświadomości. Ciekawe, jak przyjęłaby prawdę o nim. Wmawiałaaby sobie, że Roman żyje, czy może fakt, że jest potworem, wbiłby między nich drewniany kołek? Usiadł za biurkiem. Czuł, jak opuszcza go energia. Może powodem jest słońce, podejrzewał jednak, że to również depresja. Bał się wyrazu przerażenia na twarzy Shanny, gdyby poznała prawdę. Wstyd. Poczucie winy. Wyrzuty sumienia. Koszmar. Nie, nie może jej w to wciągać. Zasłużyła na radość w życiu. Sięgnął po długopis i kartkę papieru. „Radinko”, zacznij. Asystentka znajdzie to, gdy będzie porządkować papiery na jego biurku. „Kup wszystko, co się Shannie może przydać. Rozmiar dwunasty, biust trzydzieści sześć B. Proszę o...” jego dłoń coraz wolniej sunęła po papierze. Powieki mu ciążyły. „Kolory. Żadnej czerni”. Nie dla Shanny. Była jak blask słońca, utęskniona, ale poza zasięgiem. Była jak tęcza, pełna kolorów; niosła zapowiedź lepszego.

Zamrugał, spojrzał na arkusik. „I kup jej ciastka czekoladowe”. Odłożył długopis. Wstał. Wziął Shannę na ręce. Podreptał do schodów. Schodził powoli, krok za krokiem. Na półpiętrze zatrzymał się, żeby odpocząć. Miał kłopoty ze wzrokiem, pole widzenia się zawężało. Ktoś wchodził na górę.

- Dzień dobry, sir - powitał go pogodny głos. Phil, jeden ze śmiertelników, którzy pracowali w Agencji MacKaya na dziennej zmianie. - Zazwyczaj o tej porze już pan śpi.

Roman otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale resztki jego sił pochłaniało podtrzymywanie Shanny. Strażnik wytrzeszczył oczy.

- Coś nie tak? Pomóc panu? - Spojrzał w górę, na piętro.

- Niebieski pokój, czwarte - wysapał Roman.

- Pan pozwoli, że pomogę. - Phil wziął Shannę z jego ramion i zszedł na czwarte. Roman poczłapał za nim. Dzięki Bogu, że na dziennych strażnikach można polegać. Angus MacKay dobrze ich szkolił i płacił im majątek, żeby trzymali język za zębami. Wiedzieli doskonale, kim się opiekują, i nie mieli nic przeciwko temu. Podobno nie wszyscy to zwyczajni ludzie.

Phil zatrzymał się przy drzwiach na czwartym piętrze. - Tu?

Skinął głową. Strażnik przekreślił klamkę i otworzył drzwi. Korytarz zalało słoneczne światło. Roman zatrzymał się w pół kroku.

- Żaluzje - powiedział słabym głosem.

- Już. - Phil wszedł do pomieszczenia.

Draganesti czekał. Oparł się o ścianę w bezpiecznej odległości od smugi światła, która

kładła się na chodniku w holu. Rany boskie, jest tak wyczerpany, że mógłby zasnąć na stojąco. Po chwili usłyszał metaliczny trzask i pasmo światła znikło - Phil opuścił szczelne aluminiowe żaluzje.

Stał przy drzwiach. Patrzył, jak Phil układa Shannę na łóżku.

- Czy mogę zrobić coś jeszcze? - Strażnik już wychodził.

- Nie, dziękuję. - Wszedł do pokoju, oparł się ciężko o sekretarzyk.

- A zatem miłego dnia... Czy raczej dobrej nocy. - Phil spojrzał na niego z powątpiewaniem i zamknął za sobą drzwi.

Roman poczłapał do łóżka. Shanna nie może przecież spać w butach. Ściągnął jej z nóg białe adidas, cisnął na podłogę. Zakrwawiony kitel też musi zniknąć. Pochylił się i mało brakowało, a runąłby na nią jak długi. Pokręcił głową. Nie śpij! Jeszcze tylko trochę. Rozpiął kitel, zsunął rękawy, przewrócił ją na bok, żeby łatwiej było go zdjąć. Rzucił na podłogę, koło butów. Z trudem doszedł do tyłu łóża, pociągnął za narzutę, odsłonił śnieżnobiałą pościel. Z wysiłkiem przesunął Shannę dalej, otulił ją kołdrą. No, teraz dobrze. Tylko że on nie robi już ani kroku.

Shanna obudziła się cudownie wypoczęta i radosna, jednak to uczucie wkrótce zniknęło – nie miała pojęcia, gdzie jest. Ciemne pomieszczenie, wygodne łóżko. Nie wiedziała, jak się tu znalazła, nie pamiętała, by się kładła. Ostatnie, co pamięta, to moment, gdy weszła do gabinetu Romana Draganestiego. Bardzo bolała ją głowa, więc położyła się na czerwonym szezlongu. a potem... nic.

Zamknęła oczy i usiłowała coś sobie przypomnieć. Przed oczami stanął jej gabinet dentystyczny, obcy, nie ten, w którym pracowała. Dziwne. Pewnie jej się śniło, że ma nową pracę.

Odrzuciła kołdrę, usiadła. Opuściła nogi, dotknęła stopami grubego dywanu. Miała na sobie rajstopy. Gdzie buty? Zegar przy łóżku świecił czerwonymi cyframi. Sześć po czwartej. Rano czy po południu? Nie wiadomo, w pokoju było ciemno. Weszła do gabinetu Romana koło czwartej nad ranem, więc teraz musi być dzień. Po omacku znalazła podstawę nocnej lampki. Zapaliła światło i wstrzymała oddech.

Przepiękny witrażowy abażur. Stłumione światło rozjaśniało niebiesko - lawendowy wzór. Rozejrzała się po pokoju. Był większy niż całe jej mieszkanie w Soho. Szary dywan, jasnoniebieskie, pastelowe ściany. W oknie zasłony w niebiesko - lawendowe pasy. Szyby były niewidoczne, zasłaniały je żaluzje z lśniącego metalu. Nic dziwnego, że tak tu ciemno.

Siedziała na dębowym łożu z baldachimem, oczywiście niebiesko - lawendowym. Piękne łóżko. Spojrzała za siebie. Stłumiła krzyk i zerwała się na równe nogi. Boże drogi. Roman Draganesti w jej łóżku! Co za śmiałość! A jeśli, nie daj Boże, to ona spała w jego łóżku? Może to jego sypialnia, jak to możliwe, że nic nie pamięta?

Spojrzała na siebie. Bez butów i bez kitla, ale poza tym ma wszystko na sobie. Wydaje się nietknięta. Roman leżał na wznak na kołdrze, w dżinsach i czarnym swetrze. Nawet butów nie zdjął.

Dlaczego z nią spał? Aż tak bardzo mu zależało na jej bezpieczeństwie? A może miał inne plany? Spojrzała na jego spodnie. Wcześniej nie ukrywał, jak na niego działa. Kurczę, to

oczywiście jej pech, fantastyczny facet usiłuje ją uwieść, a ona nawet tego nie pamięta. Obeszła łóżko, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Wydawał się bardzo spokojny, niewinny, choć oczywiście wiedziała, jaki jest naprawdę. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby okazało się, iż tylko udaje, że śpi.

Znalazła na podłodze kitel i buty. Nie przypomniała sobie, żeby je ściągała, więc pewnie zrobił to Roman. Ale dlaczego on został w butach? Podeszła bliżej.

- Halo? Dzień dobry... - Zero reakcji. Zagryzła usta. Co robić? Kiedy śpi jak kamień, kiepski z niego obrońca. Pochyliła się nad nim.

- Rosjanie nadchodzą!

Nawet nie drgnął. Cholera. Nie na wiele jej się zda taki pomocnik. Rozejrzała się po pokoju. Dwoje drzwi. Kiedy uchyliła pierwsze, zobaczyła długi korytarz i dużo drzwi po obu jego stronach. A zatem są na czwartym piętrze w pokoju gościnnym. Piąte to królestwo Romana, tam nie było korytarza. Zauważyła mężczyznę przy schodach. Stał do niej tyłem. Bez kiltu, z kaburą u pasa. Strażnik, choć nie Szkot. Miał na sobie zwyczajną koszulkę polo i spodnie khaki.

Zaniknęła pierwsze drzwi i podeszła do drugich. Świetnie, łazienka. Wspaniale wyposażona - wanna, umywalka, toaleta, ręczniki, pasta i szczotka do zębów... Za to bez lustra. Dziwne. Skorzystała z łazienki i ponownie zajrzała do sypialni. Roman ciągle spał. Bawiła się włącznikiem światła, zalewała jego twarz promieniami. Nic. Ależ ma sen. Umyła twarz, wyszorowała zęby. Teraz poczuła się lepiej, bardziej przygotowana na rozmowę z obcym w jej łóżku.

Podeszła do pościania i zaczęła głośno, z uśmiechem na ustach:

- Dzień dobry, panie Draganesti. Chyba nie wymagam zbyt wiele, prosząc, żeby od tej pory nocował pan jednak we własnym łóżku?

Żadnej odpowiedzi. Nawet nie zachrapał. Podobno wszyscy faceci chrapią. Hm. Może tylko udaje.

- To nie tak, że nie odpowiada mi pańskie towarzystwo. Wręcz przeciwnie. - Podeszła bliżej, szturchnęła go w ramię.

- Przestań, wiem, że udajesz.

Nic.

Pochyliła się nad nim, szepnęła mu do ucha:

- Zdajesz sobie sprawę, że to prowadzi do wojny, prawda? - Zero reakcji. Omiotła go wzrokiem. Długie nogi, wąskie biodra, szerokie ramiona, silny podbródek, prosty nos, odrobinę za długi, jeśli ma być szczerą, ale pasował do niego, do jego arogancji. Ciemne włosy opadające na twarz. Odgarnęła je. Miękkie i delikatne. Żadnej reakcji. Dobrze udaje trupa.

Przysiadła na pościaniu i położyła mu ręce na barkach.

- Przyszłam, żeby cię uwieść. Opór nie zda się na nic. - Nic. Cholera! Tak łatwo można jej się oprzeć? No dobrze, w takim razie ucieknij się do tortur. Zdjęła mu buty. Wylądowały na podłodze z głuchym dźwiękiem. Nic. Przesunęła dłonią wzdłuż czarnych skarpetek, łaskotała go w stopy. Nawet nie drgnął.

Pociągnęła za duży palec lewej stopy, potem za kolejny, aż do małego, a potem wędrowała w górę silnej nogi.

Zatrzymała się na biodrze. Na jego twarzy ciągle malował się spokój. Przesunęła wzrok na jego rozporek. To na pewno go obudzi. Jeżeli się odważy.

Zerknęła na niego.

- Wiem, że udajesz! Żaden zdrowy facet nie może spać w takiej sytuacji!

Nic. Cholerny Roman. Chciał się przekonać, jak daleko się posunie. No dobrze. Urządzi mu pobudkę, którą długo popamięta. Podciągnęła jego czarny sweter, odsłoniła pas dżinsów. Widok jego nagiej skóry przyprawił ją o przyspieszone bicie serca.

Zadarła sweter wyżej.

- Rzadko się opalasz, co?

Był blady, ale wysportowany. Linia czarnych włosów prowadziła od klatki piersiowej, otaczała pępek, nikła za paskiem czarnych dżinsów. Rany Julek, był boski. Seksowny. Męski.

Nieprzytomny.

- Pobudka, do cholery! - Pochyliła się, przywarła ustami do jego pępka i dmuchnęła.

Nic.

- Rany. śpisz jak zabity! - Osunęła się na posłanie obok niego. I wtedy to do niej dotarło. Jasne, że nie chrapie - bo nie oddycha. Wyciągnęła drżącą dłoń, dotknęła jego brzucha. Zimny.

Cofnęła rękę. Nie, to niemożliwe - Jeszcze kilka godzin temu facet był zdrow jak ryba. Ale nikt nie sypia aż tak mocno. Uniosła jego rękę, upuściła... Upadła bezwładnie. Boże, a więc to prawda! Zerwała się z łóżka. Strach ścisnął jej gardło. Zaczęła krzyczeć.

Roman Draganesti nie żyje.

Rozdział 10

Spała z trupem. Nieliczni mężczyźni, z którymi w przeszłości dzieliła posłanie, nie byli najlepszymi kochankami świata i po pewnym czasie po prostu odchodzili i więcej nie wracali. Do tej pory Shanna nie widziała w tym nic pozytywnego.

Wrzeszczała jak szalona, a Roman leżał nieruchomo i spokojnie. Na pewno nie żyje. Cholerny świat! Wrzasnęła.

Drzwi się otworzyły. Odwróciła się nerwowo.

- Co jest? - Facet, którego wcześniej widziała przy schodach, stał w drzwiach z pistoletem w dłoni.

Shanna wskazała łóżko.

- Roman Draganesti nie żyje.

- Co? - Facet schował broń do kabury.

- Nie żyje! - Spojrzała na łóżko. - Obudziłam się i tu leżał.

Mężczyzna, zaniepokojony, podszedł do łóżka.

- Och. - Rozpogodził się. - Nie ma sprawy, proszę pani. Nic mu nie jest.

- Jestem pewna, że nie żyje.

- Nie, nie, on po prostu śpi. - Strażnik przytknął palce do jego szyi. - Puls w porządku.

Proszę się nie przejmować, jestem świetnie wyszkolony i potrafię rozpoznać trupa, kiedy go widzę.

- A ja jestem świetnie wyszkoloną lekarką i poznaję trupa, gdy go widzę. - Widziała ich aż za wiele, tamtej nocy, gdy zginęła Karen. Ugięły się pod nią kolana. Rozejrzała się w poszukiwaniu krzesła. Nie ma. Jest tylko łóżko, a na nim biedny Roman.

- Nic mu nie jest, tylko śpi. - Strażnik obstawał przy swoim.

Co za dureń.

- Proszę posłuchać... jak panu na imię?

- Phil, jestem strażnikiem z dziennej zmiany.

- Phil. - Oparła się o słupek podtrzymujący baldachim. - Rozumiem, że nie przyjmuje pan tego do wiadomości. W końcu jest pan strażnikiem i pana zadaniem jest dbać o życie podopiecznych.

- Roman żyje.

- Nie! - Głos Shanny wznosił się coraz wyżej. - Jest martwy! Nieżywy! Zimny trup!

Phil szeroko otworzył oczy i cofnął się o krok.

- Dobrze, już dobrze, proszę się uspokoić. - Wyjął krótkofalówkę z kieszeni. - Potrzebna mi pomoc na czwartym, nasz gość oszalał.

- Nieprawda! - Podeszła do okna. - Może rzucimy trochę światła na zaistniałą sytuację.

- Nie! - W głosie Phila była panika. Shanna znieruchomiała.

Trzaski w krótkofalówce i po chwili rozległ się męski głos.

- Na czym polega problem, Phil? - I pisk.

- Mamy tu pewne nieporozumienie. Panna Whelan obudziła się w łóżku z panem Draganestim i utrzymuje, że on nie żyje.

Z krótkofalówki dobiegł śmiech. Shanna otworzyła usta z wrażenia. Jezu, co za brutale. Podeszła do Phila.

- Mogłabym porozmawiać z pańskim przełożonym? Spojrzał na nią ze skruchą.

- To właśnie on. - Wcisnęła guzik. - Howard, mógłbyś tu przyjść?

- Pewnie. Za żadne skarby nie chciałbym tego przegapić. Phil wsunął krótkofalówkę do kieszeni.

- Już idzie.

- Świetnie. - Shanna rozglądała się po pokoju. - Trzeba zadzwonić po pogotowie?

- Ja... Nie mogę. Panu Draganestiemu nie przypadnie to do gustu.

- Pan Draganesti nie ma tu już nic do powiedzenia.

- Błagam, niech mi pani zaufa, a wszystko dobrze się skończy. - Phil zerknął na zegarek. - Za jakieś dwie godziny.

Co? Ma czekać? Za dwie godziny Roman ożyje? Nerwowo przechadzała się po pokoju. Cholera jasna, jak on mógł tak po prostu umrzeć? Wydawał się silny i zdrowy. To pewnie wylew albo zawał.

- Musimy zawiadomić rodzinę.

- Nie żyją.

Nie ma rodziny? Zatrzymała się w pół kroku. Biedny Roman. Był sam jak palec. Jak ona. Nagle poczuła żal - za tym wszystkim, co mogło się zdarzyć. Już nigdy nie spojrzy w jego piękne złote oczy. Już nigdy nie poczuje na sobie jego ramion. Oparła o słupek

baldachim, wpatrywała się w jego piękną twarz.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł potężny mężczyzna w średnim wieku. Podobnie jak Phil nosił spodnie khaki i granatową koszulkę polo. Pas z narzędziami na jego biodrach zawierał oprócz broni także latarkę. Wyglądał jak emerytowany sportowiec, miał nawet wielki, niekształtny nos, chyba nieraz złamany. Wyglądałby groźnie, gdyby nie komiczna zaczeska na tysej czaszce i błyski rozbawienia w oczach.

- Panna Whelan? - Mówił przez nos, zapewne skutek wielu złamań. Jego chrapanie pewnie było słyhać w okolicznych stanach. - Howard Barr, szef dziennej zmiany, jak się pani miewa?

- Żyję, czego nie można powiedzieć o waszym chlebodawcy.

Zerknął na łóżko.

- On nie żyje, Phil? - strażnik zrobił wielkie oczy.

- Nie, skądże.

- Dobrze. - Zacierał ręce. - Sprawa załatwiona. Może zejdzie pani do kuchni na małą kawkę?

Shanna zamrugwała szybko.

- Słucham? Czy pan... nie obejrzy ciała? Howard poprawił pas i podszedł do łóżka.

- Jak na moje oko, wygląda świetnie, ale dziwne, że tu śpi. Nigdy nie widziałem, żeby pan Draganesti spał w cudzym łóżku.

Zacisnęła zęby.

- On nie śpi.

- Chyba wiem, co się stało - zaczął Phil. - widziałem go rano, chwilę po szóstej, schodził ze schodów z panią w ramionach.

W głowie Shanny zrodziła się przerażająca myśl.

- Niósł mnie?

- Tak. Dobrze, że się napatoczyłem, bo strasznie się męczył. Wstrzymała oddech. O nie. Phil wzruszył ramionami.

- Chyba nie miał siły wrócić do siebie. Shanna osunęła się na posłanie u stóp Romana. O Boże, była dla niego za ciężka. Przyprawiła go o atak serca.

- To straszne. To ja... Ja go zabiłam.

- Panno Whelan. - Howard spojrzał na nią niespokojnie - Nie mogła pani go zabić, bo on żyje.

- Nieprawda. - Spojrzała na jego ciało, zaledwie kilka centymetrów od niej. - Nigdy więcej nie tknę pizzy.

Ochroniarze wymienili zdumione spojrzenia. W tej chwili zapiszczały ich krótkofalówki. Howard zareagował pierwszy.

- Tak? Ciszę wypełnił ochryply głos:

- Przyszła Radinka Holstein z zakupami. Proponuje, żeby panna Whelan spotkała się z nią w salonie.

- Świetny pomysł. - Howardowi jakby spadł kamień z serca. - Phil, zaprowadzisz pannę Whelan do salonu?

- Oczywiście. - Philowi chyba też ulżyło. - Tędy, proszę pani.

Shanna zawahała się, spojrzała na Romana.

- Co z nim zrobicie?

- Proszę się nie obawiać. - Howard poprawił pas na biodrach. - Zaniesiemy go do jego pokoju,

a za kilka godzin obudzi się i oboje będziecie się z tego śmiać.

- Akurat. - Poszła za Philem.

W milczeniu schodzili po schodach. Za ledwie wczoraj pokonywała tę drogę z Romanem. Było w nim coś takiego, co kazało jej robić wszystko, by go rozbawić. Kiedy śmiał się naprawdę serdecznie, wydawał się tym zaskoczony, a ona czuła podwójną satysfakcję. Cholera, ledwo go zna, a już wiedziała, że będzie go jej brakować. Był silny a zarazem delikatny, inteligentny, stanowczy. Nieugięty macho w uporze, by się nią opiekować. I mało brakowało, a pocałowałby ją. Dwukrotnie. Shanna westchnęła. Już nigdy się nie dowie, jakie to uczucie. Nie zobaczy jego laboratorium, nie usłyszy o kolejnym przełomowym odkryciu. Nigdy z nim nie porozmawia. Zanim doszli na parter, była w czarnej rozpacz. Współczucie na twarzy Radinki przelało czarę. Poczwała łyzy pod powiekami.

- Radinko, tak mi przykro. On nie żyje.

- Spokojnie. - Pani Holstein objęła ją serdecznie i mówiła cichym, kojącym głosem z cudzoziemskim akcentem: - Nie martw się, moje dziecko. Wszystko będzie dobrze. - Zaprowadziła ją do pomieszczenia po prawej stronie holu.

Było puste. Shanna myślała, że będzie pełne kobiet, jak wczoraj w nocy. W pokoju królowały trzy skórzane kanapy, między którymi stał niski stolik. Na ścianie wisiał wielki telewizor plazmowy.

Shanna osunęła się na kanapę.

- Nie mieści mi się w głowie, że już go nie ma. Radinka postawiła torebkę na stoliku.

- Moja droga, on się obudzi.

- Nie sądzę. - Po jej policzku spływała łza.

- Oni śpią jak zabici. Gregori, mój syn, jest taki sam, kiedy zaśnie, nie sposób go dobudzić.

Shanna otarła łzy.

- Nie, on nie żyje.

Radinka strzepnęła niewidoczny pyłek z eleganckiego kostiumu.

- Może poczujesz się lepiej, kiedy powiem ci wszystko. Byłam tu już rano i Gregori mi opowiedział, jak Roman zabrał cię do przychodni dentystycznej i wstawiłaś mu ząb.

- To niemożliwe. - Wspomnienie obcego gabinetu czaiło się tuż na krawędzi świadomości, a jednak poza zasięgiem. - ja... Myślałam, że to sen.

- Nie, to prawda. Roman cię zahipnotyzował.

- Co?

- Gregori mnie zapewniał, że zgodziłaś się na to. Shanna zamknęła oczy, usiłowała sobie przypomnieć. Tak, rzeczywiście, leżała na szezlongu w gabinecie Romana, kiedy zaproponował hipnozę. A ona się zgodziła. Za wszelką cenę chciała ratować swój zawód, pragnęła walczyć o szansę na normalne życie, za którym tak tęskniła.

- Naprawdę mnie zahipnotyzował?

- Tak. Na wasze szczęście, twoje i jego. On potrzebował dentysty, a ty musiałaś się uporać ze strachem na widok krwi.

- Wiesz... Wiesz o tym?

- Tak. Opowiedziałaś Romanowi o tej tragedii w restauracji. Gregori tam był, wszystko słyszał. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że mi powiedział?

- Nie, chyba nie. - Opadła na oparcie, opuściła głowę na zagłówek. -I zajęłam się zębem Romana?

- Tak. Pewnie niewiele pamiętasz, ale z czasem wszystko wróci.

- Nie spanikowałam na widok krwi? Nie zemdlałam?

- Z tego, co mi wiadomo, świetnie się spisałaś.

Shanna się zachnęła.

- Nie wiem, jakim cudem mogłam zrobić cokolwiek pod wpływem hipnozy. Co dokładnie zrobiłam?

- Wstawiłaś mu ząb.

Usiadła gwałtownie.

- Chyba nie ten wilczy kieł? Nie mów, że mu wstawiłam zwierzęcy ząb! O Boże! - Opadła na poduszki. Zresztą, jakie to ma znaczenie? Facet i tak nie żyje.

Radinka się uśmiechnęła.

- Zwyczajny ząb.

- Dobrze. Już sobie wyobrażam minę koronera, gdyby znalazł wilczy kieł w ustach nieboszczyka. - Biedny Roman. Za młody, by umrzeć. Za przystojny.

Pani Holstein westchnęła.

- Oddałabym wiele, byle cię przekonać, że żyje. Hm. - Przycisnęła palec o czerwonym paznokciu do zamkniętych ust. - Podawałaś mu znieczulenie?

- Skąd mam wiedzieć? Może śpiewałam arie operowe w samej bieliźnie. Nie mam pojęcia, co wyprawiałam. - Potarła czoło. Usiłowała sobie przypomnieć.

- Mówię o tym tylko dlatego, że niewykluczone, iż to tłumaczy jego niespotykane mocny sen.

- O Boże! A jeśli zabiłam go znieczuleniem?

Radinka szeroko otworzyła oczy.

- Nie to miałam na myśli.

Shanna się skrzywiła.

- Rzeczywiście, może przedawkowałam. Albo byłam dla niego za ciężka. Nieważne, w jaki sposób, sądzę, że to ja go zabiłam.

- Nie wygłupiaj się, moje dziecko. Dlaczego siebie obwiniasz?

- Nie wiem, zawsze to robię. - Oczy Shanny znów zaszyły łzami. - Obwiniam się za to, co spotkało Karen. Powinnam była jakoś jej pomóc. Żyła jeszcze, kiedy ją znalazłam.

- To twoja przyjaciółka, która zginęła podczas strzelaniny w restauracji?

Pociągnęła nosem i skinęła głową.

- Bardzo mi przykro. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale kiedy znieczulenie przestanie działać, Roman obudzi się i sama się przekonasz, że nic mu nie jest.

Shanna z płaczem osunęła się na kanapę.

- Bardzo go lubisz, prawda?

Westchnęła. Wpatrywała się w sufit.

- Tak, ale nie wiąże zbyt wielkich nadziei z nieboszczykiem.

- Pani Holstein? - zawołał męski głos od progu.

Shanna spojrzała w tamtą stronę - kolejny strażnik w spodniach khaki i granatowym polo. A gdzie kilty? Brakowało jej Szkotów, ich barwnych strojów i charakterystycznego akcentu.

- Przyszły paczki ze sklepu Bloomingdale. Dokąd je zanieść?

Radinka wstała zwinnie.

- Kilka tu, resztę do pokoju pani Whelan.

- Do mojego pokoju? Dlaczego?

- Bo są dla ciebie, moja droga. - Uśmiechnęła się.

- Ja... ja nie mogę nic przyjąć. I proszę nie kłaść żadnych rzeczy w moim pokoju, póki są tam zwłoki.

Strażnik przewróci! oczami.

- Przenieśliśmy go do jego sypialni.

- Świetnie. A więc czekamy. - Radinka usiadła. - Mam nadzieję, że ci się spodoba, co dla ciebie wybrałam.

- Mówię poważnie. Nie mogę przyjmować prezentów, wystarczy, że udzieliliście mi schronienia na jedną noc. Ja... zadzwonię do Departamentu Sprawiedliwości i załatwię to inaczej.

- Roman chce, byś tu była. I chce, żebyś miała te wszystkie rzeczy. - Spojrzała na strażnika z naręczem pudeł. - Proszę je postawić na stoliku.

Shanna przyglądała się im niepewnie. Kusily ją. Nie odważy się teraz wrócić do domu, więc ma tylko to, co na sobie, Ale przecież nie przyjmie prezentów.

- Doceniam twoją hojność, ale...

- Hojność Romana. - Radinka położyła sobie na kolanach małą paczuszkę i otworzyła. - Ach, tak. Śliczny komplecik. Podoba ci się? - Na białej bibułce leżały czerwony koronkowy stanik i majtki.

- O rany. - Shanna wyjęła stanik. O wiele ładniejszy niż te, które nosiła. I o wiele droższy. Spojrzała na metkę. - Trzydzieści sześć B. Dobry.

- Tak. Roman zapisał mi twoje rozmiary.

- Co? Skąd je znał?

- Zapewne mu powiedziałaś pod wpływem hipnozy. Przełknęła ślinę. Cholera. Może jednak śpiewała arie operowe w samej bieliźnie.

- Proszę bardzo. - Radinka szukała czegoś w torebce. - Chyba mam tę kartkę. - Podała jej Shannie.

- Ojej. - To pewnie ostatnie, co napisał przed śmiercią. Przebiegła wzrokiem liścik: „Rozmiar dwunasty, biust trzydzieści sześć B. Proszę o kolory”. Rzeczywiście wiedział, jaki nosi rozmiar. Powiedziała mu to pod wpływem hipnozy? Co jeszcze wtedy zrobiła? „Kup jej ciastka czekoladowe”. Wstrzymała oddech. Oczy zaszyły jej łzami.

- Co się stało, kochanie?

- Ciastka czekoladowe. Jest taki kochany. - Pomyłka - był kochany. - Nie uważałam, że powinnam schudnąć?

Radinka się uśmiechnęła.

- Jak widać, nie. Ciastka czekoladowe są w kuchni, ale na twoim miejscu pospieszyłabym

się, strażnicy z dziennej zmiany bardzo się nimi interesowali. Oni zjedzą wszystko.

- Może później, dziękuję. - Żołądek grał jej marsza, ale ilekroć myślała o jedzeniu, oczami wyobraźni widziała Romana, uginającego się na schodach pod jej ciężarem.

- Zobacz, co jeszcze kupiłam. - Radinka otwierała kolejne pudełka.

Więcej kompletów bielizny, niebieski szlafrok, łososiowi koszulka i żakiet, koszula nocna z niebieskiego jedwabiu, dobrane kapcie...

- Lepiej niż na Gwiazdkę - mruknęła Shanna. - To doprawdy zbyt wiele.

- Podoba ci się?

- Oczywiście, ale...

- Więc sprawa załatwiona. - Radinka zamykała pudła. - Zaniosę je do twojego pokoju i napiszę Romanowi wiadomość, żeby się z tobą spotkał, kiedy tylko wstanie.

- Ale...

- Nie będę tracić czasu na kłótnie. Mamy dziś w Romatechu mnóstwo roboty. - Była już w drzwiach. - Do zobaczenia później, kochanie.

O rany. Shanna miała wrażenie, że Radinka Holstein to istna smoczyca, ale nie sposób jej odmówić doskonałego gustu. Z bólem serca zwróci większość tych cudeniok, ale musi to zrobić. Czy odważy się wychylić nos z tego domu? Jeśli Rosjanie ją znajdą, będzie w nie lada tarapatkach.

Zjadła w kuchni kanapkę, z trudem ominęła pudełko ciastek czekoladowych na stole i wróciła do siebie, na górę. Ostrożnie zajrzała do środka. Łóżko było puste, a obok niego piętrzyły się torby i pudła z zakupami. Wzięła długi gorący prysznic i powoli przeglądała zakupy. Zamiast radości, odczuwała smutek na myśl, że ten, który za to wszystko płacił, niedawno zmarł.

Miała wyrzuty sumienia. Nie przyjmie tych prezentów. I nie zostanie tu. Musi się skontaktować z Bobem Mendozą, a potem zacząć nowe życie gdzie indziej. Gdzieś, gdzie nie zna nikogo i nikt nie wie, kim jest. Znowu.

Boże, ależ to straszne. Udział w Programie Ochrony Świadców na zawsze pozbawiał ją kontaktów z rodziną czy przyjaciółmi. A tak bardzo pragnęła towarzystwa. Miłości. Nie zdawała sobie z tego sprawy, póki nie poznała Romana. Cholera. Przecież nie oczekuje od życia zbyt wiele, tylko tego, co miliony kobiet - pracy, z której byłaby dumna, kochającego męża i dzieci. Ślicznych dzieci.

Niestety, los pokrzyżował jej plany. Każdy dzień to walka o życie.

Podeszła do okna zakrytego aluminiowymi żaluzjami. Nacisnęła przycisk, żaluzje rozsunięły się i pokój zalało mdłe światło słoneczne. Z okna roztaczał się cudowny widok, ulica ocieniona drzewami, a w dali Central Park. Słońce już chyliło się ku zachodowi, kładło się czerwonymi plamami na kłębach chmur. Shanna napawała się widokiem, który uspokajał.

Może jakoś to wszystko przeżyje. Szkoda tylko, że Roman zmarł. Czyżby Radinka miała rację i on odsypia znieczulenie? To straszne, że nie pamięta, co mu zrobiła. Może powinna tu jeszcze trochę zostać. Albo oficjalnie uznają Romana za zmarłego, albo nastąpi cud i się obudzi. Nie, nie odejdzie, póki nie będzie mieć pewności.

Przejrzała jeszcze zakupy, wybrała rzeczy, zmieniła ubranie. Otworzyła szafkę i zobaczyła telewizor. Dobrze. Poogląda coś, czekając. Skakała po kanałach. O, tej stacji nie zna. W jej

stronę leciał animowany czarny nietoperz, znieruchomiał, wyglądał trochę jak Batman. Przeczytała napis poniżej: „Witajcie na DVN. Działamy 24/7, bo gdzieś zawsze jest noc”. DVN? Coś tam Video Network? Jaki związek ma noc z nadawaniem? Nietoperz zniknął, pojawił się nowy napis: „DVN, bo widoczny jesteś tylko w zapisie cyfrowym”. Dziwne. Pukanie do drzwi wyrwało ją z rozmyślań. Wyłączyła telewizor, podeszła do drzwi. To pewnie Phil. Chyba odpowiadał za czwarte piętro.

- Connor! - krzyknęła zdumiona. - Wróciłeś!

- *Aye*. - Uśmiechał się. - Oto jestem.

Uściskała go serdecznie.

- Tak się cieszę, że cię widzę.

Odsunął się. Poczzerwieniał. - Ponoć się, pani, przestraszyłaś.

- To straszne. Bardzo mi przykro.

- A niby dlaczego? Przecie to pan Draganesti we własnej osobie mnie tu po pannę przysłał.

Chce panienkę zobaczyć.

Przeszył ją dreszcz.

- To... To niemożliwe.

- Chce panienkę zobaczyć, i to już. Idziemy?

Więc żyje?

- Znam drogę. - Rzuciła się do schodów.

Rozdział 11

Roman Draganesti obudził się i nie pamiętał nic - nie miał pojęcia, jak się znalazł w swoim łóżku. Leżał na miękkiej zamszowej narzucie, ubrany, w butach. Przesunął językiem po kle. Wyczuł metalowe zabezpieczenie. Dotknął kła palcem. Siedzi mocno. Co prawda nie wiedział, czy sprawnie działa, czy może go wysuwać i chować, a nie sprawdzi tego, póki ma opatrunek. Musi dziś przekonać Shannę, żeby go zdjęła.

Wziął szybki prysznic, narzucił szlafrok i poszedł do gabinetu sprawdzić, co się działo. Jego uwagę zwróciło pajęcze pismo Radinki. Zrobiła zakupy dla Shanny. Bardzo dobrze. Rano wybiera się do Romatechu, by dopilnować, żeby na galę wszystko było gotowe. Ponieważ teraz pracuje i za dnia, i w nocy, uważa, że należy się jej podwyżka. Kolejna? No dobrze.

Jean-Luc Echarpe i Angus MacKay, przywódcy klanów francuskiego i brytyjskiego, mieli przyjechać o piątej nad ranem. Dobrze. Pokoje gościnne na trzecim piętrze już na nich czekają.

Na wielkim balu Roman chciał zademonstrować dwa nowe smaki z linii fusion. Z tej okazji przygotowano pięćset butelek nowego produktu. Wszystko było dopięte na ostatni guzik. Wtedy przeczytał ostatni akapit. Shanna Whelan obudziła się i zastała go w swoim łóżku. O nie. Doszła do wniosku, że umarł, i bardzo się zdenerwowała. O cholera. Jasne, że uznała go za zmarłego. W ciągu dnia nie miał pulsu. Z drugiej strony, może to znaczyć, że jej na nim zależy.

Radinka usiłowała jej wmówić, że spał jak kamień po znieczuleniu, które Shanna mu zaaplikowała podczas zabiegu. Niestety, to tylko doprowadziło ją do konkluzji, że go zabiła.

Świetnie. A więc przejęła się nie dlatego, że jej na nim zależy, ale dlatego, że dręczyły ją wyrzuty sumienia. Już to widział oczami wyobraźni - Shanna nerwowo przechadza się po sypialni, a on leży jak kłoda. Cholera. Zgniół arkusik w dłoni, cisnął do śmieci. To była ostatnia kropla. Musi dokończyć prace nad środkiem, który umożliwiłby wampirom funkcjonowanie w dzień. Nie będzie leżeć jak trup, może Shanna go potrzebuje. Walnął guzik interkomu.

- Kuchnia - odezwał się nosowy głos.

- To ty, Howard?

- Tak jest, sir. Cieszę się, że pan wstał. Podczas pańskiego snu mieliśmy małe zamieszanie. Roman słyszał w tle tłumiony śmiech. Cholera jasna. Można by pomyśleć, że tytuł przywódcy największego klanu w Ameryce Północnej gwarantuje odrobinę szacunku, ale skądże...

- Nie żebyśmy narzekali - ciągnął Howard. - Zazwyczaj strasznie tu nudno. O, przyszedł Connor.

- Howard, dziś wieczorem zjawią się ważni goście, między innymi wasz pracodawca, pan MacKay. Oczekuję podwyższonego stopnia gotowości i całkowitej dyskrecji.

- Oczywiście, sir. Już my się wszystkim zajmiemy. Przychodzą Szkoci, więc się zbieram. Dobranoc.

- Dobranoc. Connor, jesteś tam?

Chwila ciszy i ciągły sygnał.

- *Aye*, sir, jestem.

- Za dziesięć minut przyprowadź do mnie pannę Whelan.

- *Aye*, sir.

Roman podszedł do lodówki, wyjął butelkę syntetycznej krwi, wstawił do mikrofalówki. Wrócił do sypialni, żeby się ubrać - czarne spodnie i elegancka szara koszula. Dziś musiał wyglądać bardziej oficjalnie, a to ze względu na ważnych gości. Angus i jego świta będą wystrojeni w szkockie stroje. Jean-Luc zjawi się w towarzystwie pięknych wampirycznych modelek w olśniewających strojach wieczorowych z jego ekskluzywnej kolekcji.

Zajrzał do szafy. Na samym końcu wisiał czarny frak i peleryna, prezent od Jean-Luca sprzed trzech lat. Jęknął. Będzie musiał w tym wystąpić. Jean-Luc gustował w hollywoodzkiej wersji Draculi, Roman natomiast preferował swobodną elegancję współczesności. Wyjął frak z szafy. Przed balem musi go oddać do prasowania.

Zadzwoiła mikrofalówka. Pierwszy posiłek jest gotowy. Rzucił smoking na łóżko. I w tej samej chwili otworzyły się drzwi do gabinetu.

- Roman? - Głos Shanny. - Jesteś tu? - Obce nuty w jej głosie. Zdenerwowanie, zadyszka, strach, niemal panika.

Niemożliwe, że już minęło dziesięć minut. Pewnie biegła. Cholera. Nie ma szansy na śniadanie.

- Tu jestem - odparł i usłyszał, jak z wrażenia wstrzymuje powietrze. Boso wszedł do gabinetu.

Stała przy biurku, zarumieniona po biegu, z rozchyłonymi ustami. Na jego widok zrobiła wielkie oczy.

- Boże drogi - szepnęła przez łzy. Zakryła usta drżącą dłonią.

Na miłość boską, przeżyła koszmar. Spuścił wzrok, speszony, że naraził ją na taki stres. Uświadomił sobie, jak on wygląda. Świetnie. Rozpięta koszula, niedopięte spodnie, spod których wyglądają czarne bokserki. Odgarnął wilgotne włosy z twarzy, odchrząknął.

- Słyszałem, co się stało.

Wpatrywała się w niego bez słowa. Connor wszedł do gabinetu.

- Bardzo mi przykro, sir. Usiłowałem ją zatrzymać, ale... - Zobaczył, w jakim stanie jest Roman. - Powinniśmy byli zapukać.

- Żyjesz. - Shanna szła w jego stronę.

Zadzwoiła mikrofalówka, przypomniała mu, że śniadanie czeka. I musi poczekać, póki Shanna nie wyjdzie.

Connor się skrzywił. Wiedział, że najgorszy głód dręczy wampira tuż po przebudzeniu.

- Wrócimy za chwilę - powiedział do Shanny. - Niech pan Draganesti się ubierze. Chyba w ogóle go nie słyszała. Szła szybko w stronę Romana. Odetchnął głęboko, wciągał nosem jej zapach, bardzo smakowity. W pastelowej pomarańczowej koszulce wyglądała jak dojrzała brzoskwinia. Resztki krwi w jego ciele podążyły na dół, i poczuł, jak szarpie go nowy głód - oprócz krwi, pragnął także jej ciała.

Intensywność jego uczuć była chyba widoczna. Connor cofał się do drzwi.

- Poczekam na zewnątrz. - Wszedł, zamknął drzwi za sobą.

Shanna była już na wyciągnięcie ręki. Roman zacisnął pięści, walczył z pokusą.

- Słyszałem, że bardzo cię wystraszyłem. Przepraszam.

Spod jej powieki wymknęła się łza, ale zanim dotarła do policzka, starła ją energicznym ruchem.

- Najważniejsze, że nic ci nie jest. Bardzo mnie to cieszy.

Czyżby aż tak jej na nim zależało?

Obserwował Shannę uważnie. Błądziła wzrokiem po jego ciele, zatrzymała się na klatce piersiowej, spojrzała niżej, na brzuch. Cholera, ależ jej pragnie. Oby oczy mu nie lśniły.

- Naprawdę nic ci nie jest. - Dotykała jego piersi, muskała palcami; nawet najmniejszy dotyk przeszywał go prądem. Zareagował błyskawicznie - przyciągnął ją do siebie. W pierwszej chwili zeszywniała, zaskoczona, zaraz jednak rozluźniła się, oparła policzek o ciemne włosy na jego piersi. Lekko chwyciła jego koszulę.

- Obawiałam się, że cię straciłam.

- Szczerze mówiąc, nie tak łatwo jest się mnie pozbyć. - Rany boskie, zaraz oszaleje z głodu.

Panuj nad sobą, pamiętaj.

- Radinka mówiła, że w nocy wstawiłam ci ząb.

- Tak.

- Mogę zobaczyć? - Wspięła się na palce, obejrzała opatrunek. - Wygląda dobrze, ząb jest nieco bardziej ostry niż zazwyczaj. Rana już się zasklepiła.

- Chyba można zdjąć opatrunek?

- Co? O nie, to musi trochę potrwać. - Mikrofalówka znów zadzwoniła, zwróciła uwagę

Shanny. - Nie musisz tego wyjąć?

Uniósł jej dłoń do ust, pocałował lekko.

- Jedyne, co muszę, to być z tobą.

Zachnęła się lekko, cofnęła dłoń.

- A więc to prawda, że mnie zahipnotyzowałeś?

- Tak. - W każdym razie nie bardzo mija się z prawdą. Zmarszczyła brwi.

- Ale nie zrobiłam nic dziwnego, prawda? Świadomość, że mogłam coś zrobić i tego nie pamiętam, nie daje mi spokoju.

- Byłaś bardzo profesjonalna. - Ujął jej rękę i pocałował wewnątrz dłoni. Szkoda, że teraz nie zaproponuje seksu.

- Nie spanikowałam na widok krwi?

- Nie. - Muskał ustami jej nadgarstek. W żyłach pulsowała krew A Rh dodatnie. - Byłaś bardzo dzielna.

Jej oczy rozbłyły.

- A wiesz, co to znaczy? Nie muszę zmieniać zawodu. Wspaniale! - Otoczyła jego szyję ramionami, cmoknęła w policzek. -Wielkie dzięki.

Objął ją mocniej. W jego sercu zrodziła się iskierka nadziei, zaraz jednak przypomniał sobie, że sam zaszczeplił jej tę myśl, wtedy, w gabinecie stomatologicznym. Cholera! To wszystko jego wina. Shanna po prostu wykonuje jego polecenia. Wyzwolił się z jej objęć.

Była zaskoczona. Nagle jej twarz jakby zapadła się w sobie, po chwili stała się nieprzeniknioną maską. Cofnęła się. Do diabła, pewnie uważa, że ją odepchnął i usiłuje ukryć ból. Naprawdę jej na nim zależy, a on postępuje jak krety, za dnia śmiertelnie ją wystraszył, teraz zranił uczucia. Ale jego doświadczenia ze śmiertelnymi kobietami są żałośnie skromne.

Mikrofalówka nie ustawała, znów zadzwoniła. Wyrwał kabel z kontaktu. No, teraz już nie będzie go kusić ciepłą krwią. Niestety, Shanna stanowiła o wiele większą pokusę. Była świeża.

- Pójdę już. - Szła do drzwi. - Ja... bardzo się cieszę, że żyjesz i że ząb się trzyma. Jestem ci także bardzo wdzięczna za gościnę i ochronę i... prezenty, których nie mogę przyjąć. - Shanna. Była już przy drzwiach. - Jesteś bardzo zajęty, więc nie chcę zajmować ci czasu. Zaraz sobie...

- Shanna, poczekaj. - Szedł w jej stronę. - Muszę ci coś wytłumaczyć.

Nie patrzyła na niego.

- Nie ma potrzeby.

- Owszem, jest. Wczoraj, kiedy cię... zahipnotyzowałem podsunąłem ci pewien pomysł. Chciałem, żebyś mnie objęła i namiętnie pocałowała. A kiedy to zrobiłaś, przed chwilą, uświadomiłem sobie, że...

- Chwileczkę. - Przyglądała mu się z niedowierzaniem. -Myślisz, że zostałam zaprogramowana, żeby cię pocałować?

- Tak. Zdaję sobie sprawę, że nie powinienem był tego robić, ale...

- To szaleństwo! Po pierwsze, nie panujesz nade mną. Jezu, przecież ja z trudem sama nad sobą panuję.

- Może, ale...

- Po drugie... Idę o zakład, że trudniej nade mną zapanować, niż ci się zdaje.

Milczał. Miała rację, ale nie chciał tego potwierdzić.

- A po trzecie i ostatnie, to nie był namiętny pocałunek, tylko mamy całus w policzek. Facet w twoim wieku powinien wyczuć różnicę.

Uniósł brew.

- Czyżby? - Nie powie jej przecież, że prawie całe śmiertelne życie spędził w klasztorze.

- Oczywiście. Jest ogromna różnica między niewinnym całusem a namiętym pocałunkiem.

- Czy jesteś na mnie zła, że jej nie zauważyłem?

- Nie jestem zła! No, może trochę. - Łypnęła na niego. - Odsunąłeś się ode mnie jak od trędowatej.

Podszedł bliżej. - To się nie powtórzy.

Żachnęła się. - Pewnie, że nie.

Wzruszył ramionami.

- Shanno, jestem naukowcem. Nie możesz oczekiwać, że przeprowadzę empiryczne porównanie dwóch rodzajów pocałunku, jeśli brakuje mi empirycznych danych.

Zmrużyła oczy.

- Wiem, do czego zmierzasz. Liczysz na darmową próbkę!

- Chcesz powiedzieć, że zazwyczaj nie są darmowe? - Uśmiechnął się. - Ile będzie mnie kosztować namiętny pocałunek?

- Rozdaję je za darmo, kiedy mam na to ochotę, ale nie teraz. - Jej spojrzenie miało błyskawice. Prędzej piekło zamarznie, niż cię namiętnie pocałuję.

Oj. Chyba zemsta za to, że kilka minut wcześniej zranił jej uczucia.

- Moim zdaniem ten całus był bardzo ekscytujący.

- Litości. Chodzi o prawdziwą namiętność. Ogień, pot, gorączka. Obiecuję ci, że jeśli z niepojętych dla mnie powodów piekło zamarznie, a ja obdarzę cię takim pocałunkiem, bez problemu wyczujesz różnicę. - Oparła się o drzwi, skrzyżowała ręce na piersi.

- Jestem naukowcem, nie przekonują mnie czcze twierdzenia. - Podszedł bliżej. - Muszę mieć dowody.

- Nie ode mnie.

Zatrzymał się tuż przed nią.

- Może dlatego, że obiecujesz więcej, niż możesz dać.

- Ha! Może jesteś mięczak za słaby, żeby to wytrzymać.

Oparł się o drzwi. Jego dłoń spoczywała blisko jej głowy.

- To wyzwanie?

- Wyras troski. Biorąc pod uwagę twój stan zdrowia, nie wiem, czy serce to wytrzyma.

- Przeżyłem poprzedni pocałunek,

- To nie było nic takiego. Naprawdę namiętny pocałunek musi być w usta.

- Jesteś pewna? To znacznie zawęży obszar badań... - Oparł drugą dłoń koło jej głowy i nagle uwięził ją w swoich ramionach.

- Nic mi nie jest - odezwał się, zasłaniając usta dłonią.

- Złamałam podstawową zasadę: nigdy, przenigdy nie zadawać się z pacjentem. Nie powinnam w ogóle tu być.

Opuścił tekę.

- Dobrze. W takim razie cię zwalniam.

- Nie możesz mnie zwolnić! Masz w ustach mój opatrunek. - Podeszła bliżej. - Pokaż, jak to wygląda.

Usłuchał.

Obmacała opatrunek. Drażnił palce językiem.

- Przestań! - Cofnęła rękę. - Nie do wiary! Opatrunek się obluzował.

- No cóż, świetnie całujesz.

Poczerwieniała.

- Nie pojmuję, jakim cudem... Nie obawiaj się. Więcej cię nie pocałuję. Jako twoja dentystka przedkładam nade wszystko dobry stan twojego uzębienia i...

- Zwolniłem cię.

- Nie możesz, przynajmniej dopóki masz w ustach mój opatrunek.

- W takim razie własnoręcznie go wyrwę.

- Nie waż się!

- Shanno, nie chcę cię stracić.

- Nie stracisz. Musimy po prostu poczekać jakiś tydzień.

- Nie będę czekać. - Od ponad pięciuset lat czekał na coś takiego. Nie zmarnuje nawet tygodnia. I nie będzie już ryzykował, nie będzie polegał na swoim, jakże wątpliwym, opanowaniu.

Poszedł do sypialni. Czarne plamy tańczyły mu przed oczami. Nie zwracał na nie uwagi, ignorował głód, który nie dawał mu spokoju.

- Roman! - Pobiegną za nim. - Nie możesz sam tego wyjmować!

- Nie obawiaj się. - Otworzył szufladę w komodzie, szukał czegoś wśród bielizny. Jest, na samym dnie, woreczek z czerwonego filcu. Wyjął go. Srebro promieniowało ciepłem nawet przez gruby materiał. Gdyby dotknął go gołą ręką, doznałby bolesnych oparzeń. Wyciągnął do Shanny rękę z woreczkiem. Nie zauważyła tego, chłonęła wzrokiem jego sypialnię, wielkie łóże.

- Shanna?

Spojrzała na niego i zobaczyła mały pakunek.

- Chciałbym ci to dać. - Zachwiał się na nogach. Musi się posilić, i to szybko. Nieważne jak.

- Nie mogę przyjmować więcej prezentów.

- Weź to!

Skrzywiła się.

- Powinieneś popracować nad manierami.

Oparł się o toaletkę.

- Chcę, żebyś to włożyła. To cię uchroni.

- Co za przesady! - Wzięła woreczek, rozwiązała sznurek i wysypała zawartość na rękę. Wyglądał tak samo jak w 1479 roku, gdy Roman składał śluby zakonne... Srebrny łańcuch, prosty, ale pierwszej próby. I krzyż - arcydzieło średniowiecznego rzemiosła.

- Piękny. - Przyglądała mu się uważnie. - Chyba bardzo stary.

- Załóż to. Uchroni cię.

- Przed czym?

- Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiesz. - Ze smutkiem patrzył na krucyfiks. Był taki dumny, gdy ojciec Konstantyn powiesił go na jego piersi. Duma. To go zgubiło.

- Pomożesz mi go założyć? - Stała bokiem, zebrała włosy w koński ogon. Nadstawiła kark. I podała mu naszyjnik.

Cofnął się, zanim srebro go sparzyło.

- Nie mogę. Wybacz, ale muszę zabrać się do pracy. Przede mną długa noc.

Przyglądała mu się bacznie.

- Dobrze. - Włosy opadły jej na ramiona. - Żałujesz, że mnie pocałowałeś?

- Skądże. - Zaciśnięła dłonie na krawędzi toaletki - Krucyfiks. Włóż go.

Przyglądała mu się bez słowa.

- Proszę.

Uniosła brwi.

- Nie przypuszczałam, że znasz to słowo.

- Zachowuję je na specjalne okazje.

Uśmiechnęła się.

- W takim razie... - Przełożyła łańcuch przez głowę, poprawiła włosy. Krzyż spoczywał na jej piersi jak tarcza.

- Dziękuję. - Zebrał resztki sił i odprowadził ją do drzwi.

- Zobaczymy się jeszcze?

- Oczywiście. Później. Kiedy wrócę z Romatechu. - Zamknął drzwi na klucz, poszedł do gabinetu, wyjął butelkę z mikrofalówki i wypił na zimno. Rany boskie, Shanna postawiła jego świat na głowie. Nie mógł doczekać się następnego pocałunku.

Oto demon na progu nieba.

Jak widać piekło zamarzło.

Rozdział 12

Shanna schodziła do kuchni, zastanawiając się nad sytuacją. Dzięki Bogu, że Roman żyje! Teraz pytanie, czy zostać u niego, pod jego ochroną, czy skontaktować się z Bobem Mendoza? Myśl o zostaniu z Romanem była bardzo kusząca. Żaden mężczyzna nigdy jej tak nie pociągał. I nie intrygował.

Weszła do kuchni. Connor stał przy zlewie, płukał butelki i układał je w zmywarce.

- Wszystko w porządku, pani?

- Pewnie. - Zauważyła opakowanie plastrów na kontuarze. - Skaleczyłeś się?

- Nie tam, myślałem, że tobie, pani, będą potrzebne. - Spojrzał na jej szyję. - O, srebrny łańcuch. To cię pani ochroni.

- Roman mi go dał. - Podziwiała bardzo stary naszyjnik.

- *Aye*, to dobry człowiek. - Schował plastry do szafki. - Nie powinienem był w niego wątpić.

Shanna otworzyła jedną z szafek.

- Gdzie macie szklanki?

- W tej. - Connor otworzył inną szafkę, podał jej naczynie. - Czego się pani napijesz?
- Wody. - Wskazała głową lodówkę. - Sama sobie wezmę. Niechętnie podał jej szklanę i podszedł wraz z nią do lodówki.

- Posłuchaj, nie traktuj mnie jak dziecka. - Wrzuciła kilka kostek lodu i uśmiechnęła się do Szkota. Opierał się o drzwi lodówki. - Jesteście cudowni. Rozpuszczacie mnie. - Nalała sobie wody.

Connor się zarumienił.

Usiadła za stołem, zajrzała do pudełka z ciastem czekoladowym.

- Mniem. - Sięgnęła do środka. - Jak myślisz, mógłbyś załatwić mi narzędzia stomatologiczne? Muszę poprawić Romanowi opatrunek.

Connor zajął miejsce naprzeciwko.

- *Aye*. Zajmiemy się tym.

- Dzięki. - Shanna skubała ciastko. - Co tu właściwie jest do roboty?

- Po drugiej stronie holu, naprzeciwko salonu, mamy świetnie zaopatrzoną bibliotekę. A w twojej alkowie, pani powinien być telewizor.

Alkowa? Shanna uwielbiała staroświecki sposób wysławiania się Szkotów. Dojadła ciastko i poszła do biblioteki. O rany. Trzy ściany zastawione regałami z książkami, od podłogi do sufitu. Niektóre wydawały się bardzo stare. Inne napisano w językach, których nie potrafiła zidentyfikować.

Czwartą ścianę zajmowało wielkie okno za czarną zasłoną, przez które wyjrzała ukradkiem; zobaczyła spokojną i cichą ulicę oświetloną mdłym światłem latarni i samochody po obu stronach jezdni. Trudno uwierzyć, że gdzieś tam czatują ludzie, którzy pragną jej śmierci.

Z holu dobiegały głosy. KobiECE. Poszła do drzwi. Musiała przyznać sama przed sobą, że intrygowały ją tajemnicze kobiety, które oglądały telewizję w salonie Romana. Obserwowała je dyskretnie zza framugi.

Do saloniku zmierzały dwie piękne kobiety. Pierwsza w czarnym kombinezonie z lycry, wyglądała jak modelka, miała wdzięk pantery z anoreksją. Włosy, długie i ciemne, spływały swobodnie na plecy. Talię otaczał szeroki pas nabijany lśniącymi kamieniami. Miała długie czarne paznokcie ozdobione różnobarwnymi kryształami. Druga była drobna, ciemnowłosa, obcięta na pazia. Miała na sobie obcisły czarny sweterek z wielkim dekoltem, podkreślającym bujny biust, czarną mini, spod której wyłaniały się smukłe nogi w kabaretkach. Była malutka i słodka, ale buty na ogromnych platformach sprawiały, że poruszała się z wdziękiem bawołu.

Kobieta w kombinezonie gestykułowała zamasyście. Jej paznokcie lśniły w świetle kandelabrow.

- Jak on może mnie tak traktować? Nie wie, że jestem sławna?

- Simone, jest *bardzo* zajęty - zauważyła Platforma. - Ma mnóstwo rzeczy na głowie, zwłaszcza że jutro zaczyna się konferencja.

Simone odrzuciła ciemne włosy przez ramię. - Ależ ja specjalnie przyjechałam wcześniej, żeby się spotkać z tym draniem!

Shanna skrzywiła się, słuchając akcentu Francuzki. Wydawało się, że coś utkwilo jej w gardle i cały czas usiłuje odkaszląć, żeby się tego pozbyć. Simone się naburmuszyła. - Jest

okropny!

Shanna zazgrzytała zębami. Na pewno. Simone otworzyła podwójne drzwi do salonu, wypełnionego kobietami. Siedziały na skórzanych kanapach i popijały coś z kryształowych kielichów.

- Witaj, Simone! Cześć, Maggie! - powitały nowo przybyłe.

- Nasz program już się zaczął? - Maggie wkroczyła, stukając wielkimi buciorami.

- Nie - odparła kobieta, która siedziała na środkowej kanapie i Shanna widziała jedynie czubek jej głowy - krótkie, sterczące włosy ufarbowane na głęboki fiolet. - Ciągle trwają wiadomości.

Shanna spojrzała na telewizor z wielkim ekranem. Zwyczajny z wyglądu prezenter czytał wiadomości, ale nie słychać było słów, bo w rogu jaśniał czerwony znak wyłączonego dźwięku.

Zebrane tu damy nie przywiązywały większej wagi do bieżących wydarzeń. Pod czerwonym znacznikiem widniało czarne logo stacji DVN.

Shanna naliczyła jedenaście kobiet, wszystkie w wieku dwudziestu kilku lat. A niech tam. Jeśli coś ma ją łączyć z Romanem, musi wiedzieć, co tu robią. Wyszła do holu.

Simone naląła sobie płynu z karafki na stole.

- Czy ktoś już dziś widział pana? - Przysiadła na skraju sofy po lewej.

Fioletowowłosa wpatrywała się w swoje długie fioletowe paznokcie.

- Podobno ma inną.

- Co? - W oczach Simone pojawił się błysk. Pochyliła się do przodu, odstawiła kielich na stół.

- Kłamiesz, Vando. Niemożliwe, żeby pragnął innej, skoro może mieć moi.

Vanda wzruszyła ramionami.

- Nie kłamię. Phil mi powiedział.

- Dzienny strażnik? - Maggie przysiadła koło Simone.

Vanda wstała. Ona także miała na sobie czarny kombinezon, jednak jej pasek stanowiły splecione rzemienie. Przeczesała włosy palcami.

- Podobam się Philowi. Mówi mi wszystko, co chcę wiedzieć.

Simone osunęła się na kanapę. Wydawało się, że miękkie poduchy całkowicie pochłoną wątłe ciało.

- A więc to prawda? Że ma inną?

- Tak. - Vanda odwróciła głowę, pociągnęła nosem. - A to co? - Zobaczyła Shannę w holu. - No proszę, o wilku mowa.

Cała jedenastka wbiła w nią wzrok.

Weszła do saloniku z uśmiechem na ustach. - Dobry wieczór. - Shanna przyglądała się wszystkim po kolei. No dobra, czarne ciuchy to w Nowym Jorku normalni, ale te już naprawdę przesadzają. Jedna miała na sobie suknię jak ze średniowiecza. Druga kreację wiktoriańską. A to co? Krynolina?

Vanda obeszła stolik i władczo stanęła przy telewizorze. O rany. Jej kombinezon miał dekolt do pasa. Shanna widziała o wiele więcej, niż miała na to ochotę.

- Nazywam się Shanna Whelan. Jestem dentystką.

Vanda zmrużyła oczy.

- Nie mamy problemów z uzębieniem.

- To dobrze. - Nie pojmowała, dlaczego patrzą na nią tak wrogo. Chociaż nie, nie wszystkie, jedna, uśmiecha się przyjaźnie. Blondynka w normalnych modnych ciuchach siedziała na uboczu.

Kobieta w wiktoriańskiej sukni mówiła z południowym akcentem, jak piękność z plantacji:

- Dentystka? Doprawdy, nie pojmuję, z jakiego powodu pan miałby ją tu sprowadzić.

Dama w średniowiecznej szacie skinęła głową.

- Tu nie jest jej miejsce. Powinna odejść.

Odezwała się sympatyczna blondynka:

- Bez przesady, pan do swojego domu może zapraszać, kogo chce.

Spoglądały na nią groźnie. Vanda pokręciła głową.

- Nie drażnij ich, Darcy. Uprzykrzą ci życie.

- Też mi życie. - Darcy przewróciła oczami. - Umieram ze strachu. Co mi zrobią? Zabiją? Średniowieczna dama dumnie zadarła głowę.

- Nie prowokuj nas. Dla ciebie też nie ma tu miejsca.

Dziwaczki. Shanna cofnęła się o krok.

Piękność z południa taksowała wzrokiem Shannę.

- To prawda? Jesteś nową towarzyszką pana?

Pokręciła głową.

- Nie wiem, o kogo wam chodzi.

Zachichotały. Darcy się skrzywiła.

- Bon, dobrze - Simone zwinęła się w kłębek jak zadowolona kotka. - A zatem zostawisz go w spokoju. Przyjechałam z Pahyża specjalnie dla niego.

Maggie pochyliła się i szepnęła jej coś do ucha.

- Non! - Simone szeroko otworzyła oczy. - Nie powiedział jej? - Naburmuszyła się. - A mnie ignohuje. I pomyśleć, że chciałam uphawiać seks z tym dhaniem!

Maggie westchnęła.

- On już w ogóle nie uprawia seksu. Nie to, co dawniej.

- To prawda - mruknęła Vanda. Inne tylko kiwały głowami.

Rany. Shanna się skrzywiła. Ten cały pan uprawiał seks z nimi wszystkimi? Co za dziwak.

- Ale ze mną będzie - oświadczyła Simone. - Żaden mężczyzna mi się nie oprze. - Z pogardą spojrzała na Shannę. - Niby dlaczego miałby jej phagnać? Nosi co najmniej cztehnastkę.

- Excusez-moi? Przepraszam? - Shanna zerknęła na bezczelną Francuzkę.

- O, patrzcie! - Maggie wskazywała ekran telewizora. - Wiadomości się skończyły. Czas na nasz serial.

Zapomniały o Shannie, wbiły wzrok w ekran. Maggie sięgnęła po pilota, wcisnęła odpowiedni guzik i włączyła dźwięk. Reklama - kobieta zachwalała głęboki, złożony smak napoju o nazwie chocolood.

Vanda minęła kanapy, szła do Shanny. Dopiero z bliska było widać, że jej pasek to w rzeczywistości pejcz, a na jednej piersi ma tatuaż. Nietoperza. Fioletowego.

Shanna zaplotła ręce na piersi. Nie da się zastraszyć.

Vanda się zatrzymała.

- Podobno pan zasnął w cudzym łóżku.

- No nie! - Pozostałe oderwały wzrok od ekranu. Gapily się na Vandę,

Vanda się uśmiechała. Rozkoszowała się ich zainteresowaniem. Pogładziła sterczące fioletowe włosy.

- Phil mi mówił.

- W którym łóżku? - Zainteresowała się Simone. - Wydhapię oczy tej suce.

Vanda spojrzała na Shannę. Inne podążyły za jej wzrokiem.

Shanna uniosła dłonie.

- Posłuchajcie, chodzi wam o kogoś innego. Nie znam tego waszego pana, kimkolwiek jest.

Vanda zachichotała.

- Niezbyt mądra, co? Tego już za wiele.

- Wiesz, paniusiu, bystra na tyle, żeby nie farbować sobie włosów na fioletowo. Albo dzielić się facetem z innymi.

Niektóre kobiety zareagowały śmiechem, inne gniewem.

- Phil mówił, że w twoim łóżku był mężczyzna - droczyła się z nią Vanda. - Obudziłaś się i myślałaś, że nie żyje.

Chichoty ze wszystkich stron. Shanna zmarszczyła brwi.

- To był Roman Draganesti.

Vanda uśmiechnęła się powoli.

- To właśnie nasz pan.

Otworzyła usta ze zdumienia. Czy to możliwe? Roman miałby jedenaście kochanek mieszkających pod jednym dachem?

- Nie. - Pokręciła głową.

Kobiety obserwowały ją z satysfakcją. Vanda z wyrazem triumfu na twarzy opierała się o klamkę.

Shannę przeszył dreszcz. Nieprawda. Po prostu chciały jej dokuczyć.

- Roman jest porządnym człowiekiem.

- Drań - syknęła Simone.

Shannie kręciło się w głowie. To człowiek szlachetny. Tak mówiło jej serce. Chciał ją chronić, nie skrzywdzić.

- Nie wierzę wam. Romanowi na mnie zależy. Dał mi to. - Krucyfiks wsunął się pod sweterek. Wyjęła go.

Patrzyły na niego z pogardą. Vanda zeszywniała.

- To my jesteśmy jego kobietami. Dla ciebie nie ma tu miejsca.

Shanna przełknęła ślinę. Czyżby Roman naprawdę miał jedenaście kochanek? Jak mógł ją całować, skoro ma tyle kobiet? O Boże. Przycisnęła krzyż do piersi.

- Nie wierzę wam.

- W takim razie jesteś idiotką - prychnęła Simone. - To dla nas obraza, że musimy go dzielić z kimś takim jak ty.

Shanna przyglądała się im uważnie. Na pewno kłamią, ale dlaczego? Nasuwało się tylko jedno logiczne wytłumaczenie - wściekły się, bo spędziła tyle czasu z ich panem. Z Romanem.

Jak mógł jej to zrobić? Sprawiał, że czuła się wyjątkowa, a miał tu cały harem. Ależ była głupia, licząc, że chce ją chronić przed bandytami. Przydała się jako dodatek do kolekcji, do pełnego tuzina. Simone ma rację. To drań. Ma jedenaście kobiet czekających na każde jego skinienie, a jemu jeszcze mało. Świnia! Wybiegła z salonu, rzuciła się do schodów. Zanim dotarła do czwartego piętra, sapała gniewnie. O nie, nie zostanie tu. Nigdy więcej nie chce widzieć Romana. Sama o siebie zadba.

Co jej będzie potrzebne? Trochę ubrań, torebka. Przypomniała sobie, że torebka z Marilyn Monroe została w gabinecie Romana, tej świni.

Pobiegła na najwyższe piętro. Przy schodach czuwał Szkot. Podeszedł do niej.

- Coś ci potrzebne, pani?

- Torebka, którą zostawiłam. - Wskazała drzwi do gabinetu - Tam.

- Nie ma sprawy. - Strażnik otworzył drzwi.

Zajrzała do środka i zobaczyła torebkę na podłodze koto szezlonga. Sprawdziła zawartość: portfel, książeczka czekowa i beretta. Dzięki Bogu.

Przypomniała sobie, jak zaledwie wczorajszej nocy celowała z niej do Romana. Właściwie dlaczego postanowiła mu zaufać? Wsiadając z nim do samochodu, powierzyła mu swoje życie. Spojrzała ze smutkiem na aksamitny szezlong. Wczoraj pozwoliła, by ją tu zahipnotyzował. Znow mu zaufała, i tym razem powierzyła mu swój zawód, marzenia i obawy. A potem, przy drzwiach, całowali się. I to jak. Powierzyła mu swoje serce.

Po jej policzku spływała łza. Cholera, nie! Otarta łzy. Nie będzie płakać, nie przez tego drania. Była już przy drzwiach, ale nagle się zatrzymała.

Niech wie. Niech wie, że go nie chce. Nikt nie będzie jej tak traktował. Podeszła do biurka, zdjęła krucyfiks, położyła na środku. Proszę. Może to zrozumie.

Wyszła z gabinetu - strażnik czekał przy drzwiach. O rany. Jak się stąd wydostać? Strażnicy są wszędzie. Zeszła na czwarte, pogrążona w myślach. Wcześniej, zanim poznała kobiety Romana, widziała przy drzwiach wejściowych nieznanego jej Szkota. A zatem Connor jest przy tylnym wejściu. Na pewno jej nie wypuści. Musi spróbować od frontu. Nie miała swojego identyfikatora, nie znała kodu. Musi więc przekonać strażnika, żeby ją wypuścił.

W swoim pokoju przechadzała się nerwowo i snuła plany. Drażniła ją myśl, że przyjmie coś od Romana, Króla Świń, ale walczy o życie i musi postępować rozsądnie, praktycznie. Włożyła naręczne ubrań do największej reklamówki.

Radinka nie kupiła jej ani jednej czarnej rzeczy. Cholera. Żeby jej plan się powiódł, musi włożyć coś czarnego. Aha! Wczorajsze spodnie są czarne. Włożyła swoje stare ciuchy, nowe wrzuciła do siatki. Wsunęła stopy w stare białe adidasy. Najlepsze do marszu.

Z torebką i siatką podeszła do drzwi. Strażnik skinął jej głową.

Uśmiechnęła się.

- Chciałam przymierzyć te ciuchy razem z... Darcy. - Podniosła torbę z zakupami. - Ale nie powiedziała mi, w którym jest pokoju.

- Ach, ta ślicznotka o jasnych włosach. - Strażnik się uśmiechnął. - Cały harem mieszka na drugim.

Na twarzy Shanny zastygł uśmiech. Harem? tak o nich mówili? Zazgrzytała zębami.

- Wielkie dzięki.

Zbiegła ze schodów. Cholerny Roman. Pan i jego harem. To chore! Na drugim piętrze weszła do pierwszego z brzegu pokoju. Dwa podwójne łóżka, oba rozgrzebane. Wygląda na to, że dziewczyny z haremu Romana muszą dzielić pokoje. Biedulki.

Zajrzała do szafy. Kombinezony? W życiu się w nie nie zmieści. O, jest! Siatkowa tunika, czarna oczywiście. Włożyła ją na różową koszulkę. Vanda zapewne włożyłaby ją na gołe ciało.

Czarny beret - ukryła pod nim brązowe włosy. Czy takie przebranie wystarczy? Rozejrzała się po pokoju. Żadnych lusterek. Aż trudno w to uwierzyć. Jak te kobiety radzą sobie bez lusterek?

W łazience znalazła ciemnoczerwoną szminkę. Umalowała się - przeglądała się w lusterku w swojej pudernicze. Musnęła powieki czerwonym cieniem. Dobra, jest przerażająca jak one.

Zabrała siatkę i torebkę, podeszła do schodów.

Na parterze zerknęła na drzwi do salonu. Zamknięte. Dobrze. Harem siedzi w środku. Nie żeby starały się ją powstrzymać. W tej chwili z kuchni wyszedł Connor. On to co innego, na pewno jej nie wypuści.

Ukryta za schodami rozglądała się w poszukiwaniu lepszej kryjówki i wtedy dostrzegła jeszcze jedno, wąskie schody prowadzące na dół. Piwnica. Może tamtędy zdoła się jakoś wymknąć.

Zeszła na dół. Kocioł grzewczy, pralka, suszarka, drzwi. Nacisnęła klamkę. Znalazła się w obszernym pomieszczeniu, pośrodku którego królował stół bilardowy.

Witrażowa lampa nad nim sączyła mdłe światło. Po kątach stał sprzęt do ćwiczeń. Na ścianach widniały chorągwie z herbami, a między nimi topory i miecze. Po drugiej stronie pokoju stała skórzana kanapa i dwa fotele, a na nich leżały czerwono-zielone pledy. Pewnie tu Szkoci odpoczywają między zmianami.

Shanna usłyszała kroki na schodach. Cholera. Zobaczą ją, jeśli teraz wyjdzie. Kanapa stała przy samej ścianie, ok, zdoła się za nią ukryć. I wtedy zobaczyła jeszcze jedno drzwi.

Kroki były coraz bliżej. Więcej niż jedna osoba. Podbiegła do drzwi, wślizgnęła się do środka. Otoczyła ją nieprzenikniona ciemność. Czy to garderoba? Odłożyła torebkę i siatkę na podłogę. Wyciągnęła rękę – pusto. Oparła się o drzwi. Słyszała głosy i śmiechy. W końcu zapadła cisza. Ostrożnie uchyliła drzwi. Pokój był pusty. Ale paliło się światło. Zabrała swoje pakunki i wymknęła się z kryjówki. Odwróciła się, by zamknąć drzwi, i sapnęła głośno. Światło z wartowni oświetliło także jej kryjówkę.

To niemożliwe. Upuściła pakunki, weszła z powrotem za drzwi, po omacku znalazła kontakt. Pstryk. Jęknęła głośno. Miała gęsią skórę. Wąskie pomieszczenie przypominało upiorną sypialnię z dwoma rzędami łóżek. Tylko że tu zamiast łóżek stały trumny. Ponad tuzin. Wszystkie otwarte. I puste, nie licząc poduszek i koców w szkocką kratę.

Zgasiła światło, zamknęła drzwi. Boże, przecież to chore! Zabrała bagaże i wybiegła z pokoju strażników. Było jej niedobrze, tego już za wiele. Najpierw Roman i jego zdrada, jego koszmarny harem, a teraz jeszcze trumny? Szkoci naprawdę, w nich śpią? Fala złości podeszła jej do gardła. Przełknęła z trudem. Nie, nie! Nie wpadnie w panikę. Raj nagle przerodził się w piekło, ale ona się nie podda.

Musi stąd zwiewać. Była już na parterze. Zobaczyła strażnika przy drzwiach wejściowych.

No dobra, kurtyna w górę. Głęboko zaczerpnęła tchu. Musi się uspokoić. Nie myśl teraz o trumnach. Bądź twarda.

Wyprostowała się, dumnie uniosła głowę.

- *Bonsoir*, dobry wieczór. - Szła dzielnie w stronę drzwi z torebkami w dłoni. Mówiła z silnym francuskim akcentem. - Muszę wyjść i kupić farbę do włosów. Simone zażyczyła sobie pasemek.

Strażnik patrzył na nią tępo.

- No wiesz, blond pasemka. To ostatni krzyk mody! Zmarszczył brwi.

- Kim jesteś?

- Osobistą stylistką włosów Simone. Angeliqne z Pahyża. Słyszałeś o mnie, prawda?

Pokręcił głową.

- *Mentel* - jednak czasami znajomość przekleństw bardzo się przydaje. Podobnie jak trzy lata francuskiego w szkole z internatem, - Jeśli nie wrócę z farbą, Simone będzie *furieuse*, wściekła!

Szkot pobladł. Pewnie był już świadkiem furii Simone.

- No, pewnie nic się nie stanie, jak wyjdiesz na chwilę. Trafisz tu panna z powrotem?

Shanna się napuszyła.

- Czy wyglądam jak *idiotę*?

Szkot przesunął identyfikatorem przez czytnik. Zapaliło się zielone światełko. Otworzył drzwi, wyrzwał na zewnątrz

- Moim zdaniem droga wolna, dziewczyno. Kiedy wrócisz, zadzwoń interkomem, to cię wpuszczę.

- *Merci hien*, dziękuję bardzo. - Wyszła na zewnątrz, Szkot zamknął za sobą drzwi. Uf! Poczekala, aż serce przestanie jej walić. Udało się! Rozejrzała się. Na ulicy panował spokój. Chodnikiem przechadzało się kilka osób. Zbiegła ze schodów i skręciła w stronę Central Parku.

Za jej plecami ożył silnik. Serce zabiło jej szybciej, ale szła dalej. Nie odwracaj się, to nic takiego.

Ulicą przeciągnęła smuga światła - włączono reflektory w samochodzie z tyłu. Czoło miała mokre od potu. Nie odwracaj się. Nie wytrzyma. Musi wiedzieć.

Zerknęła przez ramię. Czarny sedan ruszał z miejsca. Cholera! Patrzyła przed siebie. Wyglądał tak samo jak samochody, którymi Rosjanie przyjechali pod klinikę dentystyczną. Nie panikuj. W tym mieście jest miliard czarnych wozów.

Nagle oślepił ją strumień światła - zapalił je samochód stojący przed nią. Zmrużyła oczy.

Czarny SUV z zaciemnionymi szybami. Sedan za jej plecami przyspieszył. SUV skręcił, jechał prosto na nią, zahamował gwałtownie, stanął bokiem, zablokował całą ulicę. Czarny sedan był w pułapce. Kierowca wyskoczył jak z procy. Kłął soczyście na cały głos. Po rosyjsku. Shanna puściła się biegiem. Dopadła do rogu, skręciła w lewo, gnała dalej. Serce waliło jej jak oszalałe. Była mokra od potu. ale biegła ile sił. Dotarła do Central Parku. Zwolniła, teraz szła. Rozejrzała się. żeby się upewnić, że nikt jej nie śledzi Boże drogi, cudem wywinęła się Rosjanom. Od potu zrobiło jej się zimno. Zadrżała. Gdyby nie terenówka, byłaby już trupem, to pewne. Pomyślała od razu o trumnach w piwnicy. Żołądek fiknął salto.

Zatrzymała się, oddychała głęboko. Uspokój się. Teraz nie może sobie pozwolić na mdłości.

Nie myśl o trumnach, nie teraz. Niestety, inne myśli nie były bardziej pogodne. Kto, do cholery, siedział za kierownicą SUV-a?

Rozdział 13

Roman przemierzał salę balową w towarzystwie Radinki. Cała armia sprzątaczy uwijała się jak w ukropie. Trzej mężczyźni polerowali czarno-białą posadzkę, inni pucowali okna wychodzące na ogród. Radinka co chwila odhaczała coś na liście.

- Dzwoniłam i dopilnowałam, żeby lodowe rzeźby były jutro na czas, punktualnie na dwudziestą trzydzieści, i ...

- Oby nie duchy i nietoperze - mruknął Roman.

- A co być chciał? Jednorożce i łabędzie? - Radinka zachnęła się ze zniecierpliwieniem. - Muszę ci przypominać, że to bal wampirów?

- Wiem, wiem - jęknął. Przed dziesięciu laty postawił na swoim i zrezygnowano z makabrycznego wystroju. Bądź co bądź to konferencja wiosenna, a nie bal z okazji Halloween. Jednak wszyscy byli tak oburzeni, że od tej pory posłusznie co roku urządzał bal godny hrabiego Draculi. Co roku salę zdobiły koszarne lodowe rzeźby, a pod sufitem unosiły się białe i czarne balony. Co roku zjawiali się ci sami goście, w białych i czarnych kreacjach.

Impreza zawsze odbywała się w Romatechu. Otwierano drzwi i usuwano ściany między salami konferencyjnymi i tak powstawała wielka sala balowa, którą zaludniały wampiry z całego świata. Roman zainicjował ten zwyczaj przed dwudziestu trzema laty; chciał sprawić przyjemność kobietom ze swojego klanu. One były imprezą zachwycone, on ją zniecierpliwiał. Uważał, że to strata czasu, który na pewno pożyteczniej mógłby spędzić w laboratorium.

Albo z Shanną. Shanna nie jest czarno-biała, Shanna to kolor, niebieskie oczy, różowe usta, płomienne pocałunki. Nie mógł się już doczekać kolejnego spotkania, najpierw jednak musi coś dokończyć w laboratorium. Przteleportował się do firmy czterdzieści minut temu, ale idiotyczny bal pochłonął go do tego stopnia, że nawet jeszcze nie zajrzał do laboratorium.

- Czy dotarła przesyłka z Chin?

- Przesyłka? - Radinka studiowała listę. - Nie zamawiałam nic z Chin.

- Nie chodzi o ten cholerny bal. To składniki preparatu, nad którym obecnie pracuję.

- Ach, tak. Nic mi na ten temat nie wiadomo. - Odhaczyła coś na liście. - Mamy przesłuchania nowego zespołu, High Voltage Vamps. Podobno grają wszystko, od rocka do menueta. Nieźle, co?

- Cudownie. Idę do laboratorium. - Już szedł do drzwi.

- Roman, poczekaj! - Usłyszał za sobą głos Gregoria. Odwrócił się. Gregori i Laszlo weszli do sali balowej innymi drzwiami.

- Najwyższy czas. - Roman zwrócił się w ich stronę. - Laszlo, ciągle mam twoją komórkę. - Wyjął aparat z kieszeni. - I musisz mi wyjąć druty z ust.

Laszlo tylko na niego patrzył, miał pusty, nieobecny wzrok. Nerwowo przebierał palcami, jakby chciał złapać za guzik, ale nie był w stanie tego zrobić.

- Powoli, bracie. - Gregori podprowadził go do fotela przy ścianie. - Cześć, mamó.

- Witaj, mój drogi. - Radinka cmoknęła syna w policzek i przycupnęła obok chemika. - Co jest, Laszlo? Nie odpowiadał. Spojrzała na Romana. - Chyba jest w szoku.

- Ja też. - Gregori przecesał palcami ciemne włosy. - Mam złe wieści. Bardzo złe.

Świetnie. Roman wysłał sprzątaczy na półgodzinną przerwę. Poczekał, aż wyjdą, i skinął na Gregoria.

- Mów.

- Zaproponowałem, że podrzucę Laszla dziś wieczorem do pracy, ale on chciał jeszcze wpaść do siebie i się przebrać. Pojechaliśmy tam i zastaliśmy bałagan. Jakby przeszedł huragan. Połamane meble, pocięte poduszki, grafitti na ścianie.

- Chcą mnie zabić - wykrztusił Laszlo.

- No. - Gregori się skrzywił. - Napisali na ścianie: „Śmierć Laszlo Veszcie. Śmierć Shannie Whelan”.

Roman wstrzymał oddech. Cholerny świat.

- A zatem Rosjanie wiedzą, że udzieliliśmy Shannie schronienia.

- Ale skąd? - zdziwiła się Radinka.

- Pewnie przez samochód Laszla - domyślił się Roman. - Sprawdzili tablice rejestracyjne.

- I co teraz? Jestem tylko chemikiem.

- Nie obawiaj się. Pod moją ochroną nic ci nie grozi, zostaniesz u mnie tak długo, jak zechcesz.

- Widzisz, stary? - Gregori poklepał go po ramieniu. - Mówiłem ci, będzie dobrze.

O nie, wcale nie jest dobrze. Roman i Gregori wymienili spojrzenia. Ivan Petrovsky potraktuje postępek Romana osobiście. Ba, może nawet namówi swój klan na atak. Roztaczając opiekę nad Shanną, Roman narażał swój klan na poważne niebezpieczeństwo. Radinka uściśnęła dłoń Laszla.

- Wszystko się ułoży. Dziś wieczorem przybywa Angus MacKay i kolejni Szkoci. Będziemy strzeżeni lepiej niż prezydent USA.

Laszlo odetchnął głęboko.

- Dobrze, dam sobie radę.

Roman otworzył jego komórkę.

- Rosjanie mogą zaatakować, jeśli uważają, że Shanna jest u mnie. - Wystukał numer domowy. - Connor, wzmocnij straż koło domu. Niewykluczone, że Rosjanie...

- Sir! - Connor wpadł mu w słowo. - Zadzwoił pan w odpowiedniej chwili. Nie możemy jej znaleźć. Zniknęła.

Te słowa zabolaty jak cios.

- Shanna?

- Aye. Nigdzie jej nie ma. Właśnie miałem do pana dzwonić.

- Cholera! Jak mogłeś do tego dopuścić?

- Co się dzieje? - zainteresował się Gregori.

- Ona... zniknęła - wychrypiał Roman. Nagle, z niewiadomego powodu, gardło odmawiało mu posłuszeństwa.
- Zmyliła strażnika przy drzwiach frontowych - powiedział Connor.
- Jak to? Nie rozpoznał śmiertelnej kobiety?
- Ubrała się jak twoje damy. Mówiła, że przyjechała z Simone. Upierała się, że musi wyjść, to ją wypuścił.
- Dlaczego chciała odejść? Zaledwie godzinę temu się całowali. Chyba że...
- Chcesz powiedzieć, że poznała kobiety?
- *Aye, sir.* Przedstawiły się jako twój harem.
- Cholera! - Roman odszedł parę kroków i odsunął telefon od ucha. Mógł się domyślić, że nie będą trzymać języka za zębami. Shannie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo - jeżeli Rosjanie ją dopadną... - Gregori zawiesił głos. Roman uniósł telefon do ucha.
- Connor, wyślij kogoś przed dom Ivana Petrovskiego. Jeśli porwie Shannę, zabierze ją do siebie.
- *Aye, sir.*
- I zawiadam cały klan. Może ktoś gdzieś ją zobaczy. - Jego podwładni byli rozsiani po całym Nowym Jorku, pracowali na nocną zmianę. Niewykluczone, że ktoś ją dziś widział. Mało prawdopodobne, ale to ich jedyna szansa.
- Ja... Bardzo mi przykro, panie. - Głos Connora się załamał. - Polubiłem ją.
- Wiem. - Rozłączył się. Cholerny świat. Jego cudowna Shanna. Gdzie ona jest, do licha?

A Shanna stała przed sklepem z zabawkami na Times Square. To miejsce było zawsze dobrze oświetlone i pełne ludzi, uznała więc, że jest najbezpieczniejsze z możliwych. Turyści pstrykali zdjęcia i gapili się na budynki oklejone wielkimi ekranami wideo. Na ulicach handlarze oferowali podrabiane torebki. Po drodze przyszło jej do głowy, że rozpaczliwie potrzebuje gotówki, i to gotówki, której nie sposób wykryć. Nie mogła zwrócić się ani do krewnych, ani do przyjaciół, nie chciała narażać ich na niebezpieczeństwo. Zresztą jej rodzina przebywała za granicą. W lecie przyjechali na wakacje do Bostonu, ale potem wrócili na Litwę. A starzy прияciiele mieszkali w innym stanie.

Dzwoniła więc do nowych przyjaciół - chłopaków z pizzerii Carlo's. Carlo widział, co się wydarzyło w gabinecie stomatologicznym i chciał jej pomóc. Umówiła się tu z Tommym. Przyłgnęła plecami do muru, żeby nie zniosła ją rzeka ludzi. Zauważyła Tommy'ego, zawołała go, zamachała.

- Cześć! - Dostawca pizzy z uśmiechem mijał przechodniów. Niósł wielkie pudło z pizzą.
- Cześć, Tommy.
- Przepraszam, że tyle to trwało. - Dżinsy zsunęły się nisko na biodra, odsłoniły bokserki ze Scooby Doo.
- Uściskała go.
- Wielkie dzięki. I podziękuj też Carlowi ode mnie.
- Nie ma sprawy. - Nachylił się do jej ucha. - W pudełku pod pizzą jest forsa. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli dostawa będzie wyglądać autentycznie.
- Och tak, świetny pomysł. - Wyjęła z torebki książeczkę czekową. - Ile jestem winna?

- Za pizzę? - zapytał głośno, a ciszej dodał: - Cztery enchilady, więcej nie mogliśmy. - Chyba bawiła go cała sytuacja i czuł się tak, jakby nagle trafił do obsady filmu szpiegowskiego.

- Domyślam się, że to oznacza cztery setki. - Wypisała czek na pizzerię i podała chłopakowi. - Byłabym wdzięczna, gdybyście go zrealizowali mniej więcej za tydzień.

- Co się dzieje, pani doktor? - Otworzył torbę izolacyjną, wyjął pudełko z pizzą. - Wielcy kolesie z rosyjskim akcentem byli dziś u nas i pytali o panią.

- O nie! - Rozejrzała się nerwowo przerażona, że za nim pojechali.

- Spoko, nic nie powiedzieliśmy.

- Och. Wielkie dzięki, Tommy.

- Czego chcą?

Shanna westchnęła. Nie chciała w to wciągać niewinnych ludzi. .

- Powiedzmy, że widziałam coś, czego nie powinnam.

- Może FBI ci pomoże. No jasne, to na pewno byli oni!

-Kto?

- Faceci w czerni. Oni też o ciebie wypytywali.

- No cóż, stałam się bardzo popularna. - Musi jak najszybciej zadzwonić do Boba Mendozy. Oby tym razem odebrał telefon.

- Możemy jeszcze coś dla ciebie zrobić? - W oczach Tommy'ego pojawił się błysk. - Fajna sprawa.

- To nie zabawa. Nikomu nie mów, że mnie widziałeś. - Otworzyła torebkę. - Poczekaj, dam ci napiwek.

- O nie, potrzebne ci pieniądze.

- Boże, Tommy, jak ja ci się odwdzięczę? - Cmoknęła go w policzek.

- O rany, pani doktor, to wystarczy! Spokojnie! - Odszedł z szerokim uśmiechem.

Shanna zabrała swoje rzeczy i ruszyła w drogą stronę, szła do drogerii, z automatu zadzwoniła do Boba.

- Mendoza. - Wydawał się zmęczony.

- Cześć, Bob, tu... Jane. Jane Wilson.

- Co za ulga. Bardzo się martwiłem. Gdzie byłaś?

Coś jest nie tak. Nie potrafiła tego określić, ale w jego głosie nie było ani niepokoju, ani ulgi.

- Powiedz, gdzie jesteś.

- W drodze. A co myślałeś? Muszę się wydostać z Nowego Jorku.

- Nadal tu jesteś? A gdzie dokładnie?

Poczuta ukłucie w karku. Rozsądek podpowiadał, że musi zaufać agentowi federalnemu, ale instynkt ostrzegał, że coś jest nie tak.

- W sklepie. Przyjechać do ciebie do biura?

- Nie, podjadę po ciebie, powiedz tylko, gdzie jesteś. Przełknęła ślinę. W jego głosie było coś dziwnego, coś obcego, mechanicznego.

- Wesz co... Wpadnę do ciebie do biura, jutro.

Chwila ciszy. Shannie się wydawało, że słyszy głos w tle. Kobięcy.

- Dobrze. Podam ci adres bezpiecznego domu. Bądź tam jutro wieczorem, o wpół do

dziewiątej.

- Dobra. - Zapisała adres. Gdzieś w New Rochelle. - Do zobaczenia jutro.

- Chwileczkę! Powiedz, gdzie byłaś? Jakim cudem udało ci się uciec?

Czyżby usiłował przytrzymać ją na linii? Oczywiście, w ten sposób można ją namierzyć.

- Do jutra. - Rozłączyła się. Drżały jej ręce. Dobry Boże, popada w paranoję. Nawet agent federalny wydaje się jej podejrzany. Jeszcze kilka dni i będzie pleść bzdury o kosmitach i nosić kapelusz z folii aluminiowej.

Spojrzała do góry, jakby chciała przesłać niebiosom niemy jęk frustracji. Dlaczego akurat ja? Jedyne, czego pragnęłam, to normalnie żyć!

Kupiła farbę do włosów i nylonową siatkę na swój skromny dobytek. Znalazła tani hotelik na Siódmej Alei, wzięta pokój pod fałszywym nazwiskiem, zapłaciła gotówką. Z westchnieniem ulgi weszła do pokoju. Udało się. Uciekła Rosjanom, wyrwała się z łap Króla Świni – Romana i jego domu strachów. Nie wiedziała, co przerażało ją bardziej, te upiorne kobiety czy trumny w piwnicy. Fuj! Wzdrygnęła się. Zapomnij o nich, myśl o przyszłości, o tym, jak przeżyć. W łazience położyła sobie farbę i odczekała przepisowe pół godziny. Zajadała pizzę, skakała po kanałach, aż jej uwagę zwrócił serwis informacyjny. O rany, przecież to klinika dentystyczna SoHo Promienny Uśmiech. Wybite szyby, odłamki szkła między żółtą policyjną taśmą.

Włączyła dźwięk. Spiker tłumaczył, że do zniszczenia kliniki doszło poprzedniej nocy. Policja bada sprawę w związku z morderstwem, do którego doszło w pobliżu. Wstrzymała oddech, gdy na ekranie pojawiła się twarz młodej jasnowłosej kobiety. Jej zwłoki znaleziono w zaułku niedaleko kliniki. Oficjalnie nie podano jeszcze przyczyny zgonu, ale krążyły plotki o dziwnych ranach, dwóch ukłuciach na karku, jakby po ukąszeniu zwierzęcia. Okoliczni mieszkańcy obwiniali o tą zbrodnię grupę nastolatków, którym wydawało się, że są wampirami.

Wampirami? Shanna się zachnęła. Słyszała o takich stowarzyszeniach - znudzone dzieciaki, które nie mają nic do roboty, wymyśliły sobie, że będą pić krew i namawiać dentystów, by piłowali im zęby na kształt wampirycznych kłów. To chore. Żaden szanujący się stomatolog nie zrobiłby czegoś takiego.

A jednak, wbrew jej woli, powróciły wspomnienia. Wilczy kiel w ręku Romana. Jego bezwładne, martwe ciało na łóżku, piwnica pełna trumien.

Przeszył ją dreszcz. Nie, wampiry nie istnieją. Przeżyła zbyt wiele, popada w paranoję, i tyle. Ludzie tylko bawią się w wampiry. To wszystko ma racjonalne wytłumaczenie. Oglądała ząb Romana i okazał się normalny. No dobra, może bardziej ostry, ale to też można wyjaśnić - nietypowe geny. Zdarza się przecież, że człowiek rodzi się z błoną między palcami, co wcale nie znaczy, że jest syreną.

A trumny? O Boże. Jak to wytłumaczyć? Wróciła do łazienki, splukowała farbę, wysuszyła włosy, przejrzała się w lustrze. Platynowy blond, jak Marilyn Monroe. Niezbyt pocieszające porównanie. Marilyn przecież umarła młodo. Shanna przyglądała się sobie niespokojnie. Była bardzo podobna do kobiety z wiadomości.

Blondynki zamordowanej przez wampiry.

- Nie znam się na tym, sir. - Laszlo bawił się guzikiem nowiutkiego kitla.

-Nie przejmuj się. - Byli w laboratorium. Roman przysiadł na stołku. - Niby co możesz mi zrobić? I tak już jestem martwy.

- Cóż, sir, technicznie rzecz biorąc, jeszcze nie do końca. Pański mózg funkcjonuje.

Mój mózg nie nadaje się do niczego, stwierdził Roman, ale wolał nie mówić tego głośno.

Odkąd dowiedział się, że Shanna zniknęła, nie mógł myśleć o niczym innym.

- Świetnie się spisałeś, montując Vannę. Ze mną też sobie poradzisz.

Laszlo wziął przecinak do drutu, lecz zmienił zdanie i sięgnął po obcęgi.

- Nie bardzo wiem, jak się do tego zabrać.

- Po prostu wyjmij mi cholerne druty.

- Tak jest, sir. - Podeszedł do niego. - Z góry przepraszam za wszelkie niedogodności.

- Och. - Roman skinął głową.

- Doceniam, że pokłada pan we mnie takie zaufanie - paplał Laszlo. Dobrał się do odrutowanej szczęki. - I cieszę się, że mam coś do roboty, bo inaczej myślałbym cały czas o...

- Opuścił rękę, zmarszczył brwi.

- Aargh. - Roman miał druty w ustach, to nieodpowiedni moment, by Laszlo dumiał nad swoim losem.

- Och, bardzo przepraszam. - Zajął się pracą. - Mój samochód został przed gabinetem dentystrycznym, z Vanną w bagażniku. Tak więc dziś nie mam nad czym pracować.

Roman przypomniał sobie, do jakich niefortunnych wniosków doszedł po pierwszej próbie z lalką. Zabawka obudziła w nim żądzę krwi. Uzmysłowi każdemu, jaką rozkoszą jest picie krwi żywego człowieka. Nie chciał jednak rozczarować chemika i powiedzieć, że jego projekt trafi do kosza, zwłaszcza teraz. Może po konferencji.

- Proszę bardzo. - Laszlo wyjął ostatni drucik. - Już, sir.

I jak?

Roman przesunął językiem po zębach.

- Dobrze. Dziękuję.

Na szczęście nie wystąpi na konferencji z odrutowaną szczęką. A Shanna nie będzie już miała wymówki, żeby go nie całować. Nie żeby liczył na dużo całusów.

Zerknął na zegarek. Wpół do czwartej nad ranem. Co pół godziny dzwonił do Connora po informacje, ale jak dotąd, nikt nie widział Shanny. Zniknęła bez śladu. Wiedział, że jest twarda i bystra. Na szczęście ma przy sobie krucyfiks dla ochrony. A mimo wszystko się martwił. Nie mógł skoncentrować się na pracy. Przesyłka z Chin dotarła, ale nawet to nie przyciągnęło jego uwagi, był sfrustrowany i pełny niepokoju.

- W czymś jeszcze mógłbym pomóc? - Laszlo bawił się guzikiem.

- Zechciałbyś przy projekcie, nad którym pracuję? - Roman zebrał z biurka plik papierów.

- Sir, będę zaszczycony.

- Chodzi o preparat, który umożliwiłby nam funkcjonowanie podczas dnia. - Podał mu dokumenty.

Chemik otworzył szeroko oczy.

- Fascynujące. - Zagłębił się w lekturze. Roman wrócił do biurka i wziął małe pudełko.

- Mam tu korzeń rzadkiej rośliny z południowych Chin. Podobno wykazuje zadziwiające właściwości ożywcze. - Otworzył pudełko, rozgarnął styropianowe płatki, wyjął suchy korzeń owinięty folią.

- Mogę? - Laszlo już wyciągał rękę.

- Pewnie. - jeszcze przed tygodniem ten projekt pochłaniał go bez reszty, ale teraz całkowicie stracił zainteresowanie nim. Co mu z tego, że nie prześpi dnia, skoro nie spędzi czasu z Shanną? Na miłość boską, wywarła na nim większe wrażenie, niż sobie z tego zdawał sprawę. A teraz, gdy odeszła, nie mógł nic na to poradzić.

Dwie godziny później wrócił do domu. Goście z Europy odpoczywali w pokojach gościnnych na trzecim i czwartym piętrze. Jego tak zwany harem dostał burę za zachowanie wobec Shanny i panie dąsały się w swoich kwaterach na drugim piętrze. Wszedł do gabinetu i skierował się do barku - czas na przekąskę przed snem. Wstawił butelki do mikrofalówki i podszedł do biurka. Jego umysł wypełniały wspomnienia. Shanna na krwistoczerwonym szeslongu. Widział niemal, jak się całują przy drzwiach. Zatrzymał się gwałtownie. Na biurku zobaczył srebrny łańcuch i krucyfiks.

- O nie. - Wyciągnął rękę po krzyż i poczuł palący ból.

- Cholera! - Upuścił go, obejrzał poparzone opuszki palców. Jeszcze tego mu było trzeba - bolesnego przypomnienia, że Bóg się od niego odwrócił. Cholera. Podczas snu odzyska zdrowie, ale co się stanie z Shanną? Bez krzyża jest bezbronna wobec rosyjskich wampirów.

To jego wina. Nie był z nią szczery, z jego powodu Shanna w gniewie odrzuciła jedyną rzecz, która pomogłaby jej przeżyć. Zaciśnął powieki, skoncentrował się. Nie dalej jak wczoraj łączyła ich telepatyczna więź. Zdziwiająco silna, obustronna. Może coś z niej zostało.

Szukał jej. *Shanna? Shanna, gdzie jesteś?* Jeszcze nigdy nie czuł się tak bezradny i samotny.

Shanna jęczała przez sen. Śniło jej się coś dziwnego. Była w pracy, Tommy siedział na fotelu stomatologicznym i mówił, żeby wyluzowała. Potem przemienił się w Romana. Uniósł rękę, otworzył dłoń. Spoczywał na niej wilczy kiel zanurzony we krwi.

Przewróciła się na bok. Nie, tylko nie krew. Wzięła tackę z przyrządami i zajrzała w usta Romana. Zerknęła w lusterko dentystyczne. Co? W lusterku jest pusty fotel, przecież siedzi w nim Roman. Złapał ją za rękę, wyrwał lusterko, rzucił na tacę.

- Chodź ze mną.

I nagle wrócili do jego gabinetu. Wziął ją w ramiona, szeptem prosił, żeby mu zaufała. Czowała, że mu ulega.

Pocałował ją namiętnie, chciała, żeby ten pocałunek trwał bez końca; zrzuciła z siebie kołdrę.

Zaprowadził ją do swojej sypialni, otworzył drzwi. Po wielkim łóżu nie było śladu. Pośrodku pokoju stała duża czarna trumna. O nie. Shanna patrzyła na nią z przerażeniem. Roman wyciągał do niej rękę, przyzywał. Uciekła z powrotem do gabinetu, ale tam już czekał harem, drwiący z niej. Doszła nowa członkini - martwa blondynka z wiadomości. Z dwóch ranek na szyi sączyła się krew.

Shanna gwałtownie usiadła na łóżku. Łapczywie chwytiała powietrze. O Boże, nawet podczas snu jej odwała. Opuściła głowę, masowała skronie. *Shanna, Shanna, gdzie jesteś?*

- Roman?

Rozglądała się po ciemnym pokoju, prawie pewna, że zobaczy, jak idzie w jej stronę

gdzieś z mroku. Zegarek przy łóżku wskazywał wpół do szóstej rano. Zapaliła lampkę. Pusto. Odetchnęła głęboko. I dobrze. Roman jej nie pomoże. Nie można mu ufać. Łzy frustracji dusiły ją w gardle.

Dobry Boże, nigdy w życiu nie czuła się tak bezradna i samotna.

Rozdział 14

Przez większą część dnia ukrywała się w hotelu, czekała, aż będzie mogła wyruszyć na spotkanie z Bobem w bezpiecznym domu. Myślni jednak często wracała do Romana, jak to możliwe, że tak bardzo pomyliła się co do niego? Genialny naukowiec i bardzo przystojny mężczyzna. Ratował ją, nie dbając o własne bezpieczeństwo. Był czuły i hojny. I wyczuwała w nim coś jeszcze, bezdenną przepaść rozpaczy i wyrzutów sumienia. Rozumiała jego ból; przecież sama budziła się codziennie dręczona wyrzutami sumienia. Karen żyła, kiedy ją znalazła, ale ze strachu nie zrobiła nic, żeby jej pomóc.

Instykt podpowiadał, że Romana dręczą podobne demony. Czuła z nim więź, głęboką, pierwotną, jakby ich dusze wyczuły w drugiej osobie pocieszyciela, jakby tylko oni byli w stanie ukoić swój ból. Dawał jej nadzieję na przyszłość, a ona mogłaby przysiąc, że odwzajemniła się tym samym. Przy nim wszystko było w porządku. Więc jak to możliwe, że okazał się tak wyrafinowanym kobieciarzem z własnym haremem? Czyżby osamotnienie i strach do tego stopnia mąciły jej umysł, że nie umiała już właściwie oceniać ludzi? Czyżby widziała w nim swoje uczucia, swoją winę i żal, i to zafałszowało jego prawdziwe oblicze? Kim naprawdę jest Roman Draganesti? Była go taka pewna. Myślała, że to mężczyzna idealny, że mogłaby zakochać się w nim.

Łza spłynęła jej po policzku. Szczerze mówiąc, już się w nim zakochała. I dlatego tak bardzo zabolęło, gdy dowiedziała się o haremie.

Po południu poszła do sali komputerowej w hotelu i szperała w Internecie. O Romanie nic nie znalazła, ale trafiła na stronę Romatech Industries, widziała zdjęcie fabryki w White Plains koło Nowego Jorku. Wygląda bardzo ładnie, w otoczeniu zadbanego ogrodu. Wydrukowała fotografię, złożyła, schowała do torebki. Dlaczego? Przecież nie chce go więcej widzieć. Wredny kobieciarz. Westchnęła. Mimo wszystko doprowadzają do szaleństwa. Ale teraz ona ma na głowie ważniejsze sprawy. Na przykład - przeżyć.

Za kwadrans ósma wieczorem była gotowa do drogi. Ubrania wybrane przez Radinkę uniemożliwiały wtopienie się w tłum. W różowych spodniach i koszulce, w pomarańczowej bluzie była widoczna, z daleka. No cóż. Potraktuje to jak przebranie. Przecież nikt nie podejrzewa jej o różową wersję Marilyn Monroe.

Spakowała się, zjechała windą do holu. Oczekała kilka minut w kolejce do taksówki przed hotelem. Choć słońce już zaszło, nad miastem unosiła się luna światła i było na tyle jasno, że zauważyła czarnego SUV-a po drugiej stronie ulicy. Wstrzymała oddech. To zwykły zbieg okoliczności. W Nowym Jorku są setki takich samochodów.

Podjechała taksówka. Wsiadła i natychmiast otoczył ją zapach ostrej wędliny. Pochyliła się w stronę kierowcy, żeby podać mu adres, i zobaczyła na siedzeniu pasażera niedojedzoną

kanapkę..

Auto ruszyło i opadła na tylne siedzenie.

- New Rochelle? - Kierowca włączył się do ruchu, skręcił w stronę Central Parku. Shanna zerknęła za siebie. Czarny SUV też ruszył. Świetnie. Taksówka skręciła w prawo. Odetchnęła głęboko, odczekała chwilę, znów się obejrzała. SUV też skręcił. Cholera! Pochyliła się w stronę kierowcy.

- Widzi pan tego czarnego SUV-a za nami? Śledzi nas.

Łypnął w lusterko.

- E tam.

Nie wiedziała, skąd pochodzi, nie potrafiła poznać po akcencie, ale taką karnacją mógł mieć przybysz z Afryki albo Karaibów. Zerknęła na identyfikator.

- Oringo, mówię poważnie. Proszę tu skręcić, a sam się pan przekona.

Wzruszył ramionami.

- Jak pani chce. - Skręcił w lewo, w Szóstą Aleję i błysnął zębami w uśmiechu.

- Widzi pani? Nie ma go.

I wtedy SUV pojawił się za nimi. Kierowca spoważniał.

- Ma pani kłopoty?

- Będę miała, jeśli mnie złapią. Może pan ich zgubić?

- Jak w filmie?

- Tak.

- Gramy w filmie? - Rozejrzał się, jakby oczekiwał, że przy krawężniku zobaczy wycelowany w siebie obiektyw kamery.

- Nie, ale jeśli ich zgubimy, zapłacę panu ekstra pięćdziesiątkę. - W myślach liczyła gotówkę. Cholera, kiedy dotrze na miejsce, będzie niemal bez grosza.

- Załatwione. - Docisnął gaz do dechy, przemknął slalomem między sznurem samochodów i skręcił w prawo.

Shannę zarzuciło na oparcie. Po omacku szukała pasa bezpieczeństwa. Zaczęła się szaleńcza jazda.

- Cholera, ciągle siedzi nam na ogonie! - Znów ostro skręcił. Jechali na południe, w przeciwnym kierunku niż powinni. - Jakie ma pani kłopoty?

- To długa historia.

- Aha. - Przejechał przez parking, wjechał na ulicę, nie zwalniał. - Wiem, gdzie można kupić niezłe rolexy. Tanie, a wyglądają jak prawdziwe.

- Doceniam propozycję, ale teraz nie mam czasu na zakupy. - Zacisnęła powieki – taksówka przemknęła przez skrzyżowanie na czerwonym świetle i tylko cudem uniknęła zderzenia z wozem dostawczym.

- A to szkoda. - Oringo wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu w tylnym lusterku. - Wygląda pani na dobrą klientkę.

- Dzięki. - Zerknęła za siebie. Czarny SUV wciąż był za nimi, choć chwilowo zatrzymało go czerwone światło. Spojrzała na tablicę rozdzielczą. Kwadrans po ósmej. Dojedzie na czas. Jeśli w ogóle dojedzie.

Roman zjawił się w Romatechu dwadzieścia po ósmej. Bal otwierający konferencję miał

zacząć się punktualnie o dziewiątej. Przemierzał salę balową. Pod sufitem kołysały się balony, wyglądały jak stado czarnych nietoperzy i kilku albinosów. Skrzywił się. Dlaczego jego gościom tak odpowiada ta upiorna atmosfera? Jemu przechodziła ochota na zabawę, gdy wszystko dokoła przypominało mu, że nie żyje.

Na stołach leżały czarne obrusy, na nich, położone ukośnie, mniejsze, białe. W czarnych wazonach stały bukiety cementarnych białych lili. Środek każdego stołu - jeszcze pusty - wkrótce zajmie lodowa rzeźba.

Za każdym z trzech podłużnych stołów ustawiono czarną trumnę. Bez ozdóbek. W rzeczywistości były to wielkie lodówki, w nich, wśród kostek lodu, czekały butelki nowych smaków, które dziś wprowadzał na rynek - bubbly blood i blood lite. Przy ścianie, koło okien wychodzących na ogród, znajdowała się niewielka scena. Zespół już ustawiał instrumenty. Podwójne drzwi otworzyły się nagle. Pracownicy przytrzymywali ciężkie skrzydła, gdy lodowe rzeźby wjeżdżały na powózkach. Wywołało to ekscytację i zamieszanie. Wszyscy byli podnieceni. A Roman nigdy nie czuł się tak nieszczęśliwy. We fraku było mu niewygodnie, pelerynka wydawała się idiotyczna.

I ciągle żadnych wieści o Shannie. Zniknęła bez śladu, zostawiła go z poczuciem straty i bólem w starym, suchym sercu. Poprosił Connora, żeby tej nocy miał oko na dom Petrovskiego. Zgodził się, choć to znaczyło, że nie będzie na balu. O ile Romanowi wiadomo, Rosjanie także nie znaleźli jeszcze Shanny.

Radinka z rumieńcem na twarzy szła w jego stronę.

- Cudownie, prawda? To będzie najlepszy bal, jaki kiedykolwiek organizowałam.

Roman wzruszył ramionami.

- Chyba tak. - Dostrzegł ostrzegawczy błysk w jej oczach. - Wspaniale. Świetnie się spisałaś.

Zachnęła się.

- Widzę, że mnie zbywasz. Przekrzywiła ci się. - Poprawiła mu muchę.

- Trudno się ją wiąże bez lustra. Poza tym w klasztorze nas tego nie uczyli. Znieruchomiła.

- A więc to prawda. Byłeś mnichem.

- Niezbyt dobrym. Złamałem niemal wszystkie śluby. - Poza jednym.

Zbyła jego słowa machnięciem ręki i poprawiła muchę.

- I tak jesteś dobrym człowiekiem. Na zawsze pozostanę twoją dłużniczką.

- Nie żałujesz? - zapytał miękko. Miała łzy w oczach.

- Nigdy. Umarłby, gdybyś nie... Gdyby co? Gdyby nie zmienił jej syna w potwora? Chyba wolą nie słyszeć tych słów.

Cofnęła się o krok, zamrugnęła szybko.

- Nie chce się rozkleić, przede mną jeszcze sporo pracy. Skinął głową.

- Nadal jej nie znaleźliśmy.

- Shanny? Nie martw się. Ona wróci. Musi. Jest częścią twojej przyszłości. - Uniosła dłoń do czoła. - Wiem to.

Roman westchnął.

- Chciałbym ci wierzyć, naprawdę, ale straciłem wiarę przed wielu, wielu laty.

- I wtedy zwróciłeś się ku nauce?

- Tak, nauka jest przewidywalna, udziela odpowiedzi. I nie wyrzekła się mnie jak Bóg. Nie zdradziła jak Eliza. Nie uciekła jak Shanna.

Patrzyła na niego ze smutkiem. Pokręciła głową.

- Jak na takiego starca musisz się jeszcze wiele nauczyć. - Wydęła usta - Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że jeśli liczysz na przyszłość z Shanną, musisz się pozbyć haremu.

- Shanna odeszła. To już nieistotne.

Radinka zmrużyła oczy.

- Po co je trzymasz? Z tego, co mi wiadomo, nie zwracasz na nie uwagi.

- A ty miałaś nie zwracać uwagi na moje życie osobiste, zapomniałaś już?

- Nie mogę, kiedy jesteś taki nieszczęśliwy.

Roman odetchnął głęboko. Na stole stanęła pierwsza lodowa rzeźba. Rany boskie, najohydniejszy goblin, jakiego kiedykolwiek widział.

- Zwierzchnik klanu musi mieć harem, to stara tradycja. Harem symbolizuje jego potęgę i prestiż.

Przyglądała mu się pustym wzrokiem. Jego słowa nie zrobiły na niej wrażenia.

- Tradycja wampirów?

Zaplotła ręce na piersi.

- W takim razie mam nadzieję, że mój syn nigdy nie stanie na czele żadnego klanu.

- One nie mają gdzie się podziać. Wychowały się w czasach, gdy damom nie wypadało pracować. Nic nie potrafią.

- Poza życiem na cudzy koszt.

Uniósł brew.

- Mają gdzie mieszkać i co pić, a ja mam pozór haremu. Ten układ się sprawdza.

- Więc to tylko na pokaz? Nie chodzisz z nimi do łóżka?

Przestępował z nogi na nogę.

Podniósł rękę, żeby poluzować muchę.

- Ani się waż! - Uderzyła go w dłoń. - Nic dziwnego, że Shanna jest na ciebie wściekła.

- One nic dla mnie nie znaczą.

- I to ma być usprawiedliwienie? - Radinka się zachnęła. - Mężczyźni... Nieważne, śmiertelni czy wampiry, zawsze tacy sami. - Zerknęła na bok. - Skoro o wampirach mowa, już tu są. Muszę wracać do pracy. - Oddalała się w stronę jednego ze stołów.

- Radinka! - Odwróciła się, gdy ją zawołał. - Dziękuję. Naprawdę odwaliłaś kawał świetnej roboty.

Uśmiechnęła się krzywo.

- Jak na śmiertelniczkę?

- Jesteś wspaniała. - Oby nie pomyślała, że traktuje ją protekcyjnie. Czekał, aż podejną mężczyźni. Na przedzie szli Jean-Luc, Gregori i Laszlo, za nimi Angus i jego Szkoci. Angus MacKay był potężnym mężczyzną, wojownikiem, który tylko odrobinę złagodniał wraz z upływem stuleci. Na dzisiejszy wieczór wybrał elegancką wersję szkockiego stroju: czarną marynarkę oraz białą koszulę z żabotem i koronkowymi mankietami. Ze względu na biało-czarny motyw przewodni dekoracji sali Szkoci wystąpili w czarno-białych albo szarych kiltach. Angus skinął głową i jego strażnicy rozeszli się po całym budynku, żeby sprawdzić zabezpieczenia.

Chcąc wyglądać bardziej cywilizowanie, Angus związał długie do ramion rude włosy czarnym rzemieniem. Zza mankietu czarnej podkolanówki wyglądała rękojeść sztyletu. Nigdzie nie ruszał się bez broni. Roman podejrzewał, że przyjaciel ukrył też sztylet w donicy z kwiatami przy wejściu.

Jean-Luc był całkowitym przeciwieństwem Angusa, kwintesencją wyrafinowania, dlatego idąc ramię w ramię, wyglądali komicznie. Przywódca klanów z zachodniej Europy stał się znanym na całym świecie dyktatorem mody. Początkowo ograniczał się do kolekcji wieczorowych, przecież on i jego świta występowali tylko pod osłoną nocy. Kiedy jednak gwiazdy filmowe sięgnęły po jego projekty, rozwinął skrzydła i teraz był rozchwytywanym autorem nowej kolekcji - *chique gothique*.

Dziś wystąpił w czarnym smokingu z czarną peleryną podbitą szarym jedwabiem. Bawił się laseczką, choć jej nie potrzebował. Roman nie znał wampira, który dorównałby Jean-Lucowi sprawnością fizyczną. Wysoki i szczupły, bez zmrużenia okiem mógłby wbiec po ścianie na dach budynku. Ciemne loki opadały niesfornie na twarz. Błysk w niebieskich oczach rzucał wyzwanie wszystkim, którzy ośmieliliby się kwestionować jego gust. Wyglądał jak dandys, ale Roman znał prawdę. Francuz potrafił zmienić się w bezwzględnego zabójcę. Podeszedł do przyjaciół.

- Pójdziemy do gabinetu?

- *Aye*. - Angus odpowiedział za wszystkich. - Gregori mówi, że masz nowe drinki.

- Owszem, nowe produkty z linii fusion. - Roman prowadził ich w stronę gabinetu. - Pierwszy, bubbly blood, to połączenie krwi i szampana. Będziemy go reklamować jako napój na wyjątkowe okazje.

- *Formidable*, imponujące, *mon ami*. - Jean-Luc się uśmiechał. - Bardzo tęskniłem za szampanem.

- Niestety, smakuje bardziej jak krew niż jak szampan - przyznał Roman. - Ale odurza. Zawiera alkohol. Po kilku kieliszkach szumi w głowie.

- Doświadczyłem tego na sobie - wyznał Gregori. - Zgłosiłem się na ochotnika i sporo wypilem. Pychota. Tak myślę.

- Uśmiechnął się. - Niewiele pamiętam z tamtej nocy.

Laszlo bawił się guzikiem wypożyczonego fraka.

- Wieźliśmy cię do samochodu na fotelu na kółkach. Zachichotali. Laszlo poczerwieniał. Roman domyślał się, że krępuje go towarzystwo przywódców trzech potężnych klanów. Z drugiej strony, Laszlo zawsze się denerwował.

- Dostałeś whisky, którą ci wysłałem? - zainteresował się Angus.

- Owszem. - Roman poklepał starego druha po plecach. - To nasz następny projekt - mieszanka krwi i whisky.

- Och, jak dobrze. - Angus już poczuł smak.

- Spróbowałem chocolood. - Jean-Luc zmarszczył galijski nos. - Dla mnie za słodkie, ale moje panie za tym przepadają.

- Aż za bardzo. - Roman otworzył drzwi do gabinetu. - Dlatego opracowałem drugi napój, który dziś zaprezentujemy, blood lite.

- Dietetyczny? - Jean-Luc wszedł za nim do gabinetu.

- Tak. - Roman czekał przy drzwiach, aż wszyscy znajdą się w środku. - Kobiety z mojego

klanu bardzo narzekały, że tyją, i obwinały mnie o to.

- Hm. - Angus usiadł w fotelu naprzeciwko biurka. - Moje też narzekały, ale i tak chciały tylko to.

- Uwielbiają chocoood. - Gregori przysiadł na skraju biurka. - W ostatnim kwartale sprzedaż wzrosła trzykrotnie.

- Liczę, że blood Lite rozwiąże ten problem, ma bardzo niewielką zawartość cholesterolu i cukru. - Roman zobaczył, że Laszlo kręci się przy drzwiach. Położył mu dłoń na ramieniu.

- To mój najzdolniejszy chemik. Wczoraj grożono mu śmiercią.

Laszlo wbił wzrok w czarne mokasyny i bawił się guzikiem u fraka. Angus poruszył się na krześle. Spojrzał na chemika.

- Kto groził?

- Podejrzewamy, że Ivan Petrovsky. - Roman zamknął drzwi i podszedł do biurka.

- Och. - MacKay zmarszczył brwi. - Przywódca rosyjskiego klanu w Ameryce. Moje źródła podają, że pracuje jako zabójca na zlecenie. Ale kto chciałby śmierci twojego chemika?

- Malkontenci chętnie zabiją każdego, kto macza palce w produkcji syntetycznej krwi - zauważył Jean-Luc.

- To fakt. - Skinął głową. - Więc o to chodzi?

Roman usiadł za biurkiem.

- Nie dawali znaku życia od zeszłego roku, gdy na Halloween zostawili mi niespodziankę na progu.

- Bombę? - Jean-Luc spojrzał na Szkota. - To twoja działka. Jak myślisz, kto jest przywódcą Prawdziwych?

- Ograniczaliśmy listę do trzech podejrzanych. - Angus poluźnił kołnierzyk koszuli. - Chciałem z wami porozmawiać podczas konferencji. Trzeba coś z tym zrobić.

- Zgadzam się. - Dla podkreślenia swoich słów Jean-Luc uderzył laską w podłogę. Nic dziwnego, że ten temat tak bardzo go obchodził. Malkontenci też próbowali go zabić.

Roman zacisnął dłonie.

- Jeśli Ivan Petrovsky jeszcze nie jest na twojej liście, powinien się tam znaleźć.

- Jest na pierwszym miejscu. Ale czemu grozi chemikowi? Myślałem, że zaatakujecie ciebie.

- Pewnie zabierze się i do mnie, kiedy tylko się dowie, że jestem odpowiedzialny za jego... sytuację.

Angus zmrużył oczy.

- Wy tłumacz, o co chodzi.

Roman poruszył się niespokojnie.

- To długa historia.

- Jak zawsze. - Jean-Luc uśmiechnął się znacząco. - I zawsze chodzi o kobietę, *n'est-ce pas?*

- W tym wypadku tak. - Roman odetchnął głęboko. - Nazywa się Shanna Whelan i jest celem Petrovskiego. Rosyjska mafia pragnie jej śmierci, a on dla nich pracuje.

- A ty udzieliłeś jej schronienia? - domyślił się Angus.

- Oczywiście. - Jean-Luc wzruszył ramionami. - Skoro to jego podwładna, ma obowiązek ją chronić.

- Laszlo dopomógł jej w ucieczce - dodał Gregori. - I dlatego Petrovsky chce go zabić.

Chemik jęknął i schylił się po urwany guzik.

- No to trzeba bronić i damy, i chemika. - Angus w zadumę bębnił palcami w stół. - Trudna sytuacja, owszem, ale to się da zrobić. Naszym podstawowym zadaniem jako przywódców klanu jest chronić naszych podwładnych.

Roman z trudem przełknął ślinę. Zaraz rozpęta się burza.

- Ona nie jest moją podwładną.

Angus i Jean-Luc przyglądali mu się przez pełnych pięć sekund.

- Śmiertelna.

Jean-Luc zamrugał. Angus zaciskał dłonie na poręczy tak mocno, aż pobiełały mu knykcie.

Wymienili spojrzenia. Angus odchrząknął.

- Nie dopuściłeś do śmierci zwyczajnej kobiety?

- Tak. Udzieliłem jej schronienia. Uznałem, że postępuję słusznie, bo ścigał ją wampir.

Jean-Luc oparł dłonie na złotej gałce wieńczącej laskę. Pochylił się lekko do przodu.

- Angażowanie się w sprawy śmiertelników nie jest w twoim stylu, zwłaszcza jeśli to mogłoby ściągnąć kłopoty na twój klan.

- Ja... Musiałem skorzystać z jej usług. Jean-Luc wzruszył ramionami.

- Od czasu do czasu wszyscy odczuwamy taką potrzebę. Ale mamy takie przysłowie: w nocy wszystkie koty są szare. Dlaczego ryzykować tak wiele dla jednej śmiertelniczki?

- Trudno to wyjaśnić. Ona jest... wyjątkowa.

MacKay uderzył pięścią w krzesło.

- Utrzymanie naszego istnienia w tajemnicy to priorytet. Mam nadzieję, że się jej nie zwierzałeś.

- Usiłowałem wszystko przed nią ukryć. - Roman westchnął. - Niestety, mój... harem nie potrafił utrzymać języka za zębami.

Szkot zmarszczył brwi.

- Ile wie?

- Zna moje nazwisko, wie, gdzie pracuję, gdzie mieszkam i że mieszka ze mną kilka kobiet. Nie ma pojęcia, czym jesteśmy.

- Na razie.

Roman nie wątpił, że jest na tyle inteligentna, by odgadnąć prawdę.

- Oby była tego warta. Jeśli Petrovsky dowie się, że ją ukrywasz...

- Już wie - wtrącił Gregori.

- *Merde* - sapnął Jean-Luc.

- Zaprosiłeś go na bal? - spytał Angus.

- Tak. - Roman założył ręce na piersi, pochylił się nad biurkiem. - Zaproszenia rozesłano, zanim zaczęła się ta sprawa. Zapraszam go co roku, to gest dobrej woli, ale od osiemnastu lat się nie pojawił.

- Odkąd wprowadziłeś na rynek syntetyczną krew - dodał Jean-Luc. - Pamiętam, jak zareagował. Był wściekły. Nie chciał nawet spróbować, wybiegł jak opętany, krzyczał i miotał obelgi na wszystkich, którzy odrzucali jego staroświecką ideologię.

Jean-Luc mówił, a MacKay rozpiął marynarkę i wyjął pistolet z kabury pod pachą. Upewnił się, że jest naładowany.

- Niech no tylko się pojawi. Srebrne kule.

Roman się skrzywił.

- Proszę cię, nie zabijaj moich podwładnych.

Szkot uniósł brew.

- Idę o zakład, że się zjawi. Przecież wie, że masz dziewczynę, jest tu?

- Już jej nie mam. Uciekła.

- Co? - Angus zerwał się na równe nogi. - Chcesz powiedzieć, że uciekła podczas zmiany moich chłopców?

Roman i Gregori wymienili spojrzenia.

- No, tak.

Jean-Luc zachichotał.

- Naprawdę jest wyjątkowa, *n'est-ce pas?*

MacKay zmełł przekleństwo w ustach i schował broń do kabury. Przechadzał się nerwowo po gabinecie.

- Nie do wiary. Śmiertelniczka przechytrzyła moich Szkotów? Kto byt dowódcą zmiany?

Obedrę drania żywcem ze skóry!

- Connor - odparł Roman. - Ale bystra dziewczyna zdawała sobie sprawę, że musi go unikać. Wybrała strażnika, który jej nie znał, przebrała się, udawała, że towarzyszy Simone. Podobno bardzo dobrze naśladowała francuski akcent.

- Coraz bardziej mi się podoba - mruknął Jean-Luc. Angus burknął coś gniewnie, wciąż chodząc w tę i z powrotem.

Rozdzwonił się telefon Gregoria.

- Odbiorę na zewnątrz. - Wyszedł.

- A skoro mowa o Simone... - Roman spojrzał na Jean--Luca spod ściągniętych brwi. - Dlaczego wysłałeś ją wcześniej? Sprawia same kłopoty.

Francuz wzruszył ramionami.

- Sam odpowiedziałeś na swoje pytanie, *mon ami*. Simone sprawia same kłopoty. Musiałem odpocząć.

- Pierwszej nocy zdemolowała nocny klub. A wczoraj groziła śmiercią moim... damom.

- Oczywiście, *la jdlausie*, zazdrość. Doprowadza kobiety do szaleństwa. - Jean-Luc położył sobie łaskę na kolanach. - Na szczęście Simone nie należy do mojego klanu. Wystarczy mi, że ją zatrudniam. Gdyby była moją podwładną, oszalałbym. I bez tego mam dość problemów z haremem.

Angus przechadzał się nerwowo, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Rozważam, czy nie pozbyć się swojego haremu - powiedział. Nagle zdał sobie sprawę, że przyglądają mu się uważnie. Zatrzymał się, wyprostował szerokie plecy. - Nie chodzi o to, że nie cieszy mnie ich towarzystwo. O nie, sprawia mi wielką przyjemność. A dzierlatki nigdy nie mają dość.

- Ach, ja także. - Jean-Luc skinął głową i spojrzał na Romana.

- Prawda - odparł Roman po angielsku. Ciekawe, czy przyjaciele też skłamali.

Angus podrapał się w podbródek.

- Trudno zadowolić tyle niewiast. Uważają, że moim obowiązkiem jest towarzyszyć im co noc. Nie rozumieją, że prowadzę firmę.

- *Otti, exactement*, dokładnie - mruknął Jean-Luc. - Czasami zastanawiam się, czy to nie egoizm, trzymanie tylu pięknych kobiet dla siebie; na świecie przecież jest wielu

samotnych wampirów.

Roman nie wierzył własnym uszom. Obaj przywódcy klanów, tak jak on byli znużeni haremem. Może Radinka ma rację, może czas porzucić stare zwyczaje. On przekonał większość pobratymców do zmiany nawyków żywieniowych.

Gregori wrócił do gabinetu. Schował komórkę do kieszeni.

- Dzwonił Connor. Petrovsky i jego świta wyszli z domu, jadą na północ, w stronę New Rochelle. Connor ich śledzi.

- A Shanna? - dopytywał Roman.

- Nie ma jej. Mieli na sobie eleganckie kreacje. Czern i biel. - Spojrzał z niepokojem na chemika.

Rany boskie, wybierają się na bal, pomyślał Roman.

- Co mam robić? - Laszlo rozglądał się nerwowo. - Nie mogę tu zostać.

- Nie panikuj, spokojnie. - Angus złapał go za ramię.

- Włos ci z głowy nie spadnie. Moi chłopcy są w stanie najwyższej gotowości.

Roman patrzył, jak wyjmuje pistolet. Jean-Luc odkręcił gałkę w eleganckiej laseczce i wyjął długą, ostrą szpadę. Cholera. To ma być bal czy jatka?

Drzwi otworzyły się nagle. Szkot wycelował broń.

Ian zamrugał.

- A niech mnie. Nie takiego powitania się spodziewałem. MacKay roześmiał się i schował pistolet do kabury.

- Ian, bracie. Jak tam?

- Świetnie. - Poklepał szefa po plecach. - Wróciłem z Waszyngtonu.

- W odpowiedniej chwili. Jedzie tu Ivan Petrovsky. Zanosi się na kłopoty.

Ian pokiwał głową.

- I to gorsze niż Petrovsky. - Zerknął na Romana. - Dobrze, że pojechałem do Langley.

Przynajmniej wiemy, co się dzieje.

- W czym rzecz? - zainteresował się Angus.

- Sprawdzalem ojca doktor Whelan.

Roman wstał.

- Pracuje dla CIA?

- *Aye*. Ostatnio stacjonował w Rosji, trzy miesiące temu wrócił do Waszyngtonu i objął kierownictwo nowego projektu. Dane były zaszyfrowane, ale udało mi się większość zrozumieć.

- Mów.

- Objął operację pod kryptonimem „Trumna”. Szkot wzruszył ramionami.

- To popularna nazwa w tych kręgach.

- Nie w tym znaczeniu. - Ian zmarszczył czoło. - Mają swoje logo. Nietoperz przebity kołkiem.

- O cholera - sapnął Angus.

- *Aye*. Mają listę obiektów do zlikwidowania, jest na niej Petrovsky i kilka osób z jego klanu.

- Ze smutkiem spojrzął na Romana. - I ty.

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy na liście to wampiry?

- *Aye*. - Ian się skrzywił. - Wiecie chyba, co to znaczy. Roman ciężko opadł na fotel.
- Wiedzą o nas - wyszeptał.

Rozdział 15

Ivan Petrovsky spojrział na adres, który podała mu Katia. - Tu, Vlad. Zatrzymaj się.

Vladimir wypatrył miejsce do parkowania kilkanaście metrów od bezpiecznego domu w New Rochelle. Po obu stronach słabo oświetlonej uliczki wyrosły wąskie piętrowe domy z małymi gankami i jeszcze mniejszymi ogródkami. W większości budynków paliły się światła, ale dom, do którego zmierzali, spowijały ciemności.

Nie ma innej wampirzycy, którą Ivan darzyłby takim szacunkiem jak Katię; po raz kolejny dowiodła, że jest warta swojej wagi w złocie. Od dawna należała do jego klanu i była równie bezwzględna jak jej pan. Odnalazła i uwiodła agenta federalnego, który opiekował się Shanną Whelan. Mając go w swojej władzy, zastawiła pułapkę.

Ivan kazał Vladowi zostać w aucie, a sam szybko podszedł do budynku. Przy tylnych drzwiach czekał, aż Alek i Galina, kobieta z jego haremu, do niego dołączą. Weszli do środka. Doskonale widzieli w ciemnościach, nie musieli zapalać światła. Minęli kuchnię, pokonali wąski korytarzyk i znaleźli się w saloniku. Katia i jej agent siedzieli na kanapie, czy raczej Katia siedziała okrakiem na mężczyźnie. Miała spódnicę zakasaną do pasa.

- Dobrze się bawisz? - zapytał Ivan.

Wzruszyła ramionami.

- Nudziło mi się, a to przynajmniej coś do roboty.

- Ja też mogę? - Galina przycupnęła kolo agenta. Miał nieprzytomny wzrok. Z rana na szyi ciekła krew. Ivan machnął mu ręką przed oczami. Żadnej reakcji. Miał ochotę przykleić mu karteczkę na czole: „Do wynajęcia”.

- A gdzie Whelan?

Katia zeszła z agenta. Czarna spódnica opadła aż do kostek.

- Podoba ci się? - Stała tak, że odsłoniła nogę w rozcięciu, które kończyło się dopiero węzłem na biodrze. Nie miała na sobie bielizny. Biała bluzka bez rękawów odsłaniała piersi.

- Bardzo. Ale gdzie jest Whelan? - Zerknął na zegarek. Dwudziesta czterdzieści. Za dziesięć minut muszą jechać. Zabicie Shanny potrwa chwilę, ale liczył, że jeszcze zdąży się z nią zabawić.

Katia spojrzała ze współczuciem na jego przybocznego.

- Biedny Alek, co noc widzi swojego pana z kobietami, ale sam nie śmie ich tknąć. - Wsunęła dłoń pod spódnicę i odsłoniła nagi pośladek.

Alek zacisnął pięści i uciekł wzrokiem.

- Dość tego, Katia. - Czyżby chciała skłócić go z Alkiem? W dzisiejszych czasach trudno o dobrego pomocnika, silnego wampira, który słucha rozkazów, ale nie dobiera się do haremu. W ciągu minionych stuleci Ivan zabił wielu, bo nie potrafili trzymać się z daleka od kobiet. Nie stać go na utratę kolejnego. Wskazał nieprzytomnego agenta.

- Domyślam się, że Whelan jest w podobnym stanie. Gdzie ją trzymasz? Na górze?

Katia cofnęła się o krok. W jej oczach pojawiła się czujność.

- Jeszcze nie przyjechała.

- Co? - Ivan szedł w jej stronę. Zaciśnęła powieki. Oczekiwała ciosu.

Ivan zacisnął pięści. Napięcie znów koncentrowało się w karku, stawało się nie do wytrzymania. Strzelił kręgami. Katia pobladła. Może obawiała się, że to samo spotka jej śliczny kark.

Schyliła głowę.

- Przykro mi, że cię zawiodłam, panie. - Wróciła do starych form grzecznościowych.

- Mówiłaś, że Whelan będzie o wpół do dziewiątej. Co się z nią stało?

- Nie wiem. Bob kazał jej tu przyjechać. Tak się umówili.

Zazgrzytał zębami. - Ale jej nie ma.

- Nie, panie.

- Usiłowała się z nim skontaktować?

-Nie.

- Chciałem się nią pożywić przed tym pieprzonym balem. - Nerwowo przechadzał się po pokoju. Miał doskonały plan. Nie dość, że zarobi ćwierć miliona dolarów, to jeszcze z rozkoszą będzie patrzeć na cierpienie Romana Draganestiego. Najpierw wypije całą krew z Shanny Whelan, potem, na balu, rzuci ciało Romanowi pod nogi. Draganesti i jego mięczaki wpadną w panikę, a tymczasem Vladimir wymknie się chyłkiem i doprowadzi wieczór do imponującego zakończenia. Idealny plan Wszystko miało się udać. Gdzie do cholery jest ta dziewczyna? Nie znosił opóźnień w posiłkach.

- Głupia suka! - Przekrzywił głowę z głośnym traskiem.

Katia zadrżała.

- Może jeszcze przyjedzie. Może się spóźni.

- Nie mogę na nią czekać bez końca. Musimy iść na ten cholerny bal. To jedyny sposób, by dostać się na teren Romatechu, nie budząc podejrzeń Szkotów. - Z całej siły walnął pięścią w ścianę. - Muszę tam iść o pustym żołądku, a przecież na takiej imprezie nie będzie nic do jedzenia.

- Ja też jestem głodna. - Galina wydeła usta. Seksowna rudowłosa, dawniej prostytutka na Ukrainie, wiedziała, jak sprawić mężczyźnie przyjemność.

- W Bobie jest jeszcze sporo krwi - zapewniła Katia. -Uszczknęłam tylko trochę.

- Pycha. - Galina usiadła na nim okrakiem. Zwilżyła usta językiem.

Ivan sprawdził godzinę.

- Mamy jeszcze pięć minut. - Patrzył, jak Galina wbija kły w szyję agenta. - Zostaw coś dla mnie. - Facet i tak już im się na nic nie przyda.

Gregori zerknął na zegarek.

- Dochodzi dziewiąta. Chodźmy do sali balowej.

Roman wstał zza biurka. Nie miał ochoty na bal. Jak może się bawić, skoro Shannie grozi niebezpieczeństwo? Na samą myśl o bubbly blood zrobiło mu się niedobrze. I do tego ostatnie rewelacje - ojciec Shanny stoi na czele grupy, która chce go zabić.

Na rany boskie. Czyżby historia miała się powtórzyć? Aż za bardzo przypomniało to

kłeskę z Londynu, z 1862 roku. Poznał wtedy śliczną młodą damę imieniem Eliza. Kiedy jej ojciec odkrył sekret Romana, zażądał, żeby wyjechał z kraju. Zgodził się, ale liczył, że Eliza zrozumie jego dylemat i ucieknie z nim do Ameryki. Zwierzył się jej. Następnego wieczoru obudził się w otwartej trumnie, z drewnianym kołkiem w piersi.

Przypisywał ten czyn jej ojcu, ale okazało się, że to Eliza wbiła mu kołek w pierś. Ojciec nie dopuścił, by umieściła go w sercu, bo obawiał się zemsty innych wampirów. Roman, zniesmaczony tą sprawą, zatarł ich wspomnienia. Szkoda, że nie mógł pozbyć się swoich. W Ameryce zaczął nowe życie, ale smutna sprawa nie dawała mu spokoju. Przysiągł sobie, że nigdy więcej nie zainteresuje się śmiertelną kobietą. Jednak teraz w jego życiu pojawiła się Shanna i dała mu promyk nadziei. Co zrobi, kiedy pozna prawdę? Też będzie chciała zabić go podczas snu? Czy poczeka, aż ojciec wykona swój plan?

Jakim cudem CIA dowiedziała się o wampirach? Mogło się zdarzyć, że wampir idiota popisywał się sztuczkami przed śmiertelnikami, a później nie zmodyfikował ich pamięci. Nieważne, jak do tego doszło; sytuacja jest poważna, Jean-Luc, Angus i Roman będą zastanawiać się podczas konferencji, jak rozwiązać ten problem. Wszyscy szli do sali balowej.

- Ian, co wiesz o projekcie „Trumna”? Ilu agentów liczy zespół?

- Pięciu, z ojcem Shanny.

- Tylko pięciu? - Zdziwił się Szkot. - Nie jest źle. Znasz ich nazwiska? Może uda nam się ich dopaść.

Romanowi to się nie podobało. Zabić ojca Shanny? Kiepski początek romansu.

- Bez sensu. - Jean-Luc rytmicznie stukał laseczką w podłogę. - Jeśli nie śpimy, śmiertelny nic nam nie zrobi. Od razu przejmujemy kontrolę nad jego umysłem.

Roman zatrzymał się w pół kroku. Czyżby o to chodziło? Shanna wykazała zadziwiającą odporność na próby kontroli myśli. Co więcej, kiedy już zdołał się z nią połączyć, z niesamowitą zręcznością czytała jego myśli. Niewykluczone, że ma zdolności paranormalne. Odziedziczone. O Boże. Zespół zabójców wampirów, który dostał błogosławieństwo rządu i któremu niestraszna hipnoza - bardzo niepokojąca perspektywa.

- Pewnie chcą nas wykańczać za dnia - mruknął Angus. - Wyszkolę więcej dziennych strażników.

- Pan Draganesti pracuje nad preparatem, który umożliwiłby nam funkcjonowanie w ciągu dnia - wtrącił Laszlo. Zerknął niespokojnie na Romana. - Może niepotrzebnie o tym mówię.

- To prawda? - Angus złapał go za ramię. - Możesz to zrobić. bracie?

- Tak mi się wydaje. Jeszcze tego nie testowałem.

- Zgłaszam się na ochotnika - zaproponował z uśmiechem.

Roman pokręcił głową.

- O nie, nie mogę dopuścić, żeby coś ci się stało. Jesteś mi potrzebny, prowadzisz firmę, a ja w tym czasie mogę sobie siedzieć w laboratorium.

Jean-Luc pchnął podwójne drzwi prowadzące do sali balowej i natychmiast wycofał się do holu.

- *Merde*. Jest tam ta straszna kobieta z DVN. Chyba nas widziała.

- Dziennikarka? - zapytał Roman.

- Nie do końca. - Jean-Luc się wzdygnął. - To Corky Courrant Prowadzi program o gwiazdach *Na żywo z nieumarłymi*.
MacKay nie krył irytacji.

- A co tu robi?

- Panowie, jesteście sławni. - Gregori przyglądał się im z niedowierzaniem. - Chyba o tym wiecie?

- Owszem. - Laszlo pochylił głowę. - Wszyscy jesteście sławni.
Roman zmarszczył brwi. Rzeczywiście, jego wynalazki zmieniły oblicze wampirycznego świata, on jednak do dziś spędzał każdą noc w laboratorium. Szczerze mówiąc, teraz też wolałby tam być.

- Nie nabierz się na jej uśmiech - ostrzegł Angus. - Wiem od informatorów, że za czasów Henryka VIII kierowała w Tower salą tortur. Wtedy nazywała się Catherine Courrant. Podobno osobiście wymusiła na bracie Anny Boleyn wyznanie kazirodstwa.
Jean-Luc zbył te rewelacje nonszalanckim wzruszeniem ramion.

- A teraz pracuje w telewizji. Oczywiście.

- Mówimy na nią Mokry Balon. - Spojrzeli na Iana pytająco - No, to taki żart. Ze względu na jej biust.

- Podoba mi się. - Gregori wyciągnął ręce przed siebie, jakby niósł dwa wielkie melony. - Ma wielkie cycki. Pewnie sztuczne.

- *Aye* - zgodził się Ian. - Są ogromne.

- No dobrze. - Roman zazgrzytał zębami. - Dziękuję za te informacje. Ale one nic nie zmieniają. Bez względu na jej wątpliwe zaplecze i sztuczną... fasadę, nie możemy do końca balu czaić się w holu.

- *Aye*. - Angus dumnie uniósł głowę. - Musimy zmierzyć się ze smokiem.
Ian głęboko zaczerpnął tchu.

- Musimy być smokiem.
Drzwi otworzyły się gwałtownie. Mężczyźni tchórzliwie cofnęli się o krok. Żaden nie zionął ogniem.

- Tu jesteście! - wykrzyknęła smoczyca z triumfalnym błyskiem w oczach. - Teraz już mi nie uciekniecie!

Corky skinęła na ekipę, żeby zajęła odpowiednie miejsca. Dwaj mężczyźni przytrzymywali drzwi. Potężny kamerzysta nastawiał obiektyw, makijażystka pudrowała Corky. Wszyscy mieli na sobie czarne dżinsy i koszulki z białym napisem „DVN”. Goście, elegancy w bieli i czerni, stali tuż za ekipą i tym samym tarasowali drogę ucieczki.
Jesteśmy w pułapce. Roman zdawał sobie sprawę, że jedynym bezpiecznym miejscem byłby teraz jego gabinet, a nachalna reporterka bez wątpienia i tam nie dałaby im spokoju.

- Nawet nie waście się uciekać. - Wbiła w nich spojrzenie ciemnych oczu. - Będziecie gadać.

To było pewnie jej ulubione powiedzonko w izbie tortur. Angus i Roman wymienili spojrzenia.

- Dosyc tego! - Przegoniła makijażystkę. Dotknęła miniaturowej słuchawki w uchu i słuchała przez chwilę. - Za trzydzieści sekund wchodzimy na antenę. Wszyscy na miejsca.

- Stała przed kamerzystą. Czarna sukienka opinała duże pośladki. Implasty, na pewno. Zapewne skorzystała z usług doktora Uberlingena z Zurychu. To jedyny wampiryczny chirurg plastyczny, który za odpowiednio wysoką sumę gwarantował każdemu wampirowi wieczną młodość i urodę. Implasty reporterki zapewne okazały się atutem, który przeważał szalę na jej korzyść, gdy ubiegała się o pracę. DVN to nowa stacja; co tydzień jej właściciele dostawali setki zgłoszeń od wampirów którym marzyła się kariera na ekranie. Póki nie wynaleziono kamery cyfrowej, nie można było uwiecznić wampirów. Technologia cyfrowa niosła ze sobą nowe możliwości i zarazem problemy. Roman nie zdziwiłby się wcale, gdyby właśnie tym sposobem CIA dowiedziała się o ich istnieniu. Może odkryli tajną częstotliwość, na której nadawał DVN.

Zadzwoił telefon, Gregori odebrał.

- Cześć, Connor - mówił cicho. - Co nowego?

Roman nadstawił ucha.

- Dom w New Rochelle? I co się stało?

Kamerzysta dał znak. Corky rozpromieniła się w uśmiechu.

- Witajcie, to ja, Corky Courrant, na żywo dla *Na żywo z nieumartymi*. Dziś mamy dla was coś szczególnego - nadajemy prosto z największej imprezy tego roku! Na pewno chętnie posłuchacie, co nasze znakomitości mają nam do powiedzenia.

Wskazała Angusa MacKaya i powiedziała o nim kilka słów, potem obiektem zainteresowania stał się Jean-Luc Echarpe. Roman łowił urywki rozmowy Gregoria.

- Jesteś pewien? - szepnął młody wampir. - Nie żyje? Przełknął głośno. Chodzi o Shannę? Wyobraził sobie jej bezwładne ciało. Nie! To nie może być ona!

- Sam Roman Draganesti! - Reporterka stanęła tuż przed nim. - Nasi widzowie umierają z ciekawości, co pan im powie.

- To nieodpowiednia chwila, panno Melon. - Poczł, że Jean-Luc wali go w plecy laską. - To znaczy Cyc. To znaczy... Do cholery, jak ona właściwie się nazywa?

Oczy dziennikarki zapłonęły gniewem. Uśmiech przerodził się w grymas.

- Mademoiselle Courrant - Jean-Luc wpadł mu w słowo - czy zaszczyci mnie pani pierwszym tańcem wieczoru?

- Ależ oczywiście. - Corky uśmiechnęła się triumfalnie do kamery i zacisnęła dłoń na jego ramieniu. - Czyż to nie marzenie każdej z nas? Taniec w ramionach zwierzchnika klanu Europy Zachodniej. To lepsze niż rodzina królewska! - Poszła za nim na parkiet.

Roman szedł w stronę Gregoria.

- Co się stało? Mów?

Angus, Ian i Laszlo do nich dołączyli. Gregori schował komórkę do kieszeni.

- Connor pojechał za Petrovskim do prywatnego domu w New Rochelle; podejrzewał, że przetrzymują tam Shannę. Kiedy Ivan i jego świta weszli do środka, obszedł budynek, lewitował na wysokość drugiego piętra i dostał się do środka.

Roman nie wytrzymał.

- I co, znalazł ją tam?

- Nie. Pokoje na piętrze były puste. Odetchnął ulgą.

- Natomiast na parterze mieli śmiertelnika - ciągnął Gregori. - Connor ich podsłuchiwał. Ivan był wściekły, że Shanna nie przyjechała. Zabili tego człowieka. Ma wyrzuty sumienia,

że nie zareagował, ale nie dałby sobie rady z czterema wampirami. Słyszał, że zadzwonił telefon, a potem wszyscy wyszli. Pobiegł na parter i zobaczył ofiarę. Agent federalny.

- A niech mnie - burknął Angus. - Nic dziwnego, że CIA chce nas wytłuc. Tacy jak Petrovsky rujną nam reputację.

- Ale ja nie chcę zrobić nikomu krzywdy. - Laszlo pastwił się nad guzikiem u fraka. - Może uda nam się przekonać CIA że nie wszyscy jesteśmy źli?

- Spróbujemy. - Angus zaplótł ręce na szerokiej piersi. - A jeśli nie uwierzą, to się drani zabije.

Roman zmarszczył brwi. Nie pojmował logiki Szkota.

- Gdzie teraz jest Connor?

- W drodze na bal - odparł Gregori. - Podobnie jak Petrovsky. Connor wywnioskował, że chcą tu coś zrobić.

- A zatem musimy być gotowi. - MacKay wkroczył do sali balowej.

Roman czekał przy drzwiach. Zespół grał walca i czarno-białe pary wirowały na parkiecie. Jean-Luc i dziennikarka przemknęli obok niego. Przyjaciół postawił mu błagalne spojrzenie. Angus w kącie sali instruował regiment Szkotów.

Ivan Petrovsky jest już w drodze. Chce im narobić kłopotów. Dobrze przynajmniej, że zostali uprzedzeni. Niewiedza doprowadzała Romana do szaleństwa. Gdzie jest Shanna, do cholery?

Zegar na tablicy rozdzielczej taksówki wskazywał dwudziestą pięćdziesiąt. Shanna się spóźni, ale przynajmniej miała pewność, że nikt jej nie śledzi. Dzięki umiejętności kierowcy o imieniu Oringo zgubili czarnego SUV-a.

- To tu. - Zerknęła na karteczkę z adresem. - Numer 52/67. Widzisz?

Na nieoświetlonej uliczce było ciemno, trudno było odczytać numery domów. Minęli budynek pograżony w ciemności. Oringo zwolnił.

- Chyba tu.

- Ten ciemny? - Co Bob robi po ciemku? Poczwała na karku lodowate palce strachu. Przez telefon głos agenta wydawał się jakiś dziwny.

Oringo zatrzymał się przy krawężniku.

- Dostają ekstra pięćdziesiątaka, tak?

- Tak. - Shanna wyjęła pieniądze z torebki. Zerknęła na ciemny budynek. - Myślisz, że to bezpieczne miejsce?

- Myślę, że puste. - Odgryzł kawałek kanapki i odwrócił się, by spojrzeć na pasażerkę. - Zawieźć panią gdzie indziej?

Przełknęła ślinę.

- Nie mam dokąd pójść. - Rozejrzała się. Po obu stronach uliczki stało kilkanaście samochodów. Czy jest wśród nich czarny sedan? Zimny dreszcz z karku przeszedł na kręgosłup. - Możemy przejechać obok tego czarnego wozu?

- Nie ma sprawy. - Odpalił silnik i powoli minęli sedana. Wytężyła wzrok. Za kierownicą siedział mężczyzna.

Boże! Ten sam, który kłął po rosyjsku przed domem Romana,. Zobaczył ją. Zmrużył oczy. Shanna się odwróciła. - Jedziemy! Szybko!

Oringo docisnął pedał gazu. Opony zapiszczały. Odważyła się spojrzeć za siebie. Rosjanin krzychał coś do komórki. Oringo dojechał do rogu i ostro skręcił w lewo, pozbawiając ją widoku na prześladowcę.

Cholera. Rosjanie wiedzieli o tym domu. Dokąd teraz ma iść?

- Och. - Osunęła się na siedzeniu, ukryła twarz w dłoniach.

- Wszystko w porządku, psze pani?

- Ja... muszę pomyśleć. - Przyjaciół. Potrzebny jej przyjaciel. Ktoś, kto udzieli jej pomocy, pożyczycy gotówkę. Myśl! Uderzyła się dłonią w czoło. Daleko nie zajedzie, już teraz kończy się jej gotówka. Przyjaciół. W pobliżu.

- Radinka! - Wyprostowała się.

- Co? - Zerknął na nią niepewnie.

- Jedziemy do siedziby Romatechu. - Otworzyła torebkę, znalazła fotografię, którą wcześniej wydrukowała. - Tu masz adres. To pod White Plains. - Podała mu arkusik.

- Dobra. Nie ma sprawy.

Opadła na siedzenie. Radinka jej pomoże, jest dobra i troskliwa. Mówiła, że wieczorami pracuje w Romatechu. No i tam jest ochrona. Mnóstwo ludzi. Wśród nich, Roman Draganesti.

Wzdrygnęła się. Za żadne skarby nie poprosi tego drania o pomoc. Wy tłumaczy Radince, że nigdy więcej nie chce go widzieć. Musi gdzieś tylko bezpiecznie przeczekać do rana, a wtedy skontaktuje się z agentem. Biedny Bob. Oby nic mu nie groziło. Na wspomnienie Rosjanina za kierownicą czarnego sedana przeszył ją dreszcz. Odwróciła się.

- Jadą za nami?

- Chyba nie. Mamy nad nimi przewagę czasową.

-Oby.

- To mi przypomina polowanie na sawannie. Moje imię, Oringo to ten, który kocha polowanie. Ja uwielbiam.

Shanna założyła ręce na piersi.

- A jak się pan czuje w roli zwierzyny? Roześmiał się i ostro skręcił w prawo.

- Proszę się nie martwić. Gdy zobaczymy czarny samochód, to mu uciekniemy.

Wkrótce znaleźli się przed Romatechem. Długi kręty podjazd prowadził od bramy do budynku, zawijał, zawracał, zataczał koło z powrotem pod bramę. Wszędzie tłoczyły się limuzyny.

- Stajemy w kolejce? - zapytał Oringo.

Shanna niespokojnie spojrzała na sznur samochodów. Co tu się dzieje, do cholery? Nie, perspektywa ugrzęźnięcia w kotku bez możliwości ucieczki to kiepski pomysł.

- Dzięki, tu wysiadę. Zjechał na pobocze.

- Pewnie mają tu dziś coś ważnego - zauważył.

- Pewnie tak. -I dobrze, im więcej ludzi, tym lepiej. Tłum gwarantuje jej bezpieczeństwo.

Rosjanie nie zabijają jej przy tyłu świadkach.

- Proszę. - Podała mu plik banknotów.

- Dzięki.

- Żałuję, że nie mogę dać większego napiwku. Jestem panu naprawdę bardzo wdzięczna, ale kończą mi się pieniądze.

Błysnął zębami w uśmiechu.

- Nie ma sprawy. Od przyjazdu do Ameryki tak dobrze się nie bawiłem.

- Do widzenia. - Wzięła torebkę, siatkę i pobiegła do bramy.

- Stop! - Z budki przy wjeździe wyszedł strażnik. Szkot. Znieruchomiła. Przypomniały jej się otwarte trumny. Nie myśl o tym. Masz dotrzeć do Radinki.

Szkot miał na sobie kilt w szaro-białą kratę. Przyglądał się jej podejrzliwie.

- Nie przyszła pani w czerni i bieli.

No i co z tego? Nie wolno chodzić na różowo?

- Chciałabym się spotkać z Radinką Holstein. Czy może jej pan przekazać, że przyszła Shanna Whelan?

Szkot wybałuszył oczy.

- Jezu Chryste! Toć pani wszyscy szukają! Proszę się stąd nie ruszać! Zaraz wracam.

Wszedł do budki, sięgnął po telefon. Shanna odwróciła się i mierzyła wzrokiem sznur limuzyn. Od kiedy to w instytucjach badawczych urządza się eleganckie przyjęcia?

Wstrzymała oddech. Nieco dalej zatrzymał się czarny sedan. Cholera. Puściła się biegiem do wejścia. Oby wewnątrz czekała armia Szkotów uzbrojonych po zęby. Pieprzyć te cholerne trumny. Póki są po jej stronie, zapomni o tym widoku. Nie, nie do końca.

Dopadła do drzwi wejściowych. Z limuzyny wysiadała akurat grupka gości w białoczarnych strojach wieczorowych. Patrzyli na nią z góry. Kilka osób węszyło, jakby dziwnie pachniała. Co za snoby, pomyślała, wchodząc do środka. W wielkim holu kłębiło się morze eleganckich gości, pograżonych w rozmowie. Omijała poszczególne grupki, czuła na sobie ich pogardliwe spojrzenia. Jezu, czuła się, jakby przyszła na bal maturalny w dresie i bez chłopaka.

Po prawej stronie zobaczyła podwójne drzwi, przytrzymywane wielkimi donicami. Z pomieszczenia w głębi dobiegały dźwięki muzyki i szmer rozmów. Skierowała się w tamtą stronę. Nagle w holu zjawił się oddział Szkotów. Ukryła się u skrzydłem drzwi i wielką donicą.

- Szukacie śmiertelniczki? - zapytał siwowłosy mężczyzna we baku.

Śmiertelniczki?

- *Aye* - odparł Szkot. - Weszła tu?

- Owszem. - Siwy skinął głową. - Jest fatalnie ubrana.

- Tak, to na pewno śmiertelna. - Jego towarzyszką prychnęła pogardliwie. - Zawsze można ich poznać po zapachu.

Litości. Szkoci zainteresowali się cholernymi snobami a Shanna czmychnęła przez otwarte drzwi i znalazła się w sali balowej. Pary w białoczarnych kreacjach tańczyły menueta jakby żywcem przeniesione z osiemnastego wieku. Inni goście przechadzali się, gawędzili, popijali coś z kieliszków. Przeciskała się przez tłum. Wszyscy się za nią oglądali Bomba. Ubrana od stóp do głów na różowo, demonstrowała, że tu nie jest jej miejsce. Musi znaleźć Radinkę, i to szybko. Minęła stół, na którym królowała wielka lodowa rzeźba. Nietoperz. Nietoperz? Przecież to nie Halloween? Po co komu nietoperze na wiosnę?

Zastygła w pół kroku, zszokowana, gdy zobaczyła otwartą trumnę przy stole. Służyła za lodówkę. To chore! Przepychała się przez tłum. Gdzie ta Radinka? I czy to Roman wchodzi na podest? Na pewno ją zobaczy. Ukryła się za potężnym mężczyzną w czarnej

koszulce z napisem „DVN”. Trzymał kamerę cyfrową.

- Wchodzisz. - Dał znak kobiecie o bujnych piersiach.

- TU Corky Courrant na żywo w programie *Na żywo z nieumarłymi*. Co za ekscytujący wieczór! Jak widzicie, za moimi plecami - wskazała za siebie - na scenę wchodzi Roman Draganesti, by powitać nas na dwudziestym trzecim corocznym balu otwierającym konferencję. Wszyscy zapewne wiecie, że Roman to naczelny dyrektor Romatechu, twórca linii fusion i przywódca najpotężniejszego klanu w Ameryce Północnej.

Jak to: klanu? Co za klanu? Czy to przykrywka dla czegoś innego? Sekty wyznawców czarnej magii? Czy to wszystko czarnoksiężnicy? To by tłumaczyło czarne stroje i zamiłowanie do upiornych dekoracji, takich jak lodówka w kształcie trumny.

- Coś do picia? - Zatrzymał się przy niej kelner -czarną tacą zastawioną kieliszkami.

Czy on także jest czarnoksiężnikiem? I Radinka? Roman?

- Ja... poproszę coś lekkiego.

- Ależ oczywiście! Najnowsze dzieło pana Draganestiego. - Kelner podał jej kieliszek. - Smacznego. - Odszedł.

Shanna zajrzała do kieliszka. Czerwony płyn. Jej uwagę wrócił głos Romana. Boże, ależ seksowny. Sukinsyn.

- Witam wszystkich... - Przeczesał wzrokiem tłum. Shanna usiłowała zminimalizować się za facetem z DVN, ale do cholery, w różowym stroju mogła równie dobrze machać czerwoną płachtą.

- ...na corocznym balu... - Urwał.

Wyrzała zza olbrzyma. O Boże, Roman patrzył prosto na nią. Skinął ręką i przy nim zjawił się Ian. Młody Szkot rozejrzał się i zobaczył Shannę. Zbiegł ze stopni, szedł w jej stronę.

- Miłej zabawy - zakończył Roman. Ruszył za Ianem.

- Cudownie! - pisnęła dziennikarka. - Roman Draganesti idzie do nas. Porozmawiajmy z nim!

Och, Roman!

Cholera. I co teraz? Zaufać Szkotowi, który sypia w trumnie? Kobięciarzowi Romanowi, czarnoksiężnikowi od siedmiu boleści?

Mężczyzna z DVN cofnął się i wpadł na nią.

- O, przepraszam.

- Nie ma sprawy - mruknęła. Nagle przypomniała sobie logo i slogan na ekranie telewizora: DVN. 24/7. Bo gdzieś kiedyś zawsze jest noc. Zawsze jest noc? Co to za stacja? Dla czarnoksiężników?

- Przepraszam, co znaczy skrót DVN? Facet się zachnął.

- Gdzieś ty się podziewała przez ostatnie pięć lat? - Zmrużył oczy. - Chwileczkę. Jesteś śmiertelna. Co ty tu robisz?

Shanna przełknęła ślinę. Jeśli tylko ona jest śmiertelna, kim są ci wszyscy ludzie? Cofnęła się o krok. - Co znaczy skrót DVN?

Facet uśmiechnął się powoli.

- Digital Vampire Network.

Shanna jęknęła. Nie, to jakiś chory dowcip. Przecież wampiry nie istnieją naprawdę. Podeszedł do niej Ian.

- Proszę za mną, panno Whelan. Tu nie jest pani bezpieczna.
 Szarpnęła się.
 - Zostaw mnie. Ja wiem... wiem, gdzie śpicie - widziałam trumny. A w trumnach sypiają wampiry.
 Zmarszczył czoło.
 - Proszę mi dać ten kieliszek. Pójdziemy do kuchni, zje pani coś normalnego.
 Normalnego? Więc, co to niby jest? Uniosła kieliszek i pociągnęła nosem. Krew! Z krzykiem rzuciła go na ziemię. Rozprysł się o posadzkę, jego zawartość pochłapała wszystkich dokoła.
 - No i zobacz, co narobiłaś! - wrzasnęła jakaś kobieta. - Krwawe plamy na nowiutkiej sukni!
 Ty... - Spojrzała na nią i syknęła.
 Shanna się cofnęła. Rozejrzała się. Wszyscy sącyli coś z kieliszków. Pili krew. Przycisnęła torbę do piersi. Wampiry.
 - Shanna, proszę. - Roman zbliżał się powoli. - Chodź ze mną. Ochronię cię.
 Uniosła drżącą dłoń do ust.
 - Ty... ty też. - Miał nawet czarną pelerynę, jak Dracula. Facet z DVN zawołał głośno:
 - Corky, musimy to mieć! Dziennikarka przepychała się przez tłum.
 - Nieoczekiwane wydarzenie na balu w Romatechu! Na imprezie wampirów zjawiała się kobieta śmiertelna! - Podsunęła Shannie mikrofon pod nos. - Powiedz, jakie to uczucie znaleźć się w tłumie wygłodniałych wampirów?
 - Idź do diabła! - Shanna odwróciła się na pięcie i spojrzała na drzwi. Stali tam Rosjanie.
 - Pójdiesz ze mną. - Roman złapał ją żelaznym uściskiem i otulił oboje peleryną.
 Otoczyła ją ciemność.

Rozdział 16

W pierwszej straszliwej chwili Shanna nie czuła gruntu pod nogami. Dryfowała, zagubiona, półprzytomna, świadoma tylko bliskości Romana. Otaczała ją ciemność, groźna, myląca. Nagle szarpnięcie i stała. Właściwie potykała się.

- Ostrożnie. - Podtrzymał ją. Odsunął pelerynę i Shanna poczuła na policzku lekki wiaterek. Uderzył ją zapach ziemi i kwiatów.

Byli na zewnątrz, w ogrodach otaczających Romatech. Reflektory ogrodowe wyczarowywały z mroku dziwne kształty. Skąd się tu wzięła? Na dodatek jest sama z Romanem Draganestim. Z Romanem, czyli z... z... Nie, nie mogła o tym myśleć. To zbyt straszne. Wyrwała się z jego objęć, poślizgnęła się na żwirkowej alejce. Nieco dalej z okien sali balowej padał blask. -Jak? Jak się tu...?

- Teleportacja - odparł miękko. - To był najszybszy sposób, jaki przyszedł mi do głowy. Magia. A więc Roman naprawdę jest wampirem. Wzdrygnęła się. Niemożliwe. Nigdy nie wierzyła we współczesne romantyczne wampiry. Takie stwory z samej definicji są obrzydliwe. Paskudy, mają cuchnący oddech, gnijące ciało i długie szpony. Niemożliwe,

żeby wampir był seksowny i inteligentny jak Roman. Niemożliwe, żeby wampir tak całował. O Boże, całowała się z nim. Wymieniała płyny ustrojowe z potworem z piekła rodem. No bomba, nieźle to zabrzmiało na spowiedzi. A pokuta? Dwie zdrowaśki i zero kontaktów z pomiotem piekielnym?

Weszła na trawę, schroniła się w cieniu wielkiego drzewa, widziała jedynie zarys postaci Romana. Wiatr rozwiewał czarną pelerynę.

Nie myślała, puściła się szaleńczym biegiem w stronę świateł przy bramie. Biegła, ile sił w nogach, nie pozwoliła, by torebka i siatka spowolniły sprint. W jej żyłach buzowała adrenalina Jeszcze tylko kilka metrów i...

Szum i ruch za nią, a w alejce przed nią wyrósł cień. Roman. Zatrzymała się gwałtownie. Nie chciała na niego wpaść. Chciwie łąpała ustami powietrze. Stał nieruchomo.

Pochylił się.

- Nie uciekniesz mi.

- Zauważyłam. - Przyglądała mu się bacznie. - Mój błąd. Dopiero w tej chwili do mnie dotarło, że nie powinnam robić nic, co wzbudziłoby twój apetyt.

- Nie przejmuj się tym. Ja nie...

- Nie gryziesz? Czyżby? - Przed oczami stanął jej wilczy kieł. - O Jezu. Ten ząb, który ci wstawiłam... To był kieł, prawda?

- Tak. Bardzo ci dziękuję za pomoc.

Żachnęła się.

- Wyślę ci rachunek. - Odchyliła głowę do tyłu, patrzyła w rozgwieżdżone niebo. - Niemożliwe, że to się dzieje naprawdę.

- Nie możemy tu zostać. - Wskazał salę balową. - Rosjanie mogą nas zobaczyć. Chodź. - Podszedł do niej.

Odskoczyła do tyłu.

- Nigdzie z tobą nie idę.

- Nie masz wyboru.

- Wydaje ci się. - Poprawiła siatkę na ramieniu, otworzyła torebkę. Roman westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Nie możesz mnie zastrzelić.

- Oczywiście, że mogę. Nawet nie oskarżą mnie o morderstwo. Przecież ty już nie żyjesz. - Wyjęła beretę.

Błyskawicznie wyłuskał pistolet z jej dłoni i cisnął w krzaki.

- Jak śmiesz! Potrzebna mi do obrony.

- Pistolet cię nie uratuje. Ja - Tak.

- No proszę, jakież jesteś wielkoduszny! Rzecz w tym, że ja od ciebie nic nie chcę. A już na pewno nie chcę mieć śladów po kłach.

Sapnął nerwowo. Irytuje go? A to pech. Cóż, przez niego jest w szoku.

Wskazał palcem salę balową.

- Nie widziałas tam Rosjan? Ich przywódcą jest Ivan Petrovsky, mafia wynajęła go, żeby ciebie zabił. To zawodowiec, cholernie dobry.

Shanna się cofnęła. Drżała na lekkim wietrze.

- Przyszedł na twoje przyjęcie. Znasz go.

- Zwyczaj nakazuje zapraszać wszystkich przywódców klanów. - Roman podchodził do niej. - Ma ciebie zabić wampir, Twoją jedyną szansą jest pomoc innego wampira. Moja pomoc.

Głęboko zaczerpnęła tchu. Sam to powiedział. Nie mogła dłużej wmawiać sobie, że jest inaczej, choć bardzo tego chciała. Prawda jest przerażająca.

- Musimy iść. - Złapał ją mocno. Zanim zdążyła zaprotestować, spowiła ją ciemność. To wirowanie było okropne. Nie czuła własnego ciała. Kiedy odzyskała świadomość, stała w ciemnym pomieszczeniu. Potknęła się, straciła równowagę. - Ostrożnie. - Roman ją podtrzymał. - Trochę trwa, zanim człowiek przyzwyczai się do teleportacji.

Odepchnęła go.

- Nie rób tego więcej! Nie podoba mi się to.

- No dobrze. Porozmawiajmy. - Chwytał ją za łokieć.

- Przestań. - Wyrwała mu się. - Nigdzie z tobą nie idę.

- Nie słyszałaś, co powiedziałem? Tylko ja mogę cię uchronić przed Petrovskim.

- Nie jestem bezradna! Do tej pory sama sobie świetnie radziłam! Zresztą mogę liczyć na pomoc rządu.

- Na przykład na agenta federalnego w New Rochelle? Nie żyje.

Wstrzymała oddech. Bob nie żyje?

- Chwileczkę. Skąd o tym wiesz?

- Connor obserwował dom Petrovskiego na Brooklynie. Pojechał za Rosjanami do New Rochette i tam widział twojego agenta. Nie miał szans wobec czterech wampirów. Podobnie jak ty.

Z trudem przełknęła ślinę. Biedny Bob. I co teraz?

-Wszędzie cię szukałem. - Położył dłoń na jej ramieniu. - Pozwól, że ci pomogę.

Zadrżała, czując jego dotyk. Nie, nie budził w niej obrzydzenia. Wręcz przeciwnie. Uświadamiał jej, jak bardzo Roman pragnął ją ocalić, ile wykazał zrozumienia i troski, jaki był hojny i miły. Naprawdę chciał pomóc. tak mówiło jej serce, choć ostatnie rewelacje wywołały szok. Ale jak mogłaby przyjąć pomoc, gdy poznała tę straszną prawdę o nim? Z drugiej strony, jak mogłaby jej nie przyjąć. Jest takie powiedzenie, że ogień zwalcza się ogniem, prawda? Może to samo dotyczy wampirów.

Jezu, co ona sobie myśli? Zaufać wampirovi? Dla niego jest tylko źródłem pożywienia. Smakołykiem.

- To twój naturalny kolor włosów? - zapytał cicho.

- Co? - Shanna zauważyła, że podszedł bliżej. Wpatrywał się w nią uważnie. Intensywnie. Jakby był głodny.

- Zawsze wiedziałem, że brąz to farba. Dotknął pasma włosów na jej ramieniu.

- To twój naturalny kolor?

- Nie. - Cofnęła się o krok, odrzuciła włosy na plecy. No świetnie. Teraz odsłoniła kark.

- A jaki jest naprawdę?

- Dlaczego rozmawiamy o kolorze moich włosów? - Głos jej drżał. - Co, blondynki są smaczniejsze?

- Pomyślałem, że uspokoi cię rozmowa na zwykłe tematy, chociażby o włosach.

- No to źle pomyślałeś. Ciągle nie uporałam się z tym, że jesteś demonem, krwiopijcą z

piekła rodem!

Zesztywniał. Coraz lepiej. Zraniła jego uczucia. Ale do cholery, ma prawo być zdenerwowana. Więc skąd wyrzuty sumienia, że wyładowała złość na nim? Odchrząknęła.

- Chyba zabrzmiało za ostro.

- Właściwie nie mijasz się z prawdą. Skoro jednak nigdy nie byłem w piekle, technicznie rzecz biorąc, nie mogę stamtąd pochodzić.

Ojej. Naprawdę go zraniła.

- Przepraszam.

Długą chwilą ciszy. Wreszcie zareagował.

- Nie musisz mnie przepraszać. To nie twoja wina. A już z pewnością nie potrzebuję twojej litości.

Ojej, po raz drugi. Nie najlepiej sobie z tym radzi. No, ale nie miała w życiu zbyt wielu okazji do rozmowy z demonem.

- Posłuchaj... Możemy zapalić światło?

- Nie, będzie je widać przez okno i Petrovsky domyśli się, że tu jesteśmy.

- A gdzie właściwie jesteśmy?

- W moim laboratorium. Okna wychodzą na ogród. Pomieszczenie wypełniał dziwny zapach - środek dezynfekujący i coś jeszcze, jakby, metaliczny zapach... Krew. Jej żołądek fiknął salto. No pewnie, zajmuje się krwią. Wynałazł syntetyczną krew. I ją pil. Wzdrygnęła się. Zaraz, zaraz... Jeśli wampiry żywią się syntetyczną krwią, nie atakują już ludzi. Roman też ratuje ludzkie życie. Nadal jest bohaterem. Co nie znaczy, że nie jest demonem i krwiopijcą. Jak mogłaby sobie z tym poradzić? Jakaś jej część brzydziła się nim, ale druga chciała wyciągnąć do niego ręce i powiedzieć, że nie jest taki zły... jak na wampira.

Skrzywiła się. Wcale nie potrzebuje jej pocieszenia. Ma dziesięć wampirzyc czekających na każde jego skinienie. Jedenaście, jeśli policzyć Simone.

Otworzył drzwi do holu. Z korytarza płynęło stłumione światło. Po raz pierwszy odkąd opuściła salę balową, widziała jego twarz. Był blady. Spięty. Gniewny.

- Chodź za mną. - Wszedł do holu. Shanna szła powoli.

- Dokąd idziemy? - Wyjrzała na korytarz. Pusty. Nie odpowiedział. Nie patrzył na nią. Rozglądał się czujnie, jakby obawiał się, że bandyci pojawią się lada moment. No tak, skoro mogą się teleportować, to niewykluczone. Przyznała mu rację. Ma tytko jedną szansę na wyjście cało z tej opresji.

Jego.

Weszła do środka. Był to miniaturowy apartament, składał się z sypialni, kuchni i łazienki. Postawiła siatki na stole kuchennym. Po chwili zauważyła, że Roman, który wszedł za nią zdjął pelerynę i owinął nią dłonie.

- Co ty robisz?

- Od tej strony drzwi są wyłożone srebrem. Poparzyłbym sobie ręce. - Zamknął drzwi, opuścił zasuwę, przesunął rygle.

- Zostaniesz tu ze mną?

Spojrzał na nią.

- Boisz się, że cię ugryzę?

- No, nie wiem. Prędzej czy później zgłodniejesz.

- Nie żywię się krwią śmiertelników - wycedził przez zęby. Poszedł do kuchni, wyjął butelkę z lodówki, wstawił do mikrofalówki.

Jest głodny, domyśliła się Shanna. A może po prostu je, kiedy się denerwuje, jak ona. Doszła jednak do wniosku, że to nieodpowiednia chwila na wykład o zjadaniu problemów. W jej interesie jest, żeby był syty.

Wróciły wspomnienia kuchni w jego domu. Connor, który za wszelką cenę starał się utrzymać ją z dala od lodówki. Connor i Ian podgrzewający „koktajle proteinowe”. Kobiety sączące czerwony płyn z kieliszków. Boże, miała to wszystko pod nosem. Wilczy kiel. Trumny w piwnicy. Roman, który spał w jej łóżku jak zabity. Naprawdę był martwy. I jest, choć mówi, chodzi... I całuje. Jak szatan.

- Nie mogę uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. - Przysiadła na skraju łóżka. A jednak. To jawa, nie sen.

Zadzwoiła mikrofalówka. Wyjął butelkę, przelał jej zawartość do szklanki. Shanna się wzdrygnęła. Upił łyk i spojrzał na nią.

- Jestem przywódcą klanu, co znaczy, że ponoszę osobistą odpowiedzialność za bezpieczeństwo moich podwładnych. Chroniąc cię, nastąpiłem na odcisk staremu wrogowi. Ivan Petrovsky to wampir, Rosjanin, i chce cię zabić. Niewykluczone że wypowie nam wojnę.

Podszedł do fotela, postawił szklankę na stoliku, przesunął palcem po szklanej krawędzi.

- Przykro mi, że nie powiedziałem ci wszystkiego, ale wtedy uważałem, że najlepiej, jeśli będziesz wiedzieć jak najmniej.

Brakowało jej słów, więc siedziała w milczeniu. Roman opadł na fotel, rozluźnił muchę pod szyją i zrzucił. Wydawał się normalny i pełen życia, kiedy opowiadał o wszystkich, za których czuje się odpowiedzialny. Przechylił lekko głowę, pocierał czoło dłonią. Wydawał się zmęczony. Jakby nie było, prowadzi wielką firmę i sprawuje pieczę nad rzeszą podwładnych. A ci teraz znaleźli się w niebezpieczeństwie. Przez nią.

- To, że mi pomogłeś, ściągnęło na ciebie mnóstwo kłopotów.

- Nie. - Poprawił się na fotelu, żeby ją widzieć. - Mój konflikt z Petrovskim zaczął się przed wiekami. A to, że ci pomogłem, sprawiło mi radość, jakiej nie zaznałem od lat.

Z trudem przełknęła ślinę. Czuła łzy pod powiekami. Ona także rozkoszowała się wspólnymi chwilami, niech Bóg jej to wybaczy. Lubiała, gdy się śmiał. Gdy ją obejmował. Lubiała w nim wszystko, póki nie dowiedziała się, że ma zastęp kochanek.

Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że najbardziej drażni ją właśnie harem. Owszem, rozumiała, czemu jej nie powiedział, że jest wampirem. Kto z własnej woli przyznałby się do tego? Zresztą, musi myśleć nie tylko o sobie, także o innych, o klanie. To zrozumiałe, że jej nic nie powiedział. I wybaczone.

A że jest demonem... No cóż, to kwestia interpretacji. Bądź co bądź, każdego dnia ratuje miliony ludzkich istnień za pomocą syntetycznej krwi. I każdej nocy - bo dostarczył wampirom alternatywne źródło pożywienia. Czuła sercem, że w Romanie nie ma zła. Gdyby było inaczej, nie pociągałby jej tak bardzo.

Nie, największy problem to harem. Wybaczy mu wszystko, tylko nie to. Ale dlaczego

akurat harem tak bardzo jej przeszkadza? Zamknęła oczy z obawy, że zaraz się rozplące. Zwykła zazdrość. Chciała go tylko dla siebie. Ale to wampir. Nie będzie go mieć. Zerknęła na niego. Wciąż ją obserwował, ale teraz na dodatek jeszcze sączył krew. O Boże. Niby co ma teraz powiedzieć? Opanowała łzy, wzięła się w garść.

- Ładny pokój. Dlaczego go zbudowałeś?

- Było kilka zamachów na moje życie. Angus MacKay zaprojektował go jako schronienie przed Malkontentami.

- Malkontentami?

- Tak ich nazywamy. Oni wolą określenie Prawdziwi, choć w rzeczywistości to zwyczajni terroryści. Tajne stowarzyszenie, które wierzy, że szatan dał im prawo żywić się krwią ludzi. - Uniósł szklanę. - Dla nich krew syntetyczna to obraza.

- Och. A ty ją wynalazłeś, więc bardzo cię nie lubią.

Uśmiechnął się lekko.

- Delikatnie mówiąc. Nie przepadają też za Romatechem. W przeszłości zorganizowali już kilka zamachów. I dlatego mam tak silną ochronę i tu, i w domu.

Ochronę złożoną z wampirów, którzy śpiją w trumnach. Shanna powoli absorbowała nowe rewelacje. Roman dopił krew do końca, wstał, poszedł do kuchni, opłukał dokładnie szklanę i ją odstawił.

- Chcesz powiedzieć, że są dwa rodzaje wampirów: źli Malkontenci, którzy żywią się krwią ludzi, i dobre wampiry jak ty.

Oparł się o marmurowy blat. Stał do niej tyłem, Znieruchomiał, oddychał szybko. Walczył z wewnętrznym demonem.

Z samym sobą.

Uderzył pięścią w blat tak gwałtownie, że podskoczyła. Odwrócił się błyskawicznie, zły, z błyskiem w oku. Podszedł do niej.

- Nie waż się popełnić tego błędu, nie myśl, że jestem dobry. Mam na sumieniu więcej zbrodni, niż możesz sobie wyobrazić. Mordowałem z zimną krwią. Przemieniałem setki ludzi w wampiry. Skazałem ich nieśmiertelne dusze na wieczne potępienie!

Siedziała bez ruchu, wstrząśnięta tym wyznaniem. Morderca. Twórca wampirów. Dobry Boże, jeśli chciał ją przerazić, świetnie mu się to udało. Zerwała się równe na równe nogi i pobiegła do drzwi. Odsunęła dwa bolce, zanim jej nie powstrzymał.

_ Nie, do cholery. - Odepchnął ją i zasunął rygiel. Z głośnym sykiem oderwał rękę od drzwi.

Zobaczyła pręgi na jego palcach, poczuła okropny zapach palonej skóry.

- Co...

Zacisnął zęby i dotknął drugiego zamka.

- Przestań! - Odepchnęła jego rękę i zasunęła rygiel. Jezu, co ona wyprawia? Przyciskał do siebie poparzoną dłoń. Pobladł z bólu.

- Sparzyłeś się - szepnęła. Tak bardzo mu zależy na jej bezpieczeństwie? Wyciągnęła rękę. - Pokaż.

Cofnął się.

- Do jutra się zagoi. - Łypnął na nią gniewnie. - Nie rób tego więcej. Nawet jeśli wyjdiesz na zewnątrz, dogonię cię w mgnieniu oka.

- Mówisz, jakbym była więźniem.
Podszedł do lodówki, wyjął kilka kostek lodu. - Jesteś pod moją ochroną.
- Dlaczego? Dlaczego tak bardzo ci na tym zależy?
Stał przy zlewie, pocierał lodem oparzone palce. Myślała już, że nie odpowie. Podeszła do łóżka. - Jesteś wyjątkowa - powiedział. Zatrzymała się w pół kroku, wyjątkowa? Zamknęła oczy. Jezu, facet przyprawia ją o ból serca. A jednak, wbrew wszystkiemu, chciała go przytulić i pocieszyć.
- Mógłbyś mnie zabić, rosyjska mafia pewnie ci zapłaci.
Wrzucił lód do zlewu. - Nie potrafiłbym ciebie skrzywdzić.
W takim razie dlaczego chce, żeby była o nim jak najgorszego zdania? Opisał siebie jako potwora. Przysiadła na łóżku. Sam siebie tak postrzega? Nic dziwnego, że dręczą go wyrzuty sumienia.
- Wampir - Spojrzał na nią. - Powiedz to Shanno. Jestem wampirem.
Jej oczy zaszyły mgłą.
- Nie chcę. To do ciebie nie pasuje.
Przyglądał się jej ze smutkiem.
- Też przechodziłem przez fazę zaprzeczania. Z czasem przeszło.
- W jaki sposób?
Zacisnął usta. - Zgłodniałem.
Wzdrygnęła się. - Żywiłeś się ludzką krwią.
- Tak. Póki nie wynalazłem krwi syntetycznej. Zadaniem Romatechu jest sprawić, by świat był bezpieczny i dla ludzi, i dla wampirów.
Wiedziała to. Wiedziała, że jest dobry, choć on tego nie dostrzegął.
- A oprócz teleportacji i skwierczenia na srebrnym półmisku, co jeszcze...?
Jego spojrzenie złagodniało.
- Mam wyostrzone zmysły. Słyszę z daleka, widzę w ciemności. Mam dobry węch - wiem, że twoja grupa krwi to A Rh dodatnie. - Kącik jego ust uniósł się w uśmiechu. - Moja ulubiona.
Shanna się skrzywiła.
- W takim razie zapraszam do lodówki.
Uśmiechnął się. Cholera, za przystojny jak na potwora.
- I ruszasz się z szybkością światła.
- Tylko jeśli chcę. Czasami lepiej działać powoli.
Przełknęła ślinę. Czyżby z nią flirtował?
- A umiesz się zmienić w nietoperza i latać?
- Nie, to stare przesady. Nie zmieniamy się w nic, nie latamy. Za to lewitujemy.
- Nie musisz wracać na przyjęcie? Do przyjaciół?
Wrzucił ramionami i oparł się o kontuar.
- Wole. zostać tu, z tobą.
Czas na pytanie za sto punktów. - Chciałeś stać się wampirem?
Zesztywniał. - Skądże.
- Wiec jak do tego doszło? Zaatakowano cię?
- Szczegóły są nieważne. - Podszedł do fotela. - Nie chcesz tego słuchać.

Odetchnęła głęboko.

- Wręcz przeciwnie. Chcę usłyszeć wszystko.

Nie był przekonany. Rozpiął frak.

- To długa historia.

- Dawaj. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Jestem dobrą słuchaczką.

Rozdział 17

Roman rozparł się w fotelu i wbił wzrok w sufit. Wciąż dręczyły go wątpliwości. Kiedyś już opowiedział swoją historię kobiecie, i ta chciała go zabić. Głęboko zaczerpnął tchu, zanim zaczął mówić:

- Urodziłem się w małej rumuńskiej wiosce w 1461 roku. Miałem dwóch braci i młodszą siostrzyczkę. - Usiłował przypomnieć sobie ich twarze, ale czas zatarł wspomnienia. Byli razem bardzo krótko.

- O rany - szepnęła Shanna. - Masz ponad pięćset lat.

- Dzięki, że mi o tym przypominasz.

- Opowiadaj dalej - poprosiła. - Co się z nimi stało?

- Żyliśmy w biedzie. To były ciężkie czasy. - Czerwone światelko nad łóżkiem przykuło jego uwagę. Kamera monitoringu działała. Przeciął powietrze płynnym ruchem i w ułamku sekundy światelko zgasło.

- Matka umarła w połogu, gdy miałem cztery lata. Potem odeszła moja siostrzyczka, dwuletnia.

- Bardzo mi przykro.

- Kiedy miałem pięć lat, ojciec zabrał mnie do pobliskiego klasztoru i tam zostawił. Ciągle liczyłem, że wróci. Nie mógł przecież porzucić syna, którego kochał. Tak mocno mnie uściskał przy rozstaniu. Nie chciałem spać na sienniku, nie słuchałem mnichów. Wciąż czekałem na przyjazd ojca. - Potarł czoło. - Mieli już dosyć moich szlochów i powiedzieli mi prawdę. Ojciec mnie sprzedał.

- O nie. To straszne.

- Pocięczałem się myślą, że ojcu i braciom powodzi się lepiej, że żyją jak królowie, mają wreszcie pieniądze. W rzeczywistości zostałem sprzedany za worek mąki.

- To okropne. Pewnie był zdesperowany.

- Przymierali głodem. - Westchnął. - Często zastanawiałem się, dlaczego właśnie ja.

Shanna pochyliła się lekko.

- Czuję to samo, gdy rodzice wysłali mnie do szkoły z internatem. Ciągle mi się zdawało, że czymś im podpadłam, ale nie miałam pojęcia, co takiego zrobiłam.

- Pewnie nic. - Patrzył jej w oczy. - Mnisi zauważyli, że jestem zdolny i garnę się do nauki. Ojciec Konstantyn twierdził, że to dlatego ojciec mnie wybrał. Wiedział, że jestem zdolniejszy od braci.

- Spotkała cię za to kara.

- Nie nazwałbym tego karą. W klasztorze było ciepło i czysto. Nie brakowało jedzenia.

Zanim skończyłem dwanaście lat, mój ojciec i bracia umarli.

- O Jezu. Tak mi przykro. - Wzięła poduszkę z wezgłowia i przytuliła do siebie. - Moja rodzina ma się dobrze, na szczęście, ale wiem, jakie to uczucie, utracić najbliższych.

- Ojciec Konstantyn był uzdrowicielem. Został moim mentorem. Nauczyłem się od niego tyle, ile mogłem. Twierdził, że mam dar uzdrawiania. - Ściągnął brwi. - Dar od Boga.

- Zostałeś uzdrowicielem.

- Tak. Nigdy nie zastanawiałem się, czy właśnie to chcę robić. W wieku osiemnastu lat złożyłem śluby zakonne. Ślubowałem łagodzić cierpienie ludzi. - Skrzywił się. - Wyrzekłem się szatana i jego usług.

Przycisnęła poduszkę do piersi.

- Co robiłeś?

- Ojciec Konstantyn i ja jeździliśmy od wioski do wioski, by leczyć chorych, nieść ulgę w cierpieniu. W tamtych czasach, przy niewielkiej liczbie medyków, zwłaszcza zajmujących się ubogimi, zapotrzebowanie na nasze usługi było ogromne. Pracowaliśmy ponad siły. Kiedy ojciec Konstantyn nie czuł się już na silach, żeby jeździć, został w klasztorze, ja wyruszałem sam. I może to błąd. - Uśmiechnął się gorzko. - Nie byłem nawet w połowie tak mądry, jak mi się wydawało. A bez mądrych rad ojca Konstantyna...

Powróciły wspomnienia. Ruiny klasztoru, ciała martwych mnichów wśród zgliszczy. Zwłoki ojca Konstantyna. Ukrył twarz w dłoniach, odpychał od siebie tę wizję. Nie mógł jednak, bo przecież to on sprowadził na nich nieszczęście. Bóg nigdy mu tego nie wybaczy.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Shanna miękko.

Oderwał dłonie od twarzy, z trudem oddychał.

- O czym mówiłem?

- Że leczyłeś ludzi.

Współczucie na jej twarzy utrudniało koncentrację, więc przeniósł wzrok na sufit.

- Dotarłem daleko, na tereny dzisiejszych Węgier, do Transylwanii. Z czasem przestałem nosić się jak ksiądz. Zarosła mi tonsura, zapuściłem włosy. Ale dotrzymałem ślubów ubóstwa i czystości, więc uważałem, że jestem dobry i prawy, że Bóg jest po mojej stronie. Wieści o moich czynach szybko się rozchodziły, wioski witały mnie jak honorowego gościa, jak bohatera.

- To dobrze.

Pokręcił głową. - O nie. Ślubowałem unikać zła, ale z czasem popełniłem grzech śmiertelny. Stałem się próżny.

Zachnęła się.

- Co złego w tym, że czułeś się dumny? Ratowałeś ludzkie życie, prawda?

- Nie, ratował je Bóg, za sprawą swojego sługi. Zapomniałem, jaka to różnica. Zgubiła mnie pycha, byłem przeklęty na wieki.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Miałem trzydzieści lat, gdy usłyszałem o pewnej wiosce na Węgrzech. Ludzie w niej umierali, a nikt nie wiedział, dlaczego. Odniosłem pewne sukcesy w walce z zarazą, dbałem o podstawowe zasady higieny. Uważałem... że potrafię im pomóc.

- I pojechałeś tam.

Tak. Kierowany dumą, uważałem, że zdołam ich zbawić, ale na miejscu okazało się, że ludności nie dziesiątkuje zaraza, tylko wioskę opanowały straszliwe, krwiożercze potwory.

- Wampiry - szepnęła.

- Przejęły zamek i żywiły się ludzką krwią. Nie poprosiłem Kościoła o pomoc, choć powinienem, ale w swojej próżności uznałem, że sam sobie poradzę. Byłem mnichem. - Pocierał czoło, jakby chciał zetrzeć hańbę klęski. - Myliłem się. W obu sprawach.

- Zaatakowały cię?

- Tak, ale nie zabiły jak innych mieszkańców wioski. Zmieniły w jednego z nich.

- Dlaczego? Żachnął się.

- A dlaczego nie? Trudno o lepszą zabawkę. Sługa boży demonem z piekła rodem? Świetnie się bawili takim świętokradztwem.

Wzdrygnęła się.

- Bardzo mi przykro.

Rozłożył ręce.- Stało się. Żałosna historia. Duchowny tak próżny, że Bóg musiał go porzucić.

Wstała. Jej spojrzenie było pełne bólu.

- Uważasz, że Bóg cię porzucił?

- Oczywiście. Sama to powiedziałaś. Jestem krwiożerczym demonem z piekła.

Skrzywiła się.

- Czasami trochę dramatyzuję, ale teraz znam prawdę. Chciałeś pomóc, a zostałeś zaatakowany. Nie prowokowałeś, ja też nie pchałam się w łapy rosyjskiej mafii; zaatakowała Karen i mnie. - Miała łzy w oczach. Podeszła od niego. - Karen nie prosiła o śmierć, ja nie chciałam stracić rodziny i żyć jak ścigane zwierzę. A ty nie chciałeś zostać wampirem.

- Dostałem, na co zasłużyłem. Stałem się zły. Nie szukaj we mnie dobra. Robiłem straszne rzeczy.

- Ja... jestem przekonana, że miałeś ku temu powody.

Pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach.

- Chcesz mnie rozgrzeszyć?

- Tak. - Stała kolo jego fotela. - Jesteś tym samym człowiekiem. Wynałazłeś syntetyczną krew, żeby wampiry nie żerowały na ludziach, prawda?

-Tak.

- Nie rozumiesz? -Uklękła, żeby widzieć jego twarz. - Nadal ratujesz życie.

- Nie zadośćuczynię za to, które odebrałem.

Spojrzała na niego ze smutkiem.

- Jest w tobie dobro. Nawet jeśli ty sam tego nie widzisz.

Przełknął z trudem i zamrugał – nie chciał się rozpłakać.

Nic dziwnego, że tak bardzo jej potrzebuje. Że tak bardzo mu na niej zależy. Po pięciuset latach rozpacz dawała mu cień nadziei, którego do tej pory nie miał.

Wstał, przyciągnął ją do siebie, i tulił tak mocno, jakby nigdy nie chciał wypuścić jej z objęć. Oddałby wszystko, żeby być tym, za kogo go uważa. Pragnął być godny jej miłości.

Petrovsky uśmiechał się do Angusa MacKaya. Potężny Szkot spacerował nerwowo i łypał groźnie, jakby chciał go przestraszyć. Szkoci otoczyli ich, ledwie Ivan i jego świta znaleźli się na sali balowej. Zaprowadzili Ivana, Alka, Katię i Galinę w odległy zakątek sali i kazali czekać.

Ivan skinął głową - dał znak swoim wampirom, żeby usłuchały. Rozsiadł się wygodnie w towarzystwie podwładnych. Szkoci stali w pobliżu, każdy z ręką na srebrnym sztylecie. Jakby mieli ochotę ich użyć.

Groźba była oczywista. Jedno pchnięcie i długi żywot Ivana się zakończy. Nie obawiał się, przecież w każdej chwili może się stąd teleportować. Na razie jednak bawiło go zachowanie rzekomych strażników.

Angus MacKay przechadzał się niespokojnie.

- Petrovsky, po co tu dziś przyszedłeś?

- Zostałem zaproszony. - Wsunął rękę za poję fraka. Szkoci jednocześnie zbliżyli się o krok.

Ivan się uśmiechnął.

- Wyjmuję zaproszenie. Angus splótł ręce na piersi.

- Czekamy.

- Jesteście chłopcy bardzo nerwowi - mruknął Ivan. - Pewnie dlatego, że nosicie spódnice.

Szkoci zamruczeli gniewnie.

- Zabiję drania - syknął jeden. Angus podniósł rękę.

- Wszystko w swoim czasie. Teraz rozmawiamy.

Ivan wyjął zza pazuchy foliową kopertę z zaproszeniem, przedartym na pół.

- Proszę. Jak widzicie, nie od razu podjęliśmy decyzję, ale moje panie mnie przekonały, twierdziły, że będzie... wystrzałow.

- No właśnie. - Katia poruszyła się na krześle i odsłoniła gołą nogę aż po biodro. - Chciałam się trochę zabawić.

MacKay uniósł brew.

- A jak sobie pani wyobraża dobrą zabawę? Planujecie dziś kogoś zabić?

Zawsze tak traktujecie gości? - Ivan cisnął zaproszenie na podłogę i zerknął na zegarek. Są tu już kwadrans. Vladimir chyba znalazł składy sztucznej krwi. Prawdziwi odniosą zwycięstwo.

MacKay zatrzymał się przy nim. _ Co chwila patrzysz na zegarek. Daj mi go.

- Już przeszukaliście mi kieszenie. Co wy, banda złodziei? - Celowo się ociągał. MacKay wiedział, że coś knuje. Z westchnieniem podał mu zegarek. - Zwyczajny. Zerkam na niego, bo strasznie tu nudno.

- No właśnie. - Galina się nadała. - jeszcze nawet nie tańczyłam.

MacKay podał zegarek jednemu ze swoich ludzi.

- Sprawdź to.

Ivan zobaczył, że do sali wchodzi przywódca francuskiego klanu i Szkot. Większość gości z podziwem patrzyła na Jean-Luca Echarpe. Żałosna postać. Zamiast ludzi mordować, on ich ubierał. I przy okazji się bogacił.

Ivan pokręcił głową, aż trzasnęły kręgi, czym zwrócił na siebie powszechną uwagę. Uśmiechnął się. Angus MacKay zerknął na niego ciekawie. - Co jest Petrovsky? Łeb ci

odpada?

Szkoci zachichotali. Ivan spoważniał, jasne, śmieście się, idioci. Po wybuchu nie będzie wam tak wesoło.

Shanna zeszywniała w objęciach Romana. Chciała go pocieszyć, ale gdy odwzajemnił pieśczoćę, przeraziła się myśli, że obejmuje wampira. Trochę potrwa, zanim do tego przywyknie. Odsunęła się.

Nie puszczał jej, zająrał jej w twarz.

- Zmiana zdania? Chyba nie chcesz mnie zabić?

- Nie, skądże. - Patrzyła na jego piersi. Na samą myśl, że mogłaby przebić mu serce kołkiem... - Nie mogłabym... - Zamrugowała nagle zaszokowana. - Twoje serce bije. Czuję to.

- Tak, ale o wschodzie słońca przestanie.

- A ja myślałam, że....

- Że moje organy nie funkcjonują? Przecież chodzę i mówię, prawda? Moje ciało odżywia się krwią, mój mózg działa, bo dostarczam mu krew i tlen. Muszę oddychać. Bez serca, które rozprowadza krew po całym ciele, nie mógłbym funkcjonować.

- Och. Po prostu myślałam, że wampiry....

- To zimne trupy? W nocy nie. Sama wiesz, jak moje ciało reaguje na ciebie, i to od pierwszej nocy, w samochodzie Laszlo.

Zaczerwieniła się. No tak, taka erekcja dowodzi, że w nocy jego ciało funkcjonuje bez zarzutu. Dotknął jej policzka.

- Pragnę cię od pierwszej nocy.

- Nie możemy...

- Nie skrzywdzę cię.

- Jesteś tego pewien? Czy całkowicie panujesz nad....

Zacisnął zęby. - Złem we mnie?

- Chciałam powiedzieć: nad apetytem. - Objęła się ramionami. - Posłuchaj, zależy mi na tobie, i nie mówię tego dlatego, że mi pomogłeś. Naprawdę mi zależy. I nie podoba mi się, że od tak dawna cierpisz....

- Więc zostań ze mną.

- Jak? Nawet jeśli pogodzę się z myślą, że jesteś... wampirem, ciągle masz tu kochanki. Harem.

- Nic dla mnie nie znaczą.

- Ale dla mnie tak! Jak mam się pogodzić z faktem, że sypiasz z innymi?

Skrzywił się.

- Mogłem się domyślić, że to będzie problem.

- Brawo! Po co ci aż tyle? - O Jezu. Głupie pytanie. Każdy facet skorzystałby z takiej okazji. Z westchnieniem poszedł do aneksu kuchennego. Rozwiązał muchę pod szyją.

- Zgodnie z tradycją każdy szef klanu ma harem. Musiałem to uszanować.

- Jasne.

Cisnął muchę na stolik.

- Nie rozumiesz świata wampirów. Harem to symbol władzy i prestiżu. Bez nich nie budzę szacunku, narażam się na drwiny.

- Biedaczek₁. Zmuszany do przestrzegania tradycji wbrew własnej woli! Chyba się popłaczę. - Shanna podniosła ręce i umilkła na moment. - Nie, fałszywy alarm. Pewnie to alergia.

Łypnął na nią. - Na jad w twoim głosie.

Odpowiedziała takim samym spojrzeniem.- Jakie dowcipne. Przykro mi, że nie rozczulam się nad tobą jak one.

- Wcale tego nie chcę.

Zaplotła ręce na piersi.

- Wiesz, właśnie dlatego uciekłam. Dowiedziałam się, że jesteś kobieciarzem.

W jego oczach pojawił się błysk.

- Czy ty jesteś... - Gniew przerodził się w zdumienie. - Zazdrosna?

- Co?

- Jesteś zazdrosna. - Z uśmiechem zdarł z siebie pelerynę i położył na oparciu krzesła. - Skręca cię z zazdrości. A wiesz, co to oznacza? Że mnie pragniesz.

- Ze się tobą brzydzę! - Odwróciła się na pięcie i podeszła do drzwi. Niech go szlag. Jest za mądry, wie, że ją pociąga. Ale wampir z dziesięcioosobowym harem? Jeśli już ma się wiązać z demonem, niech będzie wierny. Boże drogi, jak ona się w to wpakowała? - Rano skontaktuję się z Departamentem Sprawiedliwości.

- Nie ochronią cię tak skutecznie jak ja. Nie wiedzą, z kim mają do czynienia.

To prawda. O ile wiedziała, Roman to jej jedyna szansa. Oparła się o ścianę.

- Zostanę, ale na krótko. Między nami nic nie będzie.

- Och. Nie chcesz się ze mną całować? - Przyglądał się jej tak uważnie, że zrobiło się jej nieswojo

- Nie.

- Ani mnie dotykać?

- Nie. - Serce biło jej coraz szybciej.

- Wiesz, że cię pragnę.

Przełknęła z trudem.

- Ale do niczego nie dojdzie. Masz harem. Nie jestem ci potrzebna.

- Nigdy żadnej z nich nie dotknąłem, nie w ten sposób,

Kogo chciał nabrać?

- Nie miej mnie za idiotkę.

- Mówię poważnie. Nie byłem w łóżku, fizycznie, z żadną z nich.

Gniew narastał.

- Nie kłam. Wiem, że się z nimi kochałeś. Mówiły o tym, narzekały, że minęło tyle czasu, że im tego brakuje.

- No właśnie. Dużo czasu.

- Przyznaj, że uprawiałeś z nimi seks.

- Wampiryczny.

- Co?

- To doświadczenie umysłowe. Nie przebywamy nawet w tym samym pomieszczeniu. - Wzruszył ramionami. - Po prostu podsuwam im odpowiednie wrażenia.

- Taka telepatia?

- Kontrola umysłu. Wampiry za jej sprawą kontrolują ludzi i porozumiewają się między sobą.

- Kontrolują ludzi? - Skrzywiła się. - W ten sposób przekonałeś mnie, żebym ci wstawiła ząb? To znaczy kieł. Oszukałeś mnie.

- Miałaś uważać, że to zwykły ząb. Żałuję, że nie byłem z tobą szczery, ale w zaistniałych okolicznościach uznałem, że nie mam innego wyjścia.

Fakt. Nie pomogłaby mi, gdyby знаła prawdę.

- Więc naprawdę nie było twego odbicia w lusterku.

- Pamiętasz to?

- Jak prze mgłę. Nadal masz druty w dziąśle?

- Nie, Laszlo je usunął. Martwiłem się o ciebie, bez ciebie nie daję rady. Wzywałem cię, liczyłem, że nadal istnieje..

Przypomniała sobie, jak śnił się jej głos.

- Ja... Nie podoba mi się, że wdzierasz się do mojej głowy, kiedy tylko chcesz.

- Nie przejmuj się, jesteś bardzo silna psychicznie. Dostaję się tylko, jeśli mnie wpuścisz.

- Mogę cię powstrzymać? - Dobre wieści.

- Tak, ale kiedy mnie wpuszczasz, więź między nami jest bardzo silna. Nigdy takiej nie doświadczyłem. - Podeszedł do niej z błyskiem w oku. - Mogłoby być nam tak dobrze.

O Jezu.

- Ale nie będzie. Przyznałeś, że uprawiasz seks z dziesiątką innych kobiet.

- Seks wampiryczny. To nie jest doznanie osobiste. Każdy uczestnik leży sam we własnym łóżku.

Uczestnik? jak w grze zespołowej?

- Chcesz powiedzieć, że robisz to naraz z całą dziesiątką? Wzruszył ramionami.

- To najszybszy sposób zaspokojenia wszystkich naraz.

- O rany. - Przycisnęła dłoń do czoła. - Seks taśma produkcyjna. Henry Ford byłby z ciebie dumny.

- Żartuj sobie, ale pomyśl o tym. - Przygwoździł ją wzrokiem. - To mózg rejestruje doznania rozkoszy, kontroluje oddech i bicie serca. To najbardziej erogenna strefa ludzkiego ciała. - Nagle musiała zacisnąć uda. - No i?

Kącik jego ust uniósł się w uśmiechu. W oczach zabłysło płynne złoto.

- Seks wampiryczny bywa wspianały.

Niech go szlag trafi. Zacisnęła kolana.

- Naprawdę ich nie dotykałeś?

- Nie wiem nawet, jak wyglądają.

Przyglądała mu się przez chwilę. Pokręciła głową.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Zarzucasz mi kłamstwo?

- No, nie celowo. To po prostu niewiarygodne.

Zmrużył oczy.

- Nie wierzysz, że to możliwe?

- Nie wierzę, że można zaspokoić dziesięć kobiet, nawet ich nie dotykając.

- Udowodnię ci, że seks wampiryczny istnieje naprawdę.

- Jasne. A niby jak? Uśmiechnął się powoli.
- Uprawiając go z tobą.

Rozdział 18

W kącie sali balowej Ivan Petrovsky męczył się z Angusem MacKayem i jego durnymi Szkotami, a jakby tego było mało, już podchodzili ten francuski wymoczek Jean-Luc i kolejny strażnik w kilcie.

MacKay spojrzał na nich.

- Znalazłeś ich, Connor?

- *Aye* - odparł Szkot. - Sprawdziliśmy na kamerach, są dokładnie tam, gdzie podejrzewaliśmy.

- Czyżby chodziło o Shannę Whelan? - wtrącił Ivan - Widziałem, jak Draganesti z nią znika. Tak postępuje współczesny wampir? W razie zagrożenia zwiewa co sił w nogach?

Connor się najeżył.

- Mam ci złamać kark i to na dobre?

- *Non* - Jean-Luc zablokował mu drogę elegancką laseczką. Wbił w Ivana lodowate spojrzenie błękitnych oczu. - Chcę go dla siebie.

Ivan się zachnął.

- Jedno ci gwarantuję - kiedy będzie po wszystkim, nikt ciebie nie rozpozna.

- A Laszlo? - Angus szukał wzroku Connora. - Bezpieczny?

- *Aye*. Jest z nim Ian.

- Mówicie o chemiku? - zainteresował się Ivan. - Jeśli tak, coś wam powiem: jego dni są policzone.

Na MacKayu jego groźby nie robiły wrażenia. Spojrzał na Szkota z zegarkiem Ivana. - I co?

Strażnik wzruszył ramionami.

- Wygląda na zwykły zegarek, sir, ale nie będziemy mieć pewności, póki go nie otworzymy.

- Rozumiem. - Wziął od niego zegarek, cisnął na ziemię, rozdeptał.

- Ej! - Ivan rzucił się na niego. Angus podniósł resztki i przyjrzał się im uważnie.

- Wygląda w porządku. Dobry zegarek. - Z błyskiem w oku podał go Ivanowi.

- Drań. - Ivan rzucił zegarek na podłogę.

- Chwileczkę. - Connor cofnął się o krok i spojrzał na Rosjanina. - Mówiłem, że jest czwórka.

- No tak. - MacKay skinął głową. - Powiedziałeś, że dom w New Rochelle okupowało czworo.

- *Aye*, to prawda. Ale był też kierowca. Gdzie on jest, do cholery?

Ivan się uśmiechnął.

- Cholera - sapnął Angus. - Weź dwunastu ludzi i przeszukajcie cały teren. Chłopcy na zewnątrz niech sprawdzą ogród.

- *Aye*, sir. - Connor skinął na strażników. Zamienili kilka stów i rozeszli się błyskawicznie.

Wyrwę w sznurze Szkotów natychmiast wypełniła Corky Courrant i jej ekipa z DVN.

- Najwyższy czas, żebyście dali mi popracować - warknęła. Z uśmiechem spojrzała w obiektyw. - Tu Corky Courrant z *Na żywo z nieumarłymi*. Na wielkim balu aż wrze. Jak widzicie, szkoccy ochroniarze nie spuszczaają oka z rosyjskich wampirów. Dlaczego są trzymane pod strażą, panie MacKay - Podsunęła mu mikrofon pod nos.

Łypnął na nią w milczeniu. Uśmiech zastygł na jej twarzy.

- Chyba nie otaczacie ludzi bez powodu? - Poruszyła mikrofonem.

- Odejdź, dziewczyno - poradził spokojnie. - To nie twoja sprawa.

- Porozmawiajcie ze mną. - Ivan machał do kamerzysty.

- Zostałem tu zaproszony, a widzicie, jak mnie traktują?

- Nic ci nie zrobiliśmy. - MacKay wyjął pistolet i pogroził Ivanowi. - Na razie. Gdzie piąta osoba? Co planuje?

- Szuka miejsca do parkowania. Urządzając wielką imprezę, powinniście zamawiać parkingowych.

MacKay uniósł brew.

- Nie wiem, czy jesteś tego świadom, ale mam tu srebrne kule.

- I co, zabijesz mnie na oczach tylu świadków? - prychnął Ivan. Wymarzona sytuacja. Nie dość, że skupiała się na nich uwaga gości, to jeszcze kamery DVN wszystko rejestrowały; do widzów także dotrze jego przesłanie. Wspiął się na krzesło, poczekał, aż ucichnie muzyka.

Echarpe wyjął szpadę z laski.

- Nikt nie chce ciebie słuchać.

- Czy wielki bal zakończy się rozlewem krwi? - szepnęła dramatycznie Corky Courrant, budując napięcie. - Nie dotykajcie pilota! To trzeba zobaczyć!

Ivan skłonił się nonszalancko, gdy muzyka ucichła. Zrobił to niezręcznie i przekrzywił mu się kark, więc musiał znów go nastawić.

Corky Courrant promiennie uśmiechała się do kamery. - Ivan Petrovsky, przywódca klanu amerykańskich wampirów rosyjskiego pochodzenia, zaraz wygłosi mowę. Przekonajmy się, co ma nam do powiedzenia.

- Po raz ostatni byłem na tym balu przed osiemnastu laty i zaczął Ivan. -I od tego czasu obserwuję z przerażeniem upadek naszego stylu życia. Stare tradycje odchodzą do lamusa. Stare zwyczaje, nasze dziedzictwo, stają się obiektem drwin. Poprawność polityczna zakradła się w naszą egzystencję jak zaraza. - Tłum zaczął szeptać. Nie wszystkim jego słowa przypadły do gustu, ale miał nadzieję, że byli i tacy, którzy chcieli słuchać dalej.

- Ilu z was utyło i złągodniało, sącząc napoje z serii fusion? Ilu z was zapomniało już, czym jest polowanie i ukąszenie? Powiadam wam, syntetyczna krew to hańba!

- Dosyć tego. - Angus uniósł pistolet. - Złaź.

- Niby dlaczego? - zawołał Ivan. - Boicie się prawdy? Prawdziwi na pewno nie!

Echarpe uniósł szpadę.

- Prawdziwi to tchórze, którzy się ukrywają.

- Już nie! - Ivan patrzył prosto w oko kamery. - Jestem przywódcą Prawdziwych, a dziś nadszedł czas zemsty!

- Brać ich! - Angus rzucił się do przodu. Za nim ruszyli jego żołnierze.

Ivan i jego przybocznicy wzbili się w powietrze i teleportowali do ogrodu.

- Szybko! Do samochodu! - warknął Ivan. Po chwili znaleźli się na parkingu. Samochód stał, ale Vladimira nie było.

- Cholera - sapnął Ivan. - Myślałem, że do tego czasu już skończy. - Odwrócił się, rozejrzył po okolicy. - A tobie co się stało? - Patrzył na Katię.

Spojrzała na siebie i parsknęła śmiechem. - Tak mi się zdawało, że coś zimna ta noc. - Była naga od pasa w dół. - Kiedy wzbiliśmy się w powietrze, francuz chciał mnie złapać i chyba chwycił za spódnicę.

- Jean-Luc Echarpe? - zapytała Galina. - Jest taki słodki. Szkoci też. Ciekawe, czy noszą bieliznę pod kiltami.

- Dość tego! - Ivan zdjął marynarkę i podał Kati. - Mam wam przypominać, do kogo należycie? Wsiadajcie do samochodu.

Katia uniosła brwi i zamiast owinąć się marynarką Ivana w pasie, narzuciła ją na ramiona i nadal świeciła nagością. Alek gapił się na nią, półprzytomny, z rozdziawionymi ustami.

Ivan poczuł ostry ból w karku.

- Chcesz spędzić resztkę wieczności z wyłupanymi oczami? - warknął.

Alek się otrząsnął.

- Nie, sir.

- Więc zapakuj je do samochodu i odpal silnik. - Ivan zazgrzytał zębami i strzelił karkiem. Mknął ku nim ciemny cień. Vladimir. Zatrzymał się obok Ivana.

- Znalazłeś składy?

- *Da.* - Skinął głową. - Podłożyłem ładunek.

- Dobrze. Jedziemy. - Ivan zobaczył, że w ich stronę biegną Szkoci. Już czas. Dotknął prawego mankietu. Domyślał się, że go przeszukają, więc ukrył detonator ładunku C-4 w spince. Wystarczy jeden ruch i zapasy syntetycznej krwi Draganestiego nie będą już problemem.

Shanna zaniemówiła. Seks wampiryczny? Nie wiedziała nawet, że coś tak osobliwego istnieje. Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Ale czy w ogóle brać to pod uwagę? Korciło ją jednak, żeby spróbować.

W ciążę przecież nie zajdzie. Roman ma być w innym pomieszczeniu, więc nic jej nie grozi. Nie będzie ukąszeń, objęć, brutalności. Nie będzie małych wampirków w pokoju dziecięcym.

Jęknęła. Jeżeli zgodzi się, Roman zawładnie jej umysłem. Kto wie, co może się stać? Cudownie rozkoszne doznania... Oj, ta linia obrony chyba nie zadziała.

Siedział za kuchennym stołem, i obserwując ją tymi złotymi oczami wydawał się rozbawiony, co doprowadzało ją do szału. Jakby wiedział, że nie odmówi. Drań. Nie wystarczy mu, że jest wampirem? O nie, jeszcze tego samego wieczoru, gdy zdradził jej swój sekret, proponuje seks wampiryczny. Bardzo satysfakcjonujący.

Na samą myśl Shannę przeszedł rozkoszny dreszczyk. O Boże. Ależ to kusi.

Spojrzała mu w oczy i od razu poczuła, jak siłą swojego umysłu otacza jej głowę chłodnym obłokiem. Serce waliło, kolana ugiwały się pod nią. Głośny huk zagłuszył wszystko. Zatrząsał się pokój, nie mogła utrzymać równowagi. Jezu, aż tak na mnie działa?

Roman zerwał się na równe nogi i podbiegł do telefonu. Wstrząs powtórzył się i Shanna zatoczyła się w stronę fotela.

- Ian? Co się dzieje, do cholery? - Roman wrzeszczał do słuchawki. Umilkł, wysłuchał.

- Gdzie doszło do wybuchu? Są ranni?

Wybuchu? Shanna opadła na fotel. O Jezu. Mogła się domyślić, że wstrząsy to nie efekt seksu, tylko eksplozji. Zaatakowano ich.

- Złapali go? - Roman zaklął pod nosem.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Petrovsky uciekł - odparł. - W porządku, Ian. Wiemy, gdzie mieszka. Odpowiemy pięknym za nadobne.

Z trudem przełknęła ślinę. Wygląda na to, że zaczęła się wojna wampirów.

- Ty - Roman ciągle mówił do słuchawki - i Connor zabierzecie Shannę do domu. Laszla i Radinkę też. - Rozłączył się. - Muszę iść. Wkrótce przyjdzie Connor.

- Gdzie doszło do wybuchu? - Odprowadziła go do drzwi.

Oślonił sobie dłonie peleryną i otworzył drzwi.

- Petrovsky wysadził magazyn z syntetyczną krwią.

- O nie.

- Mogło być gorzej. - Odsunął rygiel. - Magazyn był na tyle daleko od głównego budynku, że nikomu nic się nie stało. Ale to uszczerbek w naszych zapasach.

- Dlaczego niszczy krew syntetyczną? Och, już wiem. - Nagle zrozumiała. - Chce zmusić wampiry, żeby znów atakowały ludzi.

- Nie obawiaj się. - Dotknął jej ramienia. - Petrovsky wie, że mam inne fabryki, w Illinois, Kalifornii i Teksasie. Na Wschodnim Wybrzeżu nikt nie odczuje braku krwi. Jego cios okazał się mniej bolesny, niż przypuszczał.

Shanna uśmiechnęła się z ulgą.

- Jesteś od niego o wiele mądrzejszy.

- Przykro mi, ale muszę iść, oszacować szkody.

- Rozumiem. - Otworzyła mu srebrne drzwi. Musnął dłonią jej policzek.

- Później do ciebie przyjdę. Poczekasz?

- Tak. Uważaj na siebie. - Chciała dowiedzieć się więcej o tej wojnie. Roman błyskawicznie zniknął za zakrętem. Zamknęła drzwi i zdała sobie sprawę ze swojego błędu. Miał na myśli, że wróci do niej na wampiryczny seks, a ona zgodziła się nieświadomie.

Pół godziny później siedziała na tylnym siedzeniu limuzyny w towarzystwie Radinki i chemika, Ian prowadził, Connor zajmował fotel pasażera. Wiedziała już, że Ian ma więcej lat, niż myślała. Przyglądała się towarzyszom, ciekawa, czy wszyscy są wampirami, Ian i Connor na pewno, śpiąją w trumnach w piwnicy. Laszlo jest taki miły i malutki. Trudno go sobie wyobrazić jako krwiożerczego potwora, choć pewnie nim jest. Z Radinką nie było tak łatwo.

- Robiłaś dla mnie zakupy... w ciągu dnia, prawda?

- Tak, moja droga. - Nalała sobie drinka z przenośnego barku. - Jestem śmiertelna, jeśli o to ci chodzi.

- Ale Gregori...

- Tak, jest wampirem. - Spojrzała na nią z ukosa. - Ciekawi ciebie, jak do tego doszło?

- To nie moja sprawa.

- Bzdura. Dotyczy Romana i masz prawo wiedzieć. - Radinką popijała szkocką, wpatrzona w okno. - Piętnaście lat temu mój mąż, panie świeć nad jego duszą, umarł i zostawił po sobie horrendalne rachunki medyczne - miał raka. Gregori rzucił Yale i wrócił do domu, przeniósł się na stanowy uniwersytet i znalazł sobie pracę na pół etatu. Ja też czegoś szukałam, ale nie miałam doświadczenia. Na szczęście zatrudnili mnie w Romatechu. Godziny były koszmarne.

- Nocna zmiana?

- Tak. Po kilku miesiącach przyzwyczaiałam się i bardzo mi to odpowiadało. Nigdy też nie bałam się Romana. Chyba mu się to podoba. Zostałam jego asystentką i wtedy zaczęłam zauważać różne rzeczy, zwłaszcza w jego laboratorium. Niedopite resztki ciepłej krwi w butelkach... - Uśmiechnęła się. - Zachowywał się jak typowy roztargniony profesor, kiedy wciągnie go praca. Zapominał, żeby sobie zostawić margines czasowy na powrót do domu, więc teleportował się w ostatniej chwili. Przed sekundą jeszcze był w laboratorium, a potem znikał bez śladu.

- Wiedziałaś, że coś jest nie tak.

- Owszem. Pochodzę z Europy Wschodniej, dorastałam, słuchając opowieści o wampirach. Szybko zorientowałam się, w czym rzecz.

- Rozważałaś, czy nie odejść z pracy?

- Nie. - Machnęła ręką. - Roman zawsze był dla mnie bardzo dobry. Tamtego wieczoru, dwanaście lat temu, Gregori po mnie przyjechał. Mieliśmy tylko jeden samochód. Cekał na parking, gdy to się stało.

Connor się odwrócił.

- To był Petrovsky?

- Nie widziałam napastnika, uciekł, zanim dobiegłam do syna. Umierał. - Radinka się wzdrygnęła. - Gregori twierdzi, że to on, i nie sądzę, by się mylił. Kto zapomni twarz potwora, który chciał cię zabić?

Connor skinął głową.

- Dopadniemy go.

Laszlo bawił się guzikiem fraka.

- Pewnie myślał, że Gregori pracuje w Romatechu. Stanowił łatwy cel.

- Tak. - Radinka dopita szkocką. - Mój biedny syn. Stracił bardzo dużo krwi. Wiedziałam, że umrze, zanim trafi do szpitala. Prosiłam Romana, żeby go ratował, ale odmówił. Shannę przeszył dreszcz.

- Prosiłaś, żeby zmienił twojego syna w wampira?

- Tylko w ten sposób mogłam go ocalić. Roman nie chciał, mówił, że tym samym skazuje jego duszę na wieczne potępienie, ale nie słuchałam go. Wiem, że to dobry człowiek. - Szerokim gestem wskazała na wszystkich w samochodzie. - Za życia to byli porządni, honorowi, szlachetni ludzie. Niby dlaczego śmierć miałyby to zmienić? Nie uwierzę, że są potępieni. I nie chciałam, żeby mój syn umarł! - Drżącą dłonią odstawiła szklanekę. - Błagałam go. Padłam na kolana i błagałam, aż nie mógł tego dłużej wytrzymać. Przemienił go. - Otarła łzę.

Shanna objęła się ramionami. Radinka też uważa, że w Romanie jest dobro. Dlaczego on

temu przeczy? Dlaczego od stuleci zamęcza się wyrzutami sumienia?

- Jak... jak dokonuje się przemiana?

- Trzeba wypić całą krew śmiertelnika - wyjaśnił Laszlo.

- Wtedy zapada w śpiączkę i albo umiera, albo przeistacza się, jeśli mu podać krew wampira.

- Och. - Przełknęła ślinę. - Dziś chyba niewiele jest takich transformacji?

- Prawda - odpowiedział Connor. - Już nie kåsamy, choć oczywiście Petrovsky i jego cholerni Malkontenci nie odpuszczają. Ale poradzimy sobie z nimi.

- Mam nadzieję. - Laszlo bawił się guzikiem. - Mnie też chce zabić.

- Dlaczego?-zainteresowała się Shanna. Poruszył się niespokojnie.

- Och, bez powodu.

Przez nią? Coś ścisnęło ją za gardło, utrudniało oddychanie.

- Bo pomógł ci w ucieczce. - Radinka dołała sobie szkockiej.

- Ja... Bardzo mi przykro, Laszlo. Nie wiedziałam.

- To nie twoja wina. - Poprawił się na siedzeniu. - Widziałem go z Ianem w kamerze monitoringu. On nie jest... normalny.

Ciekawe, czym dla wampira jest normalność.

- Chcesz powiedzieć, że jest szalony?

- Okrutny - odezwał się Connor z przedniego siedzenia, - Znam go od wieków. Całym sobą nienawidzi śmiertelnych.

-I robi coś dziwnego ze swoim karkiem. - Ian skręcił wprawo. - Okropne.

- Nie znasz tej historii? - zdziwił się Szkot.

- Nie, - Ian zerknął na niego. - A co się stało?

Connor usiadł tak, że widział wszystkich pasażerów.

- Jakies dwieście lat temu Ivan nadal mieszkał w Rosji. Zaatakował wioskę - nie dość, że żywił się ludzką krwią, to jeszcze ich torturował. Wieśniacy znaleźli jego trumnę na poddaszu starego młyna. Poczekali, aż zaśnie, i usiłowali go zabić.

Laszlo pochylił się zaintrygowany.

- Przebili go kołkiem?

- Nie, biedacy nie mieli pojęcia, jak się do tego zabrać. Myśleli, że wystarczy zakopać trumnę, więc zanieśli ją na poświęconą ziemię, na cmentarz, i zakopali pod wielkim posągami anioła zemsty. Nocą Ivan usiłował wydostać się z grobu, tak obluzował ziemię, że posąg przewrócił się i złamał mu kark.

- Och. - Shanna się skrzywiła. - Fuj.

- Nie ma co drania żałować - odparł Connor. - Zamiast nastawić sobie kark, wpadł w szal i wymordował całą wioskę. A kiedy jego ciało leczyło się podczas snu, kark nie był nastawiony. I tak już zostało.

- Dobrze mu tak - sapnął Ian. - Zasłużył sobie na to.

Nie wiedziała, czy jej problemy skończą się ze śmiercią rosyjskiego wampira. A jeśli mafia wynajmie kogoś innego? Z jej powodu rozpęta się wojna wampirów. Wtuliła się w fotel. Beznadziejna sytuacja.

W swojej sypialni w rezydencji Romana musiała spojrzeć prawdzie w oczy - bardzo ją pociąga wampir. Zerknęła na poduszkę, na której spał. Nic dziwnego, że myślała, że nie

żyje. Za dnia naprawdę umierał, ale w nocy funkcjonował normalnie. I pił krew. Pracował z pasją w laboratorium; obdarzony geniuszem naukowym, pragnął chronić podwładnych. A kiedy miał ochotę, uprawiał wampiryczny seks z haremem. Ze wszystkimi naraz. Teraz chce się dobrać do niej?

Jęknęła. Co za dziwny dylemat. Zamknęła drzwi, gdy Connor przyniósł jej tacę z jedzeniem, ale mury nie powstrzymają Romana przed wtargnięciem do jej umysłu. Bardzo ekscytujące przeżycie, powiedział.

Odstawiła tacę na podłogę, sięgnęła po pilota. Nie będzie myśleć o seksie. Ani o haremie. Na kanale DVN Corky Courrant stała przed ruinami magazynu i relacjonowała na żywo wydarzenia. Shanna jej nie słuchała - zobaczyła Romana przy zgliszczach. Wydawał się zmęczony i spięty. Na ubraniu osiadł szary pył.

Biedak. Nie mogła przy nim być, szepnąć słowa wsparcia. Akurat DVN pokazało urywki z balu. Z przerażeniem patrzyła na swoją twarz na ekranie. Proszę, oto ona - właśnie dowiedziała się, że wampiry istnieją naprawdę. Panika na jej twarzy. Upuszcza na ziemię kieliszek z krwią, a potem Roman do niej podbiega, osłania peleryną i znikają. Wszystko zarejestrowane cyfrowo, żeby wampiry mogły to sobie oglądać w nieskończoność.

Drżącymi palcami wyłączyła telewizor. Zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Poluje na nią wampir - zabójca. Inny wampir otoczył ją opieką. Roman. Dlaczego go tu teraz nie ma? Nie bała się go. Jest dobry, czuły. Radinka, Connor i inni też są zdania, że Roman to wspaniały człowiek. On po prostu nie potrafi w to uwierzyć. Nie pozwalają mu straszne wspomnienia, zbyt bolesne, by jedna osoba dała im radę.

Dlaczego nie może siebie zobaczyć jej oczami? Opadła na łóżko. Czy ich związek ma szansę? Powinna go unikać, w duchu przyznawała jednak, że się na to nie zdobędzie. Zawrócił jej w głowie i zawładnął sercem.

Kilka godzin później, pogrążona w snach nocnej ciszy przed wschodem słońca, poczuła chłód. Otuliła się szczelniej kołdrą. *Shanna, kochanie*. Gwałtownie otworzyła oczy. - Roman? To ty?

Ciepły oddech muskał jej lewe ucho. Niski głos. *Chcę się z tobą kochać*.

Rozdział 19

Usiadła gwałtownie i rozejrzała się po sypialni. - Roman? Jesteś tu? *Na górze. Dziękuję, że mnie wpuściłaś*. Wpuściła? Do swojej głowy? To się pewnie stało, kiedy spała. Poczowała lodowate ułknięcie w skroniach. *Proszę cie, Shanno. Nie odpychaj mnie*. Jego głos osłabł, był jak echo z dalekiego krańca jaskini. Masowała obolałe skronie.

- A robię to?

Starasz się mnie zablokować. Dlaczego?

- Nie wiem. Kiedy coś atakuje, bronię się.

Najstodsza. Nie zrobię ci krzywdy.

Zaczerpnęła kilka głębszych oddechów i ból ustał.

O, teraz lepiej.

Głos był bliżej, wyraźniejszy. Serce jej waliło jak szalone. Wcale nie była pewna, czy chce, żeby Roman przebywał w jej głowie. Co może wyczytać z jej myśli?

Dlaczego się obawiasz! Ukrywasz coś przede mną!

Boże, naprawdę czyta w jej umyśle!

- Nic wielkiego, ale pewne rzeczy wolałabym zachować dla siebie. - Na przykład to, jak bardzo jest seksowny... - Jesteś paskudny!

Seksowny?

Cholera. Nie zna się na tej całej telepatii. Świadomość, że czyta w jej myślach sprawiała, że miała ochotę myśleć o najdziwniejszych rzeczach, byle tylko zbić go z tropu. Jego rozbawienie otoczyło Shannę ciepłym kokonem.

Więc nie myśl tak dużo. Odpręż się.

- Niby jak mam się odprężyć, kiedy jesteś w mojej głowie? Nie zmusisz mnie chyba, żebym robiła coś wbrew sobie?

Oczywiście, że nie, najstodsza. Nie będę kontrolować twoich myśli, tylko sprawię, że poczujesz, że się ze mną kochasz. A kiedy słońce wzejdzie, zniknę.

Poczuła coś ciepłego i wilgotnego na czole. Pocałunek. A potem delikatne palce na twarzy. Masowały jej skronie, aż ból ustąpił całkowicie. Zamknęła oczy, czuła ich pieszczotę na policzkach, brodzie, uszach. Nie wiedziała, jak to możliwe, ale jego dotyk wydawał się bardzo prawdziwy. Cudowny.

Co masz na sobie?

- Czy to ważne?

Chcę, żebyś była naga, kiedy cię dotykam. Chcę poczuć każdą kuszącą wypukłość, każde zagłębienie. Chcę mieć w uszach twój oddech, chcę poczuć, jak napinasz mięśnie, coraz mocniej, mocniej...

- Już! Przekonałeś mnie pierwszym zdaniem! - Ściągnęła koszulę nocną i rzuciła ją na podłogę, a sama opadła na prześcieradło i czekała. I czekała...

- Halo? - Spojrzała na sufit, ciekawa, co się dzieje piętro wyżej. - Halo? Ziemia do Romana...

Twoja partnerka jest naga i gotowa.

Nic. Może był zbyt zmęczony i zasnął. Świetnie. Nigdy nie umiała zatrzymać zainteresowania faceta na długo. A Roman... ma przed sobą wieczność. Jest dla niego tylko przelotnym kaprysem. Nawet jeśli ich związek przetrwa kilka lat, dla niego to będzie mgnienie oka.

Przewróciła się na brzuch. Niby jak to ma się udać? Stanowią całkowite przeciwieństwa. Dosłownie - życie i śmierć. Podobno przeciwieństwa się przyciągają, ale chyba nie tak ekstremalnie.

Shanno? Uniosła głowę.

- Wróciłeś? Myślałam, że odszedłeś.

Przepraszam. Musiałem coś załatwić.

Delikatnie masował jej barki.

Z westchnieniem opadła na poduszki.

- Załatwić? A gdzie jesteś? Chyba nie za biurkiem? - Na myśl, że przy okazji odwała papierkową robotę, bardzo się zdenerwowała. Jest genialny; zapewnia jej psychiczny orgazm, odpisując na listy. Zachichotał.

Siedzę w łóżku i jem kolację.

Pije krew, masując jej plecy. Fuij. Jakie to romantyczne. Ha, ha!

Jestem nago. Lepiej?

Wyobraziła sobie jego boskie ciało - paskudny stary dziad. Muskał plecy delikatnie, jak piórkami. Zadrzała. Wspaniale. Dociskał nasadą dłoni, masował powoli, zmysłowo.

Poprawka - to raj na ziemi.

Słyszysz inne wampiry?

- Nie. Jeden mi wystarczy, dzięki. - Czują, jak jego obecność narasta, pęcznieje uczuciem.

Nie, to coś więcej. To...

Władczość. Jesteś moja.

Akurat. Co to znaczy, ma prawo własności tylko dlatego, że go słyszy? Żyje od ponad pięciuset lat, a myśli jak jaskiniowiec. Ale dotyka wspaniale.

Dziękuję, jestem twoim uniożonym sługą. Błądził dłońmi po jej plecach, wyszukiwał napięte węzły mięśni. *Jaskiniowiec, powiadasz?*

Niemal widziała, jak się uśmiecha. Cholera, za dużo wie. Dobrze, że nie to, iż traci dla niego... Paskudny stary dziad, paskudny stary dziad.

Przeszkadza ci moja obecność w twojej głowie? Bingo. Dwa punkty dla pana demona.

Poczuta klapsa na pośladkach.

- Ej! - Uniosła się, ale pchnął ją z powrotem na łóżko. Co to za traktowanie? - Poduszka tłumiała jej głos.

Bo na to zasłużyłaś. - Co za bezczelny typ! W jego głosie była radość.

- Jaskiniowiec - sapnęła. I to z haremem kochanek. - Przedtem mówiłaś, że to nic osobistego. Dla mnie - bardzo.

Teraz tak, bo jesteśmy tylko ty i ja. Myślę tylko o tobie. Otaczała ją jego obecność, ciężka od pożądania. Przeszył ją dreszcz, kiedy wodził palcami po kręgosłupie. Odgarnął jej włosy z karku. Poczwała gorący i wilgotny dotyk na szyi. Pocałunek. Zadrzała. Dziwne uczucie, gdy całują cię niewidzialne usta. Owionął ją ciepły oddech. Łaskotanie w stopy zaburzyło ekscytujące doznania.

- Coś jest na łóżku! - Podskoczyła. *Ja.*

- Ale... - Niemożliwe, żeby całował ją w kark i łaskotał w stopy. Obie! I jednocześnie masował plecy. Chyba że ma dwumetrowe ręce. Albo nie jest człowiekiem.

Bingo. Dwa punkty dla tej pani.

- Chwileczkę. Ile ty właściwie masz rąk?

Tyle, ile zechcę. To wszystko dzieje się tylko w mojej głowie. W naszych głowach.

Masował jej stopy, głaskał plecy, całował w kark. Westchnęła rozmarzona.

- Bardzo przyjemnie.

Przyjemnie? Jego ręce znieruchomiały.

- Tak, bardzo przyjemnie, bardzo... - Urwała. Wyczuli narastającą w nim irytację.

Przyjemnie? Był wściekły.

- To bardzo miłe, naprawdę.

Koniec z panem milusińskim, syknął w jej głowie. Złapał ją za kostki, rozsunął nogi, dłonie zacisnęły się na nadgarstkach.

Wierciła się, usiłowała uwolnić, ale był zbyt silny, miał zbyt wiele rąk. Leżała bezradna,

otwarta. Chłodne powietrze muskało najintymniejsze części ciała. Czekwała spięta, obnażona. Krew dudniła jej w uszach. Czekwała. W pokoju było cicho, słyszała jedynie swój ciężki oddech. Spodziewała się ataku. Od czego zacznie? Nie sposób przewidzieć. Nie widziała go przecież. To straszne. I ekscytujące.

Czekala. Cztery dłonie trzymały ją za nadgarstki i kostki. On jednak ma tyle rąk, ile zechce. Jej serce biło coraz szybciej. Napięła mięśnie pośladków, chcąc zsunąć nogi, czuła się tak zupełnie obnażona. Była cała dla niego. A on każe jej czekać. Umierać z oczekiwania. Pragnienia. Pożądania. I wtedy wszystko zniknęło. Uniosła głowę.

- Halo? Roman? - Gdzie on znowu poszedł? Usiadła, spojrzała na zegarek przy łóżku. Niem zdziwiłaby się, gdyby właśnie weszło słońce i padł trupem na cały dzień. Nie, za wcześnie na to. Czyżby zostawił ją w połowie randki? Czas mijał.

Uklękła.

- Do cholery, Roman, nie możesz mnie tak zostawić. - Już chciała cisnąć czymś w sufit.

Nagle czyjeś ręce otoczyły ją w talii. Drgnęła.

- Roman? Mam nadzieję, że to ty. - Wyciągnęła rękę do tyłu, tam, gdzie powinien być, ale trafiła na pustkę.

To ja.

Pomknął dłońmi do jej piersi. Błądził ustami po ramieniu.

- Gdzie... Gdzie ty byłeś? - Trudno prowadzić sensowną rozmowę, poddając się zmysłowemu pieszczotom.

Przepraszam, to się już więcej nie powtórzy. Bawił się jej sutkami, delikatnie ścisnął nabrzmiałe pączki między palcami. Za każdym razem miał wrażenie, że ciągnie za sznurki połączone z jej duszą.

Opadła na łóżko, wbiła wzrok w sufit. ..

- Proszę cię. - Tak bardzo chciała go zobaczyć. Dotknąć.

Shanna, moja słodka Shanna, szeptał, jak ci wytłumaczyć, ile dla mnie znaczyysz? Kiedy cię zobaczyłem na balu, miałem wrażenie, że moje serce znów zaczęło bić. Rozjaśniłaś sobą całą salę, byłaś wyspą koloru na oceanie czerni i bieli. A ja myślałem, że... moje życie zawsze będzie zasnutę mrokiem a potem zjawiałaś się ty, jak tęcza, i wypełniłaś je kolorami.

- Roman, bo się rozplaczę! - Przewróciła się na brzuch i otarła oczy brzegiem prześcieradła.

Będziesz płakać z rozkoszy. Dłonie sunęły po jej nogach, pieściły plecy. Przesuwały się coraz wyżej, masując uda. Napięła pośladki. Poczowała wilgoć w sobie. Głód narastał, stawał się coraz bardziej dotkliwy.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Nie wytrzymam tego.

Chcesz tego? Dotknął włosków między jej nogami. Drgnęła. - Tak.

Jesteś gotowa? Oblała ją fala gorąca.

- Sam zobacz. - Przewróciła się na plecy, przekonana, że go ujrzy. Dziwnie się czuła, leżąc z zapraszająco rozchylonymi nogami w pustym pokoju. - Roman?

Chcę cię pocałować. Jego oddech muskał piersi, a potem usta zamknęły się na brodawce. Drażnił ją językiem. Wyciągała do niego ręce i znów objęła puste powietrze. Zajął się drugą piersią.

- Chcę cię dotknąć. Objąć. - Podskoczyła, gdy dłoń zawędrowała między jej uda. Badawcze

palce. *Jesteś mokra. I piękna.*

- Roman. - Szukała go i nie znalazła. Dziwne? Mało powiedziane, to irytujące. Zacisnęła dłonie na prześcieradle.

Delikatnie rozchylił płatki, wsunął palec, ostrożnie badał jej wnętrze. *Podoba ci się tak? Czy wolisz to?* Drażnił palcem nabrzmiałą łechtaczkę.

Krzyknęła, szarpała prześcieradło. Chciała go objąć, wplątać palce we włosy, czuć pod dłońmi mięśnie jego pleców i pośladków. To takie egoistyczne. I wspaniałe.

Wsunął w nią dwa palce, tak jej się przynajmniej wydawało. A może trzy. Boże, torturował ją, dotykał, pieścił, drażnił. Nie miała pojęcia ile ma zakończeń nerwowych poniżej pasa, ale Roman chciał chyba rozpalić wszystkie. Coraz szybciej, mocniej. Wbiła pięty w materac, napięła mięśnie, uniosła pośladki.- Jeszcze. Jeszcze. - Usłyszał.

Dyszała ciężko, spragniona powietrza. Napięcie narastało rozkoszne, gorące. Płonęła z pożądania. Mocniej. Mocniej. Napierała na jego dłonie, drżała. Złapał ją za pośladki i wziął w usta.

Wystarczyło jedno muśnięcie językiem, a eksplodowała. Zaciskała mięśnie na jego palcach. Krzyczała, targana spazmami, dygotała, traciła oddech. I tak bez końca. Podkułiła nogi, rozkoszowała się spełnieniem. *Jesteś piękna.* Pocałował ją w czoło.

- A ty wspaniały. - Przycisnęła rękę do piersi. Serce nadal waliło jak oszalałe, skóra paliła.

Muszę już iść, najśłodsza. Śpij dobrze.

- Co? Nie możesz teraz odejść.

Muszę. Śpij dobrze, najdroższa.

- Nie możesz. Chcę cię przytulić. - Poczuli zimny ucisk u nasady nosa, a potem zapadła cisza.

- Roman?

Nic. Szukała go w sobie. Zniknął.

- Ej, jaskiniowcu! - zawołała w stronę sufitu. - Nie możesz tak po prostu rozpalić mnie i odejść! - Żadnej odpowiedzi. Usiadła z trudem. Zegarek przy łóżku wskazywał godzinę - dziesięć po szóstej.

Więc o to chodziło. Opadła na posłanie. Wstaje słońce. Wszystkie grzeczne wampirki wskakują do trumienek. Brzmi nieźle. Lepiej niż prawda - że przez najbliższych kilkanaście godzin Roman będzie trupem.

Cholera. Jak na nieboszczyka, nieźle sprawdza się w łóżku. Jęknęła, zakryła oczy dłonią. Co ona wyprawia? Kocha się z wampirem? Przecież to związek bez przyszłości. On zawsze będzie miał trzydzieści lat, będzie wiecznie młody, seksowny i przystojny, a ona się zestarzeje. Jęknęła. Są skazani na klęskę. On zawsze będzie księciem z bajki. A ona paskudną starą babą.

Obudziła się wczesnym popołudniem, wstała, zjadła lunch z Howardem Banem i innymi strażnikami z dziennej zmiany. Choć zatrudnieni głównie jako ochroniarze, mieli także obowiązek utrzymywać dom w czystości. No tak, szum odkurzacza nie obudzi wampira. Nudziła się, więc wyprała nowe ciuchy i włączyła telewizor. DVN ciągle nadawało, najczęściej po francusku i włosku. W Europie jest teraz noc. Co jakiś czas pojawiały się hasła reklamowe. „Nadajemy bez przerwy, bo gdzieś zawsze jest noc. DVN - bez cyfry jesteś niewidzialny”. Teraz te słowa nabrały sensu. Przed zachodem słońca wzięła długi

gorący prysznic. Dla Romana chciała być piękna. Zeszła do kuchni na kolację i obserwowała zmianę warty.

Przyszli Szkoci. Na jej widok uśmiechali się, szli do lodówki, czekali na swoją kolej przy mikrofalówce, zerkali na nią z uśmiechem i wymieniali znaczące spojrzenia.

Co jest? Ma szpinak między zębami? W końcu wyszli zająć pozycje. Connor został, płucał butelki w zlewie. Kiedyś już widziała, jak to robi, ale wtedy nie kojarzyła, w czym rzecz.

- Dlaczego wszyscy są tacy radośni? - zapytała, nie wstając z krzesła za stołem. - Myślałam, że po wczorajszym wybuchu zanosi się na wojnę.

- Bo to prawda - odparł Connor. - Ale jeśli się żyje tyle, ile my, to się wie, że się nie pali. Zajmiemy się Petrovskim. Szkoda, żeśmy go nie załatwili podczas wielkiej wojny.

Pochyliła się nad stołem.

- Była kiedyś wielka wojna wampirów?

- *Aye*. W 1710 roku. - Zamknął zmywarę i oparł się o kontuar. Jego oczy zasnuły się mgłą wspomnień. - Brałem w niej udział. Petrovsky też, choć walczyliśmy po przeciwnych stronach.

- Jak do tego doszło?

- Roman ci nie mówił?

- Nie. Też brał w niej udział?

Connor się zachnął.

- On ją rozpętał.

Czy to miał na myśli, mówiąc, że popełniał straszliwe czyny?

- Opowiesz mi?

- Chyba nic złego z tego nie wyniknie. - Podeszedł do stołu i usiadł. - Romana przeistoczył paskudny wampir o imieniu Casimir. Miał stado pachotków i razem mordowali, gwałcili, plądrowali całe wioski, dla samej rozkoszy niszczenia. Petrovsky był jednym z jego ulubieńców.

Shanna się wzdrygnęła. Roman był łagodnym mnichem, poświęcił się leczeniu ubogich. Przerażała ją sama myśl, że znalazł się w takim otoczeniu.

- Co się stało z Romanem?

- Casimir chciał zabić w nim całe dobro, zastąpić je złem. Robił mu straszne rzeczy. Zmuszał do koszmarnych wyborów. - Pokręcił z niesmakiem głową. - Kiedyś na przykład pojmał dwoje dzieci i zagroził, że zabije oboje. Roman mógł uratować jedno – zabijając własnoręcznie drugie.

- Boże. - Zrobiło jej się niedobrze. Nic dziwnego, że Roman uważał, iż Bóg się od niego odwrócił.

- Kiedy odmówił udziału w takiej potworności, Casimir wpadł w szał i pewnej nocy wraz ze swoimi pachotkami zaatakował klasztor Romana. Wymordowali wszystkich mnichów, a budynki zniszczyli.

- Nie! Wszystkich? Nawet przybranego ojca Romana? - Na samą myśl Shannie krajało się serce.

- *Aye*. Wiesz, to nie była jego wina, ale i tak miał wyrzuty sumienia.

Nic dziwnego, że ma tak niską samoocenę. Rozumiała, skąd u niego poczucie winy. Ona, mimo że nie była winna śmierci Karen, też się obwinięła.

- Ruiny klasztoru... Są na obrazie na piątym piętrze, prawda?

- *Aye*. Roman ma go u siebie, żeby mu przypominał...

- Żeby go dręczył. - Oczy zaszyły jej łzami. Jak długo jeszcze będzie się karać?

- *Aye*. - Connor ze smutkiem pokiwał głową. - Widok klasztoru natchnął Romana nową myślą, dostrzegł nowy cel swojej straszliwej egzystencji. Przysiągł wtedy, że zniszczy Casimira i jemu podobnych. Wiedział jednak, że sam nie da rady. Odszedł więc, wyruszył na zachód, zakradał się na pola bitwy pod osłoną nocy i wyszukiwał konających. W roku 1513 poznał Jean-Luca we Francji, a Angusta w Szkocji. Przemienił ich, i tak zyskał pierwszych sprzymierzeńców.

- A Ciebie?

- Na polu bitwy pod Solway Moss. - Westchnął. - W mojej Szkocji pokój nigdy nie trwał długo. To było świetne miejsce do szukania wojowników. Podczołgałem się do drzewa, żeby umrzeć. Roman mnie znalazł i zapytał, czy chcę nadal walczyć w służbie dobra. Bardzo mnie bolało i niewiele pamiętam, ale chyba powiedziałem, że tak, bo mnie przemienił.

Shanna przełknęła z trudem. - Zabił cię?

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Nie, dziewczyno. Umierałem. A Roman nadał mojej egzystencji sens. Angus też tam był. Przemienił Iana. W 1710 roku Roman zgromadził armię wampirów. MacKay awansował na stopień generała, ja kapitana. - Uśmiechnął się dumnie.

- I zaatakowaliście Casimira?

- *Aye*. To była krwawa bitwa. Trwała trzy noce. Ranni i słabi zostawali na polu i ginęli w promieniach słońca. Trzeciej nocy, tuż przed świtem, Casimir poddał się, a jego zwolennicy rozpierzchli.

- Petrowsky był jednym z nich?

- *Aye*. Wkrótce go dopadniemy. Nie przejmuj się tym. Idę na obchód.

- Roman chyba już się obudził.

Connor uśmiechnął się znacząco. - Na pewno. - Wstał i poprawił na sobie kilt. Shanna westchnęła. A więc Roman mówił prawdę o swoich zbrodniach. Mordował i przemieniał ludzi w wampiry. Tylko że wybierał umierających, a przyświecał mu szlachetny cel. Pokonał okrutnego Casimira. Miał straszną przeszłość, ale nie zasługuje na potępienie. Casimirowi nie udało się go złamać, pozostał dobry. Zawsze starał się chronić słabych i śmiertelnych. Jednak wyrzuty sumienia wciąż nie dają mu spokoju, stąd przekonanie, iż Bóg się od niego odwrócił. Musi jakoś dotrzeć do Romana, złagodzić ten ból. Może jako para nie mają szans, ale jej na nim zależy i nie może patrzeć obojętnie na jego cierpienie. Szła przez hol, w stronę schodów.

- O, witaj! - Maggie stała w otwartych drzwiach do salonu. Shanna widziała, że w środku zgromadził się cały harem.

O nie. Nie chciała na nie patrzeć.

- Chodź do nas. - Maggie złapała ją za rękę i pociągnęła do środka. - Popatrzcie! To jest Shanna.

Wszystkie posłały jej promienne uśmiechy.

O co im chodzi? Nie ufała tym kobietom za grosz.

Vanda uśmiechnęła się przepaszająco.

- Wybacz, że byłam niegrzeczna. - Dotknęła kosmyka jej włosów. - Dobrze ci w tym kolorze.

- Dzięki. - Cofnęła się do drzwi.

- Nie odchodź. - Maggie przytrzymała ją za ramię. - Posiedź z nami.

- No właśnie. - Vanda skinęła głową. - Chciałyśmy cię powitać w naszym gronie.

Shanna sapnęła głośno.

- Nie dołączam do haremu.

- Ale ty i Roman... jesteście kochankami, nie? - Simone podniosła głowę.

- Ja... To nie wasza sprawa. - Skąd u licha wiedziały, co się stało?

- Nie denerwuj się - łagodziła Vanda. - Nam wszystkim Roman się podoba.

- Och. - Simone sączyła coś z kieliszka. - Przyjechałam z Pahyża specjalnie po to, żeby z nim być.

W Shannie rozgorzał gniew. Na Roman i na nie, ale przede wszystkim na siebie. Nie powinna zadawać się z nim, póki miał te kobiety pod bokiem.

- To, co jest między mną a Romanem, dotyczy tylko nas.

Maggie pokręciła głową.

- Wśród wampirów trudno utrzymać tajemnicę. Podśledzałam wczoraj Romana, jak pytał, czy może się z tobą kochać.

- Co? - Czuła, jak wzbiera w niej gniew i lada chwila wybuchnie.

- Maggie świetnie wyłapuje myśli - wyjaśniła Vanda. - Usłyszała Romana i dała nam znać. Zapytałyśmy, czy możemy do was dołączyć.

- Uspokój się. - Darcy spojrzała na nią z niepokojem. - Nie wpuścił ich.

- Był okropny! - Simone się nadąsała.

- To prawda. - Maggie skrzyżowała ręce na piersi. - Czekaliśmy, aż znów zainteresuje się seksem. A kiedy wreszcie do tego doszło, nie pozwolił nam brać udziału.

- Nie pojmuję. - Vanda westchnęła. - Jesteśmy jego haremem. Mamy prawo uprawiać z nim seks wampiryczny, ale on nas odepchnął.

Shanna gapiała się na nie z szeroko otwartymi ustami. Serce waliło jej w piersi.

- Doprawdy - piękność z Południa była bardzo urażona - dawno nikt mnie tak nie upokorzył.

- Wy... - Shanna z trudem zaczerpnęła tchu. - Chciałyście do nas dołączyć? Wszystkie?

Vanda wzruszyła ramionami.

- Kiedy ktoś uprawia seks wampiryczny, każdy może dołączyć.

- Tak powinno być - zgodziła się Maggie. - Pytałyśmy, czy możemy, i to dwa razy, ale ciągle nas odpychał.

- A nawet skahcił. - Simone wydeła usta.

- Tak się kłóciliśmy - ciągnęła Maggie - że nawet Szkoci to wyłapali i kazali nam dać mu spokój.

Shanna się skrzywiła. Nic dziwnego, że tak się jej przyglądali. Czy wszyscy w tym domu wiedzieli, co robiła z Romanem? Poczzerwieniała.

- Dziś też będziecie się kochać, non? - zapytała Simone.

- Dlatego chciałybyśmy, żebyś dołączyła do haremu - wyjaśniła Maggie z przyjaznym

uśmiechem.

- No właśnie. - Vanda też się uśmiechała. - Żeby Roman kochał się z nami wszystkimi.

- O nie! - Shanna pokręciła głową. - Nie ma mowy! - Wybiegła, zanim zobaczyły jej łyzy.

Cholera! Teraz już wiedziała, czemu Roman zniknął. Kazał jej czekać, a sam poskramiał swój harem. Kochał się z nią i jednocześnie odpychał ich umysły, jakby się kochali w domu pełnym podglądaczy.

Pobiegła na pierwsze piętro. Szok przerodził się w przerażenie. Ból. Jak mogła się wpackować w coś takiego?

Na drugim piętrze płakała. Jak mogła być tak głupia? Niepotrzebnie w ogóle wpuściła go do swoich myśli. Do łóżka. Serca.

Na trzecim ból przerodził się w gniew. Cholerny Roman. Dlaczego trzyma tu inne kobiety, skoro twierdzi, że mu na niej zależy?

Na czwartym skrzyła do siebie, ale się zawahała. Gniew buzował silnym płomieniem i nie zdołała nad nim zapanować. Pobiegła na piąte.

Strażnik powitał ją ze znaczącym uśmiechem. Miała ochotę go uderzyć. Zaciśnęła zęby.

- Chciałabym porozmawiać z Romanem.

- *Aye*, pani. - Otworzył jej drzwi.

Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Być może Roman wyszedł cało z wielkiej wojny wampirów w 1710 roku, ale teraz musi stawić czoło gorszemu wrogowi. Rozjuszony kobiecie.

Rozdział 20

Roman leżał w łóżku i rozmyślał. Poprzednia noc była cudowna, ale zarazem niepokojąca. Za dużo energii kosztowało go trzymanie na dystans myśli kobiet z drugiego piętra. Rany boskie, miał ich po dziurki w nosie. Nie wiedział nawet jak wszystkie mają na imię. Tak naprawdę nie zajmować się nimi. Podczas seksu wampirycznego wyobrażał sobie po prostu, że kocha się z kobietą. Może paniom z haremu sprawiało to przyjemność, jednak jeśli chodzi o niego, równie dobrze mógłby kochać się z Vanna. To nie było prawdziwe. Nigdy.

I nawet nie z Shanną. To go drażniło. Oczyma wyobraźni widział właśnie ją, miał jednak świadomość, że to nie do końca ona. Nie wiedział, jak wygląda nago, a teraz wyobraźnia już mu nie wystarczyła. Zaprażył prawdziwego doznania. I wydawało mu się, że Shanna także tego pragnie. Wczoraj na pewno tego chciała, narzekała, że nie może go dotknąć. Musi dokończyć specyfik, nad którym obecnie pracuje. Gdyby udało mu się nie spać za dnia, mógłby czuwać nad Shanną całą dobę. I mieliby dla siebie czas wtedy, gdy inne wampiry śpią. A gdyby udało mu się ją namówić, by z nim zamieszkała, i gdyby nie spał w ciągu dnia, pozwoliliby im prowadzić bardziej normalne życie.

Wstał, wziął gorący prysznic. Bardzo chciał ją dziś zobaczyć, musi jednak też pojechać do Romatechu. Pozostałą część tygodnia zajmie mu konferencja. Jean-Luc, Angus i Roman chcieli opracować plan walki z Malkontentami, zwłaszcza że teraz wiedzieli już na pewno,

że Petrovsky stoi na ich czele. A obalenie Petrovskiego to nie tylko spokój w życiu przywoitych, pokojowo nastawionych wampirów, ale i bezpieczeństwo Shanny. Uśmiechnął się. Nawet wobec perspektywy nieuchronnej wojny wampirycznej nie mógł przestać myśleć o tej dziewczynie. Była taka inna, taka intensywna, taka otwarta, jeśli chodzi o uczucia. Przebywając w jej umyśle, usiłował zorientować się, co do niego czuje. Szybko przyzwyczała się do tego, iż ma do czynienia z wampirem; jest taka dobra i ciepła. Naprawdę słodka. Pokochał jej szczerą i dobroć. Uśmiechnął się i sięgnął po ręcznik. Bywa odważna, zadziorna, kiedy się zdenerwuje. To też w niej uwielbiał. Liczył, że odwzajemni jego uczucie. Byłoby cudownie - przecież już stracił dla niej głowę. Uświadomił to sobie, gdy zobaczył ją na balu, plamę różu wśród bieli i czerni. Była życiem, kolorem, jego wielką miłością. Wyczuwał, że jeśli Shanna go pokocha i zaakceptuje, z jego mroczną duszą, nie wszystko stracone. Jeżeli jest w nim coś choćby odrobinę warte miłości, pojawi się nadzieja na wybaczenie. Już wczoraj chciał jej powiedzieć, że ją kocha, ale się powstrzymał. Chciał jej to powiedzieć osobiście, oko w oko.

Pochylił się, włożył bokserki. Przed oczami tańczyły mu czarne plamy. Rany, ależ jest głodny. Powinien był zjeść coś przed kąpielą, ale zapomniał pogrążony w myślach o Shannie.

W samej bieliźnie poszedł do gabinetu, otworzył lodówkę, wyjął butelkę krwi. Tak zgłodniał, że mógłby ją wypić na zimno.

Drzwi do gabinetu trzasnęły. Odwrócił się. Shanna. Z uśmiechem odkręcił nakrętkę.

- Dobry wieczór. - Cisza.

Odwrócił się. Szła w jego stronę, zapłakana, z czerwonymi, zapuchniętymi oczami. Wściekła.

- Co się stało, kochanie?

- Wszystko! - Dyszała ciężko, wręcz emanowała wściekłością. - Nie wytrzymam tego dłużej.

- Dobrze. - Odstawił butelkę. - Chyba coś zrobiłem, nie wiem tylko, co.

- Wszystko! Nie powinieneś mieć haremu. To koszmarnie, że zostawiłeś mnie w łóżku rozpaloną, a sam uciałeś sobie z nimi pogawędkę. A już szczytem wszystkiego jest, że chciały do nas dołączyć! Co to miało być? Mentalna orgia?

- Nie dopuściłbym do tego. To dotyczy tylko nas.

- Nieprawda! Wiedziały, że się kochamy. I cały czas waliły pięściami w drzwi.

Skrzywił się mimowolnie. Cholerne kobiety.

- Domyślam się, że z nimi rozmawiałeś,

- Z twoimi kobietami? Z twoim haremem? - Zmrużyła oczy ze złości. - Wiesz, że zapraszały mnie do siebie?

O rany.

- A wiesz, dlaczego? Chcą, żebym była jedną z nich, bo wtedy nic nie stanie na przeszkodzie, żeby do nas dołączy w łóżku! Słyszałeś o wielokrotnym orgazmie? Już się nie mogę doczekać!

- To ironia, tak?

- A jak myślisz? - Huknęła wściekle. Zazgrzytał zębami.

- Posłuchaj, Shanno, utrzymanie w tajemnicy tego, co było między nami, kosztowało mnie sporo wysiłku. - Skręcało go z głodu.

- Nie udało ci się! Nawet Szkoci wiedzieli, co robimy! A mimo wszystko robiłeś to ze mną! Podszedł bliżej.

- Nikt nie słyszał, co się dzieje między nami - mówił ze złością. - To naprawdę było tylko między nami. Tylko ja słyszałem twoje jęki i szlochy. Tylko ja czułem, jak drżysz, kiedy...

- Dość już. Niepotrzebnie się zgodziłam w sytuacji, gdy masz harem kobiet gotowych do nas dołączyć.

Zacisnął pięści. Starał się nad sobą zapanować, ale to cholernie trudne, kiedy z głodu kręci się w głowie.

- Nic nie mogę z nimi zrobić. Nie dałyby sobie rady same.

- Chyba żartujesz! Ile musi minąć stuleci, zanim dorosną?

- Urodziły się w czasach, gdy kobiet niczego nie uczono. Są bezbronne i bezradne, a ja jestem za nie odpowiedzialny.

- Naprawdę je chcesz?

- Nie! Przejąłem harem wraz z tytułem głowy klanu, w 1950 roku. Nie wiem nawet, jakie mają imiona. Poświęcałem cały czas pracy w laboratorium i tworzeniu Romatechu.

- Jeśli ich nie chcesz, przekaz je komuś innemu. W okolicy jest zapewne mnóstwo wampirów płci męskiej, którzy umierają z rozpacz i tęsknoty za porządną, martwą towarzyszką.

Denerwował się coraz bardziej.

- Tak się składa, że ja też jestem martwy!

Skrzyżowała ręce na piersi.

- Ty i ja... bardzo się różnimy. To się chyba nie uda.

- Wydawało mi się, że już to sobie wyjaśniliśmy. - Boże, chyba nie chce go zostawić. Nie pozwoli jej na to. Są do siebie podobni. Rozumie go lepiej niż ktokolwiek inny.

- Ja nie... Nie będę się z tobą kochać, jeśli cały Harem ma do nas dołączyć. Nie pogodzę się z tym.

Gniew go zaślepił.

- Nie chcesz mi chyba wmówić, że ci się nie podobało. Wiem, co czułaś. Byłem w twojej głowie.

- To wydarzyło się wczoraj. Teraz jest mi tylko wstyd.

Z trudem przełknął ślinę.

- Wstydzisz się tego, co robiliśmy? Wstydzisz się mnie?

- Nie, jestem wściekła! Te kobiety uważają, że mają do ciebie prawo, że należysz do nich!

- Nigdy! One są nieważne. Nie wpuszczę ich.

- Nie chodzi o to, żebyś ich nie wpuszczął, tylko żeby ich tu nie było. Nie pojmujesz? Nie chcę się tobą z nimi dzielić. Muszą odejść!

Zaschło mu w gardle. A więc w tym rzecz. Zależy jej na mnie. Pragnie mnie. Chce mieć dla siebie.

Szeroko otworzyła oczy.

- Niepotrzebnie to powiedziałam.

- Ale to prawda.

- Nie. - Cofała się w stronę biurka. - Ja... nie mam do ciebie prawa. I nie mogę liczyć, że specjalnie dla mnie postawisz swoje życie na głowie. Zresztą z tego związku i tak nic nie będzie.

- Będzie. - Podeszedł do niej. - Pragniesz mnie, mojej miłości, i namiętności tylko dla siebie. Cofnęła się dalej i wpadła na szeszlony.

- Muszę iść.

- Nie chcesz się mną dzielić, prawda, Shanno?

Jej oczy błysnęły.

- Ale nie zawsze ma się to, czego się chce, niestety.

Złapał ją za ramiona.

- Tym razem będziesz mieć.

Uniósł ją i posadził na czerwonym szeszlony.

- Co...?

Pchnął ją lekko. Opadła na kanapę. - Co ty wyprawiasz? - Uniosła się, wsparta na łokciach. Póleżała na czerwonym szeszlony.

Ściągnął jej z nóg białe adidas, upuścił na podłogę. - Tylko ty i ja, Shanno. Nikt nie będzie wiedział, co robimy.

- Ale...

- Całkowita dyskrecja. - Rozpiął suwak w jej spodniach, zsuwał z nóg. - Jak, jak tego chciałaś.

- Chwileczkę! To co innego! To... To się dzieje naprawdę?

- Oczywiście. I jestem na to gotowy. - Dostrzegł jej czerwone koronkowe majteczki. Rany boskie. Prawdziwa krew.

- Musimy to sobie przemyśleć.

- Myśl szybko. - Dotknął czerwonej koronki. - Bo to znika.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Oddychała płytko.

- Ty... masz czerwone oczy. Świecą.

- To znaczy, że jestem gotowy.

Przełknęła ślinę. Opuściła wzrok na jego nagą pierś.

- To będzie poważny krok.

- Wiem. - Głaskał ją po policzku. Prawdziwy seks ze śmiertelną kobietą. - Przestanę, kiedy tylko zechcesz. Nie mógłbym cię skrzywdzić, Shanno.

Opadła na oparcie. Ukryła twarz w dłoniach.

- O Boże.

- No i jak? Naprawdę?

Opuściła dłonie i spojrzała mu w oczy. Przeszedł ją dreszcz.

- Zamknij drzwi na klucz - szepnęła. Roman doświadczył burzy uczuć. Mieszało się w nim podniecenie, pożądanie i przede wszystkim ulga. Nie odrzuciła go. Szybko zamknął drzwi i wrócił do niej.

Zatrzymał się. Dopadły go zawroty głowy. Wampiryczne tempo pozbawiało go resztek energii, a potrzebował każdej jej odrobiny. Dla Shanny. Zsunął jej skarpetkę z jednej nogi. To działało się naprawdę, więc miał tylko dwie ręce. Tu nie wchodziły w grę sztuczki wyobraźni.

Miała wąskie i szczupłe stopy; inne niż myślał. Duży palec i jego sąsiad były tej samej długości. Wczoraj nie widział tych drobiazgów oczami wyobraźni, ale teraz nabierały ogromnego znaczenia. Prawdziwa Shanna. Nie erotyczny sen. Bo też żaden sen nie może równać się z rzeczywistością.

Zacisnął dłoń na kostce, uniósł nogę. Długa, kształtna. Pogładził łydkę. Skóra była miękka, taka jak sobie wyobrażał, ale znów zaskoczyły go pewne drobiazgi. Piegi na kolanie, mały pieprzyk po wewnętrznej stronie uda. Przyciągał go jak magnes. Przywarł do niego ustami. Zdziwiło go ciepło jej skóry. To coś nowego. Innego. Wampiry nie wytwarzają dużo ciepła, więc podczas setek lat seksu wampirycznego nie zetknął się z ciepłem ludzkiego ciała. Ani z jego zapachem. Skóra Shanny pachniała czystością, kobiecością i... życiem. Życiodajną krwią. Pod skórą pulsowała żyła. A Rh dodatnie. Pocierał nosem jej udo, rozkoszował się głębokim metalicznym zapachem.

Stop! Odwrócił głowę, przywarł policzkiem do uda. Musi przestać, zanim instynkt zwycięży i wysuną się kły. Właściwie, tak na wszelki wypadek, powinien wypić butelkę, zanim posuną się dalej.

I wtedy wyczuł inny zapach. Nie krew, ale coś równie upajającego. Pochodził z jej majteczek. Podniecenie, Rany boskie, jaki cudowny. Nie podejrzewał, że istnieje tak mocny zapach i tak silnie działa. Nabrzmiął, napierał na bawełniane bokserki. Opuścił głowę niżej. Shanna sapnęła głośno. Wstrząsnął nią dreszcz.

Roman wyprostował się, stanął między jej nogami. Pochylił się, ściągnął czerwoną koronkę o kilka centymetrów. Dotknął pasma loczków. Patrzył. No tak, przecież Shanna to kolor. Podniósł wzrok.

- Jesteś ruda?

- Jak widać. - Zwilżyła usta językiem

- Złotoruda. - Muskał włosy wierzchem dłoni. Były szorstkie, kręcone, podniecające. Uśmiechał się. - Powinienem się tego domyślić. Masz temperament rudzielca.

Łypnęła na niego spod oka. - Miałam powody do złości.

Wzruszył ramionami. - Seks wampiryczny jest przereklamowany. To... - Spojrzał na swoją dłoń między jej nogami. - To jest o wiele lepsze. - Wsunął palec w jej wilgotne wnętrze. Drgnęła zaskoczona

- Boże, co ty ze mną wyprawiasz... - Przycisnęła rękę do piersi jakby miała kłopoty z oddychaniem. - Nie... Nie narzucasz mi tych reakcji, prawda? No wiesz, wczoraj, kiedy byłeś w mojej głowie, wczoraj w nocy...

- Podsuwałem ci tylko doznania. Reakcje są twoje. Wsunął palec głębiej, dotknął nabrzmiałego guziczka. Jęknęła głośno.

- Uwielbiam twoje reakcje. - Czuł wilgoć na palcu. Zapach go otaczał, upajał. Nabrzmiął, chciał posunąć się dalej. Ściągnął jej bieliznę, upuścił na podłogę. Powitała go między udami, otworzyła się dla niego, opłotła nogami. Erekcja bardzo mu przeszkadzała, ale najpierw chciał się napatrzeć. Pochylił się, dotknął wilgotnych loczków. Proszę, jest, cudownie delikatne ciało zwilżone podnieceniem. Dla niego. Nie mógł wytrzymać, ale stłumił swoje pragnienia, Jeszcze nie. Najpierw chciał nasycić się smakiem. Wsunął dłoń pod jej pośladki i przyciągnął do ust. Jęknęła Zacisnęła uda dokoła niego, drżała przy każdym powolnym dotknięciu jego języka. Zaczął powoli i delikatnie, ale jęki Shanny

kazały mu przyspieszyć, wzmocnić nacisk. Wbiła mu pięty w plecy, przyciągała do siebie. Zacisnął dłonie na jej biodrach i z wampiryczną prędkością pracował językiem. Krzyknęła. Poczul wilgoć na twarzy. Wstrząsały nią dreszcze, gorączkowo łapała oddech.

Czul na ustach jej nabrzmiąłą pęć, a pod skórą - krew. Odwrócił się, nie chcąc zareagować instynktownie, ale przy tym musnął nosem jej udo, poczul krew w żyłę.

Instynkt przetrwania wziął górę. Wysunął kły i wbił je w żyłę wewnętrznej stronie uda. Krew wypełniła mu usta, krzyk puszył, ale nie mógł przestać. Głód wziął górę. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio pił tak pyszną krew. Shanna usiłowała go odepchnąć. Przycisnął jej udo do ust i zaczerpnął potężny haust.

- Roman, nie! - Kopała go drugą nogą. Znieruchomiał. Rany boskie, co on zrobił? Przysięgał, że

już nigdy więcej nie ugryzie śmiertelnika, wyrwał kły z jej ciała. Z ranek na udzie płynęła krew. Odsunęła się od niego.

- Odejdź!

- Sha... - Uświadomił sobie, że ma wysunięte kły. Ostatkiem sił wepchnął je, choć nie chciały się schować - jest przecież taki głodny. Cholernie słaby. Musi dojść do stolika, na którym zostawił butelkę krwi. Coś sphywało mu po brodzie. Jej krew. Cholera, nic dziwnego, że patrzy na niego takim wzrokiem. Pewnie wygląda jak potwór.

I pewnie nim jest. Ukąsił kobietę, którą kocha.

Rozdział 21

Ukąsił ją! Shanna obserwowała, jak idzie w stronę barku, tak jakby nigdy nic. Nic? Ma przecież jej krew na twarzy. Patrzyła na ranki na lewym udzie. Dzięki Bogu przestał, nie wysłał z niej ostatniej kropli. Inaczej byłaby teraz w śpiączce i czekała na przemianę. O Boże. Ukryła twarz w dłoniach. A czego się spodziewała? Wkładasz palce między drzwi, to ci je przycisną. Dziwne, ale ranka nie bolała, tylko w pierwszej chwili. No tak, to szok. Widziała, jak wysuwają mu się kły, poczuła, jak przebijają skórę. A potem zobaczyła swoją krew na jego ustach. Dobrze chociaż, że nie zemdląa. Zadziałał instynkt przetrwania.

Stracił nad sobą panowanie. W innym wypadku byłaby zachwycona, że facet podczas seksu z nią szaleje. Która by tego nie chciała? Tylko że u Romana brak samokontroli znaczy, że może skończyć jako jego śniadanie.

Niby jak taki związek ma się udać? I choć jej serce wrywało się do Romana, wiedziała, że jedyny sposób, by przeżyć, to trzymać się od niego z daleka. Skorzysta więc z jego opieki, musi zapomnieć o namiętności.

A to bolało. O wiele bardziej niż ranki na udzie. Dlaczego jest wampirem? Gdyby nie to, byłby mężczyzną idealnym. Spojrzała na sufit. Dlaczego? Chciałam tylko normalnego życia, a ty mi dajesz wampira? I to się nazywa boska sprawiedliwość?

Odpowiedział jej głuchy odgłos. Odwróciła się i zobaczyła Romana - osunął się na podłogę kilka metrów od barku.

- Roman? - Wstała. Leżał nieruchomo, twarzą do podłogi. - Roman? - Podchodziła

ostrożnie.

Z jękiem przetoczył się na plecy.

- Muszę się napić.

Wyglądał okropnie. Chyba umiera z głodu. Przecież z niej niewiele się napił. Zobaczyła butelkę na stoliku. Krew. Fuj. Nie chciała tego robić. Mogłaby się ubrać i zawołać strażnika. Spojrzała na Romana. Miał zamknięte oczy, był blady jak trup. Nie może czekać. Musi działać. I to już.

Stała nieruchomo, z mocno bijącym sercem. Przez chwile wydawało się jej, że znów kryje się za wielką donicą i patrzy, jak Karen umiera. A ona nic nie może zrobić. Pozwoliła, żeby strach ją sparaliżował. Ale to się nie powtórzy.

Przełknęła z trudem i podeszła do stolika. Poczowała zapach krwi i wraz z nim powróciły wspomnienia. Przyjaciółka w kałuży krwi. Odwróciła głowę, starała się nie oddychać. Teraz kto inny jej potrzebuje, jej i tego. Zaciśnęła dłoń na butelce. Zimna. Podgrzać, żeby miała lepszy smak? Na samą myśl zrobiło jej się niedobrze.

- Shanna.

Spojrzała na niego. Próbował usiąść. Jezu, jaki on słaby.

Bezbronny. Nic dziwnego, że ją ukąsił, skoro tak bardzo potrzebuje krwi. Dziwniejsze jest to, że zdołał przestać. Rzykował.

- Już idę. - Uklękła przy nim. Pomogła mu wstać, podsunęła butelkę do ust. Krew. Poczowała mdłości. Ręka jej drżała, kilka kropli spływało mu po brodzie. Przed oczami pojawił się inny widok, krew na ustach Karen. - Boże. Roman chciał przytrzymać jej dłoń, ale nim także wstrząsały dreszcze. Pił zachłannie, powolnymi, długimi łykami.

- Pomagasz mi przy tym? Psychicznie? - Przecież w gabinecie dentystycznym ją zahipnotyzował.

Opuścił butelkę.

- Nie, nie mam na to siły. - Uniósł butelkę do ust.

A więc sama zmierzyła się ze swoim strachem. Było jej niedobrze, kiedy tak patrzyła, jak pije zimną krew, ale nie zemdląła.

- Już mi lepiej. Dziękuję. - Dopił do dna.

- Dobrze. - Wyprostowała się. - No to chyba już pójdę.

- Chwileczkę. - Wstał. - Pozwól, że... - Wziął ją za rękę. - Chciałbym się tobą zająć.

- Nic mi nie jest. - Nie wiedziała, śmiać się czy płakać. Oto stoi półnaga, z ranami w udzie. Może to szok, ale i rozpacz. Miała wrażenie, że jej serce przytłacza wielki czarny gład i co chwila przypomina, że związek z wampirem nie jest możliwy.

- Chodź. - Zaprowadził ją do sypialni. Ze smutkiem spojrzała na jego wielkie łóżce. Dlaczego nie był zwykłym człowiekiem? Sądząc po wyglądzie sypialni, jest schludny i zorganizowany.

Zaprowadził ją do łazienki. Coś takiego, nawet opuszcza deskę klozetową. Czy można chcieć więcej? Dlaczego nie jest śmiertelny?

Zwilżył ręcznik, pochylił się nad jej udem. Ciepła tkanina niosła ulgę. Nagle zapragnęła położyć się na podłodze. - Tak mi przykro, Shanno. To się już nie powtórzy.

Pewnie, że nie. Jej oczy wypełniły się łzami. Nie będzie miłości, nie będzie pasji. Nie może pokochać wampira.

- Boli?

Odwróciła głowę, żeby nie widział łez.

- Pewnie tak. - Wyprostował się. - Nie powinno było do tego dojść. Od osiemnastu lat nikogo nie ukąsiłem, odkąd wynalazłem krew syntetyczną. No, nie do końca. Doszło do transformacji, ale zaistniała wyjątkowa sytuacja. Gregori.

- Radinka mi o tym opowiadała. Nie chciałeś tego zrobić.

- To prawda. - Poszperał w szufladzie i wyjął dwa plastry. - Nie chciałem skazać na potępienie jego nieśmiertelnej duszy.

Powiedział to jak prawdziwy średniowieczny mnich. Shanna czuła, jak serce wyrywa jej się z piersi. Uważa, że jego dusza jest przeklęta.

Rozpakował plasterki

- Wampir jest najbardziej głodny zaraz po przebudzeniu. Właśnie zabierałem się do jedzenia, kiedy przyszłaś. Zanim zaczęliśmy się kochać, powinienem był to wypić. - Przykleił plaster na rance. - Od tej chwili dopilnujemy, żebym najpierw zjadł.

- Nie będzie od tej pory. Ja... nie mogę.

- Czego nie możesz?

Był bardzo przejęty. I taki piękny. Bładość ustąpiła. Ma szerokie ramiona. Masywną klatkę piersiową pokrytą ciemnymi włosami. Wydawały się delikatne i miękkie. Złotobrazowe oczy obserwowały ją czujnie. Powstrzymała łzy.

- Ja... nie mogę uwierzyć, że masz tu toaletę. - Tchórz, skarciła sama siebie. Ale nie chciała go skrzywdzić. Ani jego, ani siebie.

Wydawał się zaskoczony.

- No cóż... Korzystam z niej.

- Z toalety?

- Tak. Nasze ciała absorbują jedynie czerwone krwinki, pozostałe składniki sztucznej krwi to produkty zbędne i je wydalamy.

- Och. - Chyba naprawdę nie musi tego wiedzieć.

Przechylił głowę.

_ Wszystko w porządku?

- Pewnie. - Odwróciła się i wyszła. Czuła jego wzrok na nagich pośladkach. Tyle, jeśli chodzi o wyjście z godnością. Pokonała gabinet, podeszła do swoich ubrań na podłodze. Siedziała na kanapie i wiązała buty, gdy Roman wyszedł z łazienki. Wyjął kolejną butelkę z lodówki i wstawił do mikrofalówki. Miał na sobie czarne dżinsy i szarą koszulkę polo. Zdażył się umyć i uczesać. Był zabójczo piękny i chyba ciągle głodny.

Zadzwoiła mikrofalówka. Przełał ciepłą krew do szklanki.

- Bardzo ci dziękuję. - Upił łyk i podszedł do biurka. - Nie powinienem był doprowadzać się do takiego stanu. Zachowałeś się bardzo szlachetnie, pomagając mi po tym, co zrobiłem.

- Po tym, jak mnie ukąsiłeś?

- Tak. - Zirytowany usiadł za biurkiem. - Wolę szukać pozytywnych stron.

- Chyba żartujesz.

- Nie. Kilka dni temu zemdląłeś na sam widok krwi. Musiałem cię zahipnotyzować, bo inaczej straciłabyś przytomność, kiedy wstawiałaś mi kieł. A dziś podałaś mi krew.

Pokonujesz lęk

No, to akurat prawda. Rzeczywiście robi postępy.

- Mam namacalny dowód, że jesteś wspaniałą dentystką.

- Jaki?

- Wstawiłaś mi kieł. Działa bez zarzutu. Zachnęła się.

- No tak, mam na to namacalne dowody.

- To był błąd, ale dobrze wiedzieć, że zabieg się udał. Świetnie się spisałaś.

- Jasne. Byłoby straszne, gdybyś miał tylko jeden kieł. Jeszcze zaczęliby cię przezywać.

Uniósł brew.

- Chyba jesteś zła. - Odetchnął głęboko. - I chyba masz ku temu powody.

Nie, nie była zła. Urażona, smutna i zmęczona - Tak. Zmęczona absorbowaniem życiowych zmian, które następowały ostatnio w zawrotnym tempie. Jakaś jej część chciała ukryć się w łóżku, pod kołdrą, i już nigdy nie wstawać. Jak mu to wszystko wytłumaczyć?

- Ja... - Uratowało ją pukanie do drzwi.

- Roman? - zawołał Gregori. - Czemu zamykasz się na klucz? Jesteśmy umówieni!

- Cholera, zapomniałem. Przepraszam. - Błyskawicznie znalazł się przy drzwiach, otworzył je wrócił za biurko.

Otworzyła usta ze zdumienia. Ciągle nie mogła przyzwyczać się do wampirycznej szybkości. Choć podczas seksu same z niej korzyści. Zarumieniła się. Nie może myśleć o seksie. Zwłaszcza że po nim następuje ukąszenie i utrata krwi.

- Cześć, bracie. - Gregori wkroczył do gabinetu z teczką pod pachą. Był ciągle w stroju wieczorowym, widocznym pod narzuconą na ramiona romantyczną peleryną. - Mam prezentację dotyczącą ubogich. Cześć, słodka. - Skinął Shannie głową.

- Cześć. - Wstała. - Czas na mnie.

- Nie musisz wychodzić. Szczerze mówiąc, chętnie poznam twoje zdanie. - Gregori wyjął grube arkusze z teczki i oparł o blat biurka.

Shanna przeczytała tekst na pierwszym: „Jak przekonać ubogie wampiry, żeby piły syntetyczną krew”. Roman spojrział na nią.

- Trudno jest namówić biednych, żeby kupowali sztuczną krew, skoro prawdziwą mają za darmo.

- Bo żyją w otoczeniu źródła pożywienia - śmiertelnych. - Zmarszczyła brwi. - Takich jak ja.

Odwzajemnił jej spojrzenie. Daj spokój, mówiły jego oczy. Gregori wodził wzrokiem od jednego do drugiego.

- Przeszkodziłem w czymś?

- Nie. - Wskazała arkusze. - Mów dalej.

Gregori podjął przerwany wątek.

- Zadaniem Romatechu jest sprawić, by świat był bezpiecznym miejscem i dla ludzi, i dla wampirów. Mówię w imieniu nas wszystkich, gdy zapewniam, że nie chciałbym skrzywdzić człowieka. - Odrzucił pierwszą kartę i odsłonił kolejną. Były na niej tylko dwa słowa: tania i dostępna. Shanna miała nadzieję, że nie chodzi o nią.

- Uważam, że te dwa czynniki to rozwiązanie naszego problemu z biednymi – ciągnął

Gregori. - Laszlo wpadł na genialny pomysł. Ponieważ do życia potrzebne nam jedynie czerwone krwinki, on opracuje roztwór krwinek w wodzie, co będzie o wiele tańsze niż syntetyczna krew i napoje z serii fusion.

Roman skinął głową. - I paskudne w smaku.

- Popracujemy nad tym. A teraz, jeśli chodzi o wygodę. - Odsłonił kolejną planszę. Widniał na niej budynek z okienkiem, jak w restauracji dla zmotoryzowanych.

- To restauracja wampiryczna. W karcie dań będzie krew syntetyczna i linia fusion, ale też nowy, tańszy produkt.

Shanna zamrugła szybko. - Fastfood?

- Tak jest. - Skinął głową. - A nowa mieszanka krwi i wody będzie bardzo tania.

- Jak barszcz! Wampiryczny hamburger! Jak to nazwiecie? Blood Hut? Vampire King? - Ku własnemu zdumieniu, zachichotała.

Gregori jej zawtórował. - Dobra jesteś.

Roman się nie śmiał. Przyglądał się jej dziwnym wzrokiem. Ignorowała go, wpatrzona w rysunek.

- Ale czy okno dla zmotoryzowanych nie jest niebezpieczne? - zastanawiała się głośno. - No wyobraź sobie, śmiertelnik ustawia się w kolejce, myśląc, że to zwykła restauracja, a potem widzi w menu samą krew. To chyba zdradziłoby wasze istnienie?

- Ma rację. - zauważył Roman.

- Już wiem! - Uniosła rękę. Wyobraziła sobie restaurację.

- Wynajmijcie lokal na piętrze, powiedzmy, dziesiątym, i tam umieście to okienko. Tym sposobem śmiertelnik nie stanie w kolejce.

Gregori nie rozumiał.

- Na dziesiątym piętrze?

- No. Bo to będzie okienko przelotne. - Parsknęła śmiechem.

Gregori spojrzał na Romana.

- Ale my nie umiemy latać.

Roman wstał.

- Gregori, masz niezły pomysł. Niech Laszlo opracuje przepis tego... ekonomicznego posiłku.

Shanna zakryła sobie usta dłonią, ale nie przestała się śmiać.

Roman spojrzał na nią z niepokojem.

- I zacznij szukać odpowiedniego lokum.

- Tak jest, szefie. - Schował plansze do teczki. - wychodzę dziś z Simone. Oczywiście w celach badawczych, ma się rozumieć. Muszę się przekonać, które kluby są najbardziej popularne.

- Świetnie. Dopilnuj, żeby Simone nie wpakowała się kłopoty.

Skinął głową.

- Tak jest. Wiesz, że wychodzi ze mną tylko dlatego, żeby wzbudzić w tobie zazdrość.

Nagle Shannie nie było do śmiechu. Spojrzała groźnie na Romana. Miał dość przyzwoitości, by się spieszyć.

- Dałem jej jasno do zrozumienia, że nie jestem zainteresowany.

- Tak, wiem. - Gregori już szedł do drzwi, ale się zatrzymał. - Aha, chciałem zorganizować

jutro spotkanie grupy fokusowej w Romatechu. Sprowadzić ubogie wampiry, niech wypełnią ankietę na temat tej restauracji. Dziś w klubach rozpuszczę wici.

- Dobrze. - Roman już otwierał mu drzwi. Gregori zerknął na Shannę.

- Dobra jesteś w te klocki. Pomożesz mi jutro przy badaniu fokusowym? Odbędzie się w Romatechu, więc będziesz bezpieczna - Wzruszył ramionami. - To tylko propozycja. Przynajmniej miałybyś coś do roboty.

Zamyśliła się. Jaką ma alternatywę – salon Romana i jego harem.

- Dzięki, bardzo chętnie.

- Nie ma sprawy. - Wsunął teczkę pod ramię. - No dobra, wyruszam w miasto. Fajna pelerynka, nie? Jean-Luc mi ją pożyczył.

- Bosko wyglądasz, koleś.

Gregori tanecznym krokiem szedł do drzwi, wykonał piruet, ukłonił się i wyszedł. Shanna się roześmiała.

- Chyba podoba mu się nowa egzystencja.

Roman zamknął za nim drzwi i podszedł do biurka.

- Prawdziwy nowoczesny wampir. Nigdy nie musiał kąsać ludzi, żeby przeżyć.

Prychnęła.

- Wykarmiony butelką?

Roman się uśmiechnął. Usiadł w fotelu za biurkiem.

- Jeśli naprawdę chcesz go wkurzyć, powiedz mu, że disco umarło.

Parsknęła śmiechem, ale wystarczyło jedno spojrzenie na Romana, by powaga ich sytuacji popsuła jej dobry humor. Niemożliwe, by ich związek się udał. Ona się zestarzeje, on będzie wiecznie młody. Wątpliwe, żeby mogła mieć z nim dzieci i normalne życie, którego pragnęła.

A kiedy będą się kochać, może ją ukąsić. Nie, to niemożliwe.

Pochylił się nad biurkiem.

- Dobrze się czujesz?

- Pewnie. - Zabrzmiało piskliwie i głośno. Miała łzy w oczach. Uciekła wzrokiem.

- Ostatnio dużo przeszłaś. Dybano na twoje życie, to, w co wierzyłaś...

- Legło w gruzach?

Skrzywił się.

- Chciałem powiedzieć: bardzo się zmieniło. Wiesz, że istnieje świat wampirów, ale świat śmiertelnych pozostał taki sam.

Nigdy nie będzie taki sam. Pociągnęła nosem, chcąc wstrzymać łzy.

- Chciałam w życiu tylko jednego - normalnego życia. Chciałam zapuścić korzenie w społeczności, poczuć, że tu jest moje miejsce. Chciałam normalnej, stałej pracy. Normalnego stałego męża. - Po policzkach spływały łzy. Ścierała je pospiesznie. - Chciałam mieć duży dom z dużym ogrodem, z białym drewnianym płotem, i dużego psa. I... - Popłynęły łzy – I dzieci.

- To dobre marzenia - powiedział Roman szeptem.

- Tak. - Wytarła policzki. Nie patrzyła na niego.

- Nie wierzysz, żeby była przed nami jakaś przyszłość, co?

Pokręciła głową. Usłyszała skrzypnięcie jego fotela i odważyła się zerknąć. Rozparł się

wygodnie, wbił wzrok w sufit. Choć pozornie wydawał się spokojny, widziała drżenie mięśni szczęki, gdy zaciskał zęby.

- Czas na mnie. - Wstała. Nogi się pod nią uginały.

- Normalnego, stałego męża - mruknął; przygwoździł ją gniewnym spojrzeniem. - Za dużo w tobie życia, jesteś zbyt inteligentna dla zwykłego, nudnego męża. Musisz mieć pasję w życiu. Kogoś, kto będzie dla ciebie wyzwaniem, kto będzie cię doprowadzać do szaleństwa. - Wstał. - Potrzebujesz mnie.

- Tak, tak samo, jak dziury w głowie. Czy raczej w nodze.

- Nie ugryzę cię więcej!

- Nic na to nie poradzisz! - Rozpłakała się. - Taka jest twoja natura.

Usiadł, blady jak ściana.

- Wierzysz, że jestem zły z natury.

- Nie! - Szybko otarła policzki. - Jesteś dobry, szlachetny i... właściwie idealny. I wiem, że w innych okolicznościach nie chciałbyś nikogo skrzywdzić. Ale kiedy kochasz się, przychodzi moment, w którym tracisz panowanie nad sobą. Wdziałam to. Oczywiście płoną ci na czerwono, a kły...

- To się nie powtórzy. Zanim będziemy się kochać, napiję się do syta.

- Nic na to nie poradzisz. Za dużo w tobie namiętności.

Zacisnął pięści.

- Są ku temu powody.

- Nie możesz obiecać, że więcej mnie nie ukąsisz. To po prostu... twoja natura.

- Daję ci słowo. Weź. - Za pomocą ołówka pchnął w jej stronę krucyfiks na łańcuchu. - Włóż to. Kiedy masz to na sobie, nie mogę cię nawet objąć, a co dopiero ukąsić.

Włożyła z westchnieniem krzyż na szyję.

- Chyba przyda mi się jeszcze srebrna podwiązka i srebrne pierścionki na palce u nóg. I jeszcze kolczyk do pępka. I do sutków.

- Nie waż się przekłuwać tego pięknego ciała.

- Dlaczego nie? Ty to zrobiłeś. Skrzywił się.

Jezu, znowu go zraniła.

- Przepraszam. Kiepsko sobie z tym radzę.

- Świetnie sobie radzisz, po prostu przeszłaś zbyt wiele. I jeszcze te wygłupy Gregoria...

Powinnaś trochę odpocząć.

- Może. - Uważnie oglądała krucyfiks. - Ile ma lat?

- Dostałem go od ojca Konstantyna, gdy przyjmowałem święcenia.

- Śliczny. - Przycisnęła go do piersi, odetchnęła głęboko. - Wiem od Connora, co spotkało mnichów. Bardzo mi przykro. Ale musisz zrozumieć, że to nie twoja wina.

Zamknął oczy. Masował czoło.

- Mówisz, że wiele nas różni, ale to nieprawda, jesteśmy tacy sami. Czulaś to samo, gdy zamordowano twoją przyjaciółkę. Łączy nas silna więź emocjonalna i mentalna. Nie możesz tego lekceważyć.

Łzy znów piekły ją pod powiekami. - Przykro mi. Naprawdę chcę, żebyś był szczęśliwy. Po tym, co przeszedłeś, zasłużyłeś na to.

- Ty też. Ja się nie poddam, Shanno.

Łza wymknęła się z kącika oka.

- Nie ma szans. Ty zawsze będziesz młody i piękny, ja się zestarzeję.

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie ma znaczenia.

Zachnęła się.

- Oczywiście, że ma.

- Shanna. - Wstał, obszedł biurko. - To nadal będziesz ty. Ty, kobieta, którą kocham.

—

Rozdział 22

Dziesięć minut później Roman teleportował się do gabinetu Radinki w Romatechu.

Podniosła wzrok znad biurka.

- No, jesteś wreszcie. Spóźniasz się. Angus i Jean-Luc już czekają u ciebie.

- Świetnie. Radinko, musisz mi czegoś poszukać.

- Jasne. - Oparta łokcie na biurku. - O co chodzi?

- Chciałbym kupić nową nieruchomość.

- Na nową fabrykę? Dobry pomysł, zwłaszcza wobec aktywności Malkontentów, którzy nam podrzucają ładunki wybuchowe. A przy okazji, uprzedziłam cię i zamówiłam transport syntetycznej krwi z fabryki w Illinois.

- Dziękuję.

Sięgnęła po notes i długopis.

- No dobra, gdzie ma być ta nowa fabryka? Roman przestępował z nogi na nogę.

- Nie chodzi o fabrykę, tylko o... dom. Duży dom. Ściągnęła brwi, ale notowała pilnie.

- Coś więcej, czy tylko duży?

- Musi być w przyjaznej okolicy, niedaleko stąd. Białe drewniane ogrodzenie, duży ogród, duży pies.

Stukała długopisem w kartkę.

- O ile mi wiadomo, psy nie stanowią części wyposażenia.

- Wiem. - Założył ręce na piersi, zirytowany jej rozbawieniem - Ale musisz dowiedzieć się, gdzie można kupić dużego psa, albo szczeniaka, z którego taki pies wyrosnie.

- Jaki to ma być pies, jeśli wolno zapytać?

- Duży. - Zgrzytnął zębami. - Przygotuj zdjęcia różnych ras. I domów na sprzedaż. Nie ja dokonam ostatecznego wyboru.

- Och! - Uśmiechnęła się. - Znaczący że między tobą a Shanną sprawy się układają?

- Nie. Pewnie wynajmę ten dom.

Zmarkotniała.

- Więc może na to za wcześnie. Ucieknij, jeśli będziesz za bardzo naciskać.

I tak może uciec, pomyślał ze strachem.

- Najbardziej na świecie pragnie normalnego życia i normalnego męża. - Skrzywił się i wrzucił ramionami - A tego nie można o mnie powiedzieć.

Usta Radinki drgnęły w uśmiechu.

- Pewnie nie, ale po piętnastu latach w Romatechu sama nie wiem, co jest normalne.

- Dam jej normalny dom i normalnego psa.
- Chcesz kupić normalność? Przejrzy cię na wylot.
- Chyba zauważy, że chcę spełnić jej marzenia. I dać tak normalne życie, jak to tylko możliwe.

Zmarszczyła brwi. Zamyśliła się.

- Wiesz co? Wydaje mi się, że każda kobieta przede wszystkim pragnie miłości.
- Już to ma. Powiedziałam jej, że ją kocham.
- Cudownie! - I znów, Radinka uśmiechnęła się i zmarkotniała. - Nie wydajesz się szczęśliwy.
- Pewnie dlatego, że wybiegła z płaczem z mojego pokoju.
- O nie. Zazwyczaj się nie myślę w tych sprawach.

Westchnął. Nieraz już zastanawiał się, czy Radinka naprawdę ma dar jasnowidzenia; a jeśli tak, czemu do cholery nie przewidziała ataku na własnego syna? Chyba że już wcześniej wiedziała, iż Gregori stanie się wampirem.

Schyliła się nad notesem.

- Jestem przekonana, że to kobieta dla ciebie.
 - Ja też. Wiem, że bardzo jej na mnie zależy, bo inaczej...
- Uniosła brwi. Czekwała, co powie dalej. Przeszepował z nogi na nogę.

- Poszukaj domu, dobrze? Muszę iść, już jestem spóźniony.

Uśmiechnęła się.

- Przejdzie jej. Wszystko będzie dobrze. - Odwróciła się na krześle, usiadła twarzą do komputera.
- Już szukam.
- Dzięki. - Szedł do drzwi.
- Musisz też zwolnić harem! - zawołała za nim. Skrzywił się. Poważny problem. Będzie musiał wspierać kobiety finansowo, póki same nie staną na nogi.

Wszedł do biura.

- Dobry wieczór, panowie.
- Angus poderwał się z fotela. Występował, jak zwykle, w niebiesko-zielonym tartanie klanu MacKay.
- Aleśmy się na ciebie naczekali. Musimy załatwić sprawę, tych cholernych Malkontentów. Jean-Luc nie wstał, tylko uniósł rękę w geście powitania.
 - *Bonsoir, mon ami*
 - Podjęliście jakąś decyzję? - Roman usiadł za biurkiem.
 - Nie ma czasu na gadanie. - Angus spacerował po gabinecie. - Wczoraj wieczorem Malkontenci wypowiedzieli nam wojnę. Moi Szkoci są gotowi do walki. Uważam, że powinniśmy zaatakować. Dziś.
 - Nie zgadzam się. - Jean-Luc wpadł mu w słowo. - Petrovsky jest z pewnością przygotowany na nasz odwet. Zaatakujemy jego dom na Brooklynie i co, będziemy na otwartej przestrzeni, jak kaczki do odstrzału. Niby dlaczego chcemy im dać taką przewagę?
 - Moi ludzie się nie boją! - ryknął MacKay.
 - Ja też nie. - W niebieskich oczach Jean-Luca pojawił się błysk. - Tu nie chodzi o strach,

tylko o praktyczne podejście do sprawy. Gdybyście wy, Szkoci, nie byli w gorącej wodzie kapami, w przeszłości przegralibyście mniej wojen.

- Nie jestem w gorącej wodzie kąpany!- huknął Angus.

Roman podniósł ręce.

- Spokojnie, panowie. We wczorajszej eksplozji nikt nie ucierpiał. I chodź zgadzam się, że sprawę Petrovskiego trzeba załatwić, wolałbym nie angażować się w otwartą wojnę na oczach śmiertelnych.

- *Exactement.* - Jean-Luc poruszył się na fotelu. - Moim zdaniem powinniśmy obserwować Petrovskiego i jego ludzi, a kiedy dopadniemy ich w pojedynkę czy dwójkami - eliminować.

Angus się zachnął.

- Honorowy wojownik tak nie postępuje.

Jean-Luc wstał powoli. - Jeśli sugerujesz, że nie mam honoru, muszę cię wyzwać na pojedynek.

Roman jęknął. Pięćset lat wysłuchiwania ich ciągłych kłótni nadweręży nawet najwierniejszą przyjaźń.

- Czy możemy zacząć od zabicia Petrovskiego, a dopiero potem siebie wzajemnie?

Angus i Jean-Luc parsknęli śmiechem. - Ponieważ my, jak zwykle, nie zgadzamy się, ty zadecydujesz - powiedział Jean-Luc. Roman skinął głową.

- Tym razem przychyliam się do zdania Jean-Luca. Atak na dom na Brooklynie wzbudzi za duże zainteresowanie. I wystawi na niebezpieczeństwo wielu Szkotów.

- Nam to nie przeszkadza - sapnął Angus i wrócił na fotel.

- Ale mnie tak - uciął Roman. - Znam was od dawna.

- jest nas ograniczona liczba - dorzucił Jean-Luc. - Nie wiem jak wy, ale ja nie przemieniłem nikogo w wampira od rewolucji francuskiej.

- Ja od Culloden - rzucił Angus. - Ale Petrovsky i jemu podobni ciągle przemieniają ludzi o mrocznych sercach.

- I tym samym produkują złe wampiry. - Westchną, wyjątkowo jesteśmy *en accord, mon ami*. Ich zastępy rosną, nasze nie.

- Musimy mieć więcej wampirów - oświadczył Szkot.

- Nie ma mowy! - Romana przeraził kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa. - Nie skazę na piekło kolejnych dusz!

- A ja tak. - MacKay odgarnął miedziany kosmyk za ucho.

- Gdzieś na tym świecie na pewno codziennie umierają szlachetni żołnierze, którzy z otwartymi ramionami powitają okazje, by nadal zwalczać zło.

Roman się pochylił.

- Teraz wojny wyglądają inaczej niż trzysta lat temu. Dzisiejsze armie pilnują swoich ludzi. Nawet martwych. Zauważyliby, gdyby zaginęli.

- Zaginęli w akcji... - Francuz wzruszył ramionami. - To się zdarza. Zgadzam się z Angusem.

Roman masował sobie skronie, przerażony perspektywą tworzenia nowych wampirów.

- Możemy to na razie zostawić? Ważniejszy jest Petrovsky.

- Dobrze - mruknął Jean-Luc.

- Niech ci będzie. - Angus zmarszczył brwi - Teraz musimy zająć się tą sprawą z CIA i ich projektem „Trumna”. Tylko piątka agentów... Nie powinno być problemu.

Roman pokręcił głową.

- Nie chcę ich zabijać.

- Coś innego miałem na myśli - syknął Angus. - Wszyscy przecież wiemy, że związałeś się z córką ich przywódcy.

Jean-Luc spojrzał na niego wymownie. - Zwłaszcza po wczorajszej nocy. Roman poczuł ze zdumieniem, że się czerwieni. Jak widać, udzielają mu się reakcje Shanny. Angus odchrząknął.

- Chyba to najprostszy sposób - zmodyfikować im pamięć. Oczywiście liczy się czas. Musimy załatwić całą piątkę w tym samym czasie, tej samej nocy, gdy włamiemy się do Langley, żeby zniszczyć akta.

- Sprzątanie. - Jean-Luc się uśmiechnął. - To mi się podoba.

- Nie jestem pewien, czy to się uda. - Roman poczuł na sobie zdziwiony wzrok przyjaciół.

- Shanna nie ulega kontroli myśli.

MacKay szeroko otworzył zielone oczy.

- Chyba żartujesz.

- Nie. Co więcej, obawiam się, że odziedziczyła zdolności po ojcu. I zakładam, że ekipa „Trumny” jest tak mała, bo wszyscy mają podobne zdolności.

- *Merde* - szepnął Jean-Luc.

- Skoro pracują przy projekcie przeciwko wampirom, byłoby oczywiste, kto ich zabił – dodał Roman.

- A rząd amerykański miałby jeszcze więcej przesłanek, żeby nas ścigać - zakończył Jean-Luc.

- To większe zagrożenie, niż mi się wydawało. - Angus bębnił palcami o oparcie krzesła. - Musimy to dokładnie przemyśleć.

- Dobrze. Na razie dajmy sobie z tym spokój. - Roman wstał i ruszył do drzwi. - Jakby co, jestem w laboratorium. - Szedł szybkim krokiem, zależało mu, by dokonać przełomu w pracy nad środkiem pozwalającym wampirom funkcjonować za dnia. Zobaczył Szkota przed laboratorium chemika. Dobrze. Niech go chronią, ile trzeba.

Przywitał się ze strażnikiem i wszedł do środka. Laszlo wpatrywał się w mikroskop.

- Cześć, Laszlo.

Mało brakowało, a Veszta spadłby ze stołka. Roman go podtrzymał.

- Wszystko w porządku?

- Tak. - Poprawił na sobie kitel, przy którym nie został ani jeden guzik. - Ostatnio trochę nerwowo reaguję.

- Podobno pracujesz nad tanią miksturą dla ubogich.

- Tak jest, sir - mówił z entuzjazmem. - Na jutrzejsze spotkanie fokusowe będę miał trzy próbki. Eksperymentuję z proporcjami wody i krwinek. I spróbuję dodać smaki, nie wiem, może cytrynę i wanilię.

- Waniliowa krew? Sam chętnie tego skosztuję.

- Dziękuję, sir.

Roman przysiadł na sąsiednim stołku.

- Chciałbym cię o coś zapytać, usłyszeć twoje zdanie.
- Ależ oczywiście. Będę zaszczycony, jeśli się na coś przydam, sir.
- W tej chwili to pytanie teoretyczne, ale myślałem o nasieniu. Naszym nasieniu.

Chemik wytrzeszczył oczy.

- Nasze nasienie jest martwe, sir.
- Wiem. Ale gdyby do ludzkiego, żywego nasienia wszczepić nowe, inne DNA, usunąwszy najpierw DNA dawcy?

Laszlo jeszcze bardziej wybałuszył oczy.

- A niby kto chciałby, żeby jego DNA znalazło się w żywym nasieniu?

-Ja.

- Och. A zatem... chce pan spłodzić dzieci?

Tylko z Shanną.

- Chcę wiedzieć, czy to możliwe.

Chemik powoli kiwał głową.

- Chyba tak.

- Dobrze. - Roman szedł do drzwi. Zatrzymał się w pół kroku. - Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdyby ta rozmowa została między nami.

- Oczywiście, sir. - Laszlo bawił się smętnymi resztkami nitek, na których kiedyś wisiał guzik. - Nikomu nie powiem ani słowa.

Roman poszedł do swojego laboratorium, żeby zająć się środkiem umożliwiającym funkcjonowanie za dnia. Włączył muzykę - gregoriańskie chorały. Przy nich najlepiej się koncentrował. Był już tak blisko.

Ani się obejrzał, muzyka ucichła. Spojrzał na zegarek. Wpół do szóstej. Czas zawsze mijał niepostrzeżenie, gdy pochłonał go nowy projekt. Zadzwoił do Connora i teleportował się do kuchni.

- Jak sytuacja?

- Wszystko w porządku. Ani śladu po Petrovskim i jego armii.

- A Shanna?

- U siebie. Zostawiłem jej pod drzwiami dietetyczną colę i ciastka czekoladowe. Zniknęły, więc nie jest źle.

- Rozumiem. Dziękuję. - Stał u podstawy schodów, spojrzał w górę i błyskawicznie teleportował się na najwyższe piętro. Wszedł do gabinetu. Widok czerwonego szezlonga przywołał ponure myśli. Westchnął ciężko. Co z niego za kretyń, że ją ukąsił. A potem palnął, że ją kocha.

Podszedł do barku - czas na kolację. Zajrzeć do Shanny? Czy w ogóle się do niego odezwie? Odkręcił zakrętkę, wstawił butelkę do mikrofalówki. Może powinien zostawić ją w spokoju. Nie najlepiej zareagowała na jego miłosne wyznanie. Da jej czas, ale nie zrezygnuje.

- Niech to piekło pochłonie! - Ivan nerwowo przechadzał się po ciasnym gabinecie. Oglądał wiadomości na DVN i choć wybuch w Romatechu był tematem nocy, nie wyrządził większych szkód. Zniszczył tylko mamy magazyn. Nawet jeden Szkot nie zginął w płomieniach. I o ile Ivan się orientował, w mieście nie przybyło nagle

wygłodniałych wampirów atakujących ludzi. Liczył, że gdy zniszczy fabrykę syntetycznej krwi, zobaczy różnicę.

- Może pijący sztuczną krew mają zapasy w domu - podsunął Alek. - I jeszcze im się nie skończyły.

Galina zwinęła się w kłębek w głębokim fotelu. - No właśnie. Za wcześnie, żeby widzieć efekty. Zresztą Draganesti ma pewnie rezerwy, o których nie wiemy.

Ivan się zatrzymał.

- Jak to?

- Rozprowadza syntetyczną krew na całym świecie. Może ma fabryki, ale to tajemnica firmy.

Alek skinął głową. - Brzmi sensownie.

Galina uniosła brwi.

- Nie jestem tak głupia, jak ci się wydaje.

- Dosyć tego. - Ivan znów spacerował. - Potrzebny mi nowy plan. Zemsta musi być bardziej dotkliwa.

- Dlaczego tak bardzo go nienawidzisz? - zagadnęła Galina. Ivan nie zwracał na nią uwagi. Musi wrócić do Romatechu. Ale jak? Napięcie gromadziło się w karku, drażniło nerwy

- To Draganesti stworzył armię, która pokonała Casimira - szepnął Alek do Galiny.

- Och. Dzięki, że mi to mówisz. - Uśmiechnęła się biegle.

Alek, niech go szlag, odpowiedział tym samym. Ivan warknął i strzelił karkiem. Zwrócił na siebie ich uwagę.

- Szkoci? Ktoś ich widział?

- Nie, sir. - Alek już nie patrzył na Galinę. - Nawet jeśli są w pobliżu, nie wytykają nosa z ukrycia.

- Nie sądzę, żeby dziś zaatakowali. - Ivan akurat dochodził do drzwi, gdy otworzyły się i do gabinetu weszła Katia. - Gdzieś ty była, do cholery?

- Na łowach. - Oblizła się. - Ma się ten apetyt. Poza tym, w jednym z klubów usłyszałam coś ciekawego.

- Że niby co? Jednak zabiliśmy jednego z tych durnych Szkotów?

- Nie. - Odrzuciła długie włosy. - Podobno szkody są minimalne.

- Cholera! - Ivan sięgnął po szklany przycisk do papieru i cisną nim o ścianę.

- Spokojnie. Napad furii nie pomoże.

Błyskawicznie zbliżył się do Katii i złapał ją za szyję.

- Podobnie jak brak szacunku, ty suko.

W jej oczach pojawił się błysk.

- Mam ważne informacje, jeśli raczysz ich wysłuchać.

- Mów. - Puścił ją.

Masowała obolały kark i łypnęła z irytacją na Ivana.

- Chcesz wejść do Romatechu, prawda?

- Oczywiście. Mówiłem, że zabiję tego drania chemika, a ja dotrzymuję słowa. Ale teraz aż się tam roi od tych przeklętych Szkotów. Nie damy rady.

- Ależ owszem. A przynajmniej jedno z nas. Szef marketingu zaprasza ubogie wampiry na spotkanie fokusowe, jutro wieczorem.

- Na co?

Wzruszyła ramionami.

- Czy to ważne? Liczy się to, że jedno z nas może tam wejść w przebraniu biedaka.

- No tak. - Poklepał ją po policzku. - Świetna robota.

- Ja pójdę, sir - zaproponował Alek. Ivan pokręcił głową.

- Wdzieli ciebie na balu. Mnie też rozpoznają. Może Vladimir?

- Ja pójdę - powiedziała Galina. Ivan się zachnął.

- Nie wygłupiaj się.

- Wcale się nie wygłupiam. Nie będą podejrzewać kobiety.

- To prawda. - Katia usiadła koło niej. - Znam makijażystkę z DVN. Skorzystamy też z ich garderoby.

- Super! - Galina się rozpromieniła. - Będę starą, grubą wampirzycą.

- Bezdomną - uściśliła Katia. - Wzbudzisz litość, a nie podejrzewania.

- Od kiedy to wy podejmujecie decyzje? - Ivan spojrzał na nie groźnie.

Pochyliły głowy, wydawały się skruszone.

- Niby jak Galina porwie chemika? A jeśli pilnuje go Szkot, jak sobie poradzi?

- Za pomocą nightshade - szepnęła Katia. - Masz to przecież, prawda?

- Tak. - Ivan masował napięty kark. - W sejfie. Skąd wiesz?

- Użyłam tego kiedyś, oczywiście nie z twoich zapasów. Ale gdybyś dał Galinie odrobinę...

- Co to jest nightshade? - zainteresowała się Galina.

- Trucizna działająca na wampiry - odparła Katia. - Kłujesz wampira zatrutą igłą, a środek go paraliżuje. Jest przytomny, ale nie może się ruszyć.

- Super. - W oczach Galiny pojawił się błysk. - Chcę to zrobić.

- No dobrze. Pójdiesz. - Ivan przysiadł na skraju biurka.

- Kiedy znajdziesz Laszlo Veszte, zadzwonisz i teleportujesz się z powrotem z tym draniem.

- Tylko tyle? Ivan się zamyślił.

- Chciałbym, żeby był jeszcze jeden wybuch. Silniejszy taki, który naprawdę zada mu cios.

- Więc powinieneś zabić kogoś, na kim mu naprawdę zależy - podsunęła Katia. Skinął głową.

- Na przykład tych cholernych Szkotów.

- Ceni ich, na pewno. - Dotknęła palcem czerwonych ust. - Ale jego prawdziwa pięta achillesową są śmiertelnicy.

- Niezły pomysł - przyznała Galina. - Zatrudnia ich mnóstwo. Można by tak zaprogramować bombę, żeby wybuchła o wschodzie słońca.

- Dobrze! - Ivan zerwał się na równe nogi. - Już to widzę! Jego ukochani śmiertelnicy zdychają, a Szkoci, leżąc w trumnach, nic nie mogą na to poradzić! Świetnie! Jutro Galina podłoży C-4 w miejscu, w którym gromadzą się śmiertelni.

- Może w kantynie? - Wymieniły z Katią znaczące spojrzenia.

- Już wiem, gdzie - oznajmił Ivan. - W ich kantynie.

Rozdział 23

Widzą mnie? - Shanna obserwowała przez szybę grupę ubogich wampirów.

- Nie. - Gregori stał koło niej. - Póki nie zapalisz światła. To lustro weneckie. Nie miała pojęcia o badaniach rynku, ale uznała, że to na pewno ciekawsze niż oglądanie telewizji przez całą noc.

- Dziwi mnie, że istnieją biedne wampiry. Nie mogą za sprawą hipnozy wyciągać od ludzi pieniędzy?

- Pewnie tak. Ale większość z nich była już na dnie, gdy przeszli transformację. Myślą jedynie o następnym posiłku, jak narkoman o kolejnej działce.

- To smutne. - Patrzyła na dziesiątkę, którą do Romatechu zwabiła perspektywa darmowego posiłku i pięćdziesięcio dolarowe wynagrodzenie. - Wampiryzm nie zmienia człowieka, prawda?

- Nie. - Connor stał przy drzwiach. Uparł się, że będzie im towarzyszyć jako jej osobisty ochroniarz. - Nawet po śmierci człowiek zostaje sobą.

A zatem Roman wciąż stara się ratować ludzi, a szkoccy żołnierze ciągle walczą za słuszną sprawę. Ciekawe, co on robi w tej chwili. Nawet nie usiłował się z nią spotkać, odkąd wyznał jej miłość. Może dotarta do niego beznadziejność ich sytuacji.

- Jak ta akcja będzie przebiegać?

- Podzielimy ich na dwie grupy. - Gregori wskazał wampiry po lewej. - Ci najpierw obejrzą prezentację w Power Poincie i wypełnią ankietę na temat nowej restauracji, a druga grupa skosztuje nowych różnych smaków i je oceni. Potem je zamienimy.

- A co ja mam robić?

- Będą pić nowe produkty przed tą szybą. Sami ocenią jakość każdego napoju, ale chciałbym, żebyś obserwowała ich miny i zapisywała reakcje.

Shanna zobaczyła pięć arkuszy.

- Pięć smaków?

- Tak. Trzy nowe produkcje Laszlo, chocoood i blood lite. Masz tylko zaznaczać w odpowiednich rubrykach: tak, nie, obojętny. Jasne?

- Pewnie. - Sięgnęła po długopis. - Dawaj te wampiry.

Gregori się uśmiechnął.

- Dzięki za pomoc, Shanno. - Otworzył boczne drzwi i przeszedł do pomieszczenia, w którym znajdowali się uczestnicy badania.

Słyszała, że najpierw długo opowiadał o nowej restauracji, a potem do pomieszczenia z weneckim lustrem wszedł pierwszy wampir, starszy mężczyzna w poplamionym płaszczu.

Długa blizna przecinała mu cały policzek, nikła w siwych bakach. Wypił pierwszą porcję i beknął głośno.

- Nie smakuje? - odgadła Shanna.

- Obojętny - stwierdził Connor.

- Och. - Zaznaczyła właściwą rubrykę i patrzyła, jak starszy wampir bierze następną butelkę.

Upił łyk i wypluł wszystko na szybę.

- Fui! - Odskoczyła. Szkło spływało krwią.

- Chyba nie smakuje - orzekł Connor. Zachnęła się.

- Co za bystre spostrzeżenie.

Szkot się uśmiechnął. - Ma się ten dar.

Dobrze chociaż, że na widok krwi nie dopadły jej mdłości. Naprawdę coraz lepiej to znosi. Gregori starannie wytarł szybę, zanim do pokoju weszła kolejna osoba. Była to pulchna staruszka o siwych splątanych włosach. Próbowwała kolejne napoje i nerwowo przyciskała do piersi wielką torbę. Postawiła ją m ostatnim stoliku, rozejrzała się dokoła i schowała butelkę.

- O rany! - Shanna spojrzała na Connora. - Ukradła butelkę chocoood.

Wzruszył ramionami.

- Biedaczka jest głodna. Niech ma.

- No tak. - Zakończyła ocenę pierwszej grupy, gdy staruszka z jękiem zgięła się wpół.

Gregoi zaraz był przy niej.

- Dobrze się pani czuje?

- Ja... Macie tu toalety, młody człowieku? - zapytała ochryple.

- Oczywiście. - Podprowadził ją do drzwi. - Dalej proszę iść za nim. - Wskazał strażnika.

Staruszka odeszła za ochroniarzem, a do testowania nowych smaków przystąpiła druga grupa.

Dwie godziny później Shanna odetchnęła z ulgą - koniec. Otworzyły się tylne drzwi i do ciasnego pokoiku zajrzała Radinka.

- Skończyliście?

- Wreszcie. - Przeciągnęła się. - Nie miałam pojęcia, że to takie męczące.

- Chodź ze mną, zjemy coś. To ci doda energii.

- Chętnie. - Sięgnęła po torebkę. - Coś mi mówi, że Connor będzie nam towarzyszyć.

- *Aye*. Obiecałem cię strzec, pani.

- Jesteś kochany. - Uśmiechnęła się. - Czy jest jakaś pani Connorowa?

Zarumienił się i wyszedł z nimi na korytarz.

- Dokąd idziemy? - zapytała Shanna.

- Do kantyny. - Radinka szła dziarskim krokiem. - Mają pyszny sernik.

- Brzmi nieźle.

- O tak. - Westchnęła. - Można umrzeć z rozkoszy.

Ivan Petrovsky odebrał telefon po pierwszym dzwonku.

- Tak?

- Jestem w laboratorium Veszty - powiedziała Galina spokojnie. - Potrzebuję pomocy.

- Wiedziałem, że błędem jest wysyłanie kobiety. - Ivan wskazał Alka. - Nie rozłączaj się, póki nie wrócimy.

- Tak jest, sir. - Alek sięgnął po słuchawkę.

- Dobrze, Galina, mów. - Ivan skoncentrował się na jej głosie i teleportował się do laboratorium Laszla w Romatechu. Chemik leżał przy drzwiach, wpatrzony w intruzów. Był przytomny, przerażenie sprawiało, że jego oczy były wielkie i szkliste, jak jelenia w

świetle reflektorów.

Ivan spojrzał na Galinę. Obrzydliwa stara baba.

- Świetnie. Nie poznałbym cię.

Uśmiechnęła się, demonstrując poczerwiałą ząb. - Fajna sprawa. Udałam, że muszę do łazienki. Eskortował mnie Szkot, kiedy otworzył drzwi, ukłułam go.

- Gdzie jest?

- Leży w łazience. Z tym miałam mniej szczęścia. - Uchyliła drzwi i wskazała strażnika na podłodze.

- Cholera! Nie może tu zostać!

- Jest za ciężki, nie dałam rady go ruszyć. Złapał Szkota za ramiona i wciągnął do gabinetu.

- Długo tam leżał?

- Nie. Ukłułam go, wpadłam tu, dziabnęłam Veszte. Nie mogłam udźwignąć strażnika, więc zadzwoniłam po ciebie.

Cisnął strażnika na ziemię i zamknął drzwi do laboratorium.

- Zainstalowałaś ładunki?

- Tak. Strażnicy przy wejściu sprawdzili mi torbę, więc dobrze, że ukryłam je na sobie. Umieściłam je pod stolikiem w kantynie. Wybuch nastąpi mniej więcej za czterdzieści minut.

- Świetnie. - Ivan widział, że Szkot słucha uważnie, zapamiętuje ich plan. - Zawsze chciałem to zrobić. - Ukłakł, wyjął kołek z kieszeni.

Szkot szeroko otworzył oczy. W jego gardle zrodził się stłumiony jęk, gdy na darmo usiłował się poruszyć.

- Jest bezbronny - szepnęła Galina.

- Myślisz, że mnie to obchodzi? - Pochylił się nad Szkotem. - Patrzysz w twarz twojego zabójcy. To ostatnie, co zobaczysz. - Wbił mu kołek w serce.

Szkot wygiął się w łuk. Na jego twarzy pojawił się ból, a potem rozsypał się w proch. Ivan otarł kołek o udo, żeby zetrzeć pył.

- Będzie fajna pamiątka. - Wsunął go do kieszeni. - A teraz zabieramy się do chemika.

Podszedł do niego.

- Twój słabowity pan nie zdołał cię uchronić, co?

Chemik był blady jak śmierć.

- I po co pomagałeś Whelan w ucieczce? Wiesz, co spotyka tych, którzy wchodzą mi w drogę?

- No, już. - Galina rozglądała się dokoła. - Czas na nas.

Wziął go pod rękę.

- Przytrzymaj telefon. - Słuchał głosu Alka i wrócił do domu na Brooklynie. Galina podążyła za nim.

Ivan cisnął Laszla na ziemię, kopnął w żebra.

- Witaj w moich skromnych progach.

Shanna z apetytem zajadała sernik i rozglądała się po słabo oświetlonej kantynie. Usiadły z Radinką przy oknie. Connor znalazł sobie starą gazetę do czytania. Oprócz nich nie było

nikogo.

- Lubię nocną zmianę, jest wtedy spokój. - Radinka wsypała słodzik do herbaty. - Za pół godziny będzie tu mnóstwo ludzi.

Shanna skinęła głową, wpatrzona w okno. Po drugiej stronie ogrodu wznosiło się przeciwne skrzydło Romatechu, w nim mieściło się laboratorium Romana.

- Widziałaś się z nim dziś? - zapytała Radinka.

- Nie. - Wbiła zęby w sernik. Nie była pewna, czy ma na to ochotę. Ani czy on chce ją widzieć. To chyba niezbyt przyjemne, gdy mężczyzna wyznaje miłość, a dziewczyna ucieka z płaczem.

Radinka sączyła herbatę.

- Od dwóch dni prowadzę poszukiwania na jego zlecenie. Przedstawiłam mu rezultaty, ale powiedział, że decyzja należy do ciebie.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Rozumiesz, moja droga. Więc porozmawiaj z nim na ten temat. Connor cię zaprowadzi.

Jezu. Radinka jest nieustępliwa jako swatka. Zerknęła na wielki zegar na ścianie. Dziesięć po piątej. - Nie mam czasu. Przyjechałam tu z Gregorim i Connorem, powiedzieli, że wracamy kwadrans po piątej, tak? - Spojrzała błagalnie na Connora.

- *Aye*, ale przyjechaliśmy samochodem. - Złożył gazetę. - Możesz wrócić z Romanem, teleportujecie się.

Shanna się skrzywiła. Też mi wsparcie.

- Poszukajmy Gregoria. Chyba już skończył z tymi biedakami.

- Jak poszło spotkanie fokusowe? - Radinka poląła sosem sałatkę z pieczonego kurczaka.

- Chyba dobrze. Ale to smutny widok. Jakaś staruszka... Urwała. Analizowała wspomnienia. - O Jezu. Ona nie wróciła.

- Co? - Connor pochylił się nagle. - Kto?

- Jakaś staruszka, która ukradła butelkę chocoood. Poszła ze strażnikiem do łazienki i nie wróciła.

- Fatalnie. - Wstał, wyjął komórkę z mieszka u pasa.

- Może źle się poczuła i poszła do domu - podsunęła Radinka.

Shanna nie była o tym przekonana.

- A wampiry w ogóle chorują?

- Owszem, jeśli wypiją skażoną krew. - Radinka zaatakowała kurczaka widelcem. - A linia fusion nie każdemu odpowiada.

Connor wybrał numer.

- Angus? Możliwe, że jeden z wampirów z fokusu Gregoria został na terenie. Starsza kobieta.

- Może się zgubiła. - Radinka zajadała sałatkę. Shanna obserwowała, jak Szkot przechadza się nerwowo.

Był bardzo przejęty.

Rozłączył się, schował telefon, podszedł do nich. - Angus zarządził przeszukanie całego budynku. Zamykają wszystkie wyjścia. Zaczną od magazynów, w których niedawno doszło do wybuchu. Sprawdź i zaplombuj wszystkie pomieszczenia po kolei.

- Podejrzewacie, że to kolejny zamach? - zapytała Radinka.

- Nie chcemy ryzykować. - Zerknął na zegarek. - Mamy mało czasu do wschodu słońca. Bardzo chciał pomóc w poszukiwaniach, Shanna to widziała, ale biedak zobowiązał się do jej ochrony. - Idź, Connor. Z Radinka nic mi nie będzie.

- Nie, pani. nie mogę cię zostawić. Radinka nabiła pomidora na widelec. - Zaprowadź ją do

Romana. Zajmie się nią, a ty weźmiesz udział w poszukiwaniach. - Shanna westchnęła. Radinka chyba nigdy nie daje za wygraną. Niestety, Connor patrzył na nią tak błagalnie, że nie chciała go zawieść.

- Czyli nie wrócę do domu samochodem?

- Na razie nie.

- Dobra. - Sięgnęła po torebkę. - Idę. Radinka się uśmiechnęła.

- Do zobaczenia później, moja droga. Niemal biegła, żeby dotrzymać kroku Connorowi. Pokonywali właśnie ostatni zakręt na korytarzu prowadzącym do skrzydła, w którym mieściło się laboratorium Romana, gdy rozległo się przeciągłe wycie syreny.

- Co to?

- Czerwony stopień zagrożenia. - Puścił się biegiem. Coś się stało.

Zatrzymał się przed drzwiami Romana, zapukał. Otworzył drzwi i czekał, aż zdyszana Shanna dołączy. Roman rozmawiał przez telefon, ale spojrzał w ich stronę. Na jej widok rozpromienił się i to sprawiło, że straciła resztki tchu.

- Nic jej nie jest, przyszła z Connorem. - Słuchał rozmówcy, ale nie odrywał oczu od Shanny.

Jej serce waliło jak oszalałe, w ustach jej zaschło. To po biegu, oczywiście, nie ma nic wspólnego z tym, jak na nią patrzył.

Położyła torebkę na czarnym blacie. W tle grała cicho muzyka, męski chór. Stanowiło to ostry kontrast dla wycia alarmu z korytarza. Wyjrzała przez opuszczone żaluzje. Po drugiej stronie ogrodu widziała skrzydło, w którym mieściła się kantyna.

- Informuj mnie na bieżąco. - Roman odłożył słuchawkę.

- Co się stało? - zapytał Connor.

- Angus znalazł strażnika w łazience, niedaleko sal, w których odbywało się spotkanie fokusowe. Był przytomny, ale sparaliżowany.

Szkot pobladł.

- To sprawka Petrovskiego.

- A co z tą staruszką? - wtrąciła się Shanna.

- Ciągłe jej szukają. Teraz wiemy, że tobie nic się nie stało, więc skoncentrujemy się na Laszlu.

Connor zatrzymał się w połowie drogi do drzwi.

- Muszę iść.

- Idź, Shanna zostanie ze mną. - Zamknął drzwi na klucz

- Jak się masz?

- W porządku. - Chyba wzrasta jej odporność na szok. A może już przekroczyła wszelkie normy i popadła w odrętwienie. Rozejrzała się po laboratorium. Była tu już kiedyś, ale wtedy panowała ciemność i nic nie widziała, jej uwagę zwróciły dyplomy na ścianie. Podeszła tam.

Roman studiował mikrobiologię, chemię i farmację. Nawet po tylu latach chciał uzdrowiać. Jak powiedział Connor, śmierć nie zmienia człowieka. A Roman zawsze był dobry. Zerknęła przez ramię.

- Nie wiedziałam, że taki z ciebie kujon

Uniósł brew.

- Słucham?

- Masz sporo tytułów naukowych.

- Nie marnowałem czasu - odparł sucho.

Zagryzła usta, żeby się nie uśmiechnąć. - Studia wieczorowe?

Kącik jego ust drgnął. - Skąd wiesz? - Drukarka po drugiej stronie pokoju zawarczała cicho. Podeszedł tam, spojrzął na ekran komputera, na którym widniały niezrozumiałe dla Shanny wykresy. Przyglądał się im z zainteresowaniem.

- Dobrze - szepnął. Wziął wydruki, studiował je pilnie. - Bardzo dobrze.

- Ale co? Rzucił papiery na stół.

- To. - Wziął fiolkę zielonego płynu. - Chyba mi się udało. Uśmiechał się szeroko. - Naprawdę mi się udało.

Wyglądał tak młodo i beztrąsko, jakby zdjęto mu z pleców ciężar stuleci.

Uśmiechnęła się. Taki powinien być. Uzdrowiciel, pogrążony w pracy w laboratorium, zachwycony swymi osiągnięciami.

Podeszła bliżej.

- Co to takiego? Nowy płyn do czyszczenia toalet?

Ze śmiechem odstawił probówkę.

- Ten specyfik umożliwi wampirom funkcjonowanie w ciągu dnia.

Spojrzała z niedowierzaniem.

- Żartujesz.

- Nie, nie żartowałbym z tego. To...

- Rewolucja - szepnęła. - Zmienisz świat. Skinął głową. Rozmarzył się.

- Jeszcze tego nie testowałem, więc nie wiem na pewno. Ale to byłby największy przełom od wynalezienia syntetycznej krwi.

Krwii, która uratowała tysiące istnień ludzkich. Roman to geniusz. I twierdzi, że ją kocha. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach, wpatrywał się w zielonkawy płyn.

- Wiesz, jeśli ten płyn zdoła ożywić wampira w stanie śmierci klinicznej, może także pomóc na niektóre przypadłości śmiertelników, jak śpiączka czy katatonia.

- O Boże. Roman, jesteś genialny. Skrzywił się.

- Po prostu miałem więcej czasu niż inni naukowcy. Albo kujoni, jak nas nazywasz. - Uśmiechnął się.

- Kujoni góra! Moje gratulacje! - Już wyciągała do niego ramiona, ale opamiętała się i tylko poklepała go po plecach.

Spowaźniał.

- Boisz się mnie?

- Nie. Po prostu uważam, że lepiej, byśmy się nie...

- Nie dotykali? Nie kochali? - Oczy mu pociemniały. - Wiesz, że jeszcze nie skończyliśmy.

Przeknęła ślinę i cofnęła się o krok. To nie tak, że mu nie ufa. Wiedziała, że celowo nie

zrobiłby jej krzywdy. Rzecz w tym że nie ufa samej sobie. Kiedy tak na nią patrzył, czuło, jak jej opory znikają. Dwa razy kochali się i dwa razy tego żartowała. Rozum podpowiadał, że związek z wampirem nie może się udać. Niestety, to nie docierało do serca. A tym bardziej do ciała. Zmieniła temat.

- Co to za muzyka?

- Chorały gregoriańskie. Przy nich najlepiej się koncentruje. - Podeszedł do małej lodówki, wyjął butelkę krwi. - Dopilnuje, żebym był najedzony. - Zdjął nakrętkę i wypił. Na zimno. Ojej. Czyżby chciał ją uwieść? No nie. Zaraz wjejdzie słońce. Za kwadrans Roman padnie jak trup. Oczywiście, wampiry jeśli chcą, poruszają się bardzo szybko. Przechadzała się po laboratorium.

Śledził każdy jej krok.

- To chyba stare. - Zaintrygował ją kamienny klęcznik.

- Owszem. Udało mi się to wydobyć z ruin klasztoru, w którym dorastałem. I krzyż, który masz na szyi. To wszystko, co mi zostało z tamtego życia.

Dotknęła krzyża.

- Kiedy już będzie po wszystkim, oddam ci go. Na pewno ma dla ciebie wielką wartość.

- Jest twój. A ty jesteś najcenniejsza.

Nie miała pojęcia, jak na to odpowiedzieć. Ja też cię lubię? Kiepski tekst.

- Radinka mówiła, że prowadzi dla ciebie poszukiwania i że mam z tobą o tym porozmawiać.

- Za dużo gada. - Upił łyk krwi. - Czerwona teczka. - Wskazał stolik za jej plecami. Podeszła do stolika. Otworzyła teczkę i zobaczyła zdjęcie psa. Golden retriever.

-To... pies. - Następne zdjęcie... czarny labrador, kolejne... owczarek niemiecki. - Dlaczego oglądam zdjęcia psów?

- Mówiłaś, że chciałabyś mieć wielkiego psa.

- Nie teraz. Uciekam. - Przełożyła zdjęcie malamuta i wstrzymała oddech, bo patrzyła na fotografię domu. Dużego, piętrowego domu z werandą i białym drewnianym płotem. A na trawniku dumnie stała tabliczka z napisem „Na sprzedaż”.

Dom jej marzeń.

Nie, coś więcej. To propozycja wymarzonego życia, które Roman chciał z nią dzielić. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło, brakowało jej słów, nie mogła oddychać. Myliła się. Wcale nie przywykła do ciągłych szoków. Poczowała łzy pod powiekami. Odłożyła zdjęcie drżącą ręką. A pod spodem - kolejny dom z drewnianym ogrodzeniem. Stary, wiktoriański, z uroczą wieżyczką, Też na sprzedaż.

Powiedziała mu, czego pragnie najbardziej, i chciał jej to dać. Przy ósmym, ostatnim zdjęciu, prawie nie widziała na oczy przez łzy.

- W nocy możemy je obejrzeć. - Odstawił pustą butelkę. - Wybierzesz ten, który ci się spodoba. Jeśli żaden, poszukamy dalej.

- Roman. - Drżącymi rękami zamknęła teczkę. - Jesteś cudowny, ale...

- Nie musisz odpowiadać od razu. Zaraz wjejdzie słońce, czas na nas. Wrócimy do mojej sypialni, dobrze?

Byłaby z nim sama. Nawet gdyby chciał ją uwieść, musiałby przestać po wschodzie słońca.

Nie będzie mógł ruszyć palcem, a co dopiero...

Drzwi otworzyły się gwałtownie, do laboratorium wkroczył potężny Szkot. Dyszał ciężko. W zielonych oczach lśniły łzy.

- Angus? Co się stało?

- Przepadł twój mały chemik. Dranie go porwali.

- O nie. - Shanna zakryła usta dłonią. - Biedny Laszlo.

- Sygnał z jego telefonu był ciągle zajęty. Namierzyliśmy połączenie - dom Petrovskiego na Brooklynie.

- Rozumiem. - Roman pobałdł.

- Ewan... Ewan Grant go pilnował. Zabili go. Roman cofnął się o krok.

- Na pewno? Może go porwali.

- Nie. Znaleźliśmy jego pył. Wbili mu kołek.

- Rany boskie. - Roman zacisnął dłonie na stole. - Ewan był taki silny. Jak oni...

Angus wycedził przez zęby:

- Podejrzewamy, że użyli nightshade, tym też załatwili strażnika z łazienki. On... był wtedy bezbronny.

- Cholera! - Roman walnął pięścią w stół. - Dranie. - Przechadzał się nerwowo. - O której jest wschód słońca? Zdamy się zemścić?

- Nie. Dobrze to zaplanowali. Słońce wschodzi za pięć minut. Za późno.

Zaklął pod nosem.

- Miałeś rację. Trzeba było dziś zaatakować.

- Nie obwiniaj się. - Angus spojrzał na Shannę spod zmarszczonych brwi. Boże drogi... Dostała gęsiej skórki. Jego zdaniem to wszystko przez nią. Petrovsky nie zagrażałby chemikowi, gdyby ten jej nie pomógł w ucieczce. A gdyby Laszlo nie był na celowniku Rosjanina, nieznany Szkot by żył.

Roman ciągle przechadzał się po laboratorium.

- Przynajmniej jeszcze przez dłuższy czas nie będą mogli go torturować.

- *Aye*, słońce położy kres ich nikczemności. - Zatrzymał się przy drzwiach, z dłonią na klamce. - A zatem się zgadzasz. Jutro wojna.

Roman skinął głową. W jego oczach płonał gniew.

- Tak.

Shanna głośno przełknęła ślinę. Zginie jeszcze niejeden wampir. Może nawet Roman.

- Wracamy z chłopcami do naszej piwnicy. Zaplanujemy wszystko do wschodu słońca. Schowaj się.

- Tak. - Roman podszedł do stolika.

Angus wyszedł, a on oparł czoło na rękę i zmrużył oczy. Shanna nie wiedziała, czy ze zmęczenia czy zmartwienia. Pewnie i jedno, i drugie. Zapewne od dawna znał nieżyjącego Szkota.

- Roman? Może przejdziemy do srebrnego pokoju?

- To moja wina - szepnął.

No tak, do tego jeszcze wyrzuty sumienia. Jej oczy podeszły łzami. Wiedziała aż za dobrze, co to za uczucie, obwiniać się za śmierć przyjaciela.

- Nie twoja, tylko moja.

- Nie. - Wydawał się zaskoczony. - ja zdecydowałem, że będziemy cię chronić, ja zadzwoniłem po Laszla i kazałem mu wracać, wykonywał tylko moje rozkazy. Niby dlaczego miałyby to być twoja wina? Wtedy jeszcze nic nie wiedziałaś.

- Ale gdyby nie ja...

- O nie, konflikt między mną a Petrovskim zaczął się dawno temu. - Zachwiał się na nogach.

Podtrzymała go.

- Jesteś wyczerpany. Chodźmy do srebrnego pokoju.

- Za mało czasu. - Rozejrzył się. - Przeczekam w schowku.

- Nie. Nie będziesz spać na podłodze. Uśmiechnął się ze znużeniem.

- Najśłodsza, nawet tego nie zauważę.

- Pracownicy z dziennej zmiany przeniosą cię do srebrnego pokoju. - Nie. Nie wiedzą, kim jestem. Nic mi nie będzie. - Zatoczył się w stronę schowka. - Opuść żaluzje, dobrze?

Podeszła do okna. Niebo jaśniało, na wschodzie pojawia się różowa smuga. Już miała opuścić żaluzje, gdy złoty promień słońca musnął dach Romatechu.

Roman był przy schowku, otwierał drzwi. Wybuch ją ogłuszył. Ziemia zadrżała. Shanna złapała się żaluzji, ale nie utrzymały jej ciężaru i mało brakowało, a upadłaby. Rozdzwonił się alarm. I jeszcze coś - dopiero po chwili dotarło do niej, że to ludzkie krzyki.

- O Boże. - Wyrzała przez okno. W promieniach porannego słońca wił się kłęb dymu.

- Wybuch - szepnął Roman. - Gdzie?

- Nie wiem, widzę tylko dym. - Odwróciła się. Opierał się o drzwi do schowka, blady jak ściana.

- Zaplanowali to tak, żebym nie mógł nic zrobić. Wyrzała na zewnątrz.

- To przeciwległe skrzydło. Kantyna! Radinka tam była, - Podbiegła do telefonu, wykręciła numer 911.

- Tam... jest mnóstwo ludzi. - Roman oderwał się od drzwi, zrobił kilka kroków i osunął się na kolana.

- Wybuch w Romatechu! - krzyknęła do słuchawki.

- W jakiej sprawie pani dzwoni? - zapytała dyspozytorka

- Wybuch! Przyślijcie straż pożarną i karetki.

- Proszę się uspokoić. Pani nazwisko?

- Szybko! Są ranni! - Rozłączyła się, spojrzała na Romana. Czołgał się po podłodze.

- Nic nie możesz teraz zrobić. Odpocznij.

- Nie. Muszę im pomóc.

- Wezwałam pogotowie. Sama tam pójde, ale najpierw dopilnuję, żebyś się schował. - Spojrzała na schowek. Przybrała, jak jej się zdawało, władczy ton głosu; - Idź do siebie, i to już.

- Nie mogę. Jestem potrzebny. Uklękła przy nim ze łzami w oczach.

- Rozumiem cię, uwierz mi, znam to. Ale nie możesz nic zrobić.

- Owszem, mogę. - Przytrzymał się blatu stołu i dźwignął na nogi. Wyciągnął rękę po fiolkę zielonkawego płynu.

- Nie! To jeszcze niesprawdzone! Spojrzał na nią z ukosa.

- A co mi zrobi? Zabije?
 - To nie jest zabawne, Roman. Proszę, nie.
- Drżącą ręką uniósł fiolkę do ust. Wypił kilka sporych łyków i odstawił naczynie. Zacisnęła palce na krucyfiksie.
- Wiesz w ogóle, jaka jest normalna dawka?
 - Nie. - Zachwiał się na nogach. - Czuję się... dziwnie. - Runął jak długi na ziemię.

Rozdział 24

Osunęła się przy nim na kolana. - Roman? - Dotknęła jego policzka. Zimny. Bez życia. Czy zawsze taki jest za dnia, czy zabił go ten środek?

- Co ty narobiłeś? - Przyłożyła głowę do piersi, nasłuchiwała bicia serca. Nic. Ale przecież jego serce bije tylko w nocy. A jeśli już nigdy nie drgnie? Jeśli odszedł na zawsze?
- Nie zostawiaj mnie - szepnęła. Przysiadła na piętach, dotknęła palcami jego twarzy. Tak bardzo sobie wmawiała, że z ich związku nic nie będzie, ale teraz Roman wydawał się... martwy. A ją ogarnęła rozpacz.
- Roman. - jego imię wybrzmiało z dna duszy. Pochyliła się, przytłoczona nadmiarem uczuć.

Nie może go utracić. Nie może.

W kantynie są ranni, potrzebują pomocy. Musi iść. Ale ani drgnęła. Nie zostawi go. Utrata Karen była koszmarna, ale to... jakby pękło jej serce. Z bólem przyszła świadomość. Nie może sobie dłużej wmawiać, że związek z nim jest niemożliwy, już przecież istnieje. Kocha go. Wierzyła mu całym sercem. Wpuściła go do swojego umysłu. Dla niego zwalczyła lęk przed krwią. Od początku wierzyła, że jest dobry i szlachetny. Bo pokochała. Miał rację, jak nikt znała wyrzuty sumienia i poczucie winy. Istniała między nimi więź mentalna i emocjonalna. Okrutny los skrzywdził ich w przeszłości, ale teraz mają siebie i razem zmierzają się z przeciwnościami. Coś złapało ją za rękę.

Roman żyje! Gwałtownie zaczerpnął tchu. Otworzył oczy. Jasno czerwone.

Sapnęła głośno. Chciała się odsunąć, ale zacisnął rękę na przegubie. O Boże, a co, jeśli zmienił się w pana Hyde'a?

Odwrócił głowę, zamrugał, i jego oczy przybrały normalny złotobrazowy odcień.

- Jak się czujesz?
- Chyba dobrze. - Puścił jej rękę, usiadł. - Na ile straciłem przytomność?
- Nie wiem. Miałam wrażenie, że na wieki. Zerknął na zegar ścienny.
- Tylko na kilka minut. - Spojrzał na nią. - Przestraszyłem cię. Przepraszam.

Zerwała się na równe nogi.

- Bałam się, że zrobiłeś sobie krzywdę. To było głupie!
- Owszem, ale zadziałało. Słońce wzeszło, a ja jestem przytomny. - Wstał, podszedł do schowka. - Chyba jest tu apteczka.
- Wyjął plastikowe pudełko. - Idziemy.

Pobiegli korytarzem. Alarm wył nieprzerwanie. Wszędzie kręcili się przerażeni ludzie.

Niektórzy gapili się na Romana, inni unikali jego wzroku.

- Wiedzą, kim jesteś? - zapytała Shanna.

- Chyba tak. Moje zdjęcie jest w spisie zatrudnionych. -Rozglądał się ciekawie. - Nigdy nie widziałem tu tylu ludzi.

Pokonali zakręt dzielący skrzydło laboratoryjne od części rekreacyjnej z kantiną. Było tu pełno ludzi i światło, które padało z trzech wielkich okien wychodzących na wschód. Syknął z bólu, gdy mijali pierwsze z nich. Na policzku pojawiła się czerwona smuga.

Złapała go za ramię.

- Słońce cię pali!

- Parzy, i to tylko w twarz. Pewnie zasłoniłaś mnie sobą. Nie odchodź.

Zbliżali się do drugiego okna. Podniósł apteczkę, zasłonił nią twarz i słońce smagnęło go po dłoni, zostawiając czerwoną pręgę. - Cholera. - Poruszał poparzonymi palcami.

- Daj mi to. - Wzięła od niego apteczkę i postawiła sobie na głowie, żeby lepiej go zasłaniać.

Co prawda ludzie dziwnie na nich patrzyli, ale udało im się pokonać ostatnie okno bez nowych blizn na ciele Romana.

Zbliżali się do kantyny. Roman wyciągnął rękę.

- To Todd Spencer, wiceszef produkcji. Shanna ledwo go słyszała, za bardzo przeraził ją widok, który ukazał się jej oczom. Na podłodze leżeli ranni, zdrowi kręcili się bez celu, ktoś uprzętał gruz. Inni opatrywali rany przyjaciół.

W ścianie, w której do niedawna było wielkie okno i kolumny, ziała wielka wyrwa. Dokoła poniewierały się stoliki, krzesła i tace z resztkami jedzenia. Syk gaśnic zagłuszał jęki rannych. Radinki nigdzie nie było widać.

- Spencer! - Roman podszedł do swego zastępcy. - Jak wygląda sytuacja?

Todd Spencer szeroko otworzył oczy.

- Pan Draganesti! Nie wiedziałem, że pan tu jest. Ogień jest pod kontrolą, opatrujemy rannych. Pogotowie już jedzie. Ale nic z tego nie rozumiem. Kto chciałby zrobić coś takiego?

Roman się rozglądał.

- Wszyscy żyją?

- Nie wiem, jeszcze szukamy ludzi.

Roman podszedł do miejsca, gdzie zawalił się sufit i runęły ściany.

- Ktoś tu może być.

Spencer go nie odstępował.

- Usiłowaliśmy ruszyć zwały gruzu, ale nie daliśmy rady. Posłałem po specjalistyczny sprzęt.

Betonowy stęp runął na stolik. Roman szarpnął, uniósł go i cisnął do ogrodu.

- O Boże - jęknął Spencer. - Jak on...

Shanna zrobiła wielkie oczy. Roman nie zawracał sobie głowy ukrywaniem swojej siły.

- Może to stres. Podobno ludzie po wypadkach podnoszą samochody.

- Może - mruknął Spencer. - Dobrze się pan czuje, sir? Roman, do tej pory pochylony, wyprostował się powoli, odwrócił.

Wstrzymała oddech. Był blisko wyrwy w murze i słońce zrobiło swoje. Miał spaloną koszulę i popaloną skórę. Z piersi unosił się dym i zapach palonego ciała.

Spencer pobladł.

- Sir, nie zauważyłem, że pan też jest ranny. Niech pan to zostawi.

- Nic mi nie jest. - Roman pochylił się nad kawałem betonu. - Pomóżcie mi z tym.

Spencer dźwigał mniejsze odłamki, Shanna odgarniała resztki glazury i wkrótce odstłonili stolik. Na szczęście krzesła utrzymały blat w górze, pod nim zostało trochę miejsca. I powietrza.

I zobaczyli ciało.

Radinka.

Roman odrzucił stolik, odepchnął krzesła.

- Radinka, słyszysz mnie? Jej powieki zadrżały.

- Żyje - szepnęła Shanna. Ukląkł koło niej.

- Bandaże!

- Już niosę. - Spencer pobiegł.

Otworzyła apteczkę i podała Romanowi bandaż.

- Radinka, słyszysz mnie? - Przycisnął opatrunek do rany na skroni.

Z jękiem uniosła powieki.

- Boli.

- Wiem. Karetka już jedzie.

- Jak możesz tu być? To pewnie sen.

- Będzie dobrze. Jesteś za młoda, żeby umrzeć. Zachnęła się lekko.

- Przy tobie każdy jest za młody.

- O Boże. - Żołądek Shanny fiknął salto.

- Co? - Roman podniósł głowę.

Wskazała ręką. W boku Radinki tkwił nóż stołowy. Z rany ciekła krew. Zakryła usta dłonią i przełknęła falę żółci podchodzą do gardła.

Roman na nią spojrzał. - Nic ci nie będzie. Dasz radę.

Odetchnęła głęboko. Musi to zrobić. Nie sprawi zawodu kolejnej przyjaciółce. Podszedł do nich młody mężczyzna z naręczem podartych na bandaże serwetek i obrusów.

- Pan Spencer mówił, że będą wam potrzebne.

- Tak. - Drżącymi rękami wzięła od niego bandaże i położyła sobie na kolanach. Złożyła je w gruby tampon.

- Gotowa? - Roman złapał rękojeść noża. Kiedy wyjmę, przyciskaj z całej siły. - Szarpnął.

Posłuchała. Z rany płynęła krew. Na jej place. Żołądek zaprotestował.

Roman już czekał z nowym zwojem bandaży.

- Teraz moja kolej. - Zmienił ją. - Świetnie sobie radzisz. Cisnęła zakrwawiony tampon na ziemię, przygotowała nowy opatrunek.

- Pomagasz mi? No wiesz, psychicznie.

- Nie. Sama sobie radzisz.

- To dobrze. - Dotknęła krwawiącej rany opatrunkiem.

- Dam sobie radę. Wbiegli sanitariusze z noszami.

- Tu!- zawołał Roman. Dwaj sanitariusze zbliżyli się z wózkiem.

- Zajmiemy się nią - powiedział jeden z nich. Pomógł im ułożyć Radinkę na wózku. Shanna cały czas trzymała ją za rękę.

- Gregori wieczorem cię odwiedzi. Radinka kiwała głową. Twarz miała kredowobiałą.

- Roman, dojdzie do wojny? Niech Gregori nie walczy, bardzo proszę. Nie jest do tego przeszkolony.

- Majaczy - mruknął sanitariusz.

- Nie obawiaj się. - Roman dotknął jej ramienia. - Dopilnuję, żeby nic mu się nie stało.

- Dobry z ciebie człowiek - szepnęła. Uścisnęła dłoń Shanny. - Nie pozwól mu się wymknąć. Potrzebuje ciebie.

Sanitariusze ją zabrali. Zjawiała się policja. Technicy fotografowali miejsce zbrodni.

- Cholera. - Roman się cofnął. - Muszę iść.

- Dlaczego?

- Wątpię, żeby to były aparaty cyfrowe. - Złapał Shanne za rękę i ruszył do drzwi.

Sanitariusz wyrósł jak spod ziemi.

- Sir, jest pan mocno poparzony. Proszę z nami,

- Nic mi nie jest.

- Pójdziemy do karetki. Tędy.

- Nigdzie nie idę.

- Jestem doktor Whelan. - Shanna uśmiechnęła się do sanitariuszy. - To mój pacjent. Zajmę się nim. Dziękuję bardzo.

- W porządku, nie ma sprawy. - Sanitariusz się oddalił.

- Dzięki. - Roman wyprowadził ją z kantyny. - Chodźmy do srebrnego pokoju. - Otworzył drzwi na klatkę schodową. Pokonywali kolejne piętra. - To okropne. Z jednej strony bardzo chcę się dowiedzieć, co znajdują, ale nie śmiem tam zostać, nie przy tylu aparatach.

- Nie widać cię na zwykłym zdjęciu?

- Nie. - Otworzył drzwi do piwnicy. Zbliżali się do srebrnego pokoju.

- Wiesz co? - Czekala, aż wystuka kod. - Opatrzę ci rany, a potem wrócę na górę, popytam, i wszystko ci opowiem.

- Dobrze. - Począł, aż urządzenie potwierdzi skan jego siatkówki. - Niechętnie zostawiam cię bez opieki, ale chyba tu, z policją, nic ci nie grozi. - Otworzył drzwi i wprowadził ją ośrodek.

Nagle ogarnęła ją irytacja. Obawia się o jej bezpieczeństwo, ale swoim nie przejmuję się zupełnie?

- Posłuchaj, nic mi nie jest, pytanie tylko, jak ty sobie radzisz? To w twoim ciele znajduje się niezbadany środek.

- Już zbadany. - Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby owinać rękę, zanim dotknie srebrnych drzwi.

- Już. - Pchnęła drzwi, zasunęła zamki, umieściła zasuwę na miejscu. - Nie wiemy, czy to bezpieczne. Na pewno nie jest dobrze, kiedy wychodzisz na dwór za dnia. Wyglądasz okropnie.

- Ależ bardzo dziękuję.

Wpatrywała się w poparzenia na jego piersi, marszcząc brwi.

- Jesteś ranny. Napij się krwi. - Podeszła do lodówki i wyjęła butelkę.

- Czy ty mi rozkazujesz?

- Tak. - Wstawiła butelkę do mikrofalówki. - Ktoś musi o ciebie zadbać. Za dużo ryzykujesz.

- Jestem ludziom potrzebny. Radinka nas potrzebowała. Skinęła głową. Na to wspomnienie oczy zaszyły jej łzami.

- Jesteś bohaterem - szepnęła. I tak bardzo go kocha.

- Ty też byłaś wspaniała. - Szedł w jej stronę. Patrzyli sobie w oczy. Chciałaby go objąć i już nigdy nie wypuszczać z ramion.

Brzęknęła mikrofalówka. Shanna drgnęła. Wyjęła butelkę.

- Nie wiem, czy jeszcze nie za zimna.

- Dobra. - Upił spory łyk. - W szafce jest normalne jedzenie, jeśli jesteś głodna.

- Nie. Najpierw trzeba opatrzyć ci rany. Dopij i się rozbierz. Uśmiechnął się.

- Dochodzę do wniosku, że podobają mi się władcze kobiety.

- I pod prysznic. Musimy to zdezynfekować. - Zajrzała do łazienki. No tak, nie ma apteczki z lustrem w drzwiach, tego mogła się spodziewać. Zaglądała do szuflad, aż znalazła antybiotyk w kremie. - Dobrze. Najpierw oczyścimy rany, a potem posmarujemy tym. - Wyprostowała się i odwróciła.

- Jezu! - Z krzykiem upuściła tubkę maści.

- Kazałaś mi się rozebrać. - Stał w drzwiach, nagi, i dopijał resztki z butelki.

Schyliła się po lekarstwo. Jej policzki stały w ogniu.

- Nie spodziewałam się, że zrobisz to tak szybko. Ani że staniesz przede mną. - Szła do drzwi. Roman nawet nie drgnął. - Przepraszam bardzo.

Stanął bokiem, tak, że mogła się koło niego prześlizgnąć. Z trudem. Jej policzki płonęły. Aż za dobrze wiedziała, o co się ociera biodrem.

- Shanna?

- Miłej kąpieli. - Weszła do kuchni, zaglądała do szafek. - Jestem głodna.

- Ja też. - Przymknął drzwi łazienki.

Po chwili dobiegł ją szum prysznic. Biedak. Oparzenia na pewno pieką. Nalała sobie wody, wypila. Nie była głodna, tylko zestresowana. Roman powiedział, że jest dzielna, tak, pokonała lęk przed krwią. Ale ten drugi lęk - że ich związek się nie uda? Przechadzała się nerwowo. Ile związków się nie udaje? Połowa? Nigdy nie ma gwarancji. A może po prostu bała się, że go straci? tak jak Karen. Jak rodzinę. Czy ma przekreślić szansę na szczęście z obawy, że za kilka lat Roman ją rzuci? Czy wątpliwości mają zabić cudowne, oszałamiające uczucie, które w niej budził?

Kocha go całym sercem. A on ją. To cud, że się odnaleźli. Jest mu potrzebna. Cierpiał od wieków. Jak mogłaby odmówić mu odrobiny rozkoszy? Powinna się cieszyć, że może mu ofiarować szczęście, choćby na krótko.

Zatrzymała się na środku pokoju. Serce waliło jej jak oszalałe. Jeśli jest tak dzielna, jak uważa Roman, wejdzie tam zaraz i pokaże mu, jak bardzo go kocha. Zajrzała do kuchni, napiła się wody. No, odwagi jej nie brak. Zrobi to. Zdjęła buty. Spojrzała na łóżko. Grubą narzutę ozdobił orientalny wzór w odcieniach złota i czerwieni. Prześcieradła, chyba z jedwabiu, wydawały się za eleganckie jak na schron. Spojrzała na sufit. Kamera. O nie. Podniosła koszulę Romana z podłogi, weszła na łóżko. Po kilku próbach udało jej się

całkowicie zakryć oko kamery. Zeskoczyła z posłania i odgarnęła kołdrę. Serce biło jej coraz szybciej. Rozebrała się. Naga, uchyliła drzwi do łazienki. Mimo kłębow pary dostrzegła Romana w kabine prysznicowej. Z zamkniętymi oczami splukiwał szampon z włosów sięgających ramion.

Rana przecinała jego pierś. Chciała ją całować, pieścić. Opuściła wzrok niżej. Jego męskość spoczywała wśród czarnych loków. Ją takie chciała całować....

Rozsunęła drzwi do kabiny. Gwałtownie otworzył oczy. Weszła do środka. Poczula na ciele krople wody.

Błądził wzrokiem po jej ciele, wrócił do twarzy. W jego oczach pojawił się czerwony błysk.

- Jesteś pewna?

Otoczyła jego szyję ramionami.

- Jak niczego innego.

Przyciągnął ją do siebie, pocałował, namiętnie, żarliwie. Żadnych wstępnych igraszek, budowania napięcia - tylko rozszalała pasja. Poznawał jej usta. Zacisnął dłonie na jej pośladkach, przyciągnął do siebie.

Odpowiadała pieszczotą na pieszczotę. Wplotła palce w jego śliskie, mokre włosy. Oderwała się od jego ust i obsypała pocałunkami poparzoną klatkę piersiową.

Wsunął dłoń między ich ciała, dotknął jej piersi.

- Jesteś piękna.

- Ty też. - Zsuwała dłoń po jego płaskim brzuchu, aż dotarła do szorstkich włosów. Objęła go.

Głośno wciągnął powietrze.

- O Boże. - Oparł się o ścianę. - Shanna.

- Tak? - Powoli poruszała ręką. Nabrzmiał, ale skóra była miękka i delikatna, zwłaszcza na czubku.

- Nie wiem, jak długo to wytrzymam.

- Wytrzymasz. Twardziel z ciebie. - Uklękła i wzięła go w usta. Zesztywniał. Jęknął. Był tak wielki, że z trudem sobie radziła. Objęła go ręką. Ciągłe nabrzmiewał.

- Shanna. - Złapał ją za ramiona. - Przestań. Ja nie mogę...

Wyprostowała się, przywarła do niego. Przygarnął ją do siebie. Zamknął oczy.

Była bezlitosna, nie cofnęła ręki. Wspięła się na palce.

- Kocham cię - szepnęła mu do ucha.

Otworzył oczy - jasnoczerwone. Jęknął, zadrżał. Skończył.

Tuliła go, rozkoszowała się jego orgazmem. O tak nie miała już wątpliwości, że ją kocha.

Powoli odzyskał oddech.

- Rany boskie. - Pozwolił, by obmywała go gorąca woda.

Pokręcił głową. - Rany. Roześmiała się.

- Nieźle, prawda? Spojrzał na nią.

- Pobrudziłem cię.

- Umyję się. Przecież nie jestem z cukru, nie rozpuszczę się. - Weszła pod strumień wody. - Podasz mi szampon?

Podał.

- Naprawdę mnie kochasz?

Wcierała szampon we włosy.

- Oczywiście, że cię kocham.

Objął ją i pocałował.

- Au. Szampon dostał mi się do oczu.

- Przepraszam. - Przyciągnął ją do siebie. Wygięła się w łuk, płukała włosy. Zaraz poczuła jego usta na piersiach. Chwyliła go za ramiona, gdy uniósł ją za pośladki, otoczyła go nogami w pasie. Oparł ją o ścianę. Całował w szyję.

- Kochasz mnie?

- Tak.

Podniósł ją wyżej, żeby dosięgnąć ustami piersi. Rozkoszowała się każdym pocałunkiem, każdym ruchem jego języka. I jednocześnie nie mogła zapomnieć, że cały czas ma między nogami jego brzuch. Płaski brzuch. A pragnęła czegoś więcej.

- Proszę cię - szepnęła.

Wsunął dłoń między ich dąta. Ledwie jej dotknął, jęknęła, przywarła do niego. Wsunął w nią palec. Poruszyła się gorączkowo.

Znieruchomiał.

- Tu chyba nie jest zbyt wygodnie, co?

Spojrzała mu w oczy płonące czerwienią. Uśmiechnęła się. To, że jego oczy zmieniają kolor, już jej nie przeszkadzało. Przeciwnie, przerażenie zmieniło się w zachwyt. Był przez to szczerzy aż do bólu. Nigdy nie zdoła ukryć pożądania.

- Chodźmy do łóżka.

Uśmiechnął się.

- Jak sobie życzysz. - Zakręcił wodę, otworzył drzwi kabiny. Shanna nie wypuszczała go z objęć. Wziął ręcznik, wytarł jej mokre włosy i plecy.

Byli już przy łóżku. Roman się roześmiał.

- Widzę, że znalazłaś nowatorskie zastosowanie dla mojej koszuli.

Ułożył Shannę na łóżku. Chciała zsunąć nogi, ale przytrzymał ją za kolana.

- Podoba mi się. - Ukląkł przy materacu, przyciągnął jej biodra do krawędzi łóżka. Błądził ustami po wnętrzu ud, a potem dotknął najintymniejszej części jej ciała. I bez tego była podniecona, spięta, spragniona. Wystarczył jeden ruch jego języka, by poszybowała w górę. Na szczęście wiedział, czego jej trzeba, i nie przestawał. Wszystko działało się bardzo szybko. Ekspłodowała błyskawicznie. Z krzykiem.

Położył się obok, wziął ją w ramiona. - Kocham cię. - Całował jej włosy. - I zawsze będę cię kochać. - Przesunął usta na policzek. - Będę dobrym mężem. - Dotknął jej karku.

- Tak. - Otoczyła go nogami jej cudowny, staroświecki, średniowieczny mężczyzna uznał, że musi się zdeklarować, zanim w nią wejdzie, i to ją wzruszało. Miała łzy w oczach. -

Bardzo cię kocham. Był gotów.

- Ostatni ślub - szepnął.

- Co?

Spojrzał na nią płonącym wzrokiem.

- Długo na Ciebie czekałem. - Wszedł w nią. Jęknęła, spięła się instynktownie. Oddychał ciężko, opierał głowę o jej ramię.

- Shanna...

Ledwie usłyszała jego głos, odprężyla się. Wypełniał ją sobą. Jego głos niósł się echem w jej głowie. *Shanna, Shanna...*

- Roman. - Spojrzała mu w oczy. W czerwonym blask było coś więcej niż namiętność, była w nich miłość, zdumienie, ciepło i szczęście. Wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła. Poruszał się powoli.

- Nie wiem, ile wytrzymam, to takie...

- Wiem, ja też to czuję. - Oparła się czołem o jego czoło. Był w jej ciele i w jej głowie. Był częścią jej serca. *Kocham cię, Roman.*

Ich umysły splatały się, nie wiedziała już, gdzie kończy się jej rozkosz a zaczyna jego. Była wspólna. Oddechy nabrały tempa. Roman skończył pierwszy i wywołał jej reakcję. Później, zdyszani, leżeli objęci.

Roman zsunął się z niej.

- Nie za ciężko ci?

- Nie. - Przywarła do niego. Wpatrywał się w sufit.

- Jesteś... jedyną kobietą, z którą się kochałem. Cieleśnie.

- Jak to?

- Jako mnich złożyłem śluby. Ślubowałem nie czynić zła i nie dotrzymałem tego ślubowania. Ślubowałem żyć w ubóstwie. Także tego nie dotrzymałem.

- Ale przecież robisz tyle dobrych rzeczy. Niepotrzebnie się martwisz.

Przewrócił się na bok, spojrzał na nią.

- Ślubowałem czystość. I złamałem te śluby przed chwilą.

Uniosła się na łokciu.

- Chcesz powiedzieć, że byłeś prawiczkim?

- W sensie fizycznym? Tak. Bo psychicznie od wieków uprawiam seks wampiryczny.

- Chyba żartujesz. Ty nigdy... Zmarszczył brwi.

- Za życia dotrzymałem ślubu czystości. Myślałaś, że mógłbym inaczej?

- Nie, jestem po prostu zaskoczona. Taki przystojny mężczyzna. Wieśniaczki do ciebie nie wzdychały?

- Wzdychały, a jakże. Umierały. Kobiety, które widywałem, były chore, pokryte naroślami, wrzodami i...

- Rozumiem. Mato atrakcyjne.

Uśmiechnął się.

- Kiedy po raz pierwszy podsłuchałem seks wampiryczny, przez przypadek, myślałem, że dama jest w potrzebie i potrzebuje pomocy.

Prychnęła.

- Potrzebowała, ale nie takiej. Przewrócili się na plecy, ziewnął.

- Środek chyba przestaje działać. Zanim zasnę, muszę cię o coś zapytać. Już teraz.

-Tak?

- Oczywiście do tego nie dopuszczę, ale gdybyś... Gdybyś została zaatakowana... - Spojrzał na nią. Gdybyś była umierająca, czy mam cię przemienić?

Otworzyła usta ze zdumienia. To nie oświadczyły.

- Chcesz mnie przemienić?

- Nie, nie naraziłbym twojej duszy. Jezu, znowu to średniowiecze.

- Posłuchaj, Roman, nie wierze, że Bóg odwrócił się od ciebie. Syntetyczna krew codziennie ratuje ludzkie życie. Niewykluczone, że jesteś częścią wielkiego bożego planu.
- Chciałbym tak myśleć, ale... - Westchnął. - Muszę wiedzieć, na czym stoję, na wypadek, gdyby sprawa z Petrovskim nie wypaliła.

- Nie chcę być wampirem. - Skrzywiła się. - Nie obraż się, proszę, kocham cię takiego, jakim jesteś. Znów ziewnęła.

- Jesteś całym dobrem i niewinnością tego świata. Nic dziwnego, że tak bardzo cię kocham.

Ułożyła się obok niego.

- Wcale nie jestem taka dobra. Jestem tu z tobą, zamiast wrócić na górę i pomóc innym. Zmarszczył brwi, wpatrzony w sufit. Nagłe usiadł.

- Laszlo!

- Teraz przecież śpi.

- No właśnie. - Dotknął czoła. - Mam plamy przed oczami.

- Jesteś wyczerpany. - Shanna też się podniosła. - Musisz odpocząć, żeby rany mogły się zagoić.

- Nie. Nie rozumiesz? Teraz śpią wszystkie wampiry. Idealny czas, by go uratować.

- Zaraz zaśniesz. Złapał ją za rękę.

- Pamiętasz, gdzie jest moje laboratorium? Przynieś mi resztkę preparatu i...

- Nie! Nie możesz przyjąć kolejnej dawki. Nie wiemy jakie są skutki uboczne.

- I tak podczas snu wszystko mi przejdzie. Muszę to zrobić, Shanno. Petrovsky może zabić Laszla zaraz po przebudzeniu. Jeśli go zaatakujemy, zrobi to na pewno. No, chodź. - Trącił ją.

- Szybko, zanim zasnę.

Wstała, zaczęła się ubierać.

- Musimy to przemyśleć. Jak dostaniesz się do jego domu?

- Teleportuję się tam, znajdę Laszla i wrócę tą samą drogą. Prosta sprawa. Szkoda, że wcześniej na to nie wpadłem.

- Byłeś zajęty. - Wiązała sznurówki.

- Pospiesz się. - Siedział na brzegu łóżka.

- Dobrze. - Otworzyła drzwi. - Zostawię uchylone, żebyś mogła tu wrócić.

Skinął głową.

Pobiegła do schodów, na górę. Nie podobał jej się ten pomysł. Nie wiadomo, jak Roman zareaguje na kolejną dawkę. Na parterze było mnóstwo ludzi. Przeciskała się przez tłum. A jeśli w domu Petrovskiego są strażnicy? Nie powinien iść tam sam. W laboratorium zabrała fiolkę z zielonkawym płynem i swoją torebkę. Szkoda, że już nie ma beretty. Pobiegła z powrotem do schronu. Może ktoś jej pożyczy broń. Już postanowiła. Roman nie pójdzie tam sam.

Rozdział 25

Jesteś pewna, że chcesz tam wejść sama? - Phil zaparkował naprzeciwko domu Petrovskiego.

- Będę sama tylko przez chwilę. - Shanna zajrzała do torebki, wypchanej liną do związania jeńców. Wyjęła komórkę pożyczoną od Howarda Bana i wystukała domowy numer Romana; dopiero co nauczyła się go na pamięć.

- Ban - odezwał się szef dziennej zmiany.

- Jesteśmy na miejscu. Wchodzę.

- Dobrze. Nie rozłączaj się - polecił Howard nosowym głosem. - Proszę, daję Romana.

- Uważaj na siebie - poprosił.

- Nic mi nie będzie. Przecież jest tu Phil. - Otworzyła drzwi. - Wkładam telefon do torebki. Do zobaczenia. - Wrzuciła otwarty aparat do torebki.

Phil skinął głową. Wysiadła z samochodu i poszła w stronę domu Petrovskiego. W Romatechu podała Romanowi kolejną dawkę preparatu; wrócili do jego domu, i tam, wraz z Howardem Banem uknuli plan odbicia Laszla. Sprzeciwiała się pomysłowi Romana, że po prostu zadzwoni tam i się teleportuje. Mógłby niechcący wylądować w pokoju zalanym światłem słonecznym. I tak, przy wsparciu Howarda, zdołała go namówić, żeby pozwolił jej na udział w akcji.

Zatrzymała się przed domem Petrovskiego i rozejrzała po ulicy. Phil czekał w czarnym sedanie. Jej uwagę zwróciło jeszcze jedno auto - czarny SUV po drugiej stronie. Wyglądał tak samo jak samochód, który nie tak dawno ją śledził, ale one wszystkie są podobne. W mieście jest ich pełno.

Przycisnęła torebkę do piersi. Telefon był tuż, tuż, a Roman słuchał. Wbiegła na schodki, zadzwoniła do drzwi.

Otworzyły się. W progu stanął łysy facet z siwiejącą bródką. Łypnął na nią groźnie.

- Czego?

- Nabywam się Shanna Whelan. Podobno mnie szukacie? Wybałuszył oczy, złapał ją za rękę i wciągnął do środka.

- Ależ głupia suka - sapnął z cudzoziemskim akcentem i zatrzasnął drzwi.

Cofnęła się. Za jasno tu, światło wpada przez okno nad drzwiami. Zobaczyła drzwi na bocznej ścianie i znalazła się w niedużym saloniku. Wytarty dywan, stare, zniszczone meble. Światło słoneczne sączyło się spomiędzy wiekowych żaluzji. Rosjanin szedł za nią.

- Dziwne. Albo ci życie niemiłe, albo to jakiś podstęp. - Rozpiął marynarkę i odsłonił kaburę pod pachą. Shanna podeszła do okna.

- Żaden podstęp, po prostu nie mam już siły uciekać. Schował bron.

- Wiesz przecież, że Petrovsky cię zabije.

- Dogadam się z nim. - Podeszła do okna. - Widzisz, byłam w domu Romana Draganestiego i wiem sporo o jego zabezpieczeniach.

Zmrużył oczy.

- Życie za informacje.

- Taki mam plan. - Opuściła żaluzje.

- Daj torbę, muszę ją przeszukać.

Odstawiła ją na krzesło. Rosjanin szedł w jej stronę, ona tymczasem szybko opuściła rolety.

- No proszę - powiedziała głośno. — Jak tu ciemno i przytulnie.

Zajrzał do torebki, wyjął komórkę.

- A co to? - Zamknął aparat i przerwał połączenie.

Ale Romanowi wystarczyło jedno zdanie; już zmaterializował się w pomieszczeniu. Z wampiryczną szybkością odebrał Rosjaninowi broń i zdzielił go w szczękę. Mężczyzna runął jak długi.

Shanna wyjęła z torebki zwój liny i podała Romanowi.

Związała ochroniarza.

- Dobrze idzie - szepnęła. - Jak się czujesz?

- W porządku. - Podał jej broń Rosjanina. - W razie czego, strzelaj.

Skinęła głową.

- Zaraz wracam. - Oddalił się.

Wiedziała, że inni śmiertelni strażnicy, jeśli tu są, skojarzą, co się dzieje. Powali ich, zwiąże i będzie szukał chemika. Wzięła telefon, zadzwoniła do rezydencji.

- Howard? Jesteś tam?

- Jak. Jak idzie?

- Radzimy sobie, niedługo wracamy. - Odłożyła aparat koło torebki.

Nagle drzwi się otworzyły. Odruchowo podniosła pistolet Rosjanina. Kroki w holu, i po chwili w progu stanęło dwóch mężczyzn w czarnych garniturach z pistoletami w dłoniach.

Otworzyła usta z wrażenia. Zamrugowała szybko.

- Tata?

Sean Dermot Whelan wyglądał tak samo, jak rok wcześniej, gdy go widziała po raz ostatni.

Może w złotorudych włosach było nieco więcej siwych kosmyków, ale w spojrzeniu, jak zawsze, kryła się czujność. Opuścił broń.

- Shanna, nic ci nie jest? - Wszedł do saloniku, rozejrzał się, zmarszczył brwi na widok nieprzytomnego mężczyzny na podłodze.

- Tato! - Upuściła pożyczoną broń obok torebki. Podbiegła do niego, uściskała.

- Kochanie. - Jedną ręką trzymał broń, drugą ją objął. - Śmiertelnie mnie przeraziłaś, wchodząc do tego domu *Co ty tu robisz?*

Odsunęła się.

- Mogłabym zadać ci to samo pytanie myślałam, że jesteś na Litwie.

- Wróciłem jakiś czas temu. — Dotknął jej twarzy. -Dzięki Bogu jesteś cała i zdrowa. Bardzo się o ciebie martwiłem.

- Nic mi nie jest. - Objęła go. - Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę. Co u mamy i...

- Później - wpadł jej w słowo. - Teraz musimy wydostać się stąd. - Spojrzał na jej torebkę. - Zabieraj swoje rzeczy.

Do saloniku wszedł drugi mężczyzna, młody.

- Hol jest czysty. - Wskazał korytarz.

Zerknęła na torebkę. Telefon leżał na krześle. Jak może stąd wyjść bez Romana? I jak wyjaśni ojcu, co tu robi? Bardzo ją ucieszyło spotkanie, zastanawiała się jednak, skąd on się tu wziął.

- Widziałeś, jak wchodziłam?

- Od tygodni obserwujemy dom Petrovskiego. Draganestiego też. - Wskazał towarzysza ruchem głowy. - To Garrett.

- Cześć. - Przywitała się z nim i szybko wróciła wzrokiem do ojca. Wreszcie zrozumiała. - To wy byliście w czarnym SUV-ie po drugiej stronie ulicy.

- Tak. - Machnął ze zniecierpliwieniem ręką. - Chodź już, w tym domu może być jeszcze z tuzin rosyjskich żołnierzy mafii. Nie możemy tak sobie tu gawędzić.

- Ja... nie jestem sama. Zmrużył niebieskie oczy.

- Weszłaś sama, ale był z tobą kierowca...

- Rzuć broń! - Phil stał w drzwiach i celował do Seana i Garretta. Odwrócili się w jego stronę.

- Nie strzelaj! - krzyknęła Shanna.

Phil nie opuszczał pistoletu. Podejrzliwie przyglądał się facetom w czerni.

- Nic ci nie jest? Chodź już. Sean zastąpił jej drogę.

- Nigdzie z tobą nie pójdzie. Kim ty w ogóle jesteś?

- Ochroniarzem - odparł Phil. - Odpowiedzialnym za jej bezpieczeństwo. Proszę się usunąć, pozwolić jej przejść.

- A ja jestem jej ojcem. Nigdzie nie pójdzie.

- Och, wiem aż za dobrze, coś ty za jeden. - Phil skrzywił się pogardliwie. - CIA, projekt „Trumna”.

- Co? - Garrett i ojciec Shanny wymienili spojrzenia. - Skąd oni wiedzą?

CIA? Wodziła wzrokiem od jednego do drugiego i usiłowała się zorientować, o co w tym wszystkim chodzi. Ojciec zawsze twierdził, że pracuje w Departamencie Stanu, ale jedno można powiedzieć - teraz nie zachowywał się jak dyplomata. I co to jest projekt „Trumna”?

- To pewnie dzienny strażnik Draganestiego. - Głos Seana ociekał pogardą. - Zdradziłeś ludzkość. Pracujesz na rzecz wampira.

Sapnęła głośno. Ojciec wie o wampirach?

- Rzuć broń. - Za plecami Phila stanął kolejny facet w czerni. Phil odwrócił się i z przekleństwem na ustach upuścił broń.

Dobra robota, Austin - mruknął Sean. Podszedł do Phila, zabrał mu pistolet.

- Jesteś człowiekiem, więc pozwolę ci odejść. Wracaj do potwora, któremu służysz, i powiedz mu, że jego dni, a właściwie noce, są policzone. Likwidujemy wampiry, i nic nie może na to poradzić.

Phil spojrzał na Shannę niespokojnie.

- Nic mi nie będzie. Idź. - Odprowadzała go wzrokiem. Jezu, co za bałagan. Jej ojciec przywódcą zabójców wampirów?

Garrett zdawał się potwierdzać jej podejrzenia. Wyjął kolek z kieszeni.

- Skoro już tu jesteśmy, może załatwimy kilka wampirów?

- Na pewno mają ochronę. - Do saloniku wszedł mężczyzna o imieniu Austin, młody blondyn o niesfornej czuprynie. Spojrzał na Rosjanina na podłodze. - Zazwyczaj w ciągu

dnia w tym domu jest dziesięciu, dwunastu mężczyzn uzbrojonych po zęby. Nie widziałem, żeby wychodzili, więc gdzie są?

Sean skinął głową.

- Za cicho tu. - Spojrzał na Shannę. - Mówiłaś, że nie jesteś sama?

Z trudem przełknęła ślinę; mówiła, zanim się dowiedziała, że jej ojciec jest zabójcą wampirów. Jeśli on i jego ludzie zaczną sprawdzać dom w poszukiwaniu wampirów do zabicia, mogą skrzywdzić Romana albo Laszla.

- Myślałam się. Chodźmy już. - Schyliła się po torebkę. Telefon nadal działał. Podniosła głos. Oby Howard Ban ją usłyszał.

- Idę z tobą, tato.

Sean porwał telefon, odczytał numer, podniósł aparat do ucha.

- Halo? Kto tam? - Spojrzał na córkę. - Rozłączył się.

- Złożył telefon i wsunął do kieszeni. - Co tu się dzieje, Shanno?

- Nic. - Nonszalancko zarzuciła torebkę na ramię. - Jestem gotowa. Idziemy? - Nie szkodzi, że ojciec zabrał aparat. Roman może skorzystać z innego, żeby wrócić do domu, a tam Phil i Howard Ban powiedzą mu, co się z nią stało. Teraz najważniejsze, to zabrać ich stąd, jak najdalej od Romana.

- Idziemy- ruszyła do drzwi.

- Chwileczkę. - Sean powstrzymał ją ruchem ręki. - Nie zdziwiłaś się, słysząc o wampirach. - Przyglądał się jej uważnie.

- Spędziłaś sporo czasu w domu Draganestiego. Wiesz, że to potwór, prawda?

- Wiem, że musimy zmykać, zanim nas tu zdybie mafia.

Odgarnął jej włosy, oglądał kark.

- Czy ten potwór cię ukąsił?

- To nie potwór. - Shanna się cofnęła. - Skoro obserwowaliście i jego, i Petrovskiego, wiecie, że są zupełnie inni. Roman to dobry człowiek.

Ojciec skrzywił się z niesmakiem.

- To drań z piekła rodem.

- Nieprawda! Ryzykował życiem, żeby mnie chronić.

- Syndrom sztokholmski - mruknął Garrett. Sean skinął głową. Zmrużył oczy.

- Wpuściłaś go, Shanno?

Do umysłu? Tak. Do serca i ciała także, ale nie powie tego ojcu. Chciał go zabić, a gdyby się dowiedział, Roman stałby się celem numer jeden. Musi ostrzec ukochanego przed nowym niebezpieczeństwem. Ale może już wie o projekcie „Trumna”.

Phil wiedział.

- Wszystko, co zrobiłam, zrobiłam z własnej woli.

Sean przekrzywił głowę. Przyglądał się jej.

- Zobaczymy.

Pokój wypełnił się ruchem. Roman zatrzymał się gwałtownie, taszczył na plecach Laszla.

- Słyszałem głosy. Co tu się dzieje?

Sean, Austin i Garrett z pistoletami w dłoniach wpatrywali się w niego.

Posłał Shannie pytające spojrzenie.

- Znasz ich? Wskazała głową ojca.

- Mój tata uznał, że potrzebuję wsparcia.

Sean zamrugał.

- To niemożliwe. Wampir za dnia?

- I taki szybki - sapnął Austin. - W ogóle nie wiem, kiedy się tu zjawił.

Roman zmarszczył brwi.

- Sean Whelan? Sean skinął głową

- A to pan Draganesti. Obrzydliwy potwór, który uwięził moją córkę.

Roman zacisnął usta w wąską kreskę.

- Ona jest innego zdania, prawda, Shanno?

Zobaczyła, że Garrett staje za Romanem. Miał kołek w dłoni.

- Musisz stąd wyjść.

- Bez ciebie się nie ruszę.

- Drań. - Sean wyjął drewniany kołek z kieszeni. - Nie wiem, co zrobiłeś mojej córce, ale słono za to zapłacisz.

Podbiegła do ojca w nadziei, że jej bliskość nie pozwoli mu zaatakować Romana.

Biedak stał wpatrzony w nią, narażony na ciosy.

- Idź!

- Widzisz? - Sean objął córkę. - Zostaje ze mną. Ba, wstąpi do mojej drużyny.

Roman wyglądał, jakby było mu niedobrze.

- To prawda, Shanno? Chcesz mnie zabić? Jej oczy zaszyły łzami.

Za tobą jest facet z kołkiem.

Roman zerknął za siebie, zobaczył Garretta. Posłał Shannie jeszcze jedno udręczone spojrzenie i pobiegł na górę.

- Za nim! - ryknął Sean. Austin i Garrett rzucili się do schodów.

Sean puścił Shannę i spojrzał na nią z rozczarowaniem.

- Ostrzegłaś go, prawda? Współczujesz potworowi, który cię uwięził.

- To nie potwór. I wcale mnie nie uwięził! Odeszłam, kiedy chciałam.

- A potem do niego wróciłaś. Spójrzmy prawdzie w oczy: opanował cię. To ich sposób działania. Manipulują ofiarami, a te nie wiedzą już, gdzie jest prawda.

Po jej policzkach spływały łzy.

- Nie. Prawda jest taka, że śmierć nie zmienia człowieka. Żli ludzie, tacy jak Ivan Petrovsky, stają się złymi wampirami. Ale inni, jak Roman Draganesti, na zawsze pozostają uczciwi i szlachetni.

Zacisnął usta.

- W wampirach nie ma ani krzty honoru czy szlachetności. To seryjni zabójcy. Od stuleci bezkarnie mordują. - Pochylił się nad nią. - Ale z tym już koniec.

Przeszył ją dreszcz.

- Nie zabijesz wszystkich.

- Ależ owszem. Wbijemy kołki w ich serca, po kolei, aż uwolnimy świat od tej zarazy.

Austin i Garrett wrócili na dół.

- Nie ma go - powiedział Austin. - Zniknął, na piętrze znaleźliśmy tylko odłożoną słuchawkę.

Odetchnęła z ulgą. Roman jest bezpieczny. W domu nic mu nie grozi, ale zadręcza się

myślą, że go zdradziła. Musi do niego wrócić.

Ojciec chwycił ją za ramię. - Idziesz z nami.

Piętnaście minut później - siedziała wraz z ojcem na tylnym siedzeniu SUV-a. Austin prowadził, Garrett siedział koło niego.

Wyrzała przez okno - jechali na Manhattan, zbliżali się do mostu brooklyńskiego. Roman pewnie jest w swoim pokoju, na górze. Oby środek przestał już działać. Jeśli śpi, nie cierpi. No i Laszlo obudzi się wieczorem w przyjaznym, bezpiecznym miejscu. Miała łzy w oczach, ale opanowała się. - Nie chciała płakać przy ojcu.

- Zdaję sobie sprawę, że masz za sobą ciężki czas - zaczął Sean łagodnie. - Ale już po wszystkim. Nic ci nie grozi.

Nic, poza złamanym sercem, jeśli nigdy więcej nie zobaczy Romana. Odchrząknęła.

- Jak mama?

- Dobrze. Jest w kraju. Twoje rodzeństwo też, ale niestety na razie nie możesz się z nimi spotkać.

Skinęła głową.

- Bardzo mi przykro, że zginęła twoja przyjaciółka - ciągnął. - Wypytywałem o ciebie w Departamencie Sprawiedliwości, ale nie mogli mi nic powiedzieć. Zamartwiali się o ciebie.

- Nic mi nie jest. Było ciężko, ale dałam sobie radę. - Zanim znalazła się w świecie Romana, była bardzo samotna. Już za nim tęskniła. I za Radinką, Gregorim, Connorem. Odkąd straciła Karen, oni okazali się pierwszymi prawdziwymi przyjaciółmi.

- Przypadkiem dowiedziałem się, gdzie jesteś - mówił ojciec. - Moja ekipa od wielu tygodni obserwowała Petrovskiego. Jego dom jest na podsłuchu, telefon też. Słyszeliśmy, jak zadzwonił do gabinetu Promienny Uśmiech. Poznałem cię po głosie i zrozumiałem, że chcą cię zabić.

Wzdrygnęła się na samo wspomnienie tamtego koszmaru.

- Pojechaliśmy do gabinetu, ale ciebie już tam nie było. Wiedzieliśmy, że Petrovsky cię nie dopadł. Wpadłem w panikę. Garrett obserwował dom Draganestiego i widział, jak wychodzisz. Niestety, zgubił cię.

- Obawiałem się, że tamten Rosjanin ją zabije - mruknął Garrett.

- Na szczęście zadzwoniłaś do pizzerii. Ich też mieliśmy na podsłuchu, więc cię odnaleźliśmy. Czekaliśmy przed hotelem, potem pojechaliśmy za tobą... i znów zgubiliśmy.

Garrett poczerwieniał. Shannie zrobiło się go żal. Sprawić zawód jej ojcu to poważna sprawa.

- Teraz pracujesz w CIA?

- Teraz i zawsze.

- Och. - Powstrzymała jęk. A więc od lat ich okłamywał.

- Ostatnio dostałem nowe zlecenie - mam stworzyć specjalny zespół do zlikwidowania największego zagrożenia w historii ludzkości.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Wampiry?

- Tak. - Padł na siedzenie. - Pięć miesięcy temu, w St. Petersburgu, zobaczyłem, jak mężczyzna atakuje kobietę. Wyjąłem broń, krzyczałem, że ma ją puścić i się cofnąć. Puścił

ją. Osunęła się na śnieg. Strzeliłem - nie przejął się. I wtedy poczułem chłód w głowie i głos, który kazał mi zapomnieć. Mężczyzna zniknął. Kobieta była martwa i miała na szyi dwie ranki. - Wzruszył ramionami. - Pewnie nieraz ich widziano w ciągu minionych wieków, ale modyfikowali ludziom pamięci żebyśmy zapomnieli o tym, co widzimy. W moim wypadku mu się nie udało.

- Jesteś odporny na kontrolę umysłu.

- Jak my wszyscy, cały zespół. Dlatego jest nas tak mało. Na całym świecie bardzo niewiele osób jest w stanie oprzeć się kontroli umysłu, a tylko my możemy pokonać te potwory.

Oddechnęła głęboko, absorbowwała te rewelacje.

- Od... Od jak dawna wiesz o tym darze? Wzruszył ramionami.

- Od jakichś trzydziestu lat. Kiedy wstąpiłem do CIA, odkryli to i zrobili mi testy, nauczyli tym kierować, manipulować ludzkimi umysłami. Przydaje się, kiedy ma się do czynienia z hołotą.

- Od początku byłeś szpiegiem, a nam mówiłeś, że jesteś dyplomatą.

- Matka nie mogła się dowiedzieć. I bez tego było jej ciężko, ciągle się przeprowadzaliśmy, ciągle za granicą.

Przypomniała sobie mamę - zawsze pogodna i uśmiechnięta. Była opoką, źródłem wsparcia dla dzieci, traktowała rewolucje w ich życiu jako kolejne przygody.

- Świetnie sobie radziła. Ojciec się skrzywił.

- Początkowo nie. Ale z czasem wiedziałem, jak sobie z tym radzić i osiągałem lepsze rezultaty.

Radzić? W jej sercu zrodziło się straszne podejrzenie.

- Jak to: radzić?

- Wspierałem ją. Mentalnie. Dzięki temu znosiła to o wiele lepiej.

Straszne przecucie przeradzało się w pewność.

- Manipulowałeś mamą?

Mężczyźni na przednich fotelach wymienili spojrzenia. Sean spojrział na nią z irytacją.

- Nie dramatyzuj. Po prostu pomogłem jej zachować równowagę psychiczną. W innym wypadku biedaczka załamałaby się nerwowo.

Zazgrzytała zębami.

- Robiłeś to dla jej dobra?

- No, tak. Wam też pomagałem. Łatwiej mi było pracować, kiedy w domu był spokój.

Narastał w niej gniew.

- Kontrolowałeś nas? Byliśmy taką Rodzinką ze Stepford, tak?

- Uspokój się. Jesteś za dorosła na fochy.

Zacisnęła pięści, oddychała głęboko. Nie wierzyła własnym uszom. Przez tyle lat tęskniła za rodziną. Czyżby wszystko, całe jej dzieciństwo, to jedno wielkie kłamstwo? Nic nie było prawdziwe.

Nagle poczuła przyływ ciepła, coś atakowało jej umysł. Zamknęła oczy, odparta atak.

- Tak jest - szepnął! Sean.

Uniosła powieki, spojrzała na ojca. Nacisk zelżał.

- To ty?

Wzruszył ramionami.

- Sprawdzalem, jak sie trzymasz. Zawsze uwazalem, ze jestes najsilniejsza. A im bardziej mnie zwalczalas, tym wieksza byla twoja moc.

Zaparło jej dech.

- I dlatego mnie odeslales. Nie mogles nade mną zapanowac.

- Ej! - Pogrozil jej palcem. - Wydallem na ciebie majatek. Zdobylas najlepsze wykształcenie. Nie masz powodów do narzekan.

Czula lzy pod powiekami.

- Tesknilam za wami. Poklepal jej dlon.

- My za toba tez. Zawsze bylem z ciebie dumny, Shanno. Wiedzialem, ze pewnego dnia bedziesz tak silna jak ja.

Odsunela sie od niego. Dobry Boze. Czy w ogole znala matke? Rodzenstwo? A moze to tylko roboty za sprawa ojca? Przez tyle lat cierpiala, ze ja odeslali. Teraz sobie uswiadomila, jak wielkie miala szczescie. Mogla dorosnac wolna, wyrobic sobie wlasny swiatopogląd. To, co robi ojciec, jest zle. Likwidacja wszystkich wampirów to czystka etniczna. Zbrodnia nienawisci. Wyrzala przez okno. Co robic?

- Powiedz, jakim cudem Draganesti byl przytomny za dnia? -zagadnal ojciec.

- To genialny naukowiec. Testowal nowy srodek. Ryzykowal zycie, zeby ratowac przyjaciela.

Sean sie zachnal.

- Mowisz o nim jak o bohaterze. Uwierz mi, jezeli zgłodnieje, nie zawaha sie ciebie zabic.

Zazgrzytala zębami.

- Wynalazl syntetyczna krew. Ocalil miliony istnień ludzkich.

- Pewnie tylko po to, zeby on i jego kumple mieli wiecej jedzenia.

Spojrzala na niego.

- Gdybys go dobrze poznal, wiedzialbys, ze to dobry czlowiek. Ale ty nawet nie probujesz.

Chcesz ich wszystkich zniszczyc.

Zmarszcyl brwi.

- Zapominasz o bardzo waznej rzeczy. To juz nie ludzie. To mordercy.

- Owszem, to ludzie. Roman i jego klan nie atakuja ludzi. Chca nas chronic. To Petrovsky i Malkontenci nas atakuja.

Pokręcił głową.

- Syntetyczna krew to nowosc. Zanim Draganesti ja wynalazl, tez zywil sie ludzka krwia. To potwory. Nie zrobisz z nich swietych.

Westchnęła. Ojciec zawsze byl uparty.

- Sa dwa rodzaje wampirów - wspolczesne, pokojowo nastawione, i Malkontenci.

- A my zabijemy wszystkich - dokonczyl Sean.

- W tym co mowi, moze byc ziarno prawdy - odezwal sie Austin. - Podsluchiwalem Petrovskiego. Draganesti to jego najwiekszy wróg. Byla mowa o wojnie wampirów.

- Super - mruknal Garrett. Sean spojrzal na corkę.

- Te wybuchy w Romatechu... Wiesz, kto za tym stoi?

- Petrovsky i Malkontenci. Chca zniszczyc cale zapasy krwi syntetycznej i zmusic wampiry do zabijania ludzi.

- Co jeszcze wiesz?

- Roman i jego przyjaciele nie chcą do tego dopuścić. Są gotowi za nas walczyć. Zmrużył oczy.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- A niech walczą - rzucił Garrett. - Może się wzajemnie wykończą. I ułatwią nam zadanie.

Roman, Connor, Ian i inni Szkoci mieliby ryzykować życie w walce? Zrobiło jej się niedobrze na tę myśl. Może mogłaby ich jakoś powstrzymać.

Samochód skręcił na podjazd przed hotelem.

- Tu się zatrzymamy? - zapytała.

- Tylko ty. Austin z tobą zostanie, na wszelki wypadek. Garrett i ja musimy coś załatwić.

Zostawią ją ze strażnikiem. Trudno będzie skontaktować się z Romanem.

- Jak już mówiłem - ciągnął ojciec - nasz zespół jest mały. Wszędzie szukam ludzi zdolnych oprzeć się manipulacji umysłem. Każdy Amerykanin o takim darze ma moralny obowiązek do nas dołączyć.

Przełknęła ślinę. Czyżby miał ją na myśli?

- Chcę przez to powiedzieć, iż chciałbym, żebyś została jedną z nas.

O tak.

- Mam zabijać wampiry?

- Chronić świat przed demonami. Jest nas tragicznie mało. Potrzebujemy ciebie. W każdej chwili możesz zacząć szkolenie w CIA.

- Ja już mam zawód. Jestem dentystką.

Zbył ją machnięciem ręki.

- To nie powołanie. Bóg dał ci dar, możliwość walki z zakałą tego świata. Nie możesz tego odrzucić.

Pracować dla ojca? Bomba. Już miała mu powiedzieć, żeby dał jej święty spokój. Pragnęła tylko jednego - być z Romanem. Ale jeśli to sprawi, że dla ojca on stanie się celem numer jeden? Nie, lepiej się nie sprzeciwiać. Z czasem przekona go, że naprawdę istnieją także dobre wampiry. Może kiedyś znów będzie z Romanem. Jeśli odmówi, a on i jego zespół zaczną mordować, jak zdoła z tym żyć? Roman robił co w jego mocy, by ją chronić. Teraz jej kolej.

Samochód zatrzymał się przed hotelem. Odetchnęła głęboko.

- Dobrze, tato. Przemyślę to.

Rozdział 26

Roman obudził się i chciwie zaczerpnął powietrza. Serce zatrzepotało mu w piersi, by po chwili odzyskać normalny rytm. Uniósł powieki.

- Dzięki Bogu - usłyszał. - Nie wiedzieliśmy, czy jeszcze kiedykolwiek się ockniesz.

Zamrugnął i spojrzał w stronę, z której dobiegał głos. Angus stał przy łóżku, miał poważną minę. Co więcej, przy nim zebrali się inni: Jean-Luc, Connor, Howard Ban, Phil, Gregori i Laszlo.

- Cześć, bracie. - Gregori się uśmiechnął - Martwiliśmy się o ciebie.

Roman zerknął na Laszla.

- Jak się czujesz?

- Dobrze, sir. - Skinął głową. - Dzięki panu. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak się ucieszyłem, gdy ocknąłem się w pańskim domu.

Angus skrzyżował ręce na szerokiej piersi.

- Pytanie, jak ty się czujesz? Podobno byłeś przytomny za dnia.

- Tak. - Usiadł i zerknął na zegarek przy łóżku. Rany boskie, słońce zaszło już z godzinę temu. - Zaspałem.

- W życiu o czymś takim- nie słyszałem - mruknął Connor.

- Pewnie skutek uboczny specyfiku - domyślił się Laszlo. - Pozwoli pan, że zbadam puls?

- Proszę bardzo. - Wyciągnął rękę, Laszlo złapał go za przegub i wbił wzrok w zegarek.

- Gratulacje, *mon ami* - powiedział Jean-Luc. - Twój wynalazek to wielki sukces. Byłeś przytomny za dnia - nie do wiary!

- Słońce mnie poparzyło. - Spojrzał na swoją klatkę piersiową. Dziura na koszuli została, ale skóra się zagoiła. Prawdziwa rana kryła się głębiej, Zadała ją Eliza, ponad sto. lat temu, gdy chciała go zabić. Teraz Shanna rozdrapała ją na nowo.

- Puls w normie - orzekł chemik.

Jak to możliwe, skoro serce cierpi? Z trudem przełknął.

- Shanna wróciła?

- Nie. - Connor westchnął. - Nie dała znaku życia.

- Chciałem jej pomóc, ale mnie pokonali - mruknął Phil.

- Cholerny projekt „Dumna” - sapnął Angus. - Phil i Howard opowiedzieli nam wszystko o twojej dziennej przygodzie, kiedy czekaliśmy, aż się ockniesz.

Romanowi serce pękało z bólu.

- Chce dołączyć do ekipy ojca. A on ją nauczy, jak nas zabijać.

Szkot prychnął gniewnie.

- Niewierze. Gregori kręcił głową.

- To nie w jej stylu.

- Śmiertelnikom nie można ufać - mówił Angus. - Przekonałem się o tym na własnej skórze. - Ze smutkiem spojrzął na Romana. - Myślałem, że ty też.

Owszem, ale Shanna na nowo dała mu nadzieję. Zasypiał zbity z tropu, miał mętlik w głowie. Wygląda na to, że chciała zostać z ojcem, a więc dołączy do zabójców wampirów. Ale dlaczego ostrzegła go, że mężczyzna z kołkiem jest za nim? Dlaczego go ratowała, skoro chce jego śmierci? Czyżby myślała, że go chroni, zostając z ojcem? Czyżby naprawdę pokochała?

- Kiedy spałeś, mieliśmy pełne ręce roboty - ciągnął Angus. - Gdy wstaliśmy została jeszcze jakaś godzinka ciemności w Europie, i udało się ściągnąć jeszcze trochę naszych. Dobra wiadomość jest taka, że na dole czeka armia złożona z dwustu wojowników. Jesteśmy gotowi do walki.

- Rozumiem. - Roman wstał. Wielu z tych na dole przemienił osobiście. Gdzie trafią ich nieśmiertelne dusze, jeśli dziś polegną? To dobrzy ludzie, ale od wieków żywili się krwią śmiertelników. Bóg nie wpuści ich do nieba. A jeśli jedyną alternatywą jest piekło, on ponosi za to winę, bo on ich skazał, dokonując przemiany. Wina go przytłaczała. - Zaraz

przyjdę. Poczekajcie w gabinecie.

Rozeszli się. Roman wstał, ubrał się, poszedł do gabinetu, wstawił butelkę krwi do mikrofalówki.

- Gregori, jak mama?

- Dobrze, właśnie wracam ze szpitala. - Siedział w głębokim fotelu. Był zmartwiony. - Obiecałeś jej, że nie wezmę udziału w wojnie. Nie jestem tchórzem, wiesz przecież.

- Wiem. - Brzęknęła mikrofalówka i Roman wyjął butelkę krwi. - Ale nie szkolono cię do walki.

- Też mi problem. Nie będę czekać bezczynnie.

Roman sączył krew z butelki.

- Mamy dość broni?

- Mamy kołki i posrebrzane miecze. - Angus przechadzał się tak energicznie, aż kilt oblepiał mu nogi. - Także broń palną, na wypadek, gdyby Petrovsky zabrał śmiertelników. Zadzwoił telefon na biurku Romana.

- O wilku mowa - szepnął Jean-Luc.

Roman podszedł do biurka, podniósł słuchawkę.

- Draganesti.

- Mówi Petrovsky. Nie wiem, jak ci się udało dostać do mojego domu za dnia, ale nigdy więcej tego nie rób. Od tej pory mam tu trzydziestu ludzi, uzbrojonych w srebrne kule.

Roman usiadł.

- Widzę, że niepokoisz się moim nowym wynalazkiem. Co, obawiasz się, że przyjdziemy za dnia i was załatwimy?

- Nie znajdziesz nas, draniu! Mamy inne kryjówki. Nigdy nas nie znajdziesz.

- Znalazłem mojego chemika, znajdę i ciebie.

- Zabierz sobie swojego głupiego chemika. Cholernik urwał mi wszystkie guziki z kanapy. Sprawa wygląda tak, Draganesti. Albo dziś przekażesz mi Shannę Whelan, albo nadal będę podkładał bomby w twoich fabrykach i porywał twoich pracowników. A kiedy to zrobię, zostanie po nich tylko kurz, jak po Szkocie.

Roman zacisnął dłoń na słuchawce. Nie zaryzykuje życiem Szkotów. I nie zdradzi Shanny, nawet jeśli ona to zrobiła. - Nie mam doktor Whelan.

- Oczywiście, że masz. Słyszałem, że u ciebie mieszka. Daj mi ją. a zostawię Romatech w spokoju.

Bzdura. Petrovsky nigdy nie da im spokoju, był tego pewien. A Shanny będzie bronić do ostatniego tchu.

- Posłuchaj, Petrovsky. Nie będziesz mi podkładał bomb, ani porywał moich pracowników, a Shannie Whelan włos z głowy nie spadnie. Wiesz dlaczego? Bo nie dożyjesz do rana.

Ivan parsknął.

- Ten środek rzucił ci się na mózg.

- Mamy dwustu wojowników i dziś was zaatakujemy. A ty kogo masz?

Milczenie. Wiedział z raportów Angusa, że Petrovsky ma najwyżej pięćdziesięciu żołnierzy. - Jestem wielkoduszny, załóżmy, że masz ich stu - ciągnął. - Nadal mamy nad wami dwukrotną przewagę. Chcesz się założyć, kto wygra?

- Kłamiesz, świni. Niemożliwe, żebyś miał dwustu.

- Ściągnęliśmy posiłki z Anglii, ale nie musisz wierzyć mi na słowo. Sam się przekonasz.
Petrovsky zaklął po rosyjsku.

- My też możemy to zrobić, ściągnąć setki z Rosji.

- Za późno. W Rosji już jest dzień. Dzwon, ale nikt nie odbierze. - Roman słyszał chichoty przyjaciół. Wiedział, że to, co zaraz powie nie przypadnie im do gustu.

- Ale skoro jesteś w kropce, mogę zaproponować układ.

- Układ?

Angus, Connor i Jean-Luc podeszli do biurka z poważnymi minami.

- Czego pragniesz najbardziej na świecie? - zapytał Roman. - Bardziej niż śmierci Shanny Whelan czy kilku Szkotów?

Petrovsky się zachnął.

- Chciałbym wyrwać ci serce i upiec na wolnym ogniu.

- Dam ci ku temu okazję. Załatwmy to raz na zawsze. Tylko ty i ja.

Angus pochylił się nad jego uchem.

- Co ty opowiadasz? - szepnął. - Nie pozwolimy ci walczyć samemu.

- Wojownicy chcą bitwy - dodał Jean-Luc. - Zwycięstwo gwarantowane.

Roman zakrył dłonią słuchawkę.

- Tak będzie najlepiej. Nie narażamy nikogo.

Connor zmarszczył brwi.

- Poza tobą. Nie zgadzamy się.

- Co ty proponujesz, Draganesti? - dopytywał się Petrovsky. - Chcesz się poddać?

- Nie. Proponuję pojedynek. Na srebrne miecze. Do śmierci.

- A co zyskam, wygrywając, poza rozkoszą obserwowania, jak zmieniasz się w proch?

- Moja śmierć będzie ceną za bezpieczeństwo moich pracowników, klanu, Szkotów i Shanny Whelan. Nie zrobisz im krzywdy.

- Nie! - Angus uderzył pięścią w stół. - Nie zrobisz tego. Wszyscy zaczęli głośno protestować. Roman uciszył ich gestem dłoni.

- Jakie to szlachetne z twojej strony - szydził Petrovsky. - Ale dla mnie to żadna frajda. Chcę zwycięstwa Prawdziwych.

Zastanawiał się chwilę.

- Dobrze, jeśli przegram, skończy się produkcja serii fusion. - Kto poza nim zna recepturę?

- Krwi syntetycznej też?

- Nie, ona ratuje ludzi. Chyba chcesz, żeby byli zdrowi?

Petrovsky się zachnął.

- Dobrze. Załatwię cię i skończę z fusion. Druga nad ranem, Central Park, East Green. Bądź.

- Jeszcze jedno. - Roman nie dał mu się rozłączyć. - Nie ustaliliśmy, co ja zyskam, wygrywając

- Ha! Nie wygrasz.

- Jeśli wygram, twoi ludzie przysięgną, że nie skrzywdzą moich. To dotyczy moich pracowników klanu i Shanny Whelan. - Co? czyli są bezpieczni, bez względu na to, czy przeżyjesz, czy nie. Do bani.

- To jest mój warunek - powiedział twardo Roman. - Chcesz mnie zabić? Skończyć z linią

fusion? Przyjmij go.

Petrovsky milczał. Angus i Jean-Luc rzucili się na Romana.

- To idiotyzm, *mon ami*. Kiedy się ostatnio fechtowałeś?

Nie pamiętał.

- Szkoliłeś mnie przez ponad sto lat. Dam sobie radę.

- Wyszedłeś z wprawy. - Angus łypał groźnie. - Od dawna tylko siedzisz w laboratorium.

- *Exactement* - oznajmił Jean-Luc. - Stanę do walki zamiast ciebie.

- O nie! - Roman zaprotestował. - Ja ciebie przemieniłem i nie zaryzykuję twojej duszy nieśmiertelnej.

Jean-Luc zmrużył oczy.

- I tu jest pies pogrzebany. Ciągłe masz wyrzuty sumienia, że nas przemieniłeś.

- Niech to szlag - huknął Angus. - To nasza sprawa! Za kogo ty się uważasz, do cholery?

Puszczal ich słowa mimo uszu.

- Przychodzimy sami. Tylko ty i ja, i walczymy do końca, aż zostanie jeden. Zgadzasz się?

- Tak, ale tylko dlatego, że od ponad pięciuset lat chciałem cię zabić. Pomódl się, klecho.

Dzisiaj umrzesz. - Petrovsky się rozłączył.

Roman odłożył słuchawkę i wstał.

- Nie zrobisz tego! - krzyknął Angus. - Nie pozwolę! Położył mu rękę na ramieniu.

- To moja decyzja, przyjacielu. Tym samym uratuję wiele istnień.

- Z nas wszystkich ja jestem najlepszym szermierzem. - W niebieskich oczach Jean-Luca pojawił się lodowaty błysk. - Żądam, byś mi pozwolił stanąć do walki zamiast ciebie. Mam do tego prawo.

- Nie obawiaj się, Jean-Luc. - Roman poklepał go po ramieniu. - Dobrze mnie wyszkoliłeś.

Czyż to nie ja zadałem Casimirowi śmiertelny cios?

Jean-Luc zmierzył go wzrokiem.

- Tylko dlatego, że byłem tuż za tobą.

- Nie myślisz logicznie - rzucił ze złością Angus. Jesteś załamany, bo ta dzierlatka cię zostawiła.

Roman milczał. Czyżby przyjaciel miał rację? Czy byłby równie skory do poświęceń, gdyby z Shanną dobrze się układało? Ale przecież nie chciał zginąć. Wierzył, że wygra. Śmierć Petrovskiego osłabi Malkontentów, lecz ich nie powstrzyma. Musi żyć dalej, by chronić bliskich.

- Już zdecydowałem.

- Będę twoim sekundantem - oświadczył Connor.

- Nie. Stajemy w pojedynkę.

- Petrovsky nie dotrzyma warunku - ostrzegł Angus. - Jemu nie można ufać, sam wiesz.

- Ja nie złamię danego słowa. I wy też nie. - Po kolei patrzył im w oczy. - Nie wiecie, gdzie się odbędzie pojedynek i nie będziecie mnie śledzić.

Patrzyli na niego z przerażeniem. Angus już otwierał usta, by zaprotestować, ale Roman nie pozwolił mu mówić.

- Musicie mi to obiecać. Nie pójdziecie za mną.

- Dobrze. - Angus powiódł wzrokiem po twarzach przyjaciół. - Masz naszą zgodę.

Roman szedł do drzwi.

- Już kiedyś tak było - powiedział Szkot. - Pycha ci podpowiadała, że uratujesz wioskę, a w rezultacie wpadłeś w szpony Casimira. Teraz chcesz ocalić nas wszystkich.

Roman zatrzymał się. Spojrzał na Angusa.

- To nie to samo.

- Czy aby na pewno? Uważaj, przyjacielu. Pycha już raz ciebie zgubiła.

Shanna usiadła na posłaniu. Rozejrzała się zdezorientowana.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Austin.

- Ja... Tak. Chyba zasnęłam. - W pokoju hotelowym towarzyszyło jej dwoje strażników. Oprócz Austina zjawiała się też młoda brunetka. Zegarek wskazywał dwudziestą dwadzieścia. Cholera. Za długo spała, ale przecież całą noc nie zmrużyła oka.

- Ciemno już?

- Pewnie. - Austin wskazał pizzę na stoliku. - Głodna?

- Za chwilę. - A więc Roman już nie śpi. Szykuje się na wojnę z Rosjanami? Musi z nim porozmawiać, upewnić się, że nic mu nie jest. Ojciec zabrał jej komórkę. Zerknęła na aparat przy łóżku, wyłączony. Austin to zrobił, ledwie tu weszli. Nie ufali jej. Nie dziwiła im się - prawdę mówiąc, mają rację. Skorzysta z pierwszej okazji, by wrócić do Romana.

- Cześć, jestem Alyssa - przedstawiła się brunetka. - Ojciec prosił, żebym ci przywiozła ubrania. - Wskazała walizkę przy łóżku. Shanna rozpoznała swoje stare rzeczy

- Dzięki.

- Złapaliśmy DVN. - Austin włączył dźwięk w telewizorze. - Wybuch w Romatechu to wiadomość nocy. Wszyscy się zastanawiają, czy Draganesti dziś się zemści.

- Wampiryczna telewizja jest niewiarygodna - mruknęła Alyssa, popijając colę. - Mają opery mydlane, jak my. I co to jest chocolood, do licha?

- Napój z krwi i czekolady - wyjaśniła Shanna. - Kobiety bardzo go lubią, choć podobno od niego tyją.

Alyssa parsknęła śmiechem.

- Nabierasz nas.

- Nie. Właśnie dlatego Roman opracował nowy napój, blood lite.

Roześmieli się oboje. Austin pokręcił głową.

- Zupełnie inaczej ich sobie wyobrażałem.

- Ja też. - Alyssa wbiła zęby w pizzę. - Myślałam, że są bladzi i paskudni, a oni wyglądają normalnie.

- No właśnie - mruknął Austin. - Ich zwyczaje są inne, ale bardzo... ludzkie.

- Bo to ludzie. Oni czują ból, strach i miłość. - Shanna zamysliła się. Ciekawe, co w tej chwili czuje Roman.

- Nie mów tego przy ojcu - ostrzegła Alyssa. - Jego zdaniem to banda psychopatów.

- Gdzie on jest?

- Jak zwykle, obserwuje dom Petrovskiego - wyjaśnił Austin. - Rosjan nienawidzi szczególnie, zwłaszcza odkąd wzięli cię na celownik, wtedy, w restauracji. Zatrzepotała rękami.

- Słucham?

- Brawo - syknęła Alyssa.

- Myślałem, że wie - Spojrzał na Shannę. - Chłopcy z FBI ci nie powiedzieli?
- Ale czego? - Czują, jak jej serce bije coraz szybciej. - Że śmierć mojej przyjaciółki to nie był przypadek?

Skrzywił się.

- To była zemsta. Twój ojciec posiał do więzienia wielkich rosyjskich mafiosów, dlatego całą waszą rodzinę w tajemnicy wywieziono z Rosji, nikt nie wie, gdzie są. Mafia chciała zemsty. Znaleźli ciebie.

Zwalczyła falę mdłości.

- Chcieli mnie zabić? Karen zginęła przeze mnie?

- To nie twoja wina - powiedziała Alyssa. - Wybrali ciebie, żeby zranić twojego ojca.

- W tych okolicznościach praca z nami to dla ciebie najlepsze rozwiązanie - ciągnął Austin.

- Będziesz kryta, niewidoczna, dobrze strzeżona.

Shanna opadła na plecy. Wbiła wzrok w sufit. Do tej pory myślała, że strzelanina w restauracji to przypadek, że były w niewłaściwym czasie i miejscu. A jak się okazało chodziło o nią. Ona miała zginąć, nie Karen.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Alyssa.

- Okropnie. Karen zginęła zamiast mnie.

- Nie wiem, czy to ci pomoże... - Austin otworzył puszkę coli. - Ale gdyby cię zobaczyli, zginęłybyście obie. Oni nie zostawiają świadków.

Jakoś nie pomogło. Zamknęła oczy. *Shanna? Słyszysz mnie?*

Usiadła gwałtownie. Austin i Alyssa przyglądali się jej się uważnie.

- Ja... muszę do łazienki. - Wybiegła z pokoju. Boże, czyżby Roman usiłował się z nią skontaktować? Czyżby więź między nimi działała nawet na taką odległość?

Roman? Słyszysz mnie?

Tak. Jego głos zabrzmiał głośniejsz, jakby dostroił częstotliwość. *Gdzie jesteś?*

W hotelu, z dwójką współpracowników ojca.

Uwięzili cię? Czy chcesz tam być?

Na razie nic mi nie jest. Nie przejmuj się mną. Co z tobą? Idziesz dziś na wojnę?

Sprawa będzie dziś załatwiona. Dlaczego... Dlaczego zadzwoniłaś po ojca? Myślałem, że ze mną zostaniesz.

Nie dzwoniłam po niego. Był na zewnątrz, obserwował dom Petrovskiego, widział, jak tam wchodzi. Myślał, że coś mi grozi, i pospieszył na ratunek.

I chcesz z nim zostać?

Wolałabym być z tobą, ale jeśli mogę ci pomóc, zostając tutaj...

Nie potrzebuję twojej pomocy!

Jego gniewny głos niósł się echem w jej głowie.

Roman, zawsze będę ciebie kochać. Nie mogłabym cię zdradzić!

Połączenie zdawało iskrzyć się od emocji. *Roman? Jesteś tam?*

Pojawiło się nowe uczucie. Rozpacz. Roman cierpi. Przycisnęła srebrny krzyż do serca.

Wrócisz do mnie, jeśli przeżyję tę noc? Jeśli przeżyję tę noc? Co to miało znaczyć?

Co ty opowiadasz? Idziesz na wojnę?

Wrócisz do mnie?

Tak! Tak! Ale błagam, uważaj na siebie. Proszę. - Zaciśnęła dłoń na krucyfiksie. Cisza. *Roman!*

Nie odchodź! - Drgnęła, gdy rozległo się pukanie do drzwi łazienki.

- Shanna? - Głos Austina. - Nic ci nie jest?

- Nie - odparła. Skoncentrowała się, wysyłała wiadomość do Romana. *Słyszysz mnie?* Brak odpowiedzi. Więż znikła. Podobnie jak Roman.

Niemożliwe, żeby chodziło o pychę. Angus się myli. Roman wiedział, że Jean-Luc jest od niego lepszym szermierzem, a Angus - żołnierzem. Więc w jaki sposób pycha miałaby mu podsuwać takie rozwiązanie? Wiedział jedno: zrobiłby wszystko, byle oszczędzić swoich i Shannę. Dokonał transformacji wielu Szkotów, ba, przemienił Jean-Luca i Angusa. Skazał ich dusze na wieczne potępienie, kiedy umrą. Nie dopuści do tego, nawet za cenę swojej śmierci i potępienia.

Kilka minut po dwudziestej trzeciej pokonał kamienne stopnie i pchnął drewniane drzwi kościoła. Jego kroki niosły się echem po głównej nawie. Płomienie wotywnych świec rzucały nikiłe światło. Posągi Matki Boskiej spoglądały na niego z góry, jakby zdziwione, co robi w domu bożym. On też tego nie wiedział. Co chciał tu znaleźć?

Przeżegnał się, wyciągnął rękę w stronę wody święconej, zawahał się. Powierzchnia zawrzała, buchnęła para, parzyła mu skórę. Cofnął rękę - musi być sprawna podczas pojedynku. Woda uspokoiła się, a on popadł w rozpacz. Miał odpowiedź na swoje pytanie.

Jest przeklęty.

Drgnął, gdy za jego plecami otworzyły się drzwi. Uspokoił się, widząc, kto wszedł do kościoła.

Connor, Gregori i Laszlo przyglądali mu się niespokojnie.

- Chyba wyraziłem się jasno. Nie wolno wam za mną iść. Szkot wzruszył ramionami.

- Tu wolno. Przecież nie będziesz pojedynkować się w świątyni, nie?

- Zresztą - Gregori włączył się do rozmowy - i tak chcieliśmy, tu przyjść. Żeby pomodlić się za ciebie.

- Tak. - Laszlo się przeżegnał. - Przyszliśmy się pomodlić.

Roman się zachnął.

- A módlcie się, ile chcecie. Myślicie, że to coś pomoże?

Odszedł w głąb kościoła, do konfesjonatu.

Kapłan odsunął drzwiczki. W konfesjonale było ciemno, Roman z trudem widział zarys postaci. Ksiądz wydawał się stary i zgarbiony.

- Wybacz mi ojcze, bo zgrzeszyłem. - Odwrócił się, niewyraźnie wybełkotał następne zdanie.

- Po raz ostatni byłem u spowiedzi pięćset czternaście lat temu.

- Słucham? - Kapłan odchrząknął. - Czternaście lat temu?

- Dawno, ojcze. Złamałem śluby składane Bogu. Popełniłem wiele grzechów. A dziś mogę przestać istnieć.

- Jesteś chory, synu?

- Nie. Dziś zaryzykuję życiem, żeby ocalić bliskie mi osoby. - Oparł czoło o drewnianą kratkę. - Ale nie wiem, czy dobro zdoła pokonać zło, czy ja w ogóle jestem dobry. Bóg odwrócił się ode mnie, więc pewnie ja jestem zły.

- Dlaczego uważasz, że Bóg odwrócił się od ciebie?
- Kiedyś, dawno temu, wydawało mi się, że zdołam ocalić całą wioskę, ale popełniłem grzech pychy i ogarnął mnie mrok. I żyję w nim do dziś.
- Ksiądz odchrząknął, poruszył się niespokojnie. Roman zdawał sobie sprawę, że jego spowiedź jest co najmniej dziwaczna. Tylko marnował tu czas. Na co liczył?
- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem - zaczął ksiądz. - Za pierwszym razem, gdy chciałeś kogoś ratować, byłeś pewien zwycięstwa?
- Tak, próżność mi podpowiadała, że wygram.
- A zatem we własnym mniemaniu niczym nie ryzykowałeś. A dziś? Uważasz, że wygrasz?
- Roman zapatrzył się w mrok konfesjonału.
- Nie. Nie mam tej pewności.
- Więc czemu ryzykujesz życie?
- Miał łzy pod powiekami.
- Bo nie zniosę myśli, że oni zaryzykują swoje. Bo... bo ich kocham.
- Ksiądz odetchnął głęboko.
- Oto i twoja odpowiedź. Robisz to nie z pychy, ale z miłości. A ponieważ miłość to dar ojca, nie porzucił cię.
- Ksiądz nie zdaje sobie sprawy z ogromu moich grzechów.
- A ty nie zdajesz sobie sprawy z bożej wielkoduszności.
- Po policzku Romana spływała łza.
- Bardzo chciałbym ojcu uwierzyć, ale popełniałem straszne czyny. Dla mnie już za późno.
- Ksiądz pochylił się w jego stronę.
- Synu, jeśli skrucha jest szczerą, nigdy nie jest za późno. Będę się dziś za ciebie modlił.

Rozdział 27

Było już po północy, gdy rozzwonił się telefon Austina. Odebrał i mówił tonem pełnym szacunku, co chwila na nią spoglądając; Shanna wyczuła, że rozmawiał z jej ojcem. Przez cały wieczór dręczyła się myślą o wojnie wampirów. Nie udało jej się nawiązać łączności z Romanem.

- Tak jest, sir. - Austin podał jej telefon. - Twój ojciec chce z tobą porozmawiać.
- Tato?
- Shanno, pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć, co się dzieje. Cały czas podsłuchujemy telefon Petrovskiego i słyszałem jego rozmowę z Draganestim.
- Co się dzieje? Będzie wojna?
- No cóż, Draganesti jest gotowy. Twierdzi, że ma dwustu żołnierzy. Petrovsky cały wieczór ściągał posiłki. Będzie miał najwyżej pięćdziesięciu.
- Odetchnęła z ulgą.
- Roman ma przewagę.
- Nie do końca. Widzisz, Draganesti zaproponował Petrovskiemu układ. Spotkają się w

Central Parku. Zamiast wojny, pojedynk. Na śmierć i życie.

Przysiadła na łóżku.

- Co?

- No, tak. Umówili się na East Green w Central Parku o drugiej nad ranem. Srebrne miecze. Walka do końca.

Nie mogła złapać tchu. Roman będzie walczyć na śmierć i życie?

- To... to niemożliwe. Musimy temu zapobiec.

- Nie możemy, skarbie. Ale trochę martwię się o twojego przyjaciela. Widzisz, słyszałem, jak Petrovsky ściąga posiłki. O ile wiadomo, Draganesti stawia się sam. Petrovsky sprowadzi wojsko.

O nie.

- Wywnioskowałem, że ludzie Draganestiego nie wiedzą, gdzie odbędzie się pojedynek, więc mu nie pomogą. Szkoda. Przecież to będzie rzeź.

Shanna zapamiętała: Druga w nocy, Central Park, East Green.

- Czas na mnie, skarbie. Chciałem, żebyś wiedziała, jak wygląda sytuacja. Pa.

- Pa... - Spojrzała na Alysę i Austina.

- Muszę zadzwonić.

Alyssa wstała. - Nie możemy pozwolić.

Austin poprawił się na sąsiednim łóżku.

- Co nam szkodzi? Nawet więźniowie mają prawo do jednego telefonu.

Odwróciła się gwałtownie. - Oszalałeś?

- Nie. - Spojrzał na nią znacząco.

Shanna wystukała domowy numer Romana. Zdawała sobie sprawę, że poszło jej za łatwo, za szybko. Najpierw ojciec podał ważne informacje, teraz ochroniarz pozwolił jej zadzwonić. Nieważne. Musi uratować Romana.

- Halo?

- Connor, to ty?

_ Aye. Shanna? Martwiliśmy się o ciebie.

- Czy możesz, no wiesz, zrobić tę sztuczkę z telefonem?

- Teleportować się? Aye. Gdzie jesteś?

- W pokoju hotelowym. Pośpiesz się. Mówię cały czas. - Spojrzała na Austina i Alysę. - Są tu jeszcze dwie osoby, ale nie sądzę, żeby...

Connor zmaterializował się u jej boku.

- Cholera jasna! - Austin zerwał się na równe nogi. Alyssie szczęka opadła ze zdumienia.

- Przepraszam za najście. - Wziął telefon od Shanny. - Ian, jesteś tam?

- On... on ma kilt - wyszeptała Alyssa.

- Aye, mam. - Spojrzał na agentkę. - A z ciebie piękna dziewczyna.

Mruknęła coś niezrozumiale.

- Jak ty to zrobiłeś? - zapytał Austin.

- Mniej więcej tak samo, jak to. - Objął Shannę. Przytrzymała się go, zanim otoczyła ją ciemność. Mrok rozwiął się i oto była w holu w domu Romana. Wszędzie tłoczyli się Szkoci, uzbrojeni po zęby. Przechadzali się nerwowo, sfrustrowani. Angus MacKay szedł w jej stronę.

- Connor, czemuś ją tu sprowadził?

Nie dała mu dojść do głosu. - Mam nowiny. Dziś w nocy Petrovsky i Roman będą się pojedynkować.

- To nic nowego, pani. - Szkot spojrział na nią smutno.

- Ale Petrovsky sprowadzi swoje wojsko! Musicie pomóc Romanowi!

- Cholera - sapnął Angus. - Wiedziałem, że drań nie dotrzyma słowa.

- Skąd się dowiedziałas? - zainteresował się Connor.

- Ojciec miał podsłuch w domu Petrovskiego. Słyszał o tym i mi powiedział. Musiałam was ostrzec. Będą walczyć o drugiej, na East Green w Central Parku.

Szkoci wymieniali spojrzenia. MacKay pokręcił głową.

- Nie możemy, dziewczyno. Daliśmy mu słowo, że za nim nie pójdziemy.

- Nie zostawię go samego! - Wyciągnęła rękę po miecz Connora. - Ja nic nie obiecywałam, więc idę.

- Chwileczkę! - zawołał Connor. - Skoro pójdzie Shanna, my też możemy iść. Nie obiecywałam, że nie podążymy za nią.

- *Aye*. - Angus się rozpromienił. - Przecież Roman chciałby tego. Musimy ją chronić.

- Świetnie. - Spojrzała na Szkotów i uniosła rękę z mieczem. - Za mną!

Iskierka nadziei, która pojawiła się w jego sercu po spowiedzi, zgasła, gdy dotarł na East Green. Petrovsky nie dotrzymał słowa. Jego klan stał w półkołu. Roman szacował, że sprowadził jakieś pięćdziesiąt wampirów, głównie mężczyzn. Mniej więcej połowa przyniosła pochodnie. Petrovsky wystąpił naprzód.

- Z wielką przyjemnością cię zabiję. Roman zacisnął dłoń na rękojeści.

- Widzę, że bałeś się przyjść sam. Sprowadziłeś nawet kobiety, żeby ci wytarły zasmarkany nos.

- Nie boję się. Dałem słowo, że nie skrzywdzę twoich ludzi, ale nie obiecywałem, że moi podwładni nie zaatakują cię, jeśli zginę. Tak więc, Draganesti, nieważne, jak skończy się pojedynek - i tak zginiesz.

Roman przełknął z trudem. To już wiedział. Modlitwy jednego księdza i trzech przyjaciół nie wystarczyły. Bóg odwrócił się od niego już dawno.

- Gotowy? - Petrovsky uniosł miecz.

Roman sięgnął po swój. Był to prezent od Jean-Luca, ostre jak brzytwa posrebrzane ostrze, rękojeść ze skóry i stali leżała w jego dłoni jak ulał. Po raz ostatni pomyślał o Shannie i skoncentrował się na jednej myśli - wygrać.

Shanna biegła na East Green i już z oddali słyszała szcęk broni. Był to dźwięk przerażający, ale zarazem powód do optymizmu. Skoro Roman walczy, nadal żyje.

- Stop! - Angus podbiegł do niej. - Wiem, dziewczyno, że mamy podążać za tobą, ale musimy iść szybciej. - Wziął ją na rękę.

Drzewa migają jak niewyraźna smuga. Zacisnęła rękę.

Szkoci lotem błyskawicy znaleźli się na skraju polany. MacKay postawił ją na ziemi.

- Przepraszam, że źle cię oceniłem. Proszę. - Podał jej miecz. - Podążymy za tobą.

- Dziękuję. - Wyszła na polanę.

Wojownicy szli tuż za nią, pod wodzą Jean-Luca i Angusa.

Roman i Ivan Petrovsky na środku polany okrażali się. Roman był nietknięty, natomiast na ubraniu Ivana dostrzegła kilka rozcięć. Krwawił z rany na lewym ramieniu.

Petrovsky zerknął w jej stronę i zaklął.

- Ty draniu, miałeś ją przez cały czas. I sprowadziłeś swoje wojsko.

Roman odskoczył i spojrział na Shannę i Szkotów. Wrócił wzrokiem do Petrovskiego, ale krzyknął:

- Angus, dałeś mi słowo, że za mną nie pójdziecie!

- Nie poszliśmy za tobą, tylko za Shanna! - odkrzyknął Szkot. - Nie wiedzieliśmy, gdzie będziecie. Szliśmy za dziewczyną.

Odskoczył w prawo, bo Petrovsky zaatakował. Odwrócił się, dźgnął Rosjanina w biodro.

Ivan krzyknął, przycisnął dłoń do rany.

- Shanna, odejdz stąd! - zawołał Roman.

- Nie. - Wysunęła się naprzód. - Nie pozwolę ci umrzeć.

Ivan spojrział na rękę.

- Co, Draganesti, wydaje ci się, że wygrywasz? Mylisz się tak samo, jak się myliłeś co do Casimira.

Nie spuszczał go z oka.

- Casimir nie żyje.

- Czyżby? - Ivan poruszał się zreźcznie. - Widziałeś, jak umiera?

- Padł tuż przed wschodem słońca.

- A ty i twoi ludzie uciekliście przed świtem. Nie wiecie, co było potem. Zabrałem go do kryjówki.

Zbiorowy jęk Szkotów.

- Kłamiesz. - Roman był blady jak ściana. - Casimir nie żyje.

- Owszem, żyje. I gromadzi armię, bo pragnie zemsty! -Zaatakował, pchnął przeciwnika w brzuch.

Roman odskoczył, ale szpada zostawiła ślad. Z rany popłynęła krew. Zatoczył się w tył. Shanna jęknęła. Zobaczyła, że za jego plecami dwóch Rosjan wyciąga broń.

- Uważaj! - Rzuciła się w jego stronę. Angus złapał ją błyskawicznie.

- Nie, dziewczyno.

Roman odwrócił się, broniąc przed atakiem Rosjan. Ivan łypnął na Shannę.

- Mam cię dość, suko! - Zbliżył się do niej, przecinał powietrze ostrzem. MacKay pchnął ją za siebie i chwycił za broń, ale Jean-Luc go uprzedził, zaatakował z uniesioną szpadą. Ivan odskoczył.

Jean-Luc atakował, spychał Ivana do defensywy. Shanna jęknęła, widząc, jak miecz Romana przebija serce rosyjskiego napastnika. Runął na ziemię i zmienił się w pył.

Drugi Rosjanin rzucił broń i się wycofał.

- Angus, zabierz ją do domu, tam będzie bezpieczna. - Roman przyciskał dłoń do rany na brzuchu.

Shanna chciała do niego podbiec, ale Angus jej nie puszczał.

- Chodź z nami, jesteś ranny.

Zazgrzytał zębami.

- Mam tu niedokończone sprawy. - Zaatakował Petrovskiego.

Jean-Luc odskoczył, gdy ci dwaj skrzyżowali miecze. Roman zręcznie wyłuskał mu broń z ręki. Miecz przeciął powietrze, upadł na ziemię koło Rosjanina. Petrovsky rzucił się w tamtą stronę. Roman ciął w jego nogi. Ivan się zachwiał. Upadł, przetoczył się w bok, ale Roman już dotykał czubkiem miecza serca Ivana.

- Przegrałeś - wysyczał. Petrovsky rozglądał się nerwowo. Roman przyciskał ostrze do jego piersi.

- Przysięgnij, że ty i twój klan nigdy nie skrzywdzicie moich ludzi.

Ivan przełknął ślinę.

- Przysięgam.

- I że zaprzestaniecie ataków terrorystycznych na moje fabryki.

Skinął głową.

- Jeśli przysięgnę, darujesz mi życie?

Jean-Luc wystąpił naprzód.

- Roman, on musi zginąć.

- *Aye*. - Angus puścił Shannę i szedł w ich stronę. - Nie możesz mu ufać.

Roman odetchnął głęboko.

- Jeśli zginie, ktoś inny przejmie jego klan i przywództwo Malkontentów, a nowy zwierzchnik nie da nam spokoju. Ale jeśli Petrovsky pozostanie przy życiu, dotrzyma słowa. Prawda?

- Tak. - Kiwnął głową. - Dotrzymam słowa.

- Pewnie, że dotrzyma. - Uśmiechnął się ponuro. - Bo inaczej znajdę go za dnia i zamorduję, kiedy jest całkowicie bezradny. Rozumiemy się?

- Tak. - Ivan wstał powoli. Roman się cofnął.

- Więc sprawa załatwiona.

Jeden z Rosjan wystąpił z półkola, podniósł miecz Ivana.

- To chyba twój. - Dźgnął go w brzuch. Ivan się zatoczył.

- Alek? Czemu mnie zdradziłeś? - Osunął się na kolana. - Ty draniu. Pragniesz przejąć mój klan, moją władzę.

- Nie. - Alek ryknął gniewnie. - Twoje kobiety.

Ivan padł na ziemię. Trzymał się za brzuch.

- Idiota. - Do Ivana podeszła wampirzyca, Wyjęła drewniany kołek z pazuchy. - Traktowałeś mnie jak szmatę.

Chwytał powietrze gorączkowo.

- Galina. Ty głupia suko. Jesteś szmatą.

Inna kobieta też wyjęła kołek z torebki.

- Już nigdy nie nazwiesz nas sukami. Przejmujemy twój klan.

- Co? - Kulił się na trawie. Kobiety były coraz bliżej. - Katia, Galina, przestańcie. Nie umiecie poprowadzić klanu. Jesteście na to za głupie.

- Wcale nie jesteśmy głupie. - Galina uklękła koło niego. - Będę miała wszystkich mężczyzn, których zapragnę.

Katia przyklękła z drugiej strony.

- A ja będę jak caryca Katarzyna. - Spojrzała na Galinę. - Już?

Jednocześnie wbiły kołki w jego serce.

- Nie! - Jego krzyk ucichł, gdy zmienił się w małą kupkę popiołu. Wstały z kolan. Patrzyły na Szkotów.

- Chwilowe zawieszenie broni? - zaproponowała Katia.

- Zgoda - odparł Angus.

Rosjanie zniknęli w mroku nocy. Koniec.

Shanna z trudem uśmiechała się do Romana.

- Dziwne to było. Ręce do góry, zabandażujemy ci ranę. Connor owijał go bandażem, a potem wyjął butelkę krwi i podał Romanowi.

- Dzięki. - Upił łyk i spojrzał na Shannę. - Musimy porozmawiać.

- Pewnie. Nie waż się więcej zgadzać na pojedynki, bo zamknę cię w srebrnym pokoju i zgubię klucz.

Uśmiechnął się i objął ją.

- Uwielbiam, kiedy mi rozkazujesz.

- Puść ją! - zawołał męski głos.

Shanna się odwróciła. Jej ojciec zbliżał się do nich z latarką w dłoni. Za nim szli Garrett, Austin i Alyssa. Mieli latarki i srebrne pistolety, na biodrach - pasy z drewnianymi kolkami. Zatrzymali się w bezpiecznej odległości i obserwowali rozwój wydarzeń. Światła ich laterek błędziły po polanie.

Ojciec skierował snop światła na kupkę kurzu.

- To Ivan Petrovsky? - zapytał.

- *Aye* - odparł Angus. - A pan to Sean Whelan?

- Owszem. - Patrzył na drugi pagórek. - Kolejny Rosjanin?

- Tak - odparł Roman. - Ja go zabiłem.

Sean westchnął i rozejrzał się po polanie.

- Nie na to liczyłem. Tylko dwa trupy.

- Co ty opowiadasz? - odezwała się Shanna.

- Świetnie odegrałaś swoją rolę, skarbie. Zdaję sobie sprawę, że jesteś pod wpływem tego potwora, który cię teraz dotyka. Poprosiłem Austina, żeby dał ci wolną rękę. Wiedziałem, że zawiadomisz przyjaciół Draganestiego.

- Liczyłeś na wojnę. - Roman przyciągnął Shannę do siebie. - Liczyłeś, że zginiemy.

- Mniej roboty dla nas, jeśli sami się wytłuczecie. - Wzruszył ramionami. - Ale i tak was dopadniemy, zapamiętaj to sobie.

Jean-Luc uniósł miecz.

- Nierozważne słowa, skoro mamy nad wami liczebną przewagę.

- *Aye*. - Angus szedł w ich stronę. - Musicie zrozumieć, że nas potrzebujecie. Teraz, nawet w tej chwili, okrutny wampir gromadzi armię. Bez nas nie pokonacie Casimira.

Sean zmrużył oczy.

_ Nigdy o nim nie słyszałem. I niby dlaczego miałbym uwierzyć demonowi?

- Uwierz mu, tato! - zawołała Shanna. - Ci ludzie są ci potrzebni.

- To nie ludzie! - wrzasnął Sean. - A teraz odejść od potwora i chodź ze mną.

Roman odchrząknął.

- To chyba nie jest dobra chwila, by prosić o rękę pańskiej córki.

Sean wyrwał kołek zza pasa.

- Prędzej spotkamy się piekle.
Roman się skrzywił. - Wiedziałem, że to nieodpowiedni moment.
Shanna dotknęła jego policzka. - Idealny.
- Shanno, dam ci wszystko, czego pragniesz. Dom z drewnianym ogrodzeniem...
Roześmiała się, przywarta do niego.
- Pragnę tylko ciebie.
- Nawet dzieci - ciągnął. - Wymyślimy w jaki sposób umieścić moje DNA w żywym nasieniu.
- Co? - Zrobiła wielkie oczy. - Chcesz być ojcem?
- Pod warunkiem, że ty będziesz matką. Rozpromieniła się.
- Ale wiesz, że musisz się pozbyć haremu?
- Już to załatwiłem. Póki same nie staną na nogi, Gregori weźmie je do siebie.
- Jakie to miłe z jego strony. - Parsknęła śmiechem. - Jego matka dostanie zawału.
- Kocham cię, Shanno. - Pocałował ją w usta.
- Zostaw ją! - Sean zbliżał się z kołkiem w dłoni.
- Nie! - Stała naprzeciw ojca.
- Chodź ze mną, córeczko. Ten potwór ciebie opętał.
- Nie, tato. - Przycisnęła dłoń do piersi. - Kocham go. -Zdała sobie sprawę, że dotyka srebrnego krucyfiks. - O Jezu. - Spojrzała na Romana. - Obejmij mnie. Jeszcze raz.
Przyciągnął ją do siebie.
- Nie pali cię? - Cofnęła się, podniosła krzyż. - Nie poparzył cię.
Otworzył szeroko oczy. Ostrożnie dotknął krzyża.
- To znak. - Oczy Shanny zasły łzami. - Bóg nie odwrócił się od ciebie.
Roman zacisnął dłoń na krucyfiksie.
- "Nie zdajesz sobie sprawy z bożej wielkoduszności" Dziś usłyszałem te słowa od mądrego człowieka. Do tej poryw nie, nie wierzyłem.
Powstrzymała łzy. - Bóg cię nigdy nie opuścił. Ja też nie. Dotknął jej twarzy.
- Zawsze będę cię kochać.
Śmiała się przez łzy. - Skoro Bóg ci wybaczył, ty musisz wybaczyć sobie. Nie możesz już zadreć ani siebie, ani nas.
- *Aye* - sapnął Connor. - Musisz polubić siebie.
Roman otoczył Shannę ramionami.
- To nie koniec! - ryknął Sean. - Załatwimy was, jednego po drugim. - Odszedł, a za nim jego ekipa.
- Nie martw się. - Shanna oparła głowę na jego ramieniu. - Przyzwyczaj się.
- Naprawdę za mnie wyjdiesz?
- Tak. - Zanim ją pocałował, usłyszała radosne okrzyki Szkotów. Przywarta do niego. Życie jest piękne, nawet z nieumarłym.